

B

JAN TRZECI
I DWÓR JEGO

II.

WYDAWNICTWA KSIĘGARNI GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA

	złr. ct.
Aer. Pierwszy romantyk. Powieść hist.	2 60
Dr. Antoni J. Opowiadania historyczne 1 tom	8 —
— Nowe opowiadania	3 —
— Gawędy z przeszłości, 2 tomy	5 60
Belza. Wanda. Opera w czterech aktach	— 60
BIBLIOTEKA POLSKA. Każdy tom broszurowany 1 złr. 80 ct., w oprawie	2 30
T. I. II. Krasiński Z. Pisma. Wydanie z przedmową Stan. hr. Tarnowskiego, 2 tomy. — III. — VI. Mickiewicz Adam Dzieła. Wydanie zupełne przez dzieci autora dokonane, 4 tomy. — VII. — X. Zaleski, B. Poezye. Wydanie przejrzane przez au- tora. — XI. Pamiętniki Paska. Wydanie nowe krytyczne, przejrzane przez Dra Węclewskiego. — XII. Niemcewicz, J. Jan z Teczyna. Powieść histor. — XIII. — XVI. Słowacki, Juliusz. Dzieła. Wyd. przejr. przez prof. dra. A. Maleckiego. — XVII. — XIX. El...y, (Asnyk Adam) Poezje, 3 tomy XX. — XXII. Malecki, A. Życie i pisma Juliusza Słowackiego, wy- danie drugie znacznie pomnożone, 3 tomy. — XXIII. J. Wy- bleki, Pamiętniki — XXIV. — XXV. Mickiewicz, Dzieła. V. VI. XXVI — XXVIII. Mickiewicz A., Korespondencya, 3 tomy. — XXIX. — XXXI. Kitowicz X., Pamiętniki i pisma historyczne 3 tomy. — XXXII. — XXXIII. Kitowicz X., Opis obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III, 2 t. — XXXIV. — XXXVII. Romanowski M. Pisma. 4 tomy, (w druku).	
Bolesławita B. Hybrydy, powieść współczesna	2 40
— Król i Bondarywna, powieść historyczna	2 40
— Dziennik Serafiny	2 40
— Nad modrym Dunajem. Nowella	2 40
Chłędowski J. Sylwetki społeczne	2 40
El...y Gałązka heliotropu. Komedya	— 60
Estreicher W. Pol, jego młodość i otoczenie	2 80
Kaczkowski Karol. Wspomnienia 1808—1831 z papierów pozo- stałych ułożył T. O. Orzechowski, 2 tomy	4 20
Kubala L. Dr. Szkice historyczne, dwie serye każda po	3 40
— Z Jerzy Ossoliński, 2 tomy	7 80
Lemeke K. Estetyka, wydanie drugie brosz.	6 40
opr. w płótno	7 60
Liske X. Cudzoziemcy w Polsce. Podróże i pamiętniki	4 20
Listy Tadeusza Kościuszki, zebrane, wstępem objaśnione przez L. Siemińskiego	2 80
Lorkiewicz A. Bunt Gdański w r. 1825	1 80
Niewiarowicz A. L. Wspomnienie o A. Mickiewicza	2 20
Pawłowicz. Wspomnienia o Wilnie	1 40
Pamiętnik damy polskiej z XVIII. wieku	1 80
Przyborowski W. Rubin wazyński. Powieść	1 80
— Księżniczka z Ministerbergu	1 50
Stadnicki K. Olgierd i Kiejstut synowie Gedymina, W. ks. Litwy	2 40
Sass Berlicz. Mozaika. Gawędy szlacheckie, 2 tomy	3 80
Sewer. Bratnie dusze. Powieść	2 40
Tatomir. Ferj Alpejskie	2 40
Wileziński A. Kłopoty starego komeudenta. Opowiadania, 3 tomy z ilustracyami	5 40
Wilkońska P. Na teraz. Powieść	2 40
Wspomnienia Konstantego Wolickiego, z czasów pobytu w cytadeli warszawskiej i na Syberji	2 60
Zieliński Wł. K. August II. i Aurora Königsmark. Powieść 2 tomy	2 60
Zwierciadło głupstwa. Powieść, napisał Ignotus	3 20

A. BRONIKOWSKI

JAN TRZECI

I DWÓR JEGO

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVII. WIEKU

TOM II.

LWÓW
NAKŁADEM KSIĘGARNI
GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA
1883

Printed in Poland



Z DRUKARNI K. PILLERA.

Rozdział 1.

Nad samym brzegiem Wisły, o małą milę od stolicy, idąc z biegiem rzeki, sterczą rozłożyste wierzchołki starych wysokopiennych dębów, białodrzewów i wiązów niewielkiego lasu, w gęsty liść tak wybijały, że miejscami, w czasie pory letniej, nawet południowy promień słońca przez nie przecisnąć się nie może. Zwykle panowała tu samotność, bo pomimo, że mała tylko odległość przedzielała ten zakątek od ludnej, zgiełku pełnej Warszawy, przestrzeń jednak między obojgiem rozciągająca się była tak dalece piaszczysta, że po pozbawionym cieniu, mało ujeżdżonym torze, tylko powoli i z trudnością można było jechać. Przecież po ciemnych i chłodnych ścieżkach lasu co dzień spotykano pobożnych wędrowników, którzy nie lękając się unużenia i dziennego skwaru odprawiali pielgrzymkę do zbudowanego tu klasztoru Kamedułów. Jeszcze nowe mury¹⁾ tego gmachu błyszczały wśród leśnej gęstwiny, wieża zaś jego, wśród otaczających ją wierzchołków drzew przezierająca z daleka uderzała oczy lądem lub wodą podróżującego widza. Kiedy niekiedy odzywał się po lesie brzękliwy odgłos zwołującego na modlitwę dzwonka, a wówczas spieszyli nabożni na zieloną, otwartą równinę, na którą wychodziły wielkie drzwi kościelne, i tam przez kilka godzin byli obecni cichemu obrządkowi zakonu ostrej reguły. Za nadejściem wieczora, gdy zadzwoniono na *Ave Maria*, wy-

chodzili za mury pobożni, poczem wśród słabego światła ni-
knącej zorzy lub nocnej gwiazdy, widziano po głuchych szpa-
lerach rozpięchłe białe postaci na kształt duchów w pomroce
lasu migające, postaci mnichów, którzy zanurzeni w religij-
nym rozpamiętywaniu, szukali po dziennych bogobojnych
pracach pokrzepienia sił w przechadzce wieczornej, stąpając
bez hałasu, w lekkie sandały obuci.

Ale dziś było tu inne życie, obchodzono drugi dzień
Zielonych Świątek, który w roku 1694 tak wielkie mnóstwo
ludzi ściągnął do Bielan, jak ściąga za dni naszych. Wszakże
pielgrzymka do Bielan to samo znaczy dla mieszkańców
Warszawy, co *Longchamp* dla mieszkańców Paryża. Jeszcze
nie było podówczas sztucznej drogi od rogatek stolicy do stóp
klasztornego pagórka idącej: jeszcze nie pędziły po niej
lekkie koczki z damami, którychby różowe kapelusze, kwia-
tami lub piórami strojne i różnokolorowe materje szeleszcza-
ły w powietrzu: jeszcze obok pasma pojazdów nie uganiały się
podówczas eleganci miejscowi na koniach anglicyzowanych,
i z angielską okulbaczonych, kłaniając się przejeżdżającym
damom i znajomym, i przebijając przez tłumy ludu, kiedy ten,
w suknie świąteczny ubrany, skromnie postępował i ścierając
pot z ogorzałego czoła, zdążał do świętego miejsca nie dla
rozrywki ale dla chwały bożej. Mimo to, owoczesna uroczy-
stość, lubo mniej ożywiona, nie mniej była świetna, a może
świetniejsza jak w drugiej połowie dziewiętnastego wieku.
W pośród licznej rzeszy pokornych pielgrzymów siliły się
w powolnym tempie czwórki, szóstki i ósemki ciężkimi prze-
pichowami rzędami strojnych koni, ciągnąc ogromne, pozłotą,
snyderszczyzną, weneckimi taflami i połyskliwą herbowną
tarczą znaczne kolebki. Przez przeźroczyste tych kolebek
okna wyglądały strojne damy, z których szatami od złota i
dyamentów ciężkimi nie mogąc igrać powiewy wiatru, wy-
wierały całą siłę na uległe im włosy i kity hajduków, kosa-
ków i Tatarów, przodem konno jadących, albo na zakurzone
peruki i naramienniki paziów i lokajów, których przeznaczenie

nie było jechać przy drzwiczkach powozu. Przejeżdżał potem otoczony licznym orszakiem w całej okazałości i zamożności swego dostojęstwa magnat królestwa, powoli i pełną godności postawą wśród rozstępującej się rzeszy współpielgrzymów i współpielgrzymek; dalej młody, wysmukły i dorodny w swym narodowym stroju rycerz na bachmacie, którego niepohamowaną rączęś zmuszał do niecierpianego truchtu, a przynajmniej do krótkich jednostajnych skoków. Każdy z nich witał damy z uszanowaniem i w milczeniu, te zaś odkłoniwszy się i słowa, jakkolwiek skorym do tego językiem, nie powiedziawszy, spuszczały swe nieco wzniesione oczy znowu na książkę, którą w rękę trzymały. Wiedzieć bowiem potrzeba, że w owych czasach podróż do Bieleń była pielgrzymką równie dla wielkiego świata jak dla najniższych klas ludu, a jeżeli kto z mężczyzn lub z kobiet w cichości z innego ją uważał stanowiska, zawsze przecież wystrzegał się złego przykładu i milczał.

Ucichły śpiewy i umilkł dzwonek: ciżba ludu wysypała się z kościoła i z klasztoru, i zdążała w różne strony bieleńskiego lasu. Pośród tej ciżby krokiem pospiesznym postępowało dwóch młodych ludzi, którym wszyscy z uszanowaniem pokłon oddawali. Można było postrzedz, że jeden z nich miał czemś niepociesznem zaprzątniętą głowę. Jego policzki, których nigdy nie krasiał żywy rumieniec, dziś były bledsze niż przedtem: wyraz łagodnej tęsknoty silniej zdawał się malować w jego oczach, i lubo trzymał za rękę swego towarzysza, taką jednak przybierał postawę, jak gdyby chciał, aby jego oczy nie zeszyły się z oczami tamtego. Obadwa udali się leśną drożyną od klasztoru do pobraża wiślanego wiodącą, i doszli do przyładka, o którego przepaściściej ściany podnóże w znacznej nizinie rozbijają się z szelestem poważne bałwany Wisły. Wystąpiwszy z liściowego osklepienia starych, okazałych, przyładek wieńczących drzew, słowa przez niejaki czas nie przemówili do siebie, ale tylko spoglądali na szeroką

wodę, która tu mniej jak gdzieindziej płytka, okrąża małe ostrowy, niską zarośłą albo trawą okryte.

— Pierwej niż dwór opuściłeś kościół — rzekł po chwili Dymitr Korybut — i zaprędko skończyłeś twoje modły.

— Przecież już po nabożeństwie — odpowiedział Aleksander Sobieski, nie spojrzawszy na swego przyjaciela — a mój ojciec już się udał do pokojów klasztornych, które niegdyś po śmierci waszego wuja zajmowała Eleonora królowa. Zapewne król ma gości, którym daje posłuchanie, przed zapowiedzeniem etykietałnego przyjęcia. Królowa zaś jeszcze bawi w kościele dla wywiązania się, jak miarkuję, z pewnego ślubu.

Ton, z jakim królewicz wymówił te słowa, był wskazówką, że nie są bez znaczenia; z ciekawością tedy zapytał Wiśniowiecki:

— Jakto? Jej Królewska Mość wywiązuje się ze ślubu! to więc zaszło coś pożądanego? A dla czego nie widzę cię wesołym, a nawet mniej wesołym niż zwyczajnie?

— Mój przyjacielu — tym samym co dawniej tonem ale z mocniejszym wzruszeniem odpowiedział Aleksander — dziwny układ rzeczy na świecie! Jedno zdarzenie rozmaicie wystawia się oczom postrzegacza. Jeden tem się smuci, z czego się drugi raduje: albo, innemi słowy, co dla jednego jest rogiem obfitości, rozkosznych kwiatów pełnym, w tem kto inny same ciernie owemi kwiatami przeplecione widzi.

— Zaniechaj tak smutnych myśli — rzekł Dymitr do Aleksandra, chcąc w nim obudzić weselsze. — Ja tę twoję skłonność do rozmyślania nazwałbym jedyną wadą wielkiego, niczem nieskażonego umysłu, zwłaszcza w takim jak wasze położeniu, które może nie zadługo nowej po was wymagać będzie sprężystości. Nie przystoi, aby ten przykrzył sobie życie, który może być wezwany dźwigać jego ciężar nie dla siebie ale dla drugih.

Uśmiechnął się Aleksander i rzekł tonem nie mniej żałośnym:

— Zapewne nie przyjdzie do tego, bo widzę, że mi nie dostaje siły, owej przynajmniej siły, jaką lekki i obojętny umysł nadaje. I możnaż się uzbroić przeciw wypadkom, których rodzaj i jakość nie są znane? Wierzaj mi, Dymitrze, najbliższy moment jest pomroką niepewności okryty i częstokroć nie jeden wypadek pierwej nas zaskoczy, niż się spodziewać możemy i na jego odporcie zebrać siły nasze.

Temi słowy zdawał się napomykać królewicz, czego nie chciał wyrażnie powiedzieć; dalej zaś tak mówił rozczulony:

— Jedyna rzecz w przyszłości pewna jest — grób: tylko do grobu pewna ścieżka prowadzi człowieka, który za życia jest najniebezpieczniejszą istotą, a po śmierci garścią prochu *).

— Takieżto pomysły — zawołał książę Wiśniowiecki sposobem przygany — rodzi w tobie to piękne święto, które kościół i natura społem obchodzą? Ja się inszemi zabawiam: święty obrząd ołtarza zajął mnie dobroczynnie, a teraz, kiedy z domu bożego wszedł do tej niezmierzonej, jasnymi wiosny kolorami ozdobionej świątyni natury, pokój i wesołość wstępują w otwarte na ich przyjęcie serce moje.

— Oby je Bóg utrzymował w tobie! — zawołał królewicz wejrzawszy na przyjaciela okiem politowania.

— Ufam w Boga — zawołał ochoczo Wiśniowiecki — los mnie hojniej obdarzył niż innych: może znaczenie na świecie pozwala mi sądzić, że po Bogu mam w samym sobie zaufanie. Jesteśmy przyjaciółmi: przyjaźń zaś moją, powiem bez ogródki, bo z niczem nie taję się przed Wami, winienem mojej czułości, która rozdzieliła ognisko życia, rodzi w nas żądze znalezienia i użycia tego drogiego skarbu. Dziś szczególnie czułość, o której mówię, opanowała mnie z całą swą ożywiającą siłą, zmożona przez odłysk, który w dwóch oczach ujrzałem, kiedy te, spuszczone w księgę modlitw, z nienacka podniosły się na mnie. Przyznam się, że moje myśli zбочyły od kościelnej uroczystości, ale jednak nie były jej

*) Słowa nagrobku Aleksandra Sobieskiego w Rzymie.

niegodne: nie ciągle się modliłem, ale za to modliłem się tem goręcej. Zdaje mi się, że odgadł pewną tajemnicę, ów węzeł, który religja i miłość kojarzy. W tem uprzedzeniu spojrzałem z niejaką dumą na świat, jako na moje od Boga daną mi własność i zdawałem się chcieć dla uwierzytelnienia mojej posiadłości, zagarnąć te niwy, te lasy, te pagórki, i nawet te upływające fale Wisły. Nie śmiej się ze mnie, królewicu, nie przywidzenie mówi ze mnie, ale świeże poznanie dobra, które znalazłem w mojej czułości: w owej czułości, która sama nadaje jestestwu naszemu piętno człowieczeństwa. Nie śmiej się ze mnie, powiadam ci, bo takie momenta wewnętrznego obudzenia nie podlegają zmienności: gdy przyszłość przybierze jakąbądź postawę, one zostaną niepożytą własnością.

— Nie śmieję się z ciebie — rzekł zachwianym głosem Aleksander Sobieski — kładąc rękę przed oczy. — Daleki jestem od żartów, ale, zacny przyjacielu, całkiem innemi oczami poglądam na to, co nas otacza. Spójrz, mówił dalej, wskazując na rozległą masę wody, spójrz na te bałwany, na ten według mnie istny obraz znikomości: niewstrzymanym pędem przesuając się przy kwiecistych brzegach pod cieniem tego gaju, tylko ulotnie okrażają one owe zielone ostrowy, a potem bez spoczynku, bez cofnienia zdążają do chłonnego je morza. Ale nim u tego kresu staną, same pierwaj nieprzerwanym łańcuchem gubią się w samych sobie, każdy poprzedzający ginie w następującym. Podobnie się dzieje z chwilami radości lub nadziei.

— Mowa twoja, królewicu, ma pewne znaczenie. Mógłbyś je wiedzieć? Wytłómacz się, łaskawy panie. Wszak-żem nie powiedział, aby czułość była zależną od zewnętrznych wydarzeń. Mów — i ja mogę wszystko słyszeć.

— Wierzę, przyjacielu, że możesz wszystko słyszeć, ale nie odemnie — rzekł Aleksander z wyrazem boleści, której dłużej nie mógł utaić. Niech cię nie opuszcza moc duszy.

Minął moment radości i nadziei. Przygotuj się na to, co ci obecny przyniesie.

Gdy domawiał Aleksander, nadeszło kilka osób z dworu, na ich zaś czele Marja Kazimiera, rozprawiająca z jakimś nieznanym w niemieckim galowym stroju. Z wyraźnem niezadowoleniem spojrzała królowa na dwóch przyjaciół, cudzoziemiec zaś na Dymitra.

— Cóż to za jeden? — zapytał Dymitr królewicza cicho, lecz z niespokojną ciekawością, jak gdyby wymienienie cudzoziemca miało coś wielkiego rozstrzygnąć.

Aleksander zaś, ścisnąwszy Dymitra za rękę, powiedział:

— Jest to baron Symeony, poseł elektora bawarskiego.

Sposób odpowiedzi wzmógł wrażenie, które taka nowina na Wiśniowieckim sprawiła. Owa moc duszy, jaką się chełpił młodzieniec, głosząc swe uczucie jako niezależne od wszelkich zewnętrznych zdarzeń, znikła z upływem jednego momentu. Po danej przez siebie odpowiedzi szepnął jeszcze do niego Aleksander:

— Jedna tylko rzecz pozostaje do zrobienia, ale w tem moja głowa: niech mi tylko towarzyszy twoje zaufanie, i obym mógł przydać, twoja nadzieja.

Z wypogodzoną twarzą ominęła królowa księcia Wiśniowieckiego, słuchając krasomownej rozprawy swego towarzysza, a słuchając z uprzejmością wprowadzie, lecz nie z tem zajęciem, jakie okazywała, gdy z opatem de Bonport mówiła. Baron Simeony, lubo, według opisu Guyot de Pitaval, autora dzieła „*Causes célèbres*“, posiadał dar bawienia płci pięknej, nie był osobiwej urody.

Już dawno orszak przechadzającej się królowej był znikł w cienistych chodnikach, a jeszcze książę Dymitr, oparty o pień rozłożystego wiazu, dumął, pozierając z gorzkim uśmiechem na pęd wód wiślanych. Teraz on odgadł myśl, w jakiej królewicz Aleksander wziął upływające bałwany za figurę znikomości, nadziei i wątpliwości zamysłów ludzkich, za figurę, którą teraz sam za najtrafniejszą uznawał.

Własne doświadczenie służyło mu za broń przeciw zwodniczym pozorom, które z niepokonaną siłą porywają umysł w szczupłym obrębie wychowanego, a jednak z zarozumiałością na nieznany świat puszczonego się człowieka. Kiedyś dał on swej najżywszej czułości i swym najgorętszym życzeniom górę nad sobą, teraz zaś zaniechał połączonej z tylu przeciwnościami walki, w którą się był wdał, wzięwszy pozory za rzeczywistość. W czasie owej wilanowskiej rocznicy wstąpienia Jana III. na tron, radość z oglądania długo niewidzianej osoby wyciągnęła z ust królowej kilka słów, które uniosły i zachwyciły Dymitra. Ale już wówczas nie były one owymi niewinnymi wybuchami niewymuszonej wesołości, z jakimi królowa przed laty przemawiała do towarzysza igraszek swego dzieciństwa. Pod wieczór owego dnia wilanowskiego, pierwszy raz królowa uwiadomiła królową, że Maksymilian Emanuel żąda jej ręki: ale o tej okoliczności, wówczas wszczętej, nadmieniła tylko jako o mogącej przyjść do skutku: a kiedy uniosła się gniewem na posępną obojętność, z jaką Teresa tę wiadomość przyjęła, wówczas król, który także znał stan serca swej córki, nie omieszkał dodać jej odwagi łaskawem swoim przemówieniem i nagle przerwaniem rozmowy. Obawiał się on porywczego uniesienia swojej małżonki i dla tego starał się zapobiedz jej wybuchom, pomnażając zwłaszcza, iż on sam wzbudził nadzieję w tej, którą owe wybuchy mogły osiągnąć, i że owej nadziei sam poniekąd był uczestnikiem. Chwiał się zrazu Jan III. między dawniejszym zamysłem a nowymi, bez wątpienia świetnymi widokami: stało się więc, iż rokowania brukselskie poszły w odwłokę; gdy zaś w końcu udało się opatowi de Bonport skłonić monarchę, naówczas stosunki z dworem wiedeńskim i rozdwojenie królewskiej rodziny zrodziły potrzebę tajenia owych rokowań tem bardziej, że one poniekąd tyczyły się Marji Kazimiery. Zdaniem tej, Teresa Kunegunda, jako królowa, a tem samem do świetnych powołana przeznaczeń,

była powinna rada nie rada uczynić dla dobra państwa ofiarę z własnych skłonności.

Z drugiej strony królowna, której postanowieniem bez jej wiedzy rozrządzono, darzyła w ciągu zimy, przy następczonej zobopólnej sposobności swego młodego przyjaciela to spojrzeniem, to słowem. Pewność wzajemności, właściwa tym, którzy się kochają, o władnęła Dymitra: po raz pierwszy zatem, otrząsnawszy się z obawy, śmiało i z rozmysłem poglądał na otaczające go zawady. Mógł on zaufać przyjaźni Aleksandra, którego wpływ mimo jego skromności codzień się wzmacniał; rozumiał nawet, że może budować na przywiązaniu, którego król ciągle i serdeczniejsze niż kiedy dawał mu dowody, a tymczasem ten sam Dymitr nie wiedział, że owe dowody były tylko skutkiem wyrzutów, jakie monarcha samemu sobie czynił, że kiedyś był uczynił nadzieję, którą teraz sam niezadługo miał zniszczyć. Wiedział wprawdzie Dymitr, że królowa i królewicz Jakób są jego życzeniom przeciwni, lecz zachęty księżnej Lubomirskiej pobudzały go do oporu; w tym zaś namyśle utwierdzały go obietnice ojca Voty, który nie przestawał zapewniać go o dzielnej pomocy cesarskich ministrów.

Zjawienie się bawarskiego posła, a jeszcze bardziej sposób, jakim Aleksander Sobieski zwiastował o niem Dymitrowi, ocuciły go z marzeń, które dotąd miały nad nim górę. Zanadto był on oswojony z obyczajami dworów, aby nie wiedział, że jawnemu staraniu się o żonę z domu królewskiego zwykle od razu towarzyszy przyrzeczenie: a gdy mu zamiar pana Simeony już nie był tajny, przewidział, jakim skutkiem bytność tego dyplomaty może być uwieczniona. Ale przenikliwość Dymitra bynajmniej nie pociągnęła za sobą zrzeczenia się. Obrażona duma i znieważona miłość podniosły głowę. Wszakże Dymitr Wiśniowiecki, lubo nie udzielny książę, miał po sobie ród wysoki, miał bogactwa, miał nareszcie posiadłości ziemskie, które swoją obszernością przechodziły państwo nie jednego Rzeszy niemieckiej księ-

cia, a przytem i na jego szalę rzuciła polityka swoje ciężary. Pamiętny przyrzeczeń ojca Voty, przedsięwziął na nich oprzeć swoje dalsze postępowanie. Ambicja powoli w nim rozgorzała. Odezwało się w nim przeświadczenie, do czego jest zdolny i czego już przed nim równi mu stanem dopięli. Opanowały go czarne myśli, jakich dotąd nie przypuszczał.

Wśród pogmatwanych fantazyj i marzeń widzi obraz królewnej w całym powabie, w całej słodyczy, jaką okrasila go miłość, a gdy jego wewnętrzne oko napatrzyło się mu przez czas niejaki, uczuł znagła, że tylko ona sama może być rozjemczynią tego, co on czynić przedsięwziął. Stały w swoim przedsięwzięciu, uznał za konieczną potrzebę wyrozumieć jej zdanie, czy ma lub nie ma tak, jak sobie ułożył, działać.

Wtem po chodnikach lasu daje się słyszeć coraz wyraźniej dosięgający miejsca, w którym stał Dymitr, głos ojca Voty. Głos ten lubo nie czynił przyjemnego na tym, który go posłyszał, wrażenia, przecież same wyrazy wnet zwróciły jego uwagę.

— Chwałę wasz bogoboyny sposób myślenia, Najjaśniejsza Córo w Bogu — takie było brzmienie owych wyrazów do jeszcze nie widzianej przez Dymitra towarzyszki powiedzianych — i mógłżebym was ganić, ja, który zawsze do tego zmierzam, aby przyczynić szczęścia waszemu królewskiemu domowi? szczęścia, które jedynie przez zgodę i przyzwoitą względem wyraźnej woli rodziców uległość dzieci ostać się może? Ale chciej baczyć, miłościwa królewno, że taki przypadek jeszcze nie nastąpił, a przynajmniej nie jest nieodwołalny.

— Mylicie się, przewielebny ojciec — odparła Teresa Sobieska po cichu i z namysłem. — Królowa już mi zapowiedziała, co postanowiła i rozkazała mi stósować się do jej woli; ojciec zaś i pan mój uściskał mnie tylko i nazwał mnie pociechą i rozkoszą swojej starości. Jeżeliby mogła

stawić opór pierwszej, nigdybym nie mogła stawić go drugiemu.

— Nie miejcie mnie za tak zatwardziałego, Miłościwa Królowno! abym nie przyznawał dzielności takiemu przemówieniu ojca: podzielam wasze uczucia i umiem je cenić, ale też właśnie dla tego pragnąłbym oglądać uszczęśliwioną taką jak wasza duszę. Czyż tu nie idzie o wasze i tylko o wasze szczęście, Miłościwa Królowno? Niech nadzieje innych opierają się na mętach niepewnej przyszłości, wam przystoi iść za głosem waszego natchnienia, jeżeli według praw kościoła ma się stać zadosyć waszym powinnościom.

Westchnąwszy odpowiedziała królowna:

— Wyrzeczenie się samej siebie, oto nazwisko powinności płci mojej. Znaie mnie, ojcze. Wyjawiłam wam skrytości serca mego, i jeżeliście w mem sercu coś takiego wyczytali, co was teraz o moją przyszłość nabawia kłopotu, musieliście zarazem postrzedz, że nie jestem obojętną na nagrodę, jaka czeka tych, którzy najśrodsze swoje uczucia niosą cnie w ofierze.

Ojciec Vota rzekł z przyciskiem:

— Niepożyteczna ofiara bywa odrzucona: wszakże nie upodobał sobie Bóg w postępywaniu Jęftego.

— Mój ojsiec i król pragnie mego szczęścia — odparła z uniesieniem Teresa — a pragnie sposobem jemu właściwym: nie możecie przecież przyrównywać go do niemiłosiernego człowieka, któregoście imię wymówili.

— Jestem daleki do czynienia takich porównań — zapewnił skwapliwie kapłan — myślę tylko, że król Jegomość, skoro się przekona, że to, co z dobrej widzi strony, z inzej jest widziane przez miłościwą królowną, odstąpi od swego zamiaru, póki nie zapadnie kłamka. I nic w tem niepodobnego. Jeszcze baron Simeony nie wystąpił z formalnemi oświadczeniami, jeszcze mu nie dano ostatecznej odpowiedzi, po której już się cofnąć nie można.

— Co mówicie? — rzekła królowna, kołysząc głową na znak, że inaczej mają się rzeczy. — Królowa powiedziała mi sam na sam, że już dano ciche przyrzeczenie, i że go król nie złamie, chociaż nie było dane wobec dworu i Rzeczypospolitej. Inaczej powinniście do mnie mówić, przewilebny ojcie. Gdym poznała moje przeznaczenie i konieczność stósowania się do niego, oczekiwałam od was zasilku, którego religja udziela sercu chwiejącemu się między przywiązaniem i powinnością. Czy w godzinie mego niebezpieczeństwa będziecie w sprzeczności z waszemi naukami.

— Moje usta, Królowno, nie potrafią, jak widzę, wytłómaczyć wam owego głosu natchnienia — mówił Vota, poglądając na otaczające go drzewa, jak gdyby między niemi kogoś upatrywał — lecz jest tu ktoś taki, który w tym razie może będzie szczęśliwszy odemnie, bo — domówił głośniejszym głosem — w tej chwili moje obowiązki powołują mnie do króla. Zostawiam was tedy, Miłościwa Królowno, innemu przewodnictwu.

Ukazał się książę Dymitr Wiśniowiecki. Na jego widok różnorodne uczucia opanowały Teresę Sobieską, uczucia tem sprzeczniejsze, że silne wrażenie wzburzonego uczucia nigdy jeszcze nie dosięgły jej nieskazitelnego życia. Pierwsze jej uczucie po ujrzeniu Dymitra było to, jakie sprawia zjawienie się ulubionego przedmiotu: drugim była boleść, że tego przedmiotu wyrzec się musi. Dalej zawstydzenie, gdy pomyślała, iż Dymitr mógł wysłuchać słów, które dopiero co z jej ust wybiegły: naostatek żal do ojca Voty wzbudzony podejrzeniem, że on z Dymitrem ukartował obecne dwojga kochanków spotkanie. To ostatnie uczucie było najsilniejsze: po raz pierwszy zatem w sposobie rozkazującym zawołała na księdza, aby poczekał: lecz napróżno, wzywany zniknął w zaroślach.

Powoli i drżącym krokiem przystąpił Dymitr do królowej, jakby chciał odgadnąć, co duszę kochanki uczyniło trwożliwą.

— Gniewasz-że się, Miłościwa Królewno, na przypadek — przemówił z cicha, ostatnie słowo dobitniej wymawiając — na przypadek, który ci we mnie przewodnika nastrecza? Przecie za dawnych czasów nie raz przyjmowałaś odemnie służbę tego rodzaju. Te czasy już minęły wprawdzie, i nie moja w tem wina, że moją obecnością staje ci się natrętnym i że usługi moje odrzucasz.

Królewna, jeszcze miotana owem podejrzeniem, o którym powiedzieliśmy, odpowiedziała z oziębłością:

— Jeżeli przypadek, jak mówicie, mój panie, sprowadził was w to miejsce, abyście słuchali z czem się przed ojcem Votą wynurzałam, tedy spodziewam się, że uznacie za rzecz sprawiedliwą, gdy go nazwę niepomyślnym i gdy nie dopuszczę, abyście z niego korzystali.

To powiedziawszy, chciała odchodzić królewna, Dymitr postąpił za nią i rzekł głosem rozżalenia:

— Ja zaś nie mógłbym nazwać niepomyślnem spotkanie, któremu winienem sposobność upomnienia się o prawo, mnie kiedyś przez ciebie, Miłościwa Królewno, przyznane, o prawo uczynienia ci w ważnej okoliczności pytania. Mało mnie znasz, jeżeli rozumiesz, że dla spotkania cię potrzebowałem uciekać się do przebiegłych zachodów i zmówin i żem ich kiedy szukał.

Królewna, spuściwszy oczy i zmęczoną piersią zaledwie oddychając, odpowiedziała:

— To tedy, mości książę, chcesz mnie o coś zapytać. Słucham. Ale..... chcę wierzyć, żeś nie był spółnikiem niepojętych praktyk ojca Voty. Bardzo to być może. Mów ale krótko, bo przedłuższej rozmowy nie pozwala nam ani czas ani miejsce.

— A której istota będzie ci zapewne przykra, Miłościwa Królewno — dodał Dymitr ze wzruszeniem. — Zaprawdę, zawsze się brzydziłem krzywymi drogami, które tu jednak, zdaje się, same prowadzą do celu. Biada mi, żem się prostej trzymał.

— Chciałbyś zapewne coś odemnie usłyszeć — przerwała Teresa jeszcze markotna lecz bez gniewu.

— Przyszedł czas — mówił dalej Dymitr — w którym musi wyjść na wierzch, czego się mam spodziewać lub obawiać: rozumiem zaś, że od ciebie samej mogę się o tem dowiedzieć.

— Nie przyszedł czas — jakając się odpowiedziała królewna — ale już minął, Dymitrze: zapóźne wasze pytanie.

— Więc prawda — rzekł Dymitr — że przybycie tego cudzoziemca rozstrzygło mój los, że królewna Teresa będzie elektorową bawarską?

— Taka jest wola moich rodziców — odpowiedziała ze łzami królewna — a zapewne nie wezmiesz mi za złe, że jej się opierać nie myślę.

— Mógłbym i godziłoby się wymagać tego od ciebie, Miłościwa Królewno? — odpowiedział z uczuciem Wiśniowiecki. Któż jestem, abym kładł tamę tak świetnemu połączeniu? Alboż to, Pani, zapewniłaś mi wiarę twoją jakim dyplomatycznym pismem, lub czyż ja żądałem twej ręki przez kierujących polityką posłów? Głębokie przywiązanie z lat pierwszej młodości jest dziecinną igraszką u Królewskiej córy, kiedy ta dojdzie do dojrzałości. Słowa z lat owych uleciały z pięknymi chwilami, w których były wymówione. Cóż mam wspólnego z Królewską polską? Z żadnym pargaminem nie mogę się popisać, jak ci, którzy w Brukselli o to rokowali, co ja tak lekkomyślnie, idąc za popędem serca, śmiałem nazywać moją własnością. Cóż znaczy Dymitr Korybut wobec udzielnego księcia Rzeszy niemieckiej, względem sławnego bohatera, względem ojca przyszłego króla Hiszpanii i obojga Indyj?

— Nie mów tak, nie mów, Dymitrze—zawołała Teresa — taka mowa jest dla mnie zabójczą, O! chwilo najokropniejsza w życiu mojem! Przy mnie samej zostanie, czego teraz doznaję. Prawda, że masz prawo zapytać mnie, ale ja, czy mogę odpowiedzieć? nie wiem. Bądź więc wspaniałomyślny,

Dymitrze. Nie nadużywaj udręczenia, jakie we mnie spostrzegasz. Nie przymuszaj mnie do wyrzeczenia tego, coby, zwłaszcza w obecnej chwili, było nieprzyzwoitością.

— Mów, jak ci serce nakazuje — zawołał młodzieniec ożywiony budzącą się nadzieją. Głos serca jest głosem prawdy i Boga.

— Nie, ach nie! — odparła Tnresa — inaczej mają się rzeczy. Jeden tylko głos ma prawdę po sobie, ów głos, którego źródłem jest Ojciec Niebieski; w mojem zaś sercu odzywa się więcej niż jeden. Z jednej strony woła na mnie obowiązek; z drugiej towarzyszy mojej młodości. Nie ulatuje z piękną chwilą wyrzeczone słowo: długo ono odzywa się w głębi duszy.

To powiedziawszy królowna, zakryła twarz obiema dłońmi, a potem, po upływie cichego łkania, przydała:

— Już tedy wiesz, com powinna była zamilczeć. Okaz się teraz wspaniałomyślnym i opuść mnie.

— Jabym cię, Królewno, miał opuścić w najpiękniejszej życia mego chwili? Jabym miał się lekliwie cofać, kiedy wiem, że to, co mi wydrzeć zamyślają, jest moje? Nie jestem tak dalece wyzuty z męstwa i potęgi, jak ktoś sobie rozumie. Od ciebie, Królewno, twójego oczekiwałem wyroku: dałaś go, oddawszy w tych wracających mi życie słowach samą siebie. Będę dobijać się o to nieocenione dobro. Przekonasz się, Pani, że i ja mogę rokowania prowadzić.

— O jakimże to myślisz wyroku? — zawołała przelekniona królowna — Możesz że mówić, żem ci się oddała? I cóż chcesz czynić?

— To co mi czynić wypada dla utrzymania prawa, którem mnie udarowało twe serce — odparł z zapałem Dymitr — to, co było potwierdzone słowem i uczynkiem ojca twojego; to co uczynić trzeba, chcąc królowi przypomnieć, że królowie powinni dotrzymywać swoich przyrzeczeń, choćby je nie w formie dokumentu i bez świadków dali, choćby kanclerz nie uwierzytelniał ich przyciśnięciem wielkiej pieczęci. Dy-

mitr Korybut książę Wiśniowiecki nie stworzony do takich igraszek: uczyni on, co może, co znakomitemu i możnemu obywatelowi wolnego narodu wypada uczynić, choćby na przekór pierwszej narodu głowie.

— O jakże gorzko żałować mi każesz nierozmysłnego słówka, które może przez całe życie wyrzucać sobie będę. I możesz mego ojca a twego pana, króla i bohatera o wiarołomstwo obwiniać? Jakież to ci dał przyrzeczenie? Czyż je wymógłeś na nim? Prawda, że był czas, a ten niedawno upłynął, kiedy ja i ze mną ktoś więcej czytaliśmy na jego obliczu słowo zezwolenia. Ale ten czas upłynął, a moja nadzieja, słuszną czy niesłuszną, znikła. Teraz już zapóźno. Jakkolwiek bądź, już wyrzekł mój ojciec a ja słuchać muszę.

— Zapóźno? — powtórzył Dymitr, którego ta mowa do głębi duszy przeniknęła. — To więc ja sam mam być winien ciosu, na który się uskarzam, a winien dla tego, że się nie brałem do przebiegów, które tu każdą stopę usidlają, i że się nie puściłem krętymi ścieżkami ukazanymi mi przez ludzi, którzy prostej drogi znać nie chcą? Miałem trwonić czas na czechem mędrkowaniu, kiedy byłem pewny, że otwarty krok, śmiałe i ufne słowo doprowadzi mnie do celu? Przemów, Królewno, i powiedz zdanie twoje.

— Nie wiem z pewnością, jak było — odpowiedziała królowna głosem strapionym. — Zdaje mi się wprawdzie, jak gdyby król... ale tylko zdaje mi się; teraz zaś wiem z pewnością, że co innego zapadło.

— Jeszcze nic nie zapadło — rzekł Dymitr. — To co mnie dotąd po manowcach prowadziło, zbliży mnie teraz do celu. Elektor bawarski stara się o rękę twoją: niechże i tak będzie. Ja, Dymitr Korybut książę Wiśniowiecki, potomek Olgierda, wielkiego księcia litewskiego, stanę podobnie. Tamtemu Francja podaje rękę, mnie zapewniono pomoc Austrii. Zobaczymy, kto przemoże. Na dworze o Francji tylko, o Austrii mówią, nie zaś o twojem szczęściu i uczynionej mi obietnicy. Przecież szczęście twoje, Królewno, jest połączone

z mojem, a do mnie należy wystąpić w jego obronie. Głos mój nie jest nieznany w południowych województwach Polski. Szlachta litewska niezadowolona z dworu, Austrii przychylna, obcemu połączeniu nie rada, mnie nie odstąpi. Niech królowa i elektor postawią na sejmie walnym przeciw nam swoich stronników, a wówczas zobaczymy. Zaślubiny brata twego z Ludwiką Radziwiłłówną były uważane za sprawę narodu: nasze przyrzeczone połączenie jest z tego samego rodzaju. Obstawać będę za tem twierdzeniem, bo mam oręż przeciw Jakóbowi Sobieskiemu, mając po sobie serce narzeczonej.

— Nie spuszczaś się, panie, na to prawo, jakie ci może zapewnić serce narzeczonej — odpowiedziała królowna z niezwykle poważną mową — bo inaczej postradasz je na wieczne czasy. Jan III. jest ojcem moim: a o mnie nikt nie powie, że nierozmyślne zamiary córki ściągnęły na głowę ojca zmartwienia i kłopoty, na tę głowę, którą sława uwieńcza. Ojciec i król mój nazwał mnie pociechą i rozkoszą swojej starości, a ja miałabym zakrwawić serce jego? Nie. Nie wszystkie jego dzieci dadzą przebrzydły przykład krnąbrności. A ty, Dymitrze, mógłbyś chwycić się kroków, o jakich wspominasz? I mógłbyś tak mało mnie cenić, abyś przypuszczał, że podam zuchwałą rękę chcącemu postąpić sobie nierozważnie, że lekkomyślnie i namiętnie przyczynię zgryzot królowi starcowi, od których i tak nie jest wolna jego głowa? Miałabym ja, Sobieska, rozniecać przeciwko mojemu domowi nienawiść, która w sercach dawnej i zawziętej szlachty tleje? I wypadaż, aby Dymitr Wiśniowiecki przedemną odgrażał się przeciw Janowi III., przeciw temu, który się ojcem jego okazywał? Zaniechaj niegodnych ciebie myśli i nie zacieraj we mnie pamięci, którą chcę do obcej ziemi unieść, pamięci o moim wiernym i wspańiałomyślnym przyjacielu.

Po chwilowem milczeniu odpowiedział skruszony Dymitr:

— Chciej zważyć, królewuo, że twój wyrok ma być wskazówką mojego dalszego postępowania. Nie spiesz się z daniem słowa, które ma rozstrzygnąć między powinnością w latach dziecinnych poczetą, a tą, o którą się u ciebie po raz ostatni upominam. Wybacz porywczym słowom, które namiętność z ust moich wyrwała, i racz z mniejszą surowością wyrokować o ostatniej mojej woli, jeżeli ta jest w oczach twoich naganna. Precz odemnie myślo czynach, któreby mnie uczyniły niegodnym Teresy Sobieskiej. Nie odwracaj tedy oczu odemnie, ani w gniewie twoim nie wyrokuje o mnie. Wiele dróg stoi przedemną otworem, ale nie myślę puścić się niemi gwałtownie, ani tem samem obrażać twojej powinności; pozwól więc, miłościwa królewno, abym się puścił niemi.

— Los, który mnie czeka — rzekła królowna — pokazał mi drogę, jakiej się trzymać powinnam. Sprawiedliwie powiedziała królowa, że obowiązki córek królewskich są różne od obowiązków dziewic niższego rzędu, i słowa, które od ciebie słyszałam stanęły mi za dowód twierdzenia matki mojej. Wiem teraz co mi pozostaje czynić, nie kładź mi więc tamy miłościwy książę.

— To więc, królewno — zawołał rozrzewniony młodzieniec — mam się rozstać z tobą i z moją uadzieją? Zapewne zapomnisz o nieszczęśliwym Dymitrze; lecz on nie będzie mógł zapomnieć o tem, co nierozdzielnie spoiło się z życiem jego.

— Nie zapomnę — odpowiedziała Teresa głosem rozczenia — ale też nie usłyszysz drugi raz tego, co mi już nie wypada powtórzyć. Nieodzowna konieczność wystąpiła między mną i tobą: ona nas odtąd trzymać będzie w oddaleniu od siebie aż do chwili, która mnie z tej ziemi zabierze. Przyjmij więc Dymitrze, moje pożegnanie, pożegnanie twojej przyjaciółki. Ale czy także przyjaciela żegnam?

Wymawiając te słowa pochyliła się do Wiśniowieckiego, który uchwyciwszy jej rękę, padł na kolana.

— Przyjaciela dozgonnego — zawołał na klęczkach Dymitr.

— Bądź więc moim rycerzem — rzekła królowna wśród łkania. — Zachowaj w pamięci pisarzy powieści dawnych, któreśmy z sobą często czytawali: nie zapomnij, jak wówczas unosiło nas owo bezinteresowne przywiązanie, którego ani los, ani oddalenie zniszczyć nie mogło, które wciąż zachęcało Paladyna do lekkomyślnych czynów. W tym to duchu mianuję cię moim rycerzem.

— Będę nim — oopowiedział książę Wiśniowiecki i zapewne nie wyjdę niegodny z rozwalin zburzonego szczęścia mojego.

— Więc przyrzecz mi — rzekła tonem boleści Teresa Sobieska — więc przyrzecz mi starym obyczajem, że mi nie odmówisz pewnej przysługi.

— Jestem na twoje rozkazy oświadczył zbolały Dymitr.

— Mam się za godną ciebie, miłościwy książę — rzekła z godnością — wyznaję, że i ty zawsze byłeś i jesteś mnie godzien. Rozstaje się więc z tobą, oddaję życie moje pod twoją obronę, pod obronę człowieka pełnego chwały i charakteru. Ale nie dla mnie samej żądam poświęcenia się twojego: zostaną jeszcze drogie mi w mojej ojczyźnie osoby. Mój ojciec, ach! mój ojciec mi na sercn. Z udręczającym przeczućciem patrzę na czarne przy schyłku życia jego zbierające się chmury. Niowdzięczność zapomniała o jego wielkich czynach; zdrada i nieżyczliwość otoczyły go i zagrażają mu. Nie odstępуй go więc, bądź zawsze wiernym jego poddanym, a owych środków, których w nieugruntowanym uniesieniu przeciw niemu chwycić się chciałeś, użyj teraz na obronę jego siwizny. Czy mi to przyrzekasz, rycerzu?

— Przyrzekam — wymówił uroczyście Dymitr — i tak mi Boże dopomóż i jego święte słowo.

— Jestem córką królowej polskiej — mówiła dalej królowna — nie mogę więc bez obawy przewidywać, co ją spotkać może, gdy Ojciec Niebieski powoła mojego ziemskiego do swej świętej chwały. Bieglżebyś na jej pomoc, gdyby

tego zaszła potrzeba i puściłżebyś przeszłość w niepamięć przez wzgląd na Teresę Sobieską?

— Królowa jest twoją matką, odpowiedział Dymitr. przyrzekam, że dopełnię twego rozkazu.

— Jeszcze słówko, zacny przyjacielu, rzekła królowna. Po upływie niedługiego czasu, dojdiesz w twej ojczyźnie do szczybla, do którego cię powołują twoje urodzenie, twój charakter duszy i twoje talenta. Wówczas to ziszcza się nadzieje, które składać będą ośnowę dziejów twojej młodości, a siła zawsze przymierze z nienaganną wolą. Użyjeszże wówczas twojej potęgi na dobro mojej rodziny? Niezgoda, ach! niezgoda rozsiała swoje zgubne nasiona pomiędzy nami, a ich żarody, ile przewiduję z trwogą, wybijają, gdy znakomity ogrodnik z tym światem się rozstanie. Raczyszże wdać się między braci moich, kiedy w sromotnej zawiści przeciw sobie wystąpią? będzieszże usiłował zapobiedz, aby w walce przeciw sobie nie obalili szczęścia domu naszego, uczyniszże to wszystko pomnąc, że i ja jestem Sobieską?

— Królewicz Aleksander jest moim przyjacielem, odpowiedział Dymitr, inni są twoją bracią, daję moje rycerskie słowo Tobie, Miłościwa Królowno, że uczynię, czego żądasz.

— Więc bądź mi zdrów, rzekła Teresa Sobieska. Rada przypominając sobie będę upłynioną przeszłość. Czy i ty także, Dymitrze?

— Pani! odpowiedział żegnany, tyś z gruzów mojej przeszłości wywołała życie moje.

— A więc możemy rachować na dane sobie i odebrane słowo.

— To mówiąc, podała królowna rękę Dymitrowi, jakby chcąc go podnieść, ale ten jeszcze nie był powstał, gdy ze zmarszczonem czołem, zadyszana i krzywo na oboje poglądając, stanęła przed obojgiem Jadwiga Elżbieta.

Wnet tonem przerażenia i przygany wykrzyknęła:

— Mój Boże, tuż to cię, siostró, znajduję, i to w miejscu, któreby można różnie tłómaczyć, zwłaszcza w zbiegu

obecnych okoliczności? Co za szczęście, że idąc za popędem mego przeczucia wyprzedziłam inne damy, chcąc ci dać znać, że królowa już cię kilka razy żądała.

Ochłonawszy z pierwszego strwożenia, odpowiedziała Teresa: — Miłościwa siostró, byłaś tylko świadkiem pożegnania przyjaciela z przyjaciółką pierwszej swojej młodości, a czyn tak niewinny nie zdaje się zasługiwać na żadną nagannę. Pamiętam ten czas, przydała sposobem przymówki, kiedy książe Wiśniowiecki szczyił się twoją życzliwością, teraz jeżeli ją postradał, nie przestał, mogę śmiało zapewnić, być jej godnym. A co do tego, czy mogłam z księciem Wiśniowieckim wdać się w rozmowę w rzeczy, która mnie obchodzi, zawierzcie mi, że na to pytanie umiałam znaleźć w moim rozsądku odpowiedź.

— Ja także rozumiem, odezwał się Dymitr, obracając mowę do małżonki królewicza Jakóba, że nie mam powodu lękać się czyich bądź oczu, najmniej zaś waszych, Miłościwa Królewiczowo. I owszem, obecność wasza w chwili rozstania z moją nadzieją cieszy mnie poniekąd, bo mi przypomina dobroć, z jakąście mi kiedyś obiecywali lepszą przyszłość.

Tknęła do żywego taka mowa Jadwigę i mimo jej łagodny i otwarty charakter wydobyła z niej następujące, opryskliwe i skrytością tehnące wyrazy:

— Nie rozumiem was, mój panie, ale do jakiegokolwiek nadziei mogłam wam dać powód, teraz winszować powinienam, żeście ją sobie z głowy wybili. Pójdź, siostró, Jej Królewska Mość jest na wyjeździe.

Pokrywając urazę milczącym skłonieniem głowy, oddalił się Dymitr. Teresa zaś, która lepiej od niego nie jedno wydarzenie zgłębiała, i której płodny i stały umysł nakszttał kwitnącego pączka rozwinał się jeszcze w młodocianych, ale tyle znaczących godzinach, rzekła z mocą i godnością:

— Więc idźmy do królowej, miłościwa bratowo. Jestem wam wdzięczna za waszą grzeczność, ale pewna siebie, muszę wynurzyć, że lubom narzeczoną elektora bawarskiego,

nie lękam się niczyjego moich postępków sądu i dla tego proszę was, abyście księcia Wiśniowieckiego za godnego mojej przyjaźni uważali; wszakże może przyjdzie czas, kiedy i wy uznacie go za godnego waszej.

Usunawszy się Dymitr, chodził zamyślony przez niejaką chwilę w powoli wzmagającym się cieniu Bielańskiego lasu. W końcu, zwróciwszy kroki ku klasztorowi, postrzegł stojące przed bramą konie królewskiego orszaku. Cały wysilony, jak zwykle po gwałtownej wewnętrznej walce, dręczony terażniejszością, która obaliła zamiary przeszłości, nie wyjaśniwszy wypadków przyszłości, wszedł do rozległej budowli i udał się po schodach do dawnych pokoi Eleonory rakuskiej, gdzie jeszcze znajdował się Jan III. Mimowolny popęd wiódł go ku monarsze, jakby skutkiem tego rozumienia, że obumarła nadzieja jeszcze może ożyć przed obliczem królewskim. Tu w korytarzu spotkał ojca Votę, zadumanego, ze spuszczoną głową, z założonemi rękami, który ujrawszy go, podwoił krok, uśmiechnął się w sposób pełny znaczenia i szepnął:

— Zapewne dawny nauczyciel Waszej książęcej Mości zasługuje na podziękowanie, gdyż bez niego nie bylibyście kosztowali momentu spotkania, po którym wasz przyjaciel i sługa wiele sobie obiecuje. Po deszczu pogoda, drogi panie, choćby się nie wiem jak chmurzyło, nie wypada się trwożyć.

— Jestem ci wdzięczny, ojczy — odpowiedział Wiśniowiecki, za troskliwość waszą, nastreczyłeś mi chwilę ważną i którą nie wahałbym się nazwać najpiękniejszą w życiu mojem.

— Doprawdy! zawołał uradowany kapłan, czy stało się według życzeń naszych? czyś się porozumiał z królowną?

— Tak, dwuznacznie odpowiedział drugi — porozumiałem się.

— Zastanowił się Vota po tej odpowiedzi, a potem rzekł:

— Ani miejsce, ani czas nie pozwalają nam wdawać się w dłuższą rozmowę, wiele oczu jest na mnie dziś zwróco-

nych, wnet ukaże się król, bo tu — to mówiąc, wskazał na drzwi — zebrali się około niego. Jutro zatrudni mnie mój nadworny urząd przez całe dopołudnie, i aż wieczorem w Marymoncie, dokąd się królestwo Ichmość wybierają, będzie można pogadać i przekonać was, że mnie nie opuściła gorliwość mimo złowrogą postawę, jaką zdają się przybierać stosunki. Będziecież, Mości Księżę, na mnie czekali we wschodnim gabinecie obok sali marymonckiej, w której się dwór ma zgromadzić?

Dawszy znak zezwolenia, opuścił Votę Dymitr i wszedł do przedpokoju, dokąd trafił w tej samej chwili sprowadził Aleksandra Sobieskiego. Ten uściskał rękę przyjaciela, i nie nie powiedziawszy, powrócił do pokoju. Wnet potem ukazał się król w towarzystwie francuskiego posła i barona Simeony. Zachmurzyło się wypogodzone czoło monarchy, gdy ujrzał swego ulubieńca. Znakiem milczącym wezwał go król Jan, aby szedł za nim, a gdy orszak doszedł do przysionka kościoła, król wysławszy go naprzód, sam z księciem Wiśniowieckim udał się na ustęp za jeden z wielkich filarów, gdzie przemówił:

— Boli mnie, Dymitrze, że cię widzę smutnym w dniu, który napęłnia radością mój dwór.

Jakkolwiek wzniosłe postanowienia i zapał do ich stwierdzenia czynami wlała w zboląłą duszę Dymitra chwila z królowną Teresą spędzona, zaświeża jednak była rana jego, aby się nie miała odnowić, gdy usłyszał głos tego, który poniekąd był ją zadał. Na przemowę więc króla skłonił się tylko Dymitr uniżenie i ceremonjalnie, ale nie mógł na nią odpowiedzieć.

— Cóż to? milczysz, Dymitrze, mówił dalej król, chwytając jak zwykle przy każdym przykrem zdarzeniu za błękitną wstęgę orderu Świętego Ducha. Milczysz i nie wynędrzasz się, jak to dawniej czyniłeś, przed królem, który cię swoim kochanym wychowancem nazywał? Wiem, co cię

trapi; otwórz się więc przedemną jak człowiek przed człowiekiem. Taki jest los królów, że nie kosztują czystego szczęścia, skoro im niebo tak jak mnie odmówi serca nieczułego na ludzką dolegliwość, a której, zagnieni koniecznością, sami są mimowolnymi sprawcami. Tobie właśnie, książę Wiśniowiecki, zadano boleść, a ja w uczuciu twojem mam być jej sprawcą. Starość moja i dostojęństwo uwalniają mnie wprawdzie od obowiązku tłumaczenia się młodemu człowiekowi. Tłumaczę się jednak. Żyłeś w nadziei, którą dzień dzisiejszy zniszczył. Nie zaprę, że ja poniekąd podsycałem tę nadzieję. Uznaj jednak przed samym sobą i przedemną rozliczne zawady, na jakie trafiały moje życzenia i twoje zabiegi, zawady tak dalece nieodwrotne, że ani ja, jak rzadko kiedy, tak i w tym razie nie mogłem sobie postąpić tak, jak chciałem, ani ty nie mogłeś działać z pośpiechem. Ciągłe trwał był ten stan rzeczy, a w końcu stało się niepodobieństwem to, co zrazu tylko się trudnem zdawało. Kocham, szanuję cię, Dymitrze, rozumiem więc, że nie odmówisz sprawiedliwości pełnemu chwały księciu, który wstąpił w twe miejsce. Miałbym, pyta cię twój ojciec i król, miałbym życzeniu, które się ziścić nie mogło, czynić ofiarę ze świetnej rzeczywistości? Spójrz na mnie, na blizny moje, na tę osiwiąłą pod ciężarem trudów i kłopotów głowę. Wszystkom uczynił i nawet wycierpiał dla dobra dzieci moich. A teraz miałbym odrzucać nagrodę, którą mi stojącemu nad grobem przekazuje Opatrzność? Starzec przemawia do ciebie, wiesz zaś, że starzy są uparci i nie tak skorzy jak młodzi do czynienia ofiar, bo zresztą, młodym długa przyszłość zaręcza wynagrodzenie ich wysileń. Bądź więc względem mnie pobłażającym, jako mój wychowaniec i domu mego przyjaciel.

Na pełną ognia mowę króla, miotany rozmaitemi uczuciami Dymitr odpowiedział nareszcie.

— Daleki jestem od powątpiewania o prawie, które służy Waszej Królewskiej Mości jako panu i ojcu nad członkami

swojej rodziny, ani mi wolno uwłaczać temu prawu w najmniejszej części. Cokolwiek zaszło i cokolwiek zajdzie, nie uchybię przeciw powinnościom uniżonego sługi i wier-
nego Waszej Królewskiej Mości poddanego.

Tak sucha odpowiedź i etykietałny ukłon księcia Wiśniewieckiego nie bardzo licowały czułem wywnętrzeniem się króla, bohatera i starca. Ze zmarszczonem czołem spojrzał na niego Jan III, z właściwą sobie powagą odwrócił się i zostawił samego.

O małe pół mili od stolicy i w takiej samej od Biełańskiego klasztoru, który opuszczamy, w daleko zaś mniej-
szej od Wisły odległości leżał królewski dom letni, od swej założycielki Marji Kazimiery, Marymontem zwany. Pałacyk stał tuż przy małym lasku na skromnym pagórku. Wewnątrz przestronna sala zajmowała pierwsze piętro a w czterech wieżach, wzniesionych po rogach korpusu, znajdowało się tyleż gabinetów. W okresie, z którym się poczyną powieść obecna, król Jan po zaszłym poróżnieniu między austriackim posłem i margrabią de Béthune przyrzekł pierwszemu w tej sali za przyczyną królowej, że oddali ostatniego od swego dworu; dziś zaś postanowiono tu się znieść z baronem Symeony względem niektórych okoliczności po poprzednim zezwoleniu królewskim na połączenie królewnej Teresy z elektorem bawarskim. W tym celu udały się najjaśniejsze osoby do nielicznego wprawdzie ale wyborowego zgromadzenia, w Marymonckiej sali zebranego, gdzie według ówczesnego, niewątpliwie swobodniejszymi czasom właściwego obyczaju, miano po załatwieniu spraw użyć przyjemnej rozrywki, na rozmowach i biesiadzie polegającej. Zastawiono wysmienitą wieczerzę. Król i gospodarz, szczególnie uradowany, częstował gości z ujmującą godnością, ci zaś lubo w części cudzoziemcy, nie odrzucali sarmackiego kielicha przeplatającego jadło, które francusey kucharze byli sporządzili.

Miedzy gośćmi znajdował się jeden, który bynajmniej nie dzielił radości ogółu: było Dymitr Wiśniowiecki. Samo owo polecenie ojca Voty, o którym wspomnieliśmy wyżej, skłoniło go do przyjęcia uczestnictwa w biesiadzie, której powód nie mógł mu żadną miarą być miły, oprócz tego znosił on utyskiwania i niezasłużone wyrzuty swej matki, które cierpliwem milczeniem zbywał. Królowa raz po raz zwracała na niego swoje uderzające, niechęci pełne spojrzenia. Król zdawał się go całkiem przeoczać i nie przemówił do niego ani słówka, jak to dawniej zwykł był czynić, gdy chciał dać mu poznać szczególną swoją łaskę i przychyłność. Składane oblubienicy elektora bawarskiego powinszowania nie pozwalały jej zbliżyć się do tego, który nie mógł winszować jej szczęścia, nadto Jakób Sobieski rzadko odstępował od solenizantki, której w dniu owym i w następnych musiał przez pewne zobowiązanie towarzyszyć. Później mieć będziemy sposobność mówić o tem zobowiązaniu.

Postrzegał to wszystko Dymitr Wiśniowiecki i dla tego z tem niespokojniejszą niecierpliwością oczekiwał końca uczty i zapowiedzianego przez Votę udzielenia wiadomości. To jedynie zatrzymało go na dworze króla Jana, postanowił bowiem opuścić stolicę tej samej nocy i wyjechać na Wołyń, kędy w zaciszu Zasławskiego pałacu miał bawić, póki by nie dojrzały jego zamysły. Wcześniej tedy usunął się do dawniej wskazanego gabinetu, gdzie sam jeden znajdując się, wkrótce wpadł w tak czarne, bo pomroka niepewnej przyszłości przyćmione marzenia, że odszedł od przytomności, i ani rozmów podczas uczty prowadzonych, ani wzmożonego przy odjeździe gości zgiełku nie słyszał, ani go nareszcie od ciszy, która nastąpiła potem, nie odróżnił.

Już noc była zapadła, kiedy Dymitr ocknął się z zadumania. Zdziwiony, że nie widzi przed sobą ojca Voty, zerwał się, aliści uderza uszy jego odgłos rozmowy, z dotykającej sali pochodzący. W mniemaniu, że w niej zastanie ojca Votę, wychodzi. Tu stały jeszcze zakryte ostatkami

wieczerzy stoły, a srebrne sprzęty i ruchomości domowe, jak zwykle po odjeździe liczego gościa, były rozrzucone. Świece u sufitowych, ściennych i stołowych świeczników, wygasły co do jednej. Tylko więc przy połyskach słabo gorejącej lampy ujrzał Dymitr czterech mężczyzn cichą rozmową zajętych, z których żaden nie wyglądał z ubioru na księdza. Ojciec Vota nie znajdował się między nimi.

Zrazu pomyślił książę Wiśniowiecki, że się znajduje między awanturnikami, którzy mogli byli zakraść się do pałacu dla spożycia resztek uczt królewskiej i oszczędzenia domowym posługaczom trudu w sprzątnieniu i schowaniu złota i srebra stołowego. Zastanowił się, jaką postawę miał przybrać przeciw kilku na oko śmiałym rabusiom, i wnet ściągawszy rękę do pałasza, zapytał tonem rozkazującym o przyczynę ich obecności, gotów według natury odpowiedzi stawić opór ich przemocy i zwołać służących. Aliści przystępuje do niego jeden z czterech i głosem znanym i poufałym woła na niego po imieniu. To zmniejszyło podejrzenie Wiśniowieckiego, tem bardziej, że przemawiający do niego był mu równy rodem i majątkiem, i tem samem nie mógł być podejrzany o łupieskie zamachy, mimo to wynurzył Wiśniowiecki wszystkim swoje zadziwienie nad ich niespodzianem ukazaniem się w sali po odjeździe dworu.

— Nie przyszlismy tu, przemówił ten, który pierwaj po imieniu był zawołał na Wiśniowieckiego, po to, abyśmy zebrali okruszyny ze stołu królestwa Ichmość, albo ostatnie krople wysączyli z kielichów. Zamiar nasz nierównie uczciwszy; i właśnie w ważnej rozmawialiśmy materji, kiedyś do nas przystąpił, kuzynie.

— W tym razie nie będę wam przeszkadzał, rzekł Wiśniowiecki kłaniając się, i życzę wam dobrej nocy.

— Bynajmniej, zawołał tamten, cel naszego zebrania się dotyczy równie a może i więcej księcia Wiśniowieckiego jak nas samych, albowiem miłość ojczyzny i konstytucji nadają mu wagę.

— Mam sobie za zaszczytne, rzekł Wiśniowiecki, takie we mnie wasze zaufanie, i przyjmę je, jeżeli miłość dobra Rzeczypospolitej zrodziła wasze zamysły. W tym razie możecie rachować na moje uczestnictwo.

— Mówisz, Mości Książę tak, jakieśmy sobie obiecywali i życzyli. Lecz nie będę ukrywał przed tobą, że to, o czym się dowiesz, wymaga w swoim rodzaju niejakiego z twej strony bezpieczeństwa?

— Jakiegoż to bezpieczeństwa żądacie odemnie, zapytał z dumą Wiśniowiecki. Czyż słowo moje nie będzie dla was dostateczną z mej strony rękojmią?

— Właśnie słowa tylko żądamy od ciebie, odpowiedział drugi. Słowa szlacheckiego, że ni napomknieniem, ni jakim bądź sposobem nie wydasz nazwisk naszych, ani nikomu nie wyjawisz przedsięwzięcia naszego, nawet w przypadku, gdybyś się nie pisał na nie, ani nareszcie żadnej tamy kłaść nie będziesz przysposobieniom, jakich ono wymaga. Wybacz tej ostrożności, którą zresztą my sami uważamy za zbyteczną tem bardziej, że mamy więcej niż jeden powód spodziewać się, że na nasz układ przystaniesz.

— Nie zawiedziecie się — rzekł Dymitr — skoro, jak powiadacie, wasze przedsięwzięcie ma na celu dobro Rzeczypospolitej, ślubuję więc wam moje milczenie, skoro wiedzieć będę, o co wam idzie.

— Nie troszcz się — zapewnił drugi z uśmiechem. — Honor twój równie jak korzyści twoje, zaręczam, każą ci być najgorliwszym między nami. Wszakże pomyślnie powodzenie czynu, a mianowicie radość z powetowania obrazy, na ciebie samego spłynie.

Uroczyście zobowiązał się Dymitr, że nazwisk współników i ich zamiaru nikomu nie wyda, ani żadnej tamy ostatniemu kłaść nie będzie, oświadczył zaś, że nie pierwszej przystąpi do spółki, aż gdy mu jej cel będzie wiadomy.

Skutkiem takiego aktu i przyrzeczenia tajemnicy nie możemy wymienić czytelnikowi ani owych nieznanomych, ani

treści rozmowy, która następnie wszystkich zajęła. Dość na tem, że ta po jakimś czasie ożywiła się, że z jednej strony natarczywe przełożenia, z drugiej niektóre zarzuty czyniono, aż nareszcie stopniowo do zgody doprowadzono. Już dniało, kiedy się rozeszli, a przy pożegnaniu ów, który między czterema zdawał się rej prowadzić, w tych słowach przemówił do Dymitra:

— Nie zapomnijże, kuzynie, coś przyrzekł, a razem o miejscu i czasie, w którym się zejść mamy.

— Nie zapomnę — rzekł dobitnie Dymitr — dotrzymam wszystkiego, skoro sami wytrwacie w raz przedsięwziętym zamiarze.

Gdy Dymitr był na wyjściu, przystąpił do niego burgrabia pałacu z oznajmieniem, że jedynie zakaz Jaśnie Oświeconych i Jaśnie Wielmożnych Panów wpuszczania do sali kogobadź podczas ich bytności, nie dozwolił mu wywiązać się z danego mu przez ojca Votę polecenia, który swoje nieobecność składał na bardzo pilne nieprzewidziane swe zatrudnienia. Z pośępnym i dwuznacznym uśmiechem przyjął Dymitr to oznajmienie, i potem, dopadłszy swego wierzcho-wca, ruszył do Warszawy, skąd tej samej nocy przed wschodem słońca wyjechał, kiedy ta stolica ciekawie i niecierpliwie wyglądała obchodu zaślubin królowej polskiej, od czasów Anny Jagiellonki niewidzianego w Warszawie.

Rozdział 2.

Już na początku miesiąca sierpnia roku 1694 zjechali się do Warszawy z bliskich i dalekich okolic królestwa dygnitarze i magnaci z żonami i córkami, z których pierwsze klejnotami i przepychem, drugie pięknoscią i polorem jaśnieć miały. Liczba dworzan i służby odpowiadała okazałej dumie pańskiej.

Naoczni świadkowie zapewniają, że jak ludzka pamięć mogła zasięgnąć, nie widziano w stolicy polskiej, jakkolwiek z dawna odznaczającej się zbytkiem i przesadą, nic równie wielkiego. Wśród nieustających festynów oczekiwano piętnastego sierpnia, dnia wyznaczonego na obchód zaślubin królewnej. Gdy nadszedł ten dzień, widziano już od rana wyruszające z Ujazdowa liczne, płótnem osłonięte karoce, za którymi jechał w prostym myśliwskim wozie najstarszy z synów królewskich, w innym zaś Aleksander z Konstantym, młodszy bracia pierwszego. Skoro słońce weszło, odezwały się, co ćwierć godziny przez chwilę spoczywając, dzwony Świętojańskiego kościoła. Wewnątrz tej świątyni, do dawniejszych jej ozdób dodano dywany, krzesła i węzłowia makatem okryte; owymi zaś dawniejszemi ozdobami były w przeszłych i późniejszych czasach zdobyte chorągwie i zbroje nieprzyjacielskie, a mianowicie buńczuki, rohatyny i pałasze, nade wszystko zaś wielka chorągiew Osmanów, ten zabytek oswo-

bodzonego ofiarą krwi polskiej Wiednia, tu między pamiątkami sławy narodowej przez Jana III. złożona. Pozatykane w mnogich z drogiego metalu świecznikach gorzały jarzące świece, odbijając jaskrawe połyski o klejnoty świętego przybytku, o złoty obraz wielkiego ołtarza, o złote i srebrne wota bocznych ołtarzów, o ich ramy i słupy, o spiżowe popiersia znakomitych ludzi, których groby stopa dziś żyjących depce. Przed przysionkiem i na drodze od kościoła do zamku wiodącej wielu ludzi było zatrudnionych wysłaniem nierównego bruku suknem pasowem, a domy okoliczne były przystrojone fałdzistemi suknami i różnobarwnemi późnego lata kwiatami. Nawet w mieszkaniu królewskim panowało nadzwyczajne poruszenie: okna sal były pootwierane, a rzesza ciekawego ludu stojącego na ulicach dziwiła się urozmaiconemu bogactwu ścian wewnętrznych, sprzętów i wielu innych kosztownych rzeczy i odgadnąć ich przeznaczenie usiłowała. Kobiety w pokojach najwięcej się krzątały, bo te, jak po prywatnych domach, tak po pałacach królów, grają główną rolę podczas uroczystości starych i młodych ożywiającej, która dla tego najwłaściwsze nosi nazwisko wesela. Co do męskiej służby, ta biegła tu i owdzie pod rozkazami marszałka dworu, starego Zarzyckiego, kiedy urzędnicy Korony i Litwy, tudzież dworscy, przyodziani w znamiona swego dostojęstwa, powolnym krokiem i z napuszoną miną postępowali do wielkiej sali zgromadzenia, gdzie mieli czekać na moment rozpoczęcia uroczystości, a z nią roli, jaka z urzędu na każdego przypadła.

Wbrew przyjętemu przez siebie zwyczajowi, przepędziła Marja Kazimiera przy gotowni znaczną część przedpołudnia, na ten raz zakazawszy sobie w ubiorze skromności, w czem naśladowała panię de Maintenon i postanowiwszy wystąpić w całym blasku królowej. Mimo to jej czynny umysł nie mógł się zająć całym tem czezem zatrudnieniem. Nie tyle o własne, ile o przyszłą elektorową ubranie troskliwa, raz po raz posyłała do jej pokoju po świeże nowiny i raz po raz

donosiły jej garderobiane, że miłościwa królowna jest dziś piękna jak anioł i w tak dobrym humorze, w jakim być może Najjaśniejsza panna młoda w dniu swego wesela. Ujrzała się nakoniec królowa w uroczystym stroju i właśnie, kiedy rozpoznawała w zwierciadle, co jej czas wydarł a co pozostawił, otworzyły się dwuskrzydłowe drzwi i wszedł z dwornym orszakiem Hieronim książę Lubomirski i uniżenie oznajmił, że Najjaśniejsza panna młoda czeka, żeby ręka jej Najjaśniejszej matki raczyła w jej włosy wpleść wieniec mirtowy.

Z radosną skwapliwością pochwyciła Marja Kazimiera to godło panieństwa, patrzyła na nie przez chwilę, jakby przywołując przeszłość, potem opisała nad niem w powietrzu jakąś figurę, którą Maltańczyk wziął za podobną do elektor-skiej mitry, następnie zwróciła wieniec jednemu z podkomorzich, nakoniec dotknęła podaną sobie rękę marszałka dworu, który, jak wszyscy urzędnicy koronni, tylko przy nadzwyczajnych wydarzeniach, obyczajem angielskiej i hiszpańskiej dworskiej etykietie wspólnym, obowiązki swej godności osobiście sprawował. Do jego funkcji należał szczególnie szafunek sprawiedliwości na zamku, jako zastępcy marszałka wielkiego, w którego niebytności piastował władzę najwyższego sędziego.

Udała się potem królowa do pokoju oblubienicy elektora, która matkę u drzwi przyjęła, mając na sobie strój uroczysty i będąc tak mocno ubarwiczkowana, że jej cera żadnego wrażenia zdradzić nie mogła. Po pierwszym przywitaniu zajęła Marja Kazimiera krzesło, królowna zaś, mając obok siebie swoją ochmistrzynię, hrabinę Wessel i dwie inne damy, siadła na podstawionym taburecie tak ostrożnie, jak tego powaga damy i tegość jej szaty wymagały. Następnie królowa wplotła różczkę mirtową między klejnoty ubioru głowy królowej, i patrząc okiem uradowania na uwieńczoną córkę, tonem do okoliczności stósownym rzekła:

— Najchętniej oddaję ci, córko moja, tę ostatnią, dla mnie najmiłą przysługę, bo mam się za szczęśliwą, że cię

jako oblubienicę znakomitego księcia Maksymiljana Bawarskiego powitać mogę.

Królowna schyliwszy głowę odpowiedziała:

— Składam ci dzięki, Najjaśniejsza Królowo i matko moja, za wszelkie dobrodziejstwa, któreś na mnie z rodzicielskiej twojej miłości od mego dzieciństwa zlewała. Zostanę nadal posłuszną córką Waszej Królewskiej Mości.

Jakkolwiek układnie i uniżenie były powiedziane te słowa, przecież ten i postawa królowej sprawiła w służbie, dawniejszych rzeczy świadomej, niejakię zadziwienie, we wszystkich zaś obecnych to podejrzenie, że przyszła elektorowa, lubo się na to dotąd nie zanosilo, nie zupełnie będzie wolna od dumy, o którą jej dom obwiniano.

Tymczasem odezwaly się dzwony na wieży Świętojańskiego kościoła, a po nich trzydzieści jeden wystrzałów z dział. Owe galowe karece, które porankiem były wyruszyły z Ujazdowa, teraz z płóciennych osłon oswobodzone, zbytowym przepychem jaśniejące, nadjeżdżały do zamku w sposobie tryumfu. Powracał z nimi królewicz Jakób z Oltarzewa, skąd odprawił uroczysty wjazd do stolicy, jako reprezentujący z woli ojca elektora bawarskiego i oblubienca Teresy Sobieskiej. Towarzyszyli mu bracia jego, równie jak on złotem runem ozdobieni, nadto orderem Świętego Ducha, który im niedawno Ludwik XIV. na przekor stronnictwu austriackiemu był przysłał.

W pokojach, w których oboje królestwo Ichmość i panna młoda czekali, nastąpił krótki akt przyjęcia przybyłych królewiczów, poczem otworzono drzwi, dozwalając wstępu zebranemu dworowi i nakoniec wyruszono do kościoła.

Po wysłanej suknię drodze rozpoczynała tryumfalny pochód służba i urzędnicy dworu. Niżsi szli przed wyższymi, a koniec zajmowali wielcy marszałkowie, za którymi szła panna młoda, prowadzona przez braci, nie pięknością wprowadzie ani wzrostem, ale przyjemnością twarzy zachwycająca. Ogon jej sukni z białej materji, srebrnemi kwiatami prze-

tykanej, niosła ochmistrzyni z dwiema damami. Nad zesznutowanym gorsetem tej sukni, pod piersią koronkami i djamentami zakrytą, był spięty płaszczyk z pasowego aksamitu, lekko gronostajami oblamowany, a mała zamknięta korona, rubinami wysadzana, wieńczyła jej głowę, jako znak połączonej z królewską godności elektorskiej. Królewicz Jakób, wyobrażający pana młodego, miał na sobie francuskie dworskie jasno-błękitne ubranie z krótkimi rękawami, z haftami srebrnymi: na jego szpadzie, pętlicach, sprzączkach i złotem runie błyszczały djamenty. Wielka czarna peruka nie osobliwie upiękniła blado-żółtą jego twarzy cerę, postrzegano jednak na niej takie wypogodzenie, a w całym jego zachowaniu takie uradowanie, że niektórzy z widzów dali się słyszeć, iż Najjaśniejsi Państwo młodzi dziś zamienili między sobą swoje usposobienia.

Szła potem królowa w fioletowej aksamitnej sukni, której ogon czterech pokojowców unosiło: jej płaszczyk był ze złotych hiszpańskich koronek, a do jej ciemnych włosów była przypięta mała djamentowa otwarta korona. Obok niej szedł Polignac, poseł francuski, przesyłając do uszu monarchini słodkie słówka, które z równie słodkim uśmiechem były przyjmowane.

Za królową szła królewiczowa polska w towarzystwie swoich szwagrów Aleksandra i Konstantego Sobieskich, z których pierwszy zadumany milczał, drugi, wesoły i żywy, usiłował rozpędzić niewinnemi żarcikami surowość swojej bratowej. Na ostatku szedł król, jak zawsze tak i teraz w narodowym stroju, z pełną godności i majestatu powagą. Przechodząc wysokością wzrostu swego członków swojej królewskiej rodziny, Jan III. mógł widzialnemi poruszeniami ręki lub głowy dziękować za radośne okrzyki, któremi go witał tłumnie otaczający lud. Wielu z widzów, zawiedzeni pozorem jego ubrania i tuszy, cieszyli się z polepszenia zdrowia królewskiego, ale dworzanie i wojskowi tuż za nim idący widzieli dobrze, z jakim wysileniem Jan III. stawiał nogi, i

że tylko wymuszony rumieniec zastąpił na chwilę cerę ową męską, jaka przed kilku laty kwitła na jego policzkach. Wówczas to, oglądając się na przyszłość, baczyli oni, że wnet może się przyćmić ten blask dostojnych, dziś w całej okazałości swego znaczenia na akt weselny występujących osób.

U drzwi farnego kościoła przyjął stadło nowożeńców biskup przemyski, a razem kanclerz wielki, kardynał Denhof, i poprowadził ich do kardynała prymasa Radziejowskiego, który na nich czekał u stóp wielkiego ołtarza. Przystąpił do prymasa królówicz Jakób z hrabią Terringem i baronem Simeony, po nim zaś Teresa Kunegunda z królewiczową polską, z księżną Czartoryską, wojewodziną wołyńską, i z kilkoma druchniami. Prymas dał ślub państwu młodemu.

Wśród odgłosu dzwonów stolicy i stu jeden wystrzałów z dział powrócił poczet do zamku, gdzie nastąpiła nowa ówczesnym obyczajem dworowi polskiemu właściwa uroczystość.

W rozległej i wysokiej sali zamkowej, później koncertową nazwanej, rozłożono na kilku stołach wyprawę królewnej Teresy. Widzieć tam można było niezliczone stroje, drogie i rzadkie klejnoty, na najprzedniejszym zaś miejscu szkatułkę czerwonym aksamitem obleczoną, 50.000 talarów holenderskich zawierającą, kwotę na ówczesną wartość pieniędzy ogromną. W pobliżu szkatułki wisiał przepyszny węgierski ubiór, przez króla polskiego swemu najdostojniejszemu zięciowi ofiarowany, pasowego koloru ze złotymi potrzebami i pętlcami. Dolman więcej uderzał bogatemi ozdobami niż kolorem: jego wyłogi były sobolowe, a kutasy i sznurki djamentowe. Rapcie do szabli od złota i pereł, sam pałasz oprawiony w złoto, djamentami i drogiemi kamieniami wysadzone. Całe ubranie było ocenione na 30.000 ówczesnych dukatów.

Na wyniosłych siedzeniach zajęła miejsce rodzina królewska, najcelniejsze zaś elektorowa bawarska. Sale i pobo-

czne pokoje tak były przepelnione gośćmi, że w opisanu swoim tej uroczystości Bernard O'Connor, który znał dwór Karola II., angielskiego, i Ludwika XIV., francuskiego króla, wyznaje, iż nigdzie tak bogatego zbioru klejnotów nie widział, i ten skarb nadzwyczajny, w jedno zgromadzony miejsce, nieledwie zalicza do zaczarowanych zamków ówczesnego, w przypowieści czarnoksiężskie płodnego wieku.

Dostojni goście, składając powinszowanie elektorowej, sadzili się według stanu i godności na upominki. Ofiarowane tym sposobem złote puchary i półmiski, dregiem kamieniami wysadzone, zegarki, naszyjniki i naramienniki przyczyniły ciężaru bogatej wyprawie i powiększyły jej wartość o przeszło 100.000 talarów, sam zaś poseł hospodara wołoskiego ofiarował parę djamentowych kółczyków, które drugie tyle były szacowane.

Taki zwyczaj nie tylko przy weselu królewien lecz i przy wydawaniu panien z domów znakomitszych zachowywał się w Polsce tak dalece, iż dziewice więcej na podarunkach krewnych i przyjaciół, niż na posagu rodzicielskim zakładały.

W ciągu uroczystości, postrzegala Marja Kazimiera zachowanie się elektorowej z ową cichą uwagą, która, pomimo uboczne zatrudnienie i pozorne roztargnienie, nie traci z oczu swego przedmiotu. Szło jej mianowicie o to, aby Teresa Kunegunda skutkiem dawniejszego stanu serca swego nie dała podejrzliwym powodu do posądzenia siebie o zaprzętanie myśli przeszłością, którąśmy poznali, a której obecni byli świadomi, mianowicie zaś hrabia de Thun, poseł austrijacki, ze swymi stronnikami, że już zamilczę o opacie Révérend i o jego Lombardskiej współbraci. Niezwyczajny, pełen wymuszenia i uroczysty ton córki zdawał się nabawiać kłopotu matkę królową: ale powoli ukoila monarchini swe przykre uczucie tą najwięcej uwagą, że wielka odległość i połączenie się węzłem małżeństwa i rozlicznych stosunków ze znakomitym księciem, zaglądzą w niej wspomnienia, które tu lada okoliczność bardzo niewczesnie mogłaby wznowić.

Krzywdziłby Marję Kazimierę, ktoby jej odmawiał przymiotów macierzyńskiej troskliwości. Kochała ona swoje dzieci, a nawet królewicza Jakóba, nim jego uchybienia jako syna zakrwawiły jej serce, trudnem do wykorzenia napelnivszy je żalem. Ale uprzejma i uległa Teresa była jej zawsze miłą. Z całego serca życzyła jej takiego szczęścia, jakie własny wybór nadaje. Niepłonne powody usprawiedliwiały bacność matki na zachowanie się córki. Elektorowa została wierną raz przyjętemu sposobowi myślenia, który swojej bratowej była wynurzyła w Bielanach. Grzeczna dla wszystkich, z którymi przestawała, zdawała się puszczać w niepamięć nadzieje przeszłości i myśleć tylko o ich powetowaniu przez korzyści już doszłego wysokiego przeznaczenia, któremu postanowiła cała się poświęcić. Krótko mówiąc, kiedy obecni z zadziwieniem, matka z upodobaniem postrzegła w niej książęcą dumną powagę, która później, mimo rozliczne cnoty, przeszła w naturę małżonki Maksymiljana Emanuela.

Raz tylko dostrzegła królowa, jakoby nowy sposób ustąpił miejsca dawnemu, kiedy na księżnę Lubomirską przyszła kolej złożenia elektorowej upominku. Rumieniec elektorowej, który nie tyle na uróżowane policzki, ile na jej szyję i obnażone ramiona wystąpił, nie mógł się ukryć przed bystrem okiem królowej. Już niby ciekawością uniesiona, zrobiła ona krok ku dwom damom, gdy wtem Teresa Kunegunda, przemówiwszy kilka słów i skłoniwszy się z powagą, zwróciła ofiarowany sobie upominek.

— Miłościwa elektorowo! — rzekła Teofila Lubomirska z Zaslawia do władczyni bawarskiej, podając jej piękny w kształcie serca wyrobiony rubin, racz i ten, jakkolwiek drobny podarek łaskawie przyjąć. Jest on wprawdzie niedoskonały, jak to wasze bystre oko zapewne dostrzeże, sędzę jednak, że dla tego tem bardziej zasłuży na miejsce między pamiątkami, które ze swej dawnej ojczyzny na łono nowej wieziesz.

Zrazu, jak wszystkie poprzednie dary, tak i ten przyjęła elektorowa z wdzięcznym uśmiechem i schyleniem głowy, ale ostatnie słowa spowodowały ją do bliższego przyjęcia się ofercie i w tym to momencie szkarłat naturalny wziął górę nad sztucznym. Wpatrując się elektorowa w podany sobie klejnot, dostrzegła w nim głęboką podłużną rozpadlinę, przez którą ręka artysty umiała całości nadać podobieństwo ułamku. To zjawisko i jego znaczenie nie mogło jej nie wzruszyć: ono zapewne wycisnęło z jej oczu łzę, którą nagłem podniesieniem głowy przytłumiła i wnet, przyszedłszy do siebie, rzekła:

— Prawda, że dostrzegam niedoskonałości, o jakiej, Mościa Księżno, nadmieniacie, i dla tego prosić was muszę, abyście mnie od przyjęcia daru takiego uwolnić raczyli: nie chciałabym albowiem wywozić z dawnej mojej ojczyzny do nowej połamane klejnoty lub połamane serca. Gdy pierwsze jubiler, gdy drugie głos obowiązku uleczy, wówczas będą mi one pożądane, jako dowody stałej czci i przychylności.

Cztery dni zeszły na ucztach, balach i sztucznych ogniach. Odegrano operę pasterską w języku włoskim, napisaną przez sekretarza monsignora de Santa Croce, nuncjusza papieskiego na polskim dworze. Takie obchody przeciągnęły się aż do odjazdu elektorowej, który przypadł na dzień 11go listopada. Księżna Czartoryska, owdowiała wojewodzina wołyńska, i Załuski, biskup płocki, byli wyznaczeni do towarzyszenia w podróży małżonce elektora bawarskiego. Nim wsiadła do powozu, z boleścią żegnała rodzinę.

— Bądźcie zdrowi — rzekła do braci — już odtąd o was, na których tak długo patrzyłam, tylko słyszeć będę a słyszeć z daleka. Oby wiadomość o was zawsze była radośna dla kochającej was siostry: oby pamięć na Teresę Sobieską wiecznym was węzłem miłości braterskiej łączyła. Bracie mój Jakobie! tyś z nas najstarszy: może wkrótce — te słowa wymawiając, zalała się łzami — może wkrótce zostaniesz głową ojcowskiego domu: chciej więc, prosi cię siostra twoja,

być więcej niż bratem, chciej być opiekunem Aleksandra i Konstantego, braci naszych.

— Cokolwiek wypadnie — odpowiedział Jakób — bardzo mało będę mógł uczynić na prośbę, którą do mnie, miłościwa elektorowo i namiestnikowo niderlandzka, zanosisz. Gdy wzruszenie, jakiego, siostró kochana, doznajesz, żegnając miejsce rodzinne, ukoją rozliczne czekające cię okoliczności życia, wówczas sama najlepiej osądzisz, o ile będę zdolny uczynić zadosyć żądanom, któreś wynurzyła w tej chwili. Wszakże nie powątpiewaj, proszę, że chęć moja spełnienia ich zawsze zarówno będzie gorąca.

Spuściła zrazu oczy elektorowa, a wzniosłszy je potem ku niebu, ujęła braci za ręce i rzekła:

— Przynajmniej nie wątpię, że mnie i siebie kochać będziecie, że nie zapomnicie, iż macie siostrę w Brukselli i że jej dom będzie dla was zawsze otwarty.

— O tem wkrótce cię przekonamy, miłościwa siostró — odezwał się królewicz Konstanty — właśnie dziś rano oświadczyła nam królowa, że nie jest przeciwna naszej podróży do Francji, na którą poprzednio król ojciec zezwolić raczył. W powrocie tedy nie omieszkamy wstąpić do pani elektorowej i prosić ją, aby nas, jako błędnych rycerzy, w dom swój przyjąć i podejmować raczyła.

— Ja i na inny czas zamawiam sobie — rzekł Aleksander — Waszę, Miłościwa Elektorowo, nam oświadczoną gościnność. Losy ludzkie są niestateczne. Czują tę prawdę najlepiej synowie króla polskiego. Zresztą nie masz człowieka, jakkolwiek ustalonego w swoim położeniu, aby mógł powiedzieć, że nigdy nie będzie potrzebował ludzkiego schronienia. Oby — mówił dalej, jakby smutnem przeczuciem miotany — nigdy cię, siostró, nie dotknął powszechny los zmienności: oby dom, do którego odjeżdżasz, ugruntowany na odwiecznem prawie, dom, którego drzwi twoja siostrzana miłość z wyrazem jakiejś wagi dla nas otworem zostawia, nigdy przez burze losu nie był wstrząśnięty. Oby, gdy nasz

dom zachwieje się w swych wątłych fundamentach, a jego mieszkańcy ustąpią z jego rozwalin, oby, mówię, miejsce schronienia u ciebie stało niewzruszone, a oni ciebie w niem zastali jako szczęśliwą panię, małżonkę i matkę.

— Istotnie — rzekła z rozczuleniem elektorowa — nie można przed wieczorem głosić pogody, jakkolwiek byłby jasnym poranek. Któż wie co i mnie przyszłość przyniesie? Zresztą ja nie o siebie, ale o was się troszczę: trwogę moje wzmogły wyrazy najstarszego brata naszego, twoje zaś Aleksandrze są zdolne zmienić ją w rozpacz. Co do mnie, jako księżnej, losy moje są w ręku Najwyższego: jako małżonki będą niejako w moim ręku, dopóki z mojej własnej winy zawichrzono nie będą.

Królewicz Aleksander, ścisnąwszy rękę siostry, odpowiedział w tych słowach:

— Jestem o tem przekonany, wiedząc jak pięknie pojęłaś sztukę zwyciężenia samej siebie, tę zasadniczą umiejętność życia i konieczną wtenczas nawet, kiedy fortuna najszczerzej się do nas uśmiecha. Próbę, którą Opatrzność zesłała na ciebie, wytrzymałaś z podwójną sławą, jeżeli uległszy konieczności, nie mogłaś stać się głuchą na wołający głos natchnienia.

— Prawda, że nie mogłam — powiedziała Teresa — i przyznam ci się, bracie, że głos, o którym wspominasz, zadał mi najbolekliwsze w ostatnim momencie cierpienia. Kiedy wszyscy moi dawni znajomi lub uczestnicy mojej młodości przemawiali do mnie głosem pożegnania, kiedy wszystko, co mi jest drogiem otoczyło mnie w dniu ostatniem mego tu pobytu; jeden tylko nie pokazał się między nimi. Znasz go, bracie Aleksandrze: powiedz mi tedy, co go mogło wstrzymać od pożegnania się ze swą przyjaciółką? Mówią, że znikł: ale nikt nie wie, dokąd się udał. Czy nie wiesz, Aleksandrze?...

— Nie wiem, Miłościwa siostro, bo się i ze mną nie pożegnał — odpowiedział Aleksander. — Jedni mówią, że wy-

jechał na Wołyń, inni że do Wielkopolski, do Drohima, swego starostwa, które dostało się mu po ojcu: ale ja temu nie wierzę. Król mi wspominał o nim, że zawarł związek jakiś z malkontentami w Litwie i Koronie, a gdym się ujmował za swym przyjacielem, przydał z gniewem, że wie o tem z pewnego źródła. Mimo to, nie mogę nic złego przypuścić o Dymitrze, bo znam go tak dobrze jak siebie samego, a mianowicie jego charakter.

— Trwaj w tem mniemaniu — rzekła Teresa — ja dzielę je z tobą.

Jeszcze coś więcej chciała powiedzieć, gdy wtem król z królową i z królewiczową Jadwigą ukazał się we drzwiach. Królowa chciała zrazu nadać scenie rozstania pozór dworskiej formalności i odegrać ją z niejaką powagą, ale mocne wzruszenie wnet potargało pęta wymuszenia, którego i Jan III. ani na chwilę zniesć nie mógł. Rozrzewniona córka, wyrwawszy się z objęć rozczulonego ojca, padła na skropione łzami łono matki. Z jedną tylko bratową było zimne pożegnanie. Wszakże Teresa, jakkolwiek łatwa do darowania uraz, nie mogła zapomnieć, jak obłudnie i dwuznacznie wychodziła z nią Jadwiga. Jan III. żegnając córkę:

— Idź więc, moje dziecko — przemówił — dokąd cię powołują świetne losy twoje. Towarzyszyć ci będą nasze błogosławieństwa, nasze najlepsze życzenia.

Obecni rozrzewnili się czułością sceny, nie wyłączając tych nawet, których śnieżny włos odznaczał. Elektorowa zalała się łzami, ucałowała ręce ojca a następnie matki i uściśkała wszystkich, nie pomijając małżonki Jakóba, bo w owej chwili tylko z dobrej strony widziała wszystkich. W końcu rzuciła się do nóg ojcowskich, a król starzec, położywszy prawicę na jej głowie, ponowił rodzicielskie błogosławieństwo, które zakończył:

— Powstań, Miłościwa elektorowo, i zdążaj szczęśliwie, dokąd cię wzywa twoje przeznaczenie.

Rozdział 3.

W ostatnich dniach listopada, do małej ale dość porządnej gospody, blisko traktu, który z Wielkopolski prowadzi do brandeburskiego miasta Frankfurtu nad Odrą, zjechali się w znacznej liczbie ludzie. Lubo ta gospoda z dobrze zabudowaną, w niewielkiej odległości leżącą wioską, jeszcze do krajów Rzeczypospolitej polskiej należała, jednak między zgromadzonymi w niej kilku tylko było w ubiorze narodowym, a polszczyzna, którą oni lub domownicy mówili, była zepsuta, daleko zaś więcej popisywano się niemczyzną, nie wiele lepszą od tamtej. Izba gościnna znacznie się różniła od izb karczemnych południowej i wschodniej Polski. Spoczywająca na tęgich belkach powała i po większej części gołe ściany były rażącej białości wapnem obciagnięte. Okna były wysokie, a przez ich dosyć przeźroczyste szyby można było wyraźnie widzieć padającą kurzawę śnieżną; stoły, ławy i podłoga były czysto wyszurowane. Na wierzchu szaf leżały kształtnie ustawione dynie, i pod szklannymi dzwonami czerwone, zimowe jabłka. Krótko mówiąc, wszystko tu nosiło piętno doskonałej, nieco przesadzonej, prawie purytańskiej czystości. Po ścianach nie wisały obrazy świętych, ani nigdzie nie stał drewniany krucyfiks: w alkierzu zaś sterczały po pułap piernatami i pierzynami zapchane, prześcieradłami kratkowemi okryte łoża. Nie było to przecież mieszkanie

żydowskie, jak z powierzchowności można było wnosić: bo jeżeli w niem oko nie dojrzało nabożnych obrazów, to za to były wizerunki, na miedzi lub drzewie ryte Marcina Lutra, Melanchtona, Oikolampadiusa i Buggenhagena w ubiorach ówczesnych, i uczonego Gotfryda Cellaviusa w ogromnej peruce, częścią przylepione do ścian, częścią oprawione w czarne ramy i zawieszone. Na gotowalni leżały, nie książeczki od nabożeństwa rzymsko-katolickiego, ale poważne ćwierćarkuszowe volumina, a napis na ich ciemnej skórzanej oprawie wybity oznajmiał, iż to był Ogródek Rajski Arendta, podróż do nieba Boniana, skarbnica Bugackiego, potężna Postilla domowa i jeszcze potężniejsza domowa Biblia.

Przy ognisku zastawionem garnkami i tyglami z warzącem się lub duszonym mięsiwem, choć to było w dniu piątkowym, kręciły się duże, trochę niezgrabne dziewczki, surowo i lekliwie spoglądające na około i za każdym nieco poufalaszem przystąpieniem gościa, kulakami częstujące. W pośród nich wiodła rej gospodyni, niska ale spasa kobieta, średniego wieku, w ciemnym zimowym tołubie, w obcisłym na oczy spadającym niemieckim czepcu. Jakkolwiek rządy tej Imości były sprężyste, nie jednym jednak taktem były wykonywane rozkazy różnorodnych gości. Ile bowiem razy zawołano po niemiecku i w tonie przymilenia, trochę śpiewnym, trochę nosowym, wówczas jej twarz, jaskrawszemi od górującego ogniska oblana płomieniami, stroiła pełne wdzięków marszczki, i wołający był pewny, że niezwłocznie będzie usłużony; jeżeli zaś żądanie było powiedziane po polsku a do tego czystym dyalektem, wówczas całą odpowiedzia było opryskliwe: zaraz, niekiedy wzmocnione strzelistym wspomnieniem z owych duchownych źródeł zaczerpniętem. Jeżeli, jak to często bywało, wymknęło się zniecierpliwionemu żołnierskie zaklęcie, naówczas rozłoszczona baba, wzniosłszy oczy, już gniewem już nabożeństwem rozgorzała, do wizerunku patryarchy wyznania swojego, wymrukiwała pod nosem jakieś ucinki to o o papieżu, to o sultanie tureckim, to o antychryście. Szcze-

gólne względy, które okazywała swemu faworytowi, z kilku innymi gośćmi za stołem siedzącemu, mówiły do przekonania, że okragła wdowa nie szła za pożądlivością oczu, bo o te, sądząc z powierzchowności faworyta, niktby jej nie mógł posądzić. Tym faworytem był wysmukły Jegomość, którego ostry nos i takież podbródek, tudzież poorane policzki mało zyskiwały przez wielki kapelusz i przez kielś żółtą kozibrodę a dziś tak wytartą perukę, że miejscami przegłałała plecionka. Równie niepokiesnie okrywała jego nieforemną, kościstą budowę krótka niemiecko-pruska kurtka z obwisłemi rękawami i połami, na której niegdys czarnem tle mieniły się wszystkie kolory tęczy, z tą małą różnicą, że nie były czyste i jasne. Zewnetrznemu jego ubraniu odpowiadały obciste spodnie i z czarnej wełny pończochy, które zakończyły jego strój, albo raczej z powodu gestych dziur czyniły go niedokończonym. Skwapliwość, z jaką Imość pani Regina częstowała, czem mogła, najlepszem tego znakomitego meża, najwymowniej świadczyła jej o bezinteresowności. Ile bowiem razy zażądał czegoś rzeczony mąż, nikt z gości nie widział go płacącego za to, co mógł zjeść lub wypić. Widać także było, że on nad cześcią tu zgromadzonych gości utrzymywał jakąś powagę. Wszysey, którzy swoje żądania w niemieckim języku do pani gospodyni ślali a których ubiór trzymał środek między brandeburskim i polskim włościańskim, wszyscy, mówię, pożywając w milczeniu dar boży, w jego usta, gdy rozprawiał, mieli wlepione oczy. Ich westchnienia zawsze towarzyszyły westchnieniom, które wydawał, kiedy kwiecistą wymową prawil o prześladowaniu czystej Ewanielickiej nauki, błakającą się Sunamiką przez niego nazywanej, jakiego od czcicieli Baala doznawać musiała. Wówczas to niejeden spory kęs musiał się zatrzymywać przed szeroką rozdziawioną gębą słuchaczy. zwłaszcza, gdy nasz mówca wyliczał utrapienia, które po dalekich wędrówkach ściagały go, jako prawdziwej wiary

sługę i wyznawcę, a które on malował kolorami daleko żywszemi od kolorów jego sukni.

Ostrzegamy, że ta rozmowa toczyła się przy osobnym stoliku i bez hałasu, oprócz tego nasz mówca zwracał raz po raz trwożliwe i niespokojne spojrzenia na odleglejszą część towarzystwa, która odłączona od niego i w samej sobie skupiona, obsiadła dwa inne, dobrze wyszorowane, miska i kieliszki zastawione stoly. Oddział ten nie szezędził wołań i rozkazów i przy swej hataśliwej biesiadzie zdawał się lekceważyć miłość porządku, tę pauzującą pani gospodyni cnotę.

Obok naszego mówcy, którego z powierzchowności i roli można było wziąć za bakalarza lub dawnego kandydata Teologii, siedziało kilku ludzi, którzy zasilali się kapustą, kluskami, wódką i piwem, szerokimi plaszczami okryci, jedynie spożyciem postnego jadła zajęci i mało zważając na to, a się około nich działo. Ten, który między nimi miał najwięcej powagi, dopełnił, nim się zabrał do jeżenia, wszystkich obrządków katolickiego kościoła a to z wielką żarliwością i uroczystością. Słuchał on z zupełną obojętnością niemieckich kazań faworyta gospodyni, bo zapewne nie rozumiał niemieckiego języka, i nie odezwał się, kiedy tamten ze swą dobrodziejką jednomyślnie i jednogłośnie porównał namiestnika Chrystusowego z tajemniczym wrogiem kościoła. Szcześnie, mówię, albo nie dosłyszał albo nie zrozumiał tego wyskoku mądrości półduchownego mówcy. Ale dziwną osobliwością zamieniał z tym ostatnim spojrzenia, jakby był z nim w porozumieniu, co prowadziło do wniosku, że osoba ewangelickiego mówcy nie tak jak język była mu obcą.

Nie zamilczymy o młodym człowieku, który z dwoma towarzyszami blisko komina siedział, także postną potrawę z dużego karpia w Warcie ułowionego, piernikowym sosem przyprawioną zajadał i węgierskie wino popijał, wierny upowszechnionemu przepisowi *post pisces vinum miscet..* Miał,

jak kilku innych, na sobie płaszcz konnego żołnierza, z pod którego ukazały się bystremu oku gospodyni sznurki, kutasy i kurtka ulana, srebrnymi galonkami ozdobiona, które ją przestrzegły, iż to był podofficer lub wachmistrz z chorągwi jakiego magnata.

Jakkolwiek przykrą była dla Reginy obecność wojskowych, bo z doświadczenia wiedziała jakich przykrości trzeba od tych panów doznawać, powoli jednak powzięła korzystniejsze o młodym ulanie wyobrażenie. Z żołnierską wprawdzie rubasznością, lecz bez grubijaństwa, żądał on, czego potrzebował, to zaś najwięcej ujęło gospodynię, że nie lada co jadł lub pił, a worek, z którego płacił, był pełny powabnego kruszczu. Można było zmiarkować, że język niemiecki nie całkiem był dla niego obcy, kwiecieście bowiem mowy nauczającego pedagoga wywołały na nim albo lekki uśmiech, albo marszczenie czoła. Pokrywał jednak swoje wrażenia, jakby nie chcąc uchodzić za obrońcę rzymskiej dogmatyki, która w rozmowie luterskich wyznawców nienajkorzystniej, lubo ostróżnie, była dotykana.

Już nabrał serca nasz ewangelicki mówca, gdy widział, iż goście, których się najwięcej obawiał, mało zważają na jego perory, jedynie sprawą swego żołądka i gardła zajęci, już zaniechał swojej ostrożnej powściągliwości, już zaczynał rzucać strzeliste spojrzenia na tych, którzy trzymają się panującej z siedmin pagórków nauki; gdy wtem jego coraz silniejszy głos nagle utyka, a jego rysy przybierają wyraz pomieszania, co nie mogło ujść oczu bacznej gospodyni.

Oto wtacza się do gospody silny, dobrej tuszy mężczyzna, w białym wilgotnym habicie, w czarnym szkaplerzu, śniegiem okryty. Byłto zakonnik z pobliskiego opactwa Cystersów, Rajem zwanego ²⁾. Kłaniają się żołnierze przybyłemu, on im dziękuje z kapłańską powagą, nie spojrzawszy na włościan i na ich uczonego mówcę, którzy także żadnej mu nie okazali grzeczności, i przystępuje do ogniska nie bez narażenia się na dąsy nie bardzo mu radych dziewczek.

Ogrzawszy się, żąda napoju i jadła. Nie najuprzejmiej podała mu pierwszy Imość pani Regina, po drugie sięga warzechwią do miedziaka, dobywa kawał wędliny, ugotowanej w tłustym rosole, i zastawia przed głodnym. Zakonnik składa się postem; gospodyni zaś z gniewem oświadcza, że na post nie nie przyrządziła i przydaje, że Wielebny lepiejby zrobił, gdyby był wstąpił do gościnnego tej samej co on wiary. Ofukniony zakonnik jał zajadać kawałek suchego chleba, spoglądając na sąsiedzki półmisek jeszcze do połowy niespożytego karpia. Właściciel tej potrawy, domysławiac się o co idzie zakonnikowi, nie omieszkał zaprosić go do uczestnictwa, które najchętniej było przyjęte.

Gdy już w czynnie pracujących zaproszonego ustach znikła potrawa; zachmurzyło się czoło rozprawiającego przy drugim stole mówcy, już nam znanego ze swej wytartej peruki. Ten, lubo najadł się do sytości, gorzkim uśmiechem zazdrości ustroiwszy swe wywiedłe wargi, tak przemówił do najbliższego sąsiada:

— A to dopiero miłosierdzie! Jak to się dobrze tym ichmościom wiedzie! Gdzie się tylko pokażą, wszędzie im radzi.

Zmierzył go zakonnik i płynną ale z austryjacka zacinającą niemieczyzną zgromił:

— Dla czegożto mi zajrzycie szczodroblowości mego dobrodzieja? Przecież i wam nie nie brakło, boście sobie porządnie nadziali żywot potrawami, które mnie w dniu dzisiejszym są zakazane.

— A! tak — powiedział drugi wyrzekającym głosem: ale z nas rzadko kogo spotka takie, jak was szczęście, bo wy potrzebujecie tylko słowo rzeknąć lub oczy na co zwrócić, abyście mieli, czego się wam zażąda. Mało takich w naszej biednej gminie, którzyby łaknącemu kawałek chleba podali, bardzo u nas trudno o tak litościwą duszę, jak nieoszacowana nasza gospodyni, Imość pani Regina.

— Ha, i pani Regina — powtórzyła rozdaśana Imość, robi w swym domu, jak się jej widzi, a kto nie kontent, niech się lepiej z niego wyniesie, jak to radziłam wielebnemu ojcu.

Ujmując się za obrażonym, podał zakonnikowi rękę ulan na znak swojej przyjaźni, i ośmielił go do przemówienia słów następujących :

— Mościa pani! wszystkie domy zajezdne aż do Międzyrzecza zastałem zajęte przez liezną i sutą kawalkadę, która w rzeszenem mieście wczoraj stanęła, i przez zjazd podróżnych. Tym sposobem nigdzie się schronić nie mogąc, do was, mościa pani gospodyni, wstąpić musiałem, gdzie, niechto waspani nie obraża, doznałem chrześcijańskiej od tego pana żołnierza szczerobliwości. Jeżeli jeszcze czego potrzebować będę, niech to waspanią nie nabawia kłopotu. Nie zakazuje nam reguła nosić przy sobie pieniędzy, mogę zatem opłacić, co tu spotrzebuje.

To powiedziawszy, wyciągnął z pod habitu kieskę z pieniędzmi i brzęknął, na co gniewem uniesiona gospodyni wykrzyknęła : ja nie stoję o wasze pieniądze.

Jakkolwiek pielgrzymujący półduchowny, ów faworyt gospodyni, z wielką był dla Imości uległością, nie pochwalił jednak jej wstrętu do mamony. Nie dziwota, życzył on swojej dobrodziejce korzyści, któraby jego kieszeni w niczem nie nadworeżyła i jego strawne mogła opłacić. Zadarł więc głowę i ustroił szyderską minę, chcąc coś powiedzieć; ale wstrzymało go to zastanowienie, że uszczypliwe słowa, które miał na końcu języka, mogłyby ściągnąć na niego jaką nieprzyjemność. Zresztą owi płaszczeni ludzie, jak zrazu tak teraz nie wtrącali się do niezrozumiałej dla nich rozmowy, a nasz ewangelicki mówca musiał na pewnych zasadach opierać swoje w nich zaufanie. Obecność spółstołowników Cystersa tamowała wprawdzie zapal jego, ale wejrzawszy na swoich kościстых słuchaczy, nabrał serca i z szyderskim uśmiechem rzekł :

— Za prawdę powiadam, zbyt sumienna jesteś, najzaczniejsza pani gospodyni dobrodziejko moja, albowiem to im brak nieniedzy w ich klasztorze, w tym prawdziwym raju życia bez mozołów i bez pracy? Oni tyle mają swobód, ile my, prawi w winnicy pańskiej pracownicy, dolegliwości. Prawda, że i on hoduje winnice, dodał, wskazując na księdza, który pił do żołnierza, ale tylko ziemską, smakując w soku, który ona wydaje.

— Wnosząc z waszej mowy, powiedział z zimną krwią zakonnik, musicie należeć do tych, którzy się nazywają kaznodziejami i księżmi, chociaż im to nazwisko, według naszych artykułów, nie przynależy.

— Niestety, nie jestem z ich liczby, odpowiedział drugi, nie mogę się pochwalić, abym był jednym z tych czcigodnych mężów bożych, z owych kaznodziejów prawdy, którym się należy cześć i chwała. Ale tylko, to mówiąc, napuszył się, śmiał się nazywać cegielką z budowli przez doktora Lutra wzniesionej, lubo obmierzli Bogu ludzie wypchnęli mnie z niej i wyrzucili. Za dni lepszych nazywano mnie zakrystjanem kościoła na przedmieściu Międzyrzecza, ale od czasu, jak owa świątynia w ręce kacerskich stronników przekłatego Kalwina została wydana, jestem, iż tak rzeke, wakującym zakrystjanem, nie przestając dla tego być silnem narzędziem wiary.

— Wiec jako silne narzędzie wiary, urągliwie zagadł go Cysters, wedrujesz po świecie, mój przyjacielu?

Namyśliwszy się, odpowiedział zakrystjan:

— Lubo teraz światowemi sprawami jestem zajęty, jednak ścieżka pobożnego jest zawsze bogobojną ścieżką. Obecnie wędruję do Leszna, wstępując po drodze do różnych miejsc, i duchownym obrokiem zasilając dusze prawowierne.

— A siebie samego cielesnym, wtrącił zakonnik z uśmiechem i wnet, łagodząc urażonego takim przycinkiem, dodał: nie mogę wam tego brać za złe, każdy pracownik wart swo-

jej nagrody bez względu na jakość pracy, a sługa ołtarza żyje z ołtarza, czy przy nim Jehowę, czy Belfegora wielbi.

Silnem rzuceniem pokrywki na duży garnek objawiła pani gospodyni swoje na taką mowę oburzenie, wszakże nie mogła go okazać innym sposobem, bacząc, że pożywacze ryb, swemi szerokimi barkami groźni, mogliby się czynnie ująć za swego duchownego spółbiesiadnika. Zapewne na tę samą wpadł myśl międzyrzecki zakrystjan, gły z powolnością i z nabożnie ustrojonemi oczami w tych słowach przemówił:

— Sprawiedliwy musi wiele znosić, a w szkole utrapienia wzrósł Lactantius Scamnipedius.

— Toście wy Lactantius Bankbein? wykrzyknął zakonnik z uciesznem zadziwieniem, jużem słyszał o was. Ale, cóż porabiać będziecie w Lesznie, które, ile wiem, ma roje nienawistnych wam Kalwinów?

Po małej pauzie odpowiedział zakrystjan: niektórzy zacni handlarze, wyznawcy czystej nauki doktora Lutra, położyli we mnie zaufanie i polecili mi niejedną światową czynność, jaka po nich zaległa w mieście, z którego ich wyparto.

To tedy między wami protestantami nie masz zgody? — zagadnął go zakonnik — i sami gotujecie sobie prześladowanie, o które panujący kościół obwiniaacie?

— A cóż robić — westchnął Lactantius — kiedy najwyżsi w narodzie, którzy powinni utrzymać spokój i sprawiedliwość, odwracają od nas oczy i zaledwie mają nas za godnych odychania tem powietrzem.

— Zawierz ojcu Liboriusowi Meidingerowi z klasztoru Rajskiego — rzekł zakonnik, zakreślając znak ręką — zawierz, mówię, że kościół równie jak Rzeczpospolita są gotowe przyjąć błędnych na łono, bo obojgu nie jest poręczne odszczepieństwo, które tylu synów od nich odrywa. Dopóty niedobrze w Polsce, dopóki wiara, sama jedna zbawić mogąca, nie zjednoczy wszystkich. Wielkie niebezpieczeństwo na-

wet światowym grozi ze strony tak zgubnego odszczepieństwa.

— Wielu mądrych i znakomitych ludzi dzieli z wami tę obawę — szepnął jeździec do zakonnika — ja sam byłem świadkiem niejednego licha, które już minęło wprawdzie, ale są tacy, nawet w Warszawie, którzy je mają za wskazówkę czego gorszego.

Spojrzał na jeźdźca ojciec Liborius, chcąc coś powiedzieć, kiedy zabrał głos zakrystjan. Już z tryumfem włościanie z imość panią Reginą poglądali na swego mniemanego bohatera, jakby pewni, że teraz wystąpi w obronie wiary przeciw temu, który podchwytliwą mową na to zakrawał, aby gorliwych protestantów do apostazji uwodził: gdy w tem coś nadzwyczajnego przestrajają żarliwego mówcę, który odzywa się w tych słowach:

— Niech sobie tak myśli każdy pobożny i rozsądny człowiek: ale cóż, kiedy nie raz używano przeciw nam laski wytępienia, jak tego świadkiem rok 1656, w którym mieszczenie Leszna w liczbie 4.000, uciekając przed mieczem i pożogą katolickich prześladowców, opuścili swoje siedziby.

Wojskowy, jakby ożywiony tą materją zawołał czystą niemczyzną:

— Co tego, to nie można chwalić, ale też musicie przyznać, że Lutrzy i Kalwini nie lepiej sobie postąpili po katolickich wsiach i miastach. Ja sam byłem tego świadkiem, kiedy jeszcze w młodości moim musiałem z moimi rodzicami uciekać z folwarku, unosząc życie z pożaru przez waszych jednowierców zrażonego. O! nie była to bogobojna sprawa. Spustoszenie i zhańbienie kościołów równie wam mało uczyniło honoru jak Brandeburczykom, którzy z wami z obrazą praw wszelkich pałace lub wsie rabowali i palili.

— Zdajesz się świadom wszystkiego, co zaszło w naszych okolicach, panie i dobrodzieju mój — szepnął ojciec Liborius

do wojskowego — jeżeli się nie myłę, to, co opowiadasz stało się w Drohimię.

— Być to może — odpowiedział drugi — lecz niestety, nie sam Drohim, bo i więcej miejsc było podobną klęską dotkniętych.

— Jak też, moi panowie — wtrąciła, ujmując się za gantoniami, imość pani gospodyni — możecie na Brandeburczyków powstawać, przecież Brandeburcykowie są dobrymi sąsiadami, a ich elektor jest mądrym i pobożnym panem, który swoich jednowierców w kraju i zagranicą proteguje. Pożał się Boże rządów polskich. Bodajbyśmy w Brandeburczyku byli znaleźli pana ojca, zamiast w królu, który stąd daleko w Warszawie mieszka i z nami jak ze swymi pasierbami wychodzi.

— Otóż masz — rzekł markotny ułan do zakonnika — wyjechała z tem właśnie, czegom się spodziewał. Ich odszczepieństwo podaje elektorowi sposobność wdawania się w sprawy Polski. Nie daj Boże, aby za tym początkiem miało pójść wszystko. Nie dalekaś Waspani życzyć nam tego; ale przecież, jakąkolwiek wiarę wyznajesz, zawsze jesteś Polką i dla tego nie przystoi, abyś się wyrzekała twojej ojczyzny.

— I! co tam — odparła imość — moja ojczyzna jest tam, gdzie mi dobrze. Powiadacie, żem Polka? To prawda, o ile się to tyczy ziemi, na której mieszkamy: ale też można mnie i Niemką nazwać, bo ja w niemieckim języku modłę się i śpiewam psalmy układu wielkich mężów: Lutra, Gerharda i Rista.

— Tymci gorzej — zawołał tamten — z wiarą odszczepiają się język i serca. Zachowaj Boże ziemię przynajmniej od takiego odszczepieństwa.

W ciągu tej nieco zażywej rozprawy powstał ze swego miejsca Cysters i poszedł do okna, przy którym stał zakrystjan: potem dobył dużej skórzanej tabakiery i zażywwszy z niej tabaki, poczestował nią, jakby od niechcienia, swego

różnowierce. Kiedy poczęstowany waha się, czy ma przyjąć i ponieść do nosa nieodrażający proszek, zakonnik przemówił do niego w tych słowach:

— Zdaje mi się, że się nie pierwszy raz widzimy. Czyś, mój panie, nie był kiedy w Drohimie, w domu świętej pamięci Dymitra, księcia Wiśniowieckiego, który wówczas był tam starostą?

Tu Lactantius jął się mu przyglądać, potem postąpił ku niemu, kilku palcami zachwycił ofiarowaną mu tabakę zażył i zawołał uradowany:

— Wyśmienita! prawdziwy fabrykat znakomitego handlowego protestanckiego miasta Rawicza.

I znowu spauzował, a dalej, nieco ciszej przemówił:

— Prawda, że byłem w Drohimie; ale, ojcze przewielebny, jakże się wam zdaje, czy jutro mieć będziemy pogodę?

Cysters znowu wyjrzał przez okno i bez zmieszania powiedział:

— W nocy przyjdzie wiatr ze wschodu, ale rano weźmie inny kierunek.

Tym sposobem — wyżywając resztę swej szczypty, rzekł Lactantius — Odra pod Frankfurtem nie tak prędko stanie.

— Dobra nasza; — powiedział mu do ucha ojciec trząsnąwszy głową — a zatem nie ślepy traf zrządził nasze spotkanie. I tamten ułan zna Drohim: więc, jeśli się nie mylę, zebraliśmy się wszyscy.

Po tej rozmowie rozstrzeliło się zgromadzenie po izbie: Liborius stanął przy nieznajomych a wędrowny zakrystjan skinął ukradkiem na tych, którzy dotąd w milczeniu zajadali kwaszoną kapustę. W dalszym ciągu rozpoczętej sprzeczki włościanie, ufni w swą liczbę, zaczęli wtrącać to i owo, a mianowicie obwiniać nierozwrotnie i porywczo króla i Rzeczpospolitą, że na nich podwójne wkładają ciężary, a ich przywileje ścieśniają, które jako wolnym osadnikom nadane, powinny być święcie szanowane. Niektórzy nawet, podżegani

przykładem imość pani Reginy, tak dalece się unieśli, iż śmieli twierdzić, jako swego podźwignienia jedynie od Brandeburczyków mogą się spodziewać. Polski ułan nie mógł bez oburzenia słuchać takich odgródzek, które wówczas za zdradę stanu jeszcze uchodziły, lubo później bez ogródki i jawnie nawet od wyższych klas tej okolicy mieszkańców wypowiedane; miarkował jednak, że mu nie wypadało powstać przeciw niepatriotycznemu sposobowi myślenia pijanych przybyszów: z zimną tedy krwią przemówił:

— Wiedziałem wprawdzie, co tu się święci: alem teraz dopiero poznał, że gorzej, niż można spodziewać się w Warszawie. Otóż piękne skutki przemądrej nauki, że rolnik o polityce rozprawia, czego gdzie indziej, jak się daleko ciągną granice Rzeczypospolitej polskiej nie usłyszy człowiek. Dziękuję za wasze oświecenie. O! źle zrobiono, że wam nadano przywileje, kiedy te was tak zuchwałymi czynią.

Tu znowu zabrała głos imość pani gospodyni:

— Przecież oświecenie i przywileje nasze nie są tak złe, jak się wam widzi, mości panie podoficerze. Nie możecie zaprzeczyć, że one mają swoją dobrą stronę. Znajdziecież w Mazowszu albo na Ukrainie taką jak moja gospodę? Sporządziż wam żyd albo poddany karczmarz tak czystą i smaczną potrawę, jakąście dopiero u mnie spożyli?

— Co w tem to macie słuszność po sobie — rzekł ułan z uśmiechem. — Daj waspani jeszcze kwartę wina, spełnimy ją na uczczenie waszej kuchni, a nadal zaniechajmy sprzeczek w materji, która was i mnie nie powinna obchodzić. Niech każdy pilnuje swojej wiary, a resztę niech zda na duchownych i na uczonych doktorów; niech także każdy kocha swoją ojczyznę, a sprawy polityczne zostawi panom senatorom i szlachcie.

Nie tak skora była w zaniechaniu rozpoczętej sprzeczki, jak w dostawieniu zażądanego wina, imość pani Regina.

— Co? Szlachta! — wykrzyknęła z urąganiem. — Pożal się Boże! kiedy wasi magnaci posiadają zamki i dostojęństwa,

paradują na dworze, dokazują na sejmach i z przeproszeniem waszem, mości wachmistrzu, trzymają jezdne hufce; nasi luterscy panowie nie mają żadnego znaczenia, choć są tak dobrze i tak wysoko urodzeni jak wasi. Nie było przykładu, jak ludzie mogą zapamiętać, aby z nich który był wojewodą lub kasztelanem, chociaż im się to zawsze należało. Zaledwie dostanie z nich który starostwo. Doczekaliśmy się nawet czasów, że ich z sejmów walnych rugowano, chociaż byli na nie posłani od swoich powiatów.

— Czas przerobi to wszystko na lepsze — odezwał się jeździec — a tymczasem niech nie zapominają panowie, że są polską szlachtą i że im tego zaszczytnego tytułu nikt nie zaprzecza.

— Nie zakładałabym się o to — zawołała zacięta wdowa. — Czcza rzecz tytuł, kiedy nic nie przynosi. Jakoż szlachta tutejsza nie dba o to, że nie ma głosu na sejmie i wetuje sobie to pokrzywdzenie, skarbiąc względy i przychyłność elektora brandeburskiego. Wiemy, że Dymitr Wiśniowiecki, choć to książę katolicki, wydał po śmierci ś. p. króla Michała brata swego, starostwo drohimskie elektorowi brandeburskiemu, temu przeszło lat dwadzieścia. Nie prawda, mistrzu Lactantiusu?

Mistrz zaś, wejrzawszy z boku na wojskowego, z zimną obojętnością powiedział:

— A tak, to prawda; ale zaniechajmy dawnych dziejów, kiedy w teraźniejszych mamy obfite do gawędki materiały. Oto właśnie przybyłem z miasta, w którym napatrzyłem się piękności co niemiara.

— Byłem i ja tam — wtrącił jeden z włościan — i widziałem, dalipan, śliczne państwo. Zostawią trochę pieniędzy u nas. Mając pełen wóz drobiu, masła, jaj i innych rzeczy z mego gospodarstwa, lękałem się, aby panowie rycerze tego wszystkiego u mnie za pięć palców i za jedną garść nie kupili; aliści, o dziwy, całkiem co innego mnie spotkało: mój wóz próżny, a kieszeń moja pełna. Chwała Bogu.

— Pani elektorowa — wtrącił inny — wezwwała do siebie panienki i dziewczęta, które jej były podały wiersze i wieniec. Rozmówiła się z niemi i obdarzyła je upominkami, chociaż były luterkami lub kalwinkami.

— Co za szkoda — znowu zaczęła utyskiwać nasza rozumna pani gospodyni — że królowna nie poszła za którego protestanckiego potentata, zamiast za bawara, który tak jak lud jego ma być arcy papistą i zawziętym nowej nauki nieprzyjacielem. Jabył ją swatała z margrabią von Schwedt, albo z margrabią Albertem, najmłodszym z braci elektora brandeburskiego.

— A tego też jeszcze brakło! — zawołał jeździec. — Zresztą, gdyby nasza królowna poszła za sąsiedzkiego kalwińskiego księcia, on by wnet założył pretensje do tronu polskiego i nareszcie otworzyłyby drzwi do Polski niemieckim obyczajom i niemieckiej wierze.

— Ej! zważcie, co gadacie — odmrukła imość — kalwin wart więcej niż papista.

Lactantius Scamnipedius, przybierając charakter rozjemcy tak różnych zdań, w tych słowach przemówił:

— Moi państwo, po co się tu wtrącać do cudzych spraw; niech każdy pilnuje swojej a będzie zgoda między ludźmi. Zresztą ja sędzę, że gdyby królowna rozrządzała swym wyborem, i tak nie chciałyby brandeburskiego elektora. Cóż na to powiecie, szanowny panie wachmistrzu czy tam poruczniku? Wszak przybywacie, jeśli się nie mylę z głębi kraju.

Nic na to nie odpowiedział wojskowy; Lactantius tedy z poważną miną zapytał włościanina:

— Jeżeliście, sąsiedzie, czytali owe wiersze, o których wspomnieliście, cóżbyście nam o nich powiedzieli?

— A cóżbym miał powiedzieć — wyjąknął włościanin, poziewając. — Jakby z nas kto mógł zrozumieć to lichy! Coś tam gadano o pogańskich bożkach, od których zachowaj nas Panie, i o miłości, i o zapalach serca, i o granicach i tym

podobne bajdy; dostałem od nich jakiś szpargał, ale obwinał w niego trochę grosiwa, którem był uciulał.

— Mój przyjacielu, rzekł Lactantius z dumą; gadasz trzy po trzy i bez erudycji, ale ci wybaczam, boś prostaczek boży. Ja nie zważam na twoje zdanie, skoro ów szpargał, jak go nazwałeś, pozyskał pochwałę wielkich panów, którzy towarzyszą pani elektorowej, i nawet Jaśnie Wielmożnego Załuskiego, dowódcy hufca, brata biskupa plockiego, a mego łaskawcę, bo mnie udarował szesnastu złotych polskimi w imieniu Najjaśniejszej Elektorowej.

— Także to? zawołała władczyni gospody, wyznaniem swego faworyta zgorszona, kiedy tak, to się musimy z sobą porachować, mospanie Bankbein.

Już z pomieszaniami, już z dumą zaczął wymawiać się Bankbein:

— Za powrotem, za powrotem moim, zacna dobrodziejko, bo te kilka złotych już mają swoje przeznaczenie, muszę za nie zakupić nabożnych książek dla pana pastora, które on między kochane ubóstwo chce rozdzielić. Prosił zaś mnie, abym go w kosztach zastąpił.

Inny rolnik, dobywając pieniędzy ze swej chudej kieski na opłacenie swego strawnego, powiedział z kwaśną miną:

— Ja zaś nie byłem tak szczęśliwy jak mój sąsiad. Przyjechałem, kiedy już wszystko było zaopatrzone i byłbym z moim towarem do domu powrócił, gdybym nie był spotkał przewielebnego kapelana, który go kupił wprawdzie, ale za bezcen, powtarzając, że to na większą chwałę bożą.

— To tedy poczet pani elektorowej nie był liczny? — zapytał zakonnik, który długo nic nie mówił. — Przecież gadają o trzystu głowach, licząc w to panów i wojskowych.

Powstaje na to Lactantius i głosem donośnym a co osobliwsza, jakby na przekór swojej dobrodziejce, dość płynną polszczyzną, (bo protestanci pograniczni polscy nie używają krajowego języka, który nazywają katolickim, kiedy katolicy

niemiecki nazywali luterskim) tak przemawia do swoich słuchaczy:

— Proszę mnie posłuchać. Poczest elektorowej bawarskiej składa się rzeczywiście z 200 jazdy i piechoty, nie rachując w to 40 koni gwardji królewskiej dowództwa pana Załuskiego. Ci ostatni rozkwaterowali się w Międzyrzeczu z panią elektorową, inni po okolicznych wioskach, a wszyscy na granicy brandenburskiej otoczą Najjaśniejszą córę Króla polskiego aby ta z całą świetnością wystąpiła przed Jaśnie Wielmożnymi panami, hrabią Wartenberskim, baronem Dankelmanem, ministrami Jego Elektorskiej Mości, na jej powitanie wysłanymi. A ponieważ jeszcze spory kawał drogi z Międzyrzecza do Frankfurtu nad Odrą, tedy elektorowa wyruszy z pierwszego miasta przed świtem z chorągwią gwardji, reszta zaś wojska puści się bocznymi drogami, aby razem z tamtymi, daj to Boże, w przesławnem handlowem mieście Frankfurcie przed wieczorem stanęli.

Można się domysleć, że nie bez przyczyny tak jasno mówił do obecnych zakrystjan; zakonnik bowiem słuchał go z wielką uwagą, jego ucztodawca zdawał się żadnego słówka mimo uszu nie puszczać; to samo można było miarkować po płaszczywych ichmościach, przy drugim stole siedzących.

— Gdybym nie był zmuszony — tak dalej prawil mowca — inną puścić się drogą w interesach i poleceniach gminy, jeszcze bym raz oglądał poczet Królewnej w całej jego świetności, a nadewszystko byłbym świadkiem powitania Elektorowej przez brandenburskich posłów; potem zaś, nie tracąc czasu, wybrałbym się do lasu leżącego po tamtej stronie Odry. Ale to duży kawał drogi: mogłoby już być po wszystkim, nimby tam stanął.

— Obmierzła mi gospoda z przyczyny polskich panów, wtrąciła Regina; prawda, że strojni i świetni, ale też dumni, hałaśnicy i groźni jak zwyczajnie katoliccy panowie. Wolałabym mieć do czynienia z elektorskimi panami, pobożnego i poważnego ułożenia, w sędziwych perukach, trzy razy więk-

szych od peruki Cellariusza, który wprowadził był wysoko uczonego człowieka, ale nie bardzo wielkim ministrem.

Gdy nasza imość tak rozprawia, jeden z obecnych, zadany przez Lactantiusa znakiem, szepnął coś do ucha swemu towarzyszowi, który wnet opuścił cichaczem gospodę; wojskowy zaś, już nam bliżej znany, raz po raz wyglądał oknem na wzmagającą się śnieżną kurzawę i nocną pomrokę.

W godzinę potem powynosili się włościanie z gospody, powracając do domu, i tylko kilku najbliższej wsi mieszkańców zostało przy szklenicy, coraz leniwszym rozmawiając językiem, bo Lactantius Scamnipedius, już czem innem zajęty, nie wtrącał się do ich rozmowy, którą, takiego przewodnika pozbawioną, milczące dumanie zastąpiło.

Przeciwnie Cysters zrobił się rozmowniejszym niż przedtem. Czynił on wszelkie swemu ucztodawcy postrzeżenia, już to nad dawnymi czasami, już i szczególnie nad starostwem i nad byłym starostą Drohimskim, jakby dla tego, aby od owej materji i tem zręczniejsz mógł przejść do tej, którą miał na myśli. Nadto, chcąc uczynić zaszczyt imieniu swego klasztoru, kazał stawiać wino; Lactantius nie odrzucał tej szczodrośliwości, ale owszem rad wypróżniał szklenice, które przed nim stawiał ojciec Liborius. pokazało się tedy, że nie miał w obrzydzeniu ziemskiej winnicy, chyba wtenczas, kiedy jej soki do cudzych ust spływały. Z tyłu i tak ważnych powodów wystąpiła na rozognione policzki Reginy nawałnica gniewu. Imość ta, dostrzegłszy w Lanctantiusu tak nagannej względem sług Baala uległości, postanowiła wyrugować go z przybytku łask swoich. Pomiarkował on, na co się zanosí, nie stracił jednak miny, dobrze zasiliwszy żołądek i odwilżywszy gardło, a do tego wyrachowawszy, że nadal obejdzie się bez łaski imości, która przez znaczny czas zasilala chude ciało swego jednowiercy.

Wtem znagła daje się słyszeć ze dworu tentent nóg końskich, grubą warstwą śniegu tłumiony, i wchodzi niebawem do gospody młody, wysokiej urody mężczyzna. Miał

on na sobie płaszcz wojskowy, ale jego postawa okazywała coś tak odznaczającego i uderzającego, że nikt nie mógł nie uznać jego wysokiego znaczenia. Jakoż, skoro wszedł, wszyscy powstali przed nim, Cysters przywitał go z powagą kapłańską, zakrystjan zaś z dala i ukradkiem oddał mu uniżone pokłony. Przybyły pan, przystąpiwszy do ulana, przemówił cicho: — jeśli się nie myle, Jorkiewicz? — A potem wychylił szklanke wina. W tej chwili odsłoniły się lica i ukazały ciemne, krótko podcięte włosy jego, z których rozpoznawszy go Lactantius, podniósł z nienacka ręce do góry i cichym głosem zawołał: — jak mi Bóg miły, wielkie podobieństwo do ojca, jak dwie krople wody, a potem głośniej: O patris dignissima proles. — Jorkiewicz odebrał rozkazy od swego dowódcy, poczem żołnierze opuścili gospodę, mając tego na czele, który najpóźniej przybył a na którego czekali.

Przed wyruszeniem przystąpił zakonnik do młodego pana i z powagą w tych słowach przemówił do niego:

— Miłościwy książę i starosto! puszczasz się w niebezpieczną, lubo zaszczytną podróż, przyjmij więc błogosławieństwo od niegodnego sługi kościoła. Oby wszystko, co poczniesz, wyszło ci nietylko na doczesne ale i na wieczne szczęście.

— Dziękuję ci, ojcze — odpowiedział książę, mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze.

Przy wsiadaniu na konia, wysunął się Lactantius ku księciu i z uniżonością przytrzymał mu strzemienia, za co był wynagrodzony parą sztuk srebrnej monety.

Zgorszona tak poddańską usłużnością luterskiego zakrystjana, imość pani Regina jąła hałasować i z hukiem drzwi zatrasnęła. Zakrystjan, mało na te dasy swojej dobrodziejki zważając, rzekł do zakonnika: — Pan Bóg go nam przyniósł, jużem miał za przepadłą trudów moich nagrodę. Ale jeszcze godzina drogi do traktu wojskowego, a pola są

zasypane śniegiem, lękam się, czy zdąże, chociaż nie najgorszy ze mnie piechotnik. Jest tam co zobaczyć!

— I co dostać — dodał ojciec Liborius i poprowadził Lactantiusa do swej jednokonnej karjolki, która stała w szopie — i ja muszę odjechać, bo moja duchowna pomoc będzie może przededniem dla kogo potrzebna. Jeżeli chcesz i możesz, siadaj ze mną.

Lactantius zastanowił się i obejrzał, a po chwili rzekł: nikt nas nie widzi, mogę więc, wielbny ojcze, przyjąć i z najobowiązańszą wdzięcznością przyjmuje wasze łaskawą uczynność.

Gdy siadali, rzekł zakonnik:

— Znam was ze sławy, Mości Lactantiusu, chociaż od mojej w Drohimie bytności nigdy was potem nie widziałem. Czemuż-to nie powrócicie na łono kościoła, aby mu służyć, zwłaszcza gdy wiecie, iż on nie skąpi nagród za wyświadczone mu przysługi?

Zakrystjan luterski trząsnął głową i odpowiedział: — tego nie myślę zrobić; zostawcie więc mnie, ojcze, takim, jakim dziś jestem, zwłaszcza, jeżeli chcecie, abym wam lepiej usłużył.

— To niechże i tak będzie — powiedział zakonnik i wnet wózek lotem strzały uniósł po śniegach, w kierunku północno-zachodnim, dwóch różnowierców na przeznaczone miejsce.

Rozdział 4.

Przestał śnieg padać, wypogodziło się i wyiskrzyło niebo, wystąpiły na jego tło gwiazdy, a księżyc rozwidnił okolicę. Ale okolica nie miała życia, bo jednostajna śnieżna białość powlokła jej powierzchnię, gdzieniegdzie pagórkami przerwana, w innej porze roku piaskami przez nową Marchję aż pod Berlin ciągnącemi się sławną. Osty i głogi, karłowatemi krzewinkami przeplecione, te jedyne podczas lata ozdoby niewdzięcznego gruntu, teraz obumarłe, sterczały nad połyskliwą śniegiem równiną, którą dookoła czarny gęsty las zamykał. We dnie był ten zakątek bezludny i głuchy, i tylko rzadko kiedy odgłos cięcia siekiery przerywał milczenie. I któżby się spodział, aby w nocy i do tego w zimie mógł tu spotkać człowieka, a dopieroż znaczną liczbę ludzi? Tak przecież stało się tą razą.

Miedzy wysokimi świerkami, po opadłych trzeszczących iglicach, dołem i górą ciągnęli tedy bez hałasu, zakapturzeni ludzie, prowadząc konie za cugle a inni, a tych było więcej, obwinięci w płaszcze, zalegli twardy wilgotny grunt, pokrzepiając swe siły snem wśród dokuczającego zimna i głuchej ciszy nocnej, którą przerywało jęczenie sów i parskanie koni.

Na jednym z najwyższych pagórków, w niewielkiej stamtąd odległości, czekał, oglądając się w około człowiek

w przestronnym grubym kożuchu, w czarnej, twarz zakrywającej, masce. Wśród mdłego światła księżyca wydawał się on nakształt ponurego ducha, pozierającego w okół, czy jakie żywe stworzenie nie zbliża się do miejsca, w którem rozpościł swą władzę. Zniecierpliwiony długo bezskutecznem oczekiwaniem, już to przechodził się tam i sam po wierzchołku pagórka, już tupał lub rzucał przed siebie nogą, poruszając tuman śnieżnej kurzawy.

Aliści zatętniało opodal jakby ręce przebieranie kopyt końskich i ukazało się kilka czarnych postaci na równinie. Z tych jedna, a tą był jakiś jeździec, dotarła do pagórka, dając niezrozumiałe hasło i głosem tłumionym przemówiła do czekającego:

— Już przybywa.

To powiedziawszy, goniec ruszył dalej ku lasowi, dążąc do tych, którzy leżeli lub stali. I znowu zaćmiło się na szaro oświeconym obszarze, i nadjechało czterech innych; ten zaś, który był na ich czele zeskoczył z konia, oddał go giermkowi i wstąpił na pagórek, gdzie się złączył z czekającym.

— Kuzynie, zadługo dałeś czekać na siebie, rzekł ostatni głosem pomieszanego, wlepiwszy badawcze w przybyłego oczy. Już dawno powinienes być tu stanąć.

— Jeszcze czas, odpowiedział przybyły, nie myślałem, abyś mnie o spóźnienie obwinił.

— Czyś gotów i czy twój hufiec nadciąga? zapytał pierwszy; za godzinę, skoro zadnieje, musimy wyruszyć.

— Jam gotów, i mój hufiec to samo — odpowiedział przybyły młodzieniec, któremu w gospodzie Reginy dawano tytuł starosty. Ale dopiero po trzeciej, jeszcze dość czasu.

— Kuzynie! ze śmiechem zawołał zamaskowany, jesteś cierpliwszy niż na rozkochanego wypada. Skoro dzień, odejdą wozy, a jeszcze będzie szaro, kiedy tu przybędą. Oto tam między pierwszemi drzewami lasu ciągnie się droga: i czas i miejsce sprzyjają. Ale, jakem żyw, nie przypuszcza-

łem, że będziesz ostatni przy zroku *), na którym miłość i dzieło rycerskie mają rej prowadzić.

— Nie zdaje mi się, rzekł z namysłem starosta Drohimski, ani miejsce na zrok miłości dogodnem, ani dzieło rycerskiem.

Zastanowił się tamten i zawołał:

— Jakże mam rozumieć taką mowę, miłościwy książę. Tehnie ona jakimś wahaniem się, a przecie mamy twoje słowo.

— Prawda, że je macie — odparł Dymitr Wiśniowiecki, i widzicie, że go dotrzymał, bom się stawił w tem miejscu. A zresztą, bądźcie pewni, że się bynajmniej nie namyślam, co mi czynić wypada.

— Nie wątpię o tem, rzekł zamaskowany, bo za wiare twoje, jako sprzymierzeńca naszego ręczyły, oprócz danego słowa, właśnie twoje widoki, a przedewszystkiem widoki twojej miłości. Bądź dobrej myśli. Nim słońce zajaśnieje, musimy coś zbudować. Panowie radcy brandeburscy długo muszą czekać, nim swoje uszanowanie złożą damie, co to wieniec pański zamieniła na elektorski kapelusz, a który z czasem ty na książęcą mitrę zamienisz. Zbrojny hufiec jest stąd daleko, i my tylko z 40 konnicy, z kilku księżmi i kobietami mamy się rozprawić. Pierwszych ja biore na siebie, drugie tobie zostawiam, nie wątpiąc, że trafisz z niemi do końca, zwłaszcza z jedną, która zrazu może się drożyć będzie.

— A czyś pewny, kuzynie, zapytał Dymitr, że ta jedna żadnych innych, oprócz wymienionych przez ciebie, mieć nie będzie obrońców?

— Posłuchaj mnie, zaczął zamaskowany, zadziwia mnie niepojeta mowa twoja. Ja ci powiadam, że nie fraszki nas

*) Zrok, słowo dawne polskie, oznacza to samo co francuskie rendez - vous.
Przyp. tłum.

zajmują. Nie tu miejsce namyslać się. Wzywam cię na Świętego Wojciecha, powiedz, w jakim tu charakterze przyszedłeś, czy jako przyjaciel, czy jako nieprzyjaciel?

— Przyszedłem, odparł Dymitr, jako przyjaciel, a od was zależy, abym jako przyjaciel rozstał się z wami. Uważam, że sam masz twoje przedsięwzięcie za śliskie i dla tego pocieszam się nadzieją, iż wysłuchasz i uznasz, co ci wynurzyć pragnę.

— Moje przedsięwzięcie? zawołał z zadziwieniem drugi, czemuż nie mówisz nasze? Więc po coś tu przyszedł, abys rozprawiał a nie po to, abys działał? Było miejsce rozprawiać w Marymonckiej sali; tu miejsce działać. Nie mogę przypuścić, aby plemiennik Litewskiego Olgierda mógł być wiarołomcą względem tych, z którymi go łączy spólność krwi i równość znaczenia. Nie mogę przypuścić, aby polski rycerz opuszczał ręce tam, gdzie być najczynniejszym powinien, a wyciągał je wtenczas, kiedyby szło o samo zabranie dla siebie najlepszej części.

— Dotrzymałem mego przyrzeczenia — zawołał Dymitr, a nadal nie myślę być bezwładnym widzem. W Marymoncie nie tailem, co czulem, ale gdy moje słowa żadnego nie sprawiły skutku na ludziach rozgrzanych winem i nierozmyślnemi zapędami, milknęłem w końcu. Przyrzekłem sekret i dotrzymałem go. Nie wydałem mego krewnego, który mi wyjawiał istotę zamachu. Już przyszła chwila tego zamachu, który w zwodniczej odległości daleko mniej szkaradnym wydawał się, niż się wydaje z bliska. Widzę cię samego jednego, kuzynie, gdzież są ci, którzy w samolubnym zamiarze twoję żądzę sławy, albo jeżeli wolisz, twój patryjotyzm pobudzili do nadzwyczajnych rzeczy, którzy od stopnia, na którym my stoimy, ty i ja, chcą się wywyżżyć za pośrednictwem wszczynanych przez nich zaburzeń? Zaklinam cię, zastanów się, nim postąpisz naprzód.

— Już za późno, powiadam ci, rzekł tamten w uniesieniu, obowiązałem się słowem i przysięgą. A ty, książę Dymitrze,

czy mógłbyś twój krzywoprzysięski postępek usprawiedliwić wybiegami, w których się wyćwiczyłeś na dworze despotycznej, zmiennej i dwuznaczej Francuzicy?

Obojętnie i z niejaką dumą odparł Wiśniowiecki:

— Tylem się przynajmniej wyćwiczył, że mogę rozróżnić to, czego chwycić się, od tego, czego uniknąć wypada. Czyś i ty, kuzynie, uczynił takie rozróżnienie? zastanowiłeś się, czem to trąci, napadać w obliczu całej prawie Europy, sposobem zbójckim, na córkę króla swego a małżonkę potężnego księcia i znakomitego bohatera?

— Nie byłby to pierwszy przykład w dziejach narodu naszego — powiedział zamaskowany. — Czyż nie wiesz o pociągłej wyprawie, którą kiedyś nasi naddziadowie na królowę Bonę zrobili, gdy z naszymi skarbami uciekała z królestwa naszego? Nie zdobyli wprawdzie, na co czyhali, ale gdyby się im była powiodła wyprawa, Europa byłaby się w tym razie, jak zawsze, znalazła: to jest, byłaby gadała zrazu, a umilkła w końcu.

— Ale cóż Teresa Sobieska — zarzucił Dymitr — ma wspólnego z Boną Medjolanką, co nienaganna córa z potworem płci niewieściej.

— Oto to — krzyknął drugi — że jak tamta, bierze z sobą część skarbów naszych, zgromadzonych przez jej matkę, która lubo nie jest potworem płci swojej, w wielu jednak względach podobna do niegodnej poprzedniczki swojej. Wiadomo ci równie jak mnie, że Marja Kazimiera, frymarząc groszem naszym, znaczne sumy wysłała za granicę; jeżeli więc zamysłam zdobyć część skarbów Sobieskich dla Rzeczypospolitej, do której one należą, czyż tobie wypada w najmniejszej rzeczy dawać przyganę memu przedsięwzięciu?

— Spodziewam się, kuzynie — odpowiedział Dymitr — że gdyby nawet mogło być naganne twoje przedsięwzięcie, nigdy na tak niegodnej ciebie zasadzie opierać się nie może. Wszakże, szczerze powiadam, nigdy nie przypuszczałam, abym moje uczestnictwo na taki cel przyrzekała.

Zmieszany takim zwrotem, odpowiedział drugi:

— Zaprawdę, inne zasady powodują nami, zdolne usprawiedliwić nas, jeżeli nie w obliczu innych krajów, to w obliczu ojczyzny. Wiesz, że ani ja, ani ci, którzy ze mną trzymają, nie zezwolili na wiadomy ci związek małżeński. Czemu opieramy się słowem, tego nie dopuścimy czynem, jak to zwyczajnie my Polacy.

Z boleścią i oburzeniem, malującemi się w rysach twarzy, zawołał Wiśniowiecki:

— Nieszczęśliwy szal, który upiększenia zgrozy w wyuzdanej szuka swawoli. Doznali i nasi sąsiedzi ciosów bezrządu w czasach, które dla nas były czasami rządności i wyższej niż u nich cywilizacji. Dziś, kiedy oświecenie wszędzie rozciąga swe dobroczynne wpływy, mamyż my sami z podłych pobudek osobistości postęp i wzrost jego tamować i być moralnemi trupami wśród żyjących narodów? Mamyż rozmyślnie cofać się do punktu, z którego tamci wyszli, aby się nam urągali i wzgardę okazywali ci, którzy kiedyś mimowolnie składali nam hołdy? Ród i łaski fortuny postawiły nas, kuzynie, na jednym z najwyższych stopni w ojczyźnie: nie zakłócajmyż więc porządku, ale przeciwnie pracujmy nad jego utrzymaniem, bo przez nieład i moralne zepsucie giną narody. O jakże godny byłby prawdziwych patriotów postęp, przez który dla miłości dobra powszechnego zrzeklibyśmy się przywilejów z krzywdą rodu ludzkiego pielegnowanych. Co do przedsięwzięcia twojego, nie ma ono nawet pozoru prawości, bo wydanie królownej za męża bynajmniej nie wymaga zezwolenia Rzeczypospolitej.

— Bardzo się dziwię — rzekł zamaskowany — że z ust odprawionego kochanka słyszę tak zimną rozprawę, nowomodnym filozofem i politykiem trącą, i to w chwili, w której idzie o osiągnięcie tyle upragnionego dobra. Zresztą jestem starszy od ciebie, Mości książę, i nie potrzebuje uczyć się od ciebie, co polskiemu rycerzowi w tej chwili czynić wypada.

— Jako starszy — były słowa odpowiedzi Wiśniowieckiego — musisz być rozsądniejszy odemnie. A tak jako rozsądniejszego pytam cię: coby stąd wynikło, gdyby wszystko poszło po twojej woli?

— Dowiesz się — odpowiedział drugi szydersko — dowiesz się, jak królowną ubezpieczysz w Drohimie, w tamtym obronnym zamku. Służba twoja jest ci wierna. Nimby odkryli miejsce pobytu damy, my tymczasem ułatwilibyśmy wszystko. Jesteśmy na pograniczu. Okolica tutejsza nie najlepszej używa sławy. Jest bardzo poręczna dla śmiałych napastników. Łatwiej w tych kniejach przechować zdobycz, niż w Brukselli. Podejrzenie, do jakiego może dać powód nasz postępek, pewno padnie na Brandeburczyka, który, jako stronnik cesarski, krzywem okiem patrzy na Bawarskie małżeństwo: mieliśmy zaś przykład na Ludwice Radziwiłłównie, ile on wprawny do uprowadzania kobiet.

— Przebóg! — zawołał zdziwiony Dymitr — nie schodzi na wyobraźni temu, kto ci taką myśl podał, bo nie przypuszczam, aby ona mogła się wylądź w twojej głowie. Powiem szczerze, że mi nie wiele czyni honoru, kto rozumie, że szpetność własnej niecnoty jestem zdolny położyć na cudzy rejestr, na rejestr tak znakomitego, jak elektor brandeburski księcia. I mógłżeby ten książę mieć tyle obojętności, aby wobec rozniewanego króla i ojca dozwolił obciążać się takim podejrzeniem? Nie mam także obligacji temu śliskich planów twórcy, który rozumie, że dom odziedziczony po ojcu będę skory zamienić w więzienie porwanej królownej. Jeszcze jedno pytanie: Przypuściwszy, że elektorowa zezwoliłaby na uprowadzenie siebie i osadzenie w zamku moim, i gdyby wszystko zostało tajemnicą, jakieżbyś nazначył charakter dla małżonki Maksymiljana a córki Jana III. a ją samą cóżby usprawiedliwiło w oczach świata, gdyby zdradziwszy męża i ojca, ze mną dobrowolnie lub skutkiem przemocy ujechała?

— Osobliwe pytanie rozkochanego rycerza! — rzekł zamaskowany. — A cóż innego miałoby ją usprawiedliwić jak imię księżnej Wiśniowieckiej. Zbyt ważysz rzeczy, Dymitrze. Postrzegam w tobie zimną krew stryja twojego, króla Michała, Panie świeć nad duszą jego. Wiesz, że Marja Kazimiera nie wielkiego we mnie ma przyjaciela, nie mogę jednak odmówić jej tej pochwały, że nigdy swej korzyści z oka nie spuszcza i bez namysłu chwyta się dróg i środków, które najpewniej prowadzą do celu. Co do króla Jana, prawda, że był wielkim wojownikiem w swoim czasie, ale teraz cały ster rządów zdał na swą wielowładną Jejmość, a sam spokojnie zasiewa i szczepi w ogrodzie, nadewszystko zaś liczy dukaty, które u niego większy mają powab niż listki wawrzynowego wieńca.

— Wiem dobrze — rzekł z rozjątrzeniem Dymitr — że niewdzięczność i potwarz zaćmiły jego pełne chwały życie, lecz wypadaż, abym ja do liczby niewdzięcznych należał, ja, dla którego on stał się drugim ojcem?

— I któżby się spodziewał — zawołał tamten — aby pokój na zamku był schronieniem, a stół u króla jałmużną księcia Wiśniowieckiego, pana obszernych włości, którego znana szczodroblivość tyle set biednych żywi? Nie ganie twojej, jakkolwiek daleko posuniętej wdzięczności, ale wierzaj mi, że nie tu dla niej miejsce. Ze złego stanowiska uważasz wolę króla. Pan ten przychyli się do twej strony, skoro tak Najjaśniejszej władczyni podobać się będzie. Wieczną niestałością płeć niewieścia, równie jak fortuna odznaczać się nie przestanie. Prawda, że wierchołkuje nieprzyjaźnia twojej gwiazda Polignaca, i wiatr pomyślny wieje dla tego, którego zgubnych dla ciebie przebiegów, mimo twą dobroć, nie możesz nie znać: ale konstellacje szybko się przesuwają, a powietrze może się zasępić dla przewrotnego Francuza. Jeżeli jego szala pójdzie do góry, opadnie ta, której właściciela nie potrzebuję ci wymieniać. Naostatek wierz i w to, Mości książę, że mamy stronników z tak

bystrem okiem i uchem, jak się wymaga po tych, którzy temi talentami utrzymują porządek społeczny. Przez nich dowiemy się o dogodnej porze.

— I jakże -- zapytał Wiśniowiecki — gdyby ta dogodna pora nadeszła, miałbym z niej korzystać, abym wykierował mą sprawę, którą się tak troskliwie zajmujesz?

— Czas i okoliczności — odpowiedział dągi — wyjaśniłyby wszystko. Zapewniono mi o pożywnych do uwiecznienia przedświesia naszego przygotowaniach, że cesarz Leopold z pobudek wzajemności przyrzekł dla ciebie swoje opieki i pośrednictwo dla wyjednania ci przebaczenia u królestwa Ichmość. Wiem o tem od osoby, której słowu można zawierzyć, to jest...

— Nie chcę o niej słyszeć — przerwał Dymitr — bo tylko o tyle, ileś się dotąd wygadał, ślubowałem milczenie. Powiadasz, że owa osoba zapewniła ci wzajemność cesarza i jego dla mnie opiekę. Bardzo wątpię, czybyś był kontent z nagrody Leopolda I. za twoje poświęcenie się dla mnie i dla rodaków, kiely go ani cesarz, ani ja, ani rodacy nasi nie wymagamy od ciebie. I możesz uwodzić się takimi obietnicami? I możesz przypuszczać, że cesarz, najdumniejszy w tym czasie monarcha, pochwali czyn, który nie tylko on, ale i cała Europa poczyta za zbrodnię obrażonego majestatu? I możesz pomyśleć, aby patriarcha liczne go potomstwa pochwalił to, co równie prawom ojca familji jak godności tronu uwłacza? Ktokolwiek uwiódł się tak czczemi bałamuctwami, ja w nich nigdy nie uznaję głosu cesarza, ale wezmę je za plód zniekształconych warchołów przewrotnej polityki, którzy się uwzięli wszystko zawichrzyć lub wszystko tamować, skorzy do odwrotu w opatrnej wypadków kolei, a zawsze niepomni na ciosy, jakie mogą przywalić zwiedzionych. Temi ciosami są oburzenie, wzgarda ojczyzny i całego świata.

Na te słowa Dymitra, ściągnął zamaskowaną rękę do pałasza i powiedział:

— Kiedyć tyle trwożysz sobą, więc jakże śmiesz tym sposobem i tonem mówić do mnie? Wiedz, że tylko krew twoja. .

— O tem cokolwiek później — przerwał Wiśniowiecki — a teraz jeszcze jedno pytanie: jeżeli według ciebie wyjde w przyjaźnej porze z krótko trwającego ukrycia, cóż się potem stanie? zapomniałeś, że królowna przy ołtarzu ślubowała wiare elektorowi? I cóżby mnie czekało, gdybym wśród moich współbraci przed tron króla z jego córką wystąpił, prosząc o jej rękę, to jest o rękę cudzej żony? Ciekaw jestem, jaki też sposób podałyby twój doradzca na uprzątnienie tak niby drobnej zawady jak sakrament małżeństwa?

— Zaledwie warto odpowiadać na takie pytanie — fuknął tamten opryskliwie — nie powątpiewaj zresztą, że mam gotową odpowiedź. Nie osobliwego rozwód między książętami, a niedopełnienie związku jest jednym z kanonicznych artykułów. Papież nie sprzyja Francji a ja mam słuszny powód rachować na jego przychyłność.

— O, zapewne! — zawołał Wiśniowiecki z ogniem. — To tedy masz mnie za zdatnego do zhańbienia przez zuchwały zamach pierwszej z polskich dziewic wobec żyjących i przyszlých pokoleń? Bardzo źle i o królownej polskiej trzymasz, kiedy rozumiesz, że dobrowolnie podda się pod brzemie sromoty. Mówiłeś o niej z ubliżeniem czei, która się jej należy. Żądałeś krwi mojej, teraz ja żądam twojej, aby czemu z prawa stało się zadosyć. Ale jeszcze jako twój krewny chętnie ci przebaczę, jeśli zaniechasz czynu sprzecznego z prawidłami chwały i rozsądku.

— Przyjmuję wyzwanie — odpowiedział drugi w gwałtownem wzruszeniu. — Twoja bojaźliwość nie jest mojem udziałem, a twoje nudne rozumowanie nie trafia do mego przekonania. Dałem słowo i dotrzymałem go, dałeś ty swoje i złamałeś je.

— Czy takie jest twoje ostateczne postanowienie? — zapytał Dymitr, odskakując w tył.

— Takie a nie inne: *Verbum nobile debet esse stabile*
— odpowiedział drugi.

— I moje jest *stabile* — wykrzyknął Dymitr. — Dotrzymałem, com ślubował w Marymoncie: nikomu z ludzi nie powierzyłem nazwisk sprzysiężonych. Żadnej wam tamy nie kładłem. Wynurzyłem, co czułem, ale wszystko na próżno. Dosyć już tego. Tu się rozstają nasze drogi. Zastrzegłem sobie wolność: teraz z niej uczynię użytek.

— Jak ci się podoba — powiedział zamaskowany. — Wole rozprawę na pałasze niż na wykręty. Masz mnie gotowego.

— Więc się przygotuj, nie pierwszej to miejsce opuścisz, póki po moim trupie nie przejdiesz. Powiedziałaś, że mam wiele podobieństwa do króla Michała; ja zaś ci zapowiadam, że mam go dosyć i do mego dziada Jeremiasza; potrafię jak on poskromić zbójców i zdrajców ojczyzny.

Ten sam wykrzyk wściekłości był odpowiedzią zamaskowanego; w okamgnieniu spadły płaszcze na ziemię i wnet mierzyły się szable dwóch spokrewnionych rycerzy.

Już nieco przed wybuchem pojedynku, żwawa rozprawa zwróciła uwagę ukrytego w lesie hufca. Teraz więc otoczył hufiec swego zamaskowanego dowódcę. W tej samej chwili nadbiegli pancerni księcia Wiśniowieckiego przez Jorkiewicza prowadzeni i uszykowali się na równinie. Długo trwała walka dwóch rycerzy, długo przy bladym świetle księżyca błyskały wznoszone i spuszczone oręż: aż nareszcie pałasz Dymitra ugodził przeciwnika i zranił go śmiertelnie. Padł na ziemię zwyciężony i krwią swą zafarbował ziemię śniegiem okrytą. Ale gdy Dymitr nachyla się do powalonego, cios zabójczy uderza go w głowę i głos szyderski, kiedyś w sali Marymonckiej przez Dymitra słyszany, roznosi po powietrzu następujące słowa: „tak płacą dwujęzycznemu obłudnikowi“.

Nie długo cieszył się swym tryumfem zabójca. Szabla młodego wachmistrza pomściła się niegodziwego czynu; poczem walka stała się powszechną, i jak często na tyłu miej-

scach rozległej dziedziny Polaków, tak teraz na tem, rodacy przelewali krew swoich rodaków.

Już świt poranku rozpędzał nocną pomrokę, kiedy ciche ale powtarzane pukanie we drzwi gospody usłyszała Regina. Już skrzętna gospodyni była na nogach i zabierała się z dziewczkami do sprzątnienia ze stołów, z ławek i dylów, z półmisków, talerzów i dzbanków tego wszystkiego, co na nich lub w nich po wczorajszych licznych odwiedzinach było zostało. Co ślina do ust poniosła, to wszystko gniewność na nieschludność gości miotła. Zbyt ranne nowego gościa pukanie tem bardziej rozburzyło gospodynię. Mimo przecież tak mocne do niezadowolnienia powody nie odmówiła wstępu pukającemu. Aliście osobliwe zjawisko, już to zadziwienie, już bojaźń w niej wzbudziło. Czarna, dawno znajoma jej suknia, teraz poszarpana, wisiała na chudej postaci przybyłego; z pod opadłych pończoch wyglądały wstydlive kolana, kapelusz i peruka gdzieś daleko zaległy, a obnażona łysina utrudzała rozpoznanie twarzy, która mało przedtem mieściła w sobie powabów, a teraz postradała je do szczętu przez mnogie guzy i krwią nabrzękłe sińce.

I któżby się spodziewał, iż to był Lactantius Scamni-pedius? Głosem ochryłym, z miną upokorzoną przemówił mąż znakomity:

— Bóg dobrotliwy wyrwał mnie ze szponów tygrysów i lwów, i przywiódł do ciebie, pani, która zapewne jak litościwa Samarytanką najejesz wina i oliwy na rany moje, idąc za duchem Pisma Świętego, którego gorliwą wielbicielek i znawczynię w tobie, dawna dobrodziejko moja, mam zaszczyt powitać. Ale przytoczone słowa potrzebują małego komentara: nie żądam oliwy, a wino za drogie na te ciężkie czasy proszę tylko o trochę wódki, abym obmył rany moje przez okrutnych papistów zadane w boju, z którego ledwie tę rękę kołającego się we mnie ducha uniosłem.

Wlepione w czasie tej perory w błaganą Samarytankę oczy napróżno w niej szukały dawnej przychylności. Spoj-

rzawszy z ukosa na żebrzącego, sucho i krótko zapytała imość:

— Skądże-to przybywacie, zakrystjanie Bankbeinie?

— A skądżeby — odbąknął strapiiony — tylko od Goga i Magoga i od ich piekielnych hufców. O! źle mi poszło między niesprawiedliwymi — i tu zwrócił cheiwe spojrzenie na grzejące się przy ogniu piwo — wielbij, duszo moja, Panna na wysokości, żem jak drugi Daniel wyszedł z jaskini lwów i znowu między sprawiedliwymi Lutrami przebywam, i do tego w waszym, mościa dobrodziejko, domu, którego najcelniejszą jesteś okrasą.

Nie zaraz odebrał odpowiedź skruszony biedak; nareszcie otwiera usta gospoia i cała stanąwszy w płomieniach, wykrzyknie:

— Otóż mi drugi Daniel! a niechże nas Bóg zachowa od takich proroków. A czyż prorok Daniel pił wino z Chaldejczykami, czy im trzymał strzemie, czy wchodził w spółkę nieprawości z kapłanami Beli w Babilonie? Wyglądasz, jakbyś powracał z szermierki niecnego pokolenia, gdzieś tam między kniejami, jak niesie pogłoska, stoczonej. Otóż mi piękne sprawki owe zakupy książek do nabożeństwa. Jaka praca, taka płaca. Nie masz tu ani oliwy, ani wina, ani wódki, ani piwa dla fałszywego proroka i tajnego jurgieltnika papistów. Idź sobie precz; niech ci obmyją i obsmarują twe guzy tam, gdzieś je oberwał. Niech meklerowie nie wążą się kalać mego domu. Wynoś się tedy natychmiast, a jeżeli raz jeszcze pokażesz mi się na oczy, obmyję ci czem ciepłem twoję łysinę.

Zamach miotły, którą rozgniewana imość zamierzyła się na struchlałego grzesznika, dodał skrzydeł jego znużonym i wyschlým nogom.

Już Regina miała przed uciekającym zatrzasnąć drzwi, kiedy ją uderzyło i jej zapęd wstrzymało nowe, nierównie poważniejsze widowisko. Oto nadjeżdża ku gospodzie żołnierz, któregośmy pod nazwiskiem Jorkiewicza poznali, za nim wło-

ką się odarci z płaszców, zranieni i skrwawieni czterej inni w ubiorze jazdy, dźwigając na noszach zbladłego, na pół umarłego, bogato ubranego młodzieńca. Po jego policzkach spływa krew strumieniami, a zraniona głowa jest obwinięta chustami.

Ten okropny widok przejął Reginę tak wielkiem politowaniem nad cierpiącym Polakiem i katolikiem, że nie tylko natychmiast otworzyła na rozcież drzwi przed przybywającymi, ale nadto kazała wnieść chorego do alkierza i złożyć go na uślanem łożu. Nie dosyć na tem. Pobiegła do domowej apteczki, wybrała z niej maści i olejki, i opatrzyła rany. Wnet gruchnęło w pobliskiej wsi, że w gospodzie Reginy leży śmiertelnie chora, jakaś znakomita osoba, i że tą nie kto inny być może tylko ksiązę starosta Drohimski.

Jeszcze gospodyni była zajęta usłużeniem choremu i wojskowymi, którzy go przynieśli, kiedy po izbie gościnnej rozległ się głos bogobojnego pozdrowienia:

— Niech będzie pochwalon Jezus Chrystus.

Tu, znowu zadąsana Luterka odpowiedziała nie jak zwykle: na wieki wieków, ale tylko: pięknie dziękuję — i gdyby mogła, pokazałaby drzwi przybyłemu, skoro w nim ojca Liboriusa poznała. Ten z powagą kapłańską zapytał: czy się tu nie znajduje jego jednowierca umierający lub umarły, któremu on z obowiązku powołania swego przychodzi udzielić pomocy religijnej. Grzeczność, jaką wchodzącemu zrobili wojskowi i okazana radość z oglądania lekarza dusz, który szczególnie, jak się zdawało, był potrzebny dla nie-szczęśliwego, wstrzymały wybuch złego humoru gospodyni. Pokazała tedy zakonnikowi pokój i łożo chorego. Wchodząc, minął się Liborius z wybiegającym Jorkiewiczem. Krew już cieknąć przestała z pod opatrzenia skaleczonej głowy i zsiadła się na twarzy jak u trupa bladej, oczy były zamknięte, usta na pół otwarte żadnego nie wydawały oddechu, serce spoczywające nie podnosiło nieruchomej piersi. Struchlał Cysters, postrzegłszy to i zawołał:

— Jezus Marja! Nie żyje, ach! nie żyje.

Nadeszła Regina, przywołana przez strapionego, prawie zmysłów pozbawionego Jorkiewicza. Liborius przystąpił do zbroczonego łoża, ukląkł przy niem i zaczął odmawiać psalmy pokutne.

Napróżno kobiety i mężczyźni, zbiegłszy się do alkierza, przywoływali uleciałe życie młodzieńca. Między otaczającemi łoże odznaczała się młoda dama, w kosztownem podróżnem futrze, której towarzyszyła inna, wiekiem poważna. Za niemi stał jakiś prałat z mężczyzną w czarnej sukni i węzełkowatej peruce, sparty na hiszpańskiej trzcinie z kolanową rękojeścią. Służebnice i kilku jeźdźców z królewskiej gwardji byli w tyle.

Drżącym ale szybkim krokiem przystąpiwszy do nieśczęśliwego pierwsza dama, nachyliła się ku niemu, dotknęła ręką spokojnych piersi jego, skropiła je swemi łzami i okiem zboleiałem mrugnęła na czarno ubranego jegomości. Ten zbliżył się do skostniałego rycerza, ujął go za rękę, która kurczem ściśnięta zdawała się trzymać rękojeść pałasza, i trząsnawszy głową, odszedł.

— I cóż? doktorze O'Connor — cichym głosem zapytała młoda dama.

— Jeżeli duch jeszcze nie uleciał — odpowiedział z surową miną Anglik — tedy jest na wylocie. W mocy tylko Dawcy i Pana życia zatrzymać je w skolataney lepiance. A ponieważ ja nie mogę odstąpić Waszej elektorskiej Mości w podróży, która żadnej zwłoki nie cierpi, tedy zostawię tu jednego z chirurgów, którego obecność jest potrzebniejsza dla ranionego niż moja.

— Ach? uczynić co możesz — zawołała dama, okiem boleści wpatrując się w doktora — prawda, że musisz jechać i ja także muszę.

Mimo to nie ruszyła się z miejsca, ale poglądała na krwią zbroczone, blade jak chusta oblicze, szukając i nie znajdując w niem iskierki życia.

— Miłościwa Księżno Elektorowa! — rzekła z nieśmiałością starsza dama — racz zważyć, że jeszcze duży kawał drogi mamy przed sobą do Frankfurtu nad Odrą, kędy posłowie elektora brandeburskiego czekają na łaskawe przybycie Wasze.

— Dobrze, dobrze, kochana księżno wojewodzino! — odpowiedziała Teresa Kunegunda jakby z twardego snu obudzona. — Ruszajmy więc i niczyjej cierpliwości nie nadużywajmy. Ale jeszcze moment — dodała z pomieszaniami. — Śmiertelnie raniiony był towarzyszem mojej młodości, zasłużył on na słowo mego pożegnania.

To powiedziawszy, wydarła kartkę z pugilaresu, skreśliła na niej drżącą ręką kilka słów, i przyzwawszy jednej ze swych służebnic, rzekła:

— Ewo Jorkiewiczówno! ten nieszczęśliwy rycerz był dobroczyńcą twych ziomeków, ty sama wychowałaś się w domu jego: zostań więc przy nim.

Gdy dziewczyna uściskała kolana swej pani, tak mówiła:

— Posłuchaj jeszcze: jeżeli żyć będzie, oddasz mu ten bilet i powiesz, że to jest pożegnanie przyjaciółki jego. Jeżeli umrze, połóż go w trumnie na jego sercu, które dla mnie biło.

Gwałtowne łkanie przytłumiło te ostatnie słowa, poczem znowu rzekła:

— Idźmyż teraz, księżno Czartoryska, aby Brandeburczycowie zbyt długo na nas nie czekali.

Cichość i samotność powróciły do gospody, i tylko Jorkiewicz z siostrą, wnukowie dawnego marszałka Wiśniowieckich, zostali przy łożu nieszczęśliwego Dymitra.

Rozdział 5.

Znowu upłynął znaczny przeciąg czasu, a wszystko się prawie na wilowni zdarzeń naszych odmieniło, oprócz znakomitszych osób działających. Wprawdzie Opat de Bonport posiadał jeszcze zaufanie królewskie i nie przestawał być w łaskach Marji Kazimiery, przecież, pomimo tego i mimo przewagi, jakiej poseł francuski nabywał widocznie nad dyplomatami austryjackimi, dalekim on był jeszcze od osiągnięcia głównego celu swojej misji, a tem było rozwiązanie przymierza z cesarzem, i przywiedzenie do skutku pokoju między Rzeczpospolitą a Portą. Nie we wszystkim też i Ludwik XIV. uścił się w przyrzeczeniach swoich, jakkolwiek usilnie starała się królowa u niego o godność parowską dla rodziny swojej, wciąż przecież odmawiał jej naleganiom, a przyczyny tego oporu trudnoby nawet było się domyśleć, gdyby tajnemi były niechęć osobista króla ku staremu margrabiemu d'Arquien i zabiegi nieprzyjaciół jego przy dworze wersalskim; zezwalał tylko Ludwik na dożywotni tytuł księcia dla ojca Marji Kazimiery; lecz ten nie wystarczał jej zamysłom. Popierał je silnie ze swojej strony i Melchior de Polignac; a przecież winiono go za niepomyślny ich skutek i dość często wyrzucano mu, że nie tyle się poświęca, ileby Marja Kazimiera miała prawo tego się po nim spodziewać. Korzystając z takiego położenia

rzeczy, wdała się w tę sprawę Austria i popierała starania Jana III. u Stolicy apostolskiej. Obietnice hrabiego do Thun, ile te przynajmniej tyczyły się Henryka de La Grange, nie były tym razem bezskuteczne; i ten, którego uważano nie-dosć godnym, aby wstąpił do liczego pocztu parów Francji rzymską purpurę otrzymał. Już sam ten kapelusz czerwony nie mało zaważył na szali interesów austryjackich, ale jeszcze wyżej podniosła się szala z przeciwnej strony za nowym dowodem nieuczynności króla francuskiego. Wyrobić chciała u niego Marja dla swego ojca wakujące opactwo Fécamp, aby przy pomocy hojnych jego dochodów nowy kardynał przyswoiciej mógł godności tej odpowiedzieć; całą dla niej odpowiedzią były te wyrazy: — dochód beneficjum tego przeznaczony jest dla ubogich, a Ludwik XIV. nie widzi powodu zmieniania takiego postanowienia dla prałata, który tak bogatą królową córką swoją nazywał. Ze wstrętem tylko zdołał Opat de Bonport odpowiedź tę królestwu obwieścić; jakoż nie wiele skutkowały wyrazy ubolewania, jakimi starał się przykrość zlecenia swojego złagodzić; królowa przyjęła je dumnie i niechętnie, a sam nawet Jan winił Francję, że niewdzięcznie zapomina, iż kiedyś służącego mu jako królowi polskiemu w równi z innymi katolickimi mocarzami prawa prezentacji na kardynałstwo, użył na korzyść biskupa de Beauvais Forbin - Janson, dając tym sposobem pierwszeństwo Francuzowi przed współubiegającym się polskim prałatem. Niesmak, który i tak już królowa z obrażonej dumy uczuwała, musiał się jeszcze zejść z obawą o wypadek przedsięwzięcia wcale innego rodzaju, bo z żądzy zbiorów wynikłego; zatonął był jeden ze statków wysłanych przez królową z porady posła ze zbożem do Francji; wyglądało więc z niecierpliwością, rychło o szczęśliwym zawinięciu reszty i korzystnej sprzedaży ładunku zawiadomią. Tak więc schodziły się różne okoliczności, już to mało znaczące, już ważniejsze, i zwolna węzeł dwie korony spajający rozsuwały. Najpierwszym skutkiem tego było, że królewicz Jakób, jak to wcze-

śnie Polignac przewidział, nakłonił się znowu na stronę Austrii i to z większą, jak kiedykolwiek gorliwością. Ale wpływ stronnictwa tego dał się wkrótce widzieć i na sposobie myślenia obojga Najjaśniejszych małżonków. Coraz słabiej wystawiał Jan III. zięciowi swojemu elektorowi bawarskiemu potrzebę sprzymierzenia się z Francją. Tak więc Maksymiljan Emanuel, nie tylko jako członek rzeszy, ale i jako namiestnik hiszpańskich Niderlandów, pozostawał w zaciętej wojnie z Ludwikiem XIV. którego sprzymierzeńcem, wbrew wielokrotnych zobowiązań się, stać się miał dopiero po wielu latach, gdy wczesny zgon jego syna z pierwszego małżeństwa wszelkich go praw do zakłóconego po Karolu dziedzictwa pozbawił. Wyszło więc na to, co Melchior de Polignac utrzymywał, że sprawowanie urzędu ambasadora przy dworze warszawskim nie jest to zadanie dla nowotnego w trudnej szkole dyplomacji, i dla tego dość po myśli jego wypadł przyjazd margrabiny de Béthune, której, na wstawienie się jej siostrzenicy elektorki pozwolono wrócić do Polski, gdzie pod postawą wdowy bez pociechy i podpory, modłom tylko i pokorze oddanej, postanowiła przyjaźnej oczekiwać pory, w którejby właściwy sposób myślenia godziło jej się objawić.

Nazajutrz zrana po przybyciu tej pani, w jednym z pierwszych dni wrześniowych r. 1695, otrzymał był Opat de Bonport, wraz z nadeszłemi do niego z rozmaitych stron doniesieniami, kilka zeszytów pism publicznych, a między temi i gazetę Ługduńską, tyle podówczas upowszechnioną. Tę ostatnią przesłał niezwłocznie królowej, może w celu przekonania o hołdzie zwyczajnym skwapliwych usług swoich, a może też i w innym zamiarze. Sam zajmował się właśnie przeglądaniem świeżo otrzymanych wiadomości, gdy przysłano z Wilanowa zaproszenie, aby najspieszniej przybył przed Najjaśniejsze Państwo.

Ambasador przyjął wezwanie to, jak gdyby się go był spodziewał, jednakowoż, gdy po odprowadzeniu przysłanego

doń pazia powrócił z przedpokoju do siebie, szybko pod palcem jego przewracać się zaczęły karty znanego nam już dzienniczka; wzrok pełen zastanowienia utkwiał w hieroglifach, któremi były zapisane, a po braku pospiechu w wydawanych przezeń do wyjazdu rozkazach i po zasępiającym się raz po raz czole jego widać było człowieka, który przezwiduje niełatwe do przebycia koleje. Wtem dano znać, że przybył la Brie, i w tejże prawie chwili ukazał się sam oznajmiony we drzwiach prowadzących na skryte schodki, ponieważ za zmianą zamysłów księcia Jakóba spotkał już to nie dopiero szpiegującego pokojowca jego zakaz pokazania się kiedykolwiek na głównych schodach pałacu nowego kardynała. Mniej też w nim dzisiaj widać było zaufania jak ostatnim razem, gdyśmy go w tajnym gabinecie Opatu de Bonport uważali, ale za to uprzejmiejsze spotkało go teraz przyjęcie. Bardzo uważnie słuchał doniesień jego Polignac: rysy jego twarzy wypogadzały się coraz więcej, a gdy tamten skończył, poseł, zabrawszy z sobą jedną ze wspomnianych dopiero depesz, wsiadł do pojazdu z widocznie ulżonem sercem i pojechał ku letniemu mieszkaniu Jana III.

Gdy przechodził przez otwarte przedsienia zamku, spotkał go ojciec Vota, wychodzący z pokojów; bystre oko posła odkryło zaraz widoczny wyraz zadowolenia w rysach księdza, który go z głębokiem witał uszanowaniem. Z powagą dziękując, Opat de Bonport powściągnął kroki spieszącego kapłana zadaniem pytaniem:

— Jak się ma król Jegomość? Najjaśniejszy pan raczył mnie wezwać i mam nadzieję, że nie zaszała żadna niekorzystna zmiana w stanie jego zdrowia.

— Niestety! odpowiedział Jezuita, stan zdrowia Najjaśniejszego Pana nie jest taki, iżby mógł pocieszać wiernych i prawdziwych sług jego; jednakże nie sądzę, aby słabość miała być powodem wezwania Jaśnie Wielmożnego Pana, jakkolwiek król znajduje się teraz w ręku przybocznych lekarzy.

— Może być — dodał tonem niezłym — może być, że potrzebuję król Pańskiej, rozweselającej rozmowy i wymowa jego może tym razem przyczynić się do rozpaddinga złego humoru króla Jegomości.

— Nie zapomnę o tem, rzekł Polignac, że w tem przedsięwzięciu mam za współnika was, ojcze przewielebny, i starad się będę, niebym przynajmniej za wami nie pozostał.

Niski się pokłonił ojciec Vata, a Opat walnym krokiem postępował dalej. Na samych schodach spotkali go biskup Płocki, kardynał, kanclerz i kilka świeżkich panów, których znał jako sprzyjających domowi Austryjackiemu i przychylnych królowi. Przed spotkaniem prowadzili żywą rozmowę w języku ojczystym; a wyraz ich twarzy poważny i nieco skłopotany niewiele się wypogodził, gdy z lekkim powitaniem mijali Opat. Posel z pewnym redrajem zwłoki zbliżał się do przedpokoju, gdzie postrzegł Małachowskiego lubięńskiego, który równie jak inni, niechętni byli wejść z nim w rozmowę.

Jednakże Polignac, osmielony bliską z nadchodzącymi znajomością, a może przez właściwą sobie chęć umiadowania się, uczynił krok pierwszy zbliżenia.

— Powiedz mi, księżo — zapytał tonem wyśladajcym rozdzwienie, czy się tu do nadzwyczajnego stało? wyraz twarzy wszystkich spotykanych osób naprowadza mnie na ten wniosek.

— I wasz zwykły wesołość zdaje się być ulotno zmieniona — odpowiedział książę.

— Im rzadziej ta zmiana, ciągnął posel, na was dostarczając się dalej, tem bardziej mnie to zatrwala i czyni niespokojnym władzę tego zamku.

— Stanowimy Opatcie — rzekł wielki podskarbi lekkim, nieco szyderczym tonem, jeżeli tu was cokolwiek nabawie niespokojności, to niespokojność jest pewnie o kogo innego, nie o króla. Wiedzie dobrze, jak się na dworach dzieje zwykle: tam z twarzy sług o humorze panów z łatwością wnosić

można. Wilanów mniejszy jest niż Wersal i z tego powodu objawia się tem prędzej wszelkie działanie. Jak mnie się zdaje, wezwani jesteście, panie ambasadorze, do króla Jego mości; niechcę więc was wstrzymywać od zgłębienia przyczyny tego, co was teraz zadziwia; życzę nawet, ażeby się wam udało podnieść tę zasłonę, gdyż nie tylko Francuz lecz i Polacy nie mogą być obojętni na wszelki wypadek, któryby godność ich króla mógł obrażać.

Słowa te były dosyć mocne i zwróciły uwagę posła; przez chwilę krótkiego zastanowienia szukał we własnem sumieniu przyczyny tego przyjęcia a w części przewidywał może i przyszłość... Przysiąc należy, że to sumienie nie było zupełnie czyste, mimo to jednak uzbroił się myślą w przysłowiu francuskim zawartą :

— Wino jest nalane, trzeba go wypić.

Poczem wszedł do antykamery z tą przytomnością i krwią zimną, która mu i w daleko późniejszych latach była właściwą, a nawet w nierównie trudniejszym położeniu, gdy skłonność jego do księżnej du Maine i duma zawikłały go w wiadomy związek przeciwko Regentowi, Filipowi Orleańskiemu, a który to postępek mniej nawet surowi sędziowie podobnym do zbrodni stanu uznawali. W tej sali znalazł posel dwie tylko osoby: do jednej z nich zaczął zaraz otwarcie i z przyjacielskiem wyłaniem mówić. Zarzycki, stary sługa zamku, przychylny rzeczywiście jednemu narodowi pośród którego większą i najpiękniejszą część życia swego strawił, nie odpowiedział ze zwykłą uprzedzającą słodyczą na łagodne słowa posła. Zrobił ukłon pełen uszanowania lecz zimny, i milczeniem dał poznać oczekiwaniem, ażeby szedł do królewskich pokojów; lecz druga obecna osoba zwróciła na się uwagę Polignaca, a wydatność rysów, czarne włosy i uderzająca ruchomość poruszeń jawnie przekonywały, że to Włoch być musiał. Wchodząc, usłyszał marszałka domu mówiącego :

— Signor Romanini bądźcie tak łaskaw i chwile w sali służby raczy się zatrzymać.

Wymienienie tego nazwiska uczyniło widoczne wrażenie na wielkim pośle Ludwika XIV. Przy drzwiach gabinetu królewskiego zatrzymał się na chwilę ambasador, gdyż usłyszał głos donośny i jednotonny królowej, który zdawał się oznaczać, że jest zajęta czytaniem czegoś. Obawa, ażeby nie przerwał, nie radziła mu postępować naprzód; szybko więc obejrzał scenę, na której, podług wszelkiego podobieństwa do prawdy, czekała go trudna i niebezpieczna do odegrania rola. Drzwi skrzydłowe były otwarte, ażeby powietrze miało wolny przeciąg, uchylone zaś firanki drzwi szklanych dozwalały posłowi widzieć, co się wewnątrz działo. Jan III. siedział blisko okna w obszernem krześle; i jakkolwiek Polignac był bardzo sobą zajęty, nie mógł jednak na widok króla, dotkniętego wodną puchliną, stłumić w sobie pewnego bolesnego uczucia. Męski rumieniec znikł z twarzy monarchy, a jego miejsce zastąpiła śniada bladość; piękne oko nie straciło wprawdzie dawnego ognia, lecz części białe przybrały kolor żółtawy. Czoło zwykle wesołe i usta często uśmiechające się zdawały się być ściągniętymi przez ból i usilność ukrycia dolegliwych cierpień. Jedna noga wyciągniona, była w ręku Chirurga, który ją przewiązywał, radząc się niekiedy przez pytające spojrzenia lekarza nadwornego Jonasa, porządkującego na bliskim stoliku flaszki i narzędzia chirurgiczne.

W celu odwrócenia uwagi cierpiącego od bolesnych wrażeń, królowa, siedząc na łóżku, czytała niektóre wyjątki z gazet paryskich; zawierały one wiadomość o postępach po długiej przerwie znowu szczęśliwego oręża francuskiego, i o przedsięwzięciach marszałka Villars we Flandryi i Brabancie. Lecz Marja Kazimiera nie zdawała się jak dawniej, w zapale dumy narodowej, cieszyć szczęściem i sławą swoich współziomków; ton jej był nieco szyderczy przy czytaniu okresów, w których gazeciarz stylem nadętym czyny generałów przypisuje samemu królowi, który przynajmniej wtenczas nieszczególny miał w nich udział; najbardziej zaś gniew

jej zapalało wspomniane nazwisko księcia Villars. Jan III. słuchał czytania z całym uczestnictwem starego rycerza i wodza, który przy podobnych wojowniczych opisach mógł niewątpliwie razem ze sławnym Corregio powiedzieć: „I ja jestem malarzem...” i rzeczywiście, zdawało się, że obudzony wspomnieniami ogień zmniejszał na chwilę dolegliwe cierpienia chorego. I na twarzy króla widać było słaby uśmiech, gdy gazeciarz ciągle i ciągle kazał się odzywać trąbie sławy na cześć Ludwika XIV., który nie stał jak dawniej na czele wojsk swoich, lecz w znacznej od nich odległości, posłuszny radom pani de Maintenon, igrając ze zlotemi puklami księżnej de Fontanges, wawrzymem swoich marszałków koronę swoją usilnie ozdabiał. Jonas, lekarz nadworny, nie zwracał pozornie uwagi na to, co przed nim się działo, bądź, że go od tego uczucie przyzwoitości wstrzymywało, albo też dla tego, że mu wszelka wojna obojętną była od czasu pamiętnego zburzenia Jerozolimy; chirurg zaś, Francuz zapalony, oglądał się niekiedy i zdawało się, że był bardziej wypadkami nad Skaldą, niż obowiązkiem swoim zajęty.

Zaczynał się właśnie opis hiszpańskich Niderlandów i oblężenia ich stolicy: królowa przebiegała z prędkością w ucińkowym tonie szyderskiej niechęci stronniczy ten obraz, i już miała zamiar rzucić gazetę; Jan III. uśmiechał się, słuchając zuchwałego proroctwa: „że poskromienie lwa bawarskiego, pociągnie za sobą upadek podwójnego orła“. Chirurg nasz tymczasem zachwycony poezją opisu, zapomniawszy o sobie i o wszystkim, co go otaczało, zawołał z uniesieniem:

— Tak, tak! brawo, Francuzi, brawo! przecież najpierwszym królem jest Ludwik wielki; tak jest, mógłbym powiedzieć, jedynym królem na świecie.

— A czemże ja jestem *) — zawołał Sobieski w gniewie, głosem gwałtownym, wyrывая mu nogę i na pół się podnosząc.

*) Historyczne, równie jak wszystko, co w tym rozdziale następuje.

Przeleknięty i drżący chirurg cofnął się natychmiast; a lubo król uspokoił się niebawem i wezwał go, ażeby kończył rozpoczęte opatrywanie nogi, drżąca jednak ręka nie zdołała już nic więcej dokonać. Za danym znakiem nadwornego lekarza, który natychmiast zajął jego miejsce, spiesźnie się oddalił zawstydzony Francuz. We drzwiach spotkał się z posłem; ten nie mógł już wejścia swego dłużej wstrzymać, jakkolwiek mocno był przekonany, że w nienajlepszą porę przychodzi.

Może być, iż po raz pierwszy opat nie stawiał się przed królem i królową polską z tą niewymuszonością, która, będąc owocem pewności skutku, do jego osiągnięcia tyle jest pomocną, i lubo zręczny dworski abbé nigdy zupełnie nie tracił właściwego taktu, dał się przecież dostrzedz pewien rodzaj pomieszania i zbliżał się wolniejszym niż zwykle krokiem. Przyjęcie różniło się także od poprzednich. Jan III. ruszeniem ręki dał poznać lekarzowi, aby się oddalił z pokoju; z trudnością i opieszale wznosił rękę do czapki przykrywającej głowę, a usprawiedliwiając się w kilku zimnych słowach, że mu słabość nie dozwala zachowywać przepisów etykiety, wlepił niemy i poważny wzrok przed siebie. Marja Kazimiera nie mogła ukryć gwałtowności, która ją wewnątrz pożerała. W pół się podnosząc z sofy na widok wchodzącego posła, spojrzała nań z nieschętym i szyderskim uśmiechem i znowu usiadła; a odrzucając od siebie gazety, które jeszcze w rękę trzymała, zaczęła żywą grę z djamentami swoich bransoletek.

Opat Bonport czuł potrzebę przerwania tego ponurego milczenia; zaczął więc upewniać króla w imieniu swoim i swego pana, jak ich mocno obchodzi stan jego obecny; zapewnienie to wynurzał z całym zapalem podnieconym okolicznością, a może i osobistemi względem tego monarchy uczuciami; lecz zaledwie mówić zaczął, kiedy burza nad nim wisząca wybuchła.

— Wolno jest Waćpanu, Mości ambasadorze! — rzekła królowa w gniewie głosem podniesionym — wolno w obecności króla i mojej chełpić się przychylnością swoją ku nam, jak jego wiele obchodzi pomyślność nasza w każdym względzie. W rzeczy samej, daleś Waćpan, albo jeśli tak chcesz, dał król Jegomość francuski w ostatnich czasach liczne dowody, jak wiele ceni życzenia nasze i jak wielką przywiązuje wagę do życzeń naszych głów ukoronowanych on, co nie raz chciał, żeby żądanie jego było prawem dla wszystkich królów.

Polignac zdumiony zapytującym poglądał wzrokiem na króla; lecz gdy ponury uśmiech na twarzy jego nie wielką mu rokował nadzieję, prosił królowej, aby wyjaśniła to, co przed chwilą powiedziała, bo jak zapewniał, myśli w tej mowie zawarte były dla niego zagadką.

— Po co tu żądać dalszych objaśnień — przerwała Marja — cofnij się Waćpan w przeszłość, ta mu odpowie i wyjaśni rzeczy, których powtarzanie byłoby nieużyteczne. Król Jegomość francuski życzy bez wątpienia, ażeby tak jak południowo-zachodnia Europa nagina się już do jego wysokodążnych planów, ażeby mowie i Wschód jemu służył; raczyłby zapewne zgodzić się i na to, aby najpotężniejsze naszej części ziemi państwo niepomnem było na dawniejsze związki i na własną korzyść, ażeby król swoją sławę przez siebie nabytą uniżenie poświęcił chwale panów marszałków Francji, i aby można było widzieć kilka figur więcej przy pomniku na placu zwycięstwa i parę płaskorzeźb więcej na bramie Śgo Dionizjusza... Raczyłby nawet wspomniałomyślnie zezwolić, aby poeci francuscy czyny króla polskiego i jego rycerzy Ludwikowi XIV. przyswoili, jak czyny wodzów Francji; i żeby pienia ich wmówiły w potomność, że wiek XVII. nie może innego króla i bohatera wskazać nad jego samego. Gdy zaś idzie o przyznanie czegoś komuś, królowi Imci zdawało się zbyt, za usługę, co była w stanie zachwiać równowagę naszej części ziemi, za taką, mowie, usługę, ofiarować

miejsce między parami, którzy w części nie mogą być porównani z dawnymi parami państwa ani pod względem urodzenia, ani pod względem znaczenia; nawet małoważne opactwo zostało zaprzeczonem przez nagłą troskliwość o los ubogich, których liczba co rok bez wątpienia powiększa się w mniej błogosławionej ojczyźnie, a o których nie wiele się pamięta przy zbytłych festynach w Wersalu.

Przywykł był już wprawdzie poseł do słyszenia podobnych zarzutów, stokroć mu czynionych, i zawsze przez niego z całą siłą zbijanych; nigdy jednak nie czyniono ich z taką gwałtownością, i nigdy Marja Kazimiera z takim lekceważeniem nie wspomniała o królu francuskim. Wpadł na wniosek, że jakieś nadzwyczajne zdarzenie musiało stać się powodem tej burzy; co większa, pewna różnica w sposobach wynurzania się króla i królowej zaczęły go na tę myśl naprowadzać, że każde miało inną pobudkę niechęci. Zresztą był przekonany o tak wielu rzeczach, które ten wniosek usprawiedliwiał, iż w zupełnej był niepewności, z której strony napad pochodzi. Tą niepewnością bardziej niż zwykle był zachwiany.

— Z boleścią dostrzegam — odpowiedział — że Najjaśniejsza Pani wracasz do przeszłości, i w tem przypisujesz winę, co i mnie również tyle obchodziło, jak Wasze Królewską Mość; jednakże wiele z przytoczonych zarzutów nie może się stósować do mojego pana. Polska i jej król nie jeszcze nie uczyniły dla Francji. Władcę, któremu sławę swoją poświęcili, był cesarz; jaka stąd wynikła nagroda i korzyść, lepiej odemnie wiecie o tem, Najjaśniejsi Państwo.

— Pan poseł ma słuszość — rzekł Jan III. z goryczą — małośmy doznali tu i ówdzie wdzięczności; i jakkolwiek mniej właściwie, jest przecież we zwyczaju własną niesprawiedliwość niesprawiedliwością kogoś innego łagodzić. Dziękujemy wreszcie królowi i wam, mości ambasadorze, za troskliwość o nasze zdrowie, której dziś nowy, przekonywający mieliśmy dowód.

— Równie i za troskliwość, którą król Jegomość jest przejęty w każdym interesie nas dotyczącym — dodała Marja z dumą.

Co wprzód poseł przewidywał, sprawdziło się teraz. Dwojakie były obwinienia i dwojaka go burza oczekiwała; chciał wybuchnienie przyspieszyć; ażeby się z niem spotkać, zaczął więc mówić z energją:

— Za krótki był jeszcze czas, ażeby ta troskliwość mogła być czynnie w właściwej mierze okazaną, kiedy długie lata dozwoliły dworowi wiedeńskiemu o wdzięczności swojej najwidoczniej przekonać... Jeżeli król francuski miał powody, których nie znam, do odmówienia w rzeczach mniejszych wagi, znajdziesz go Wasza Królewska Mość gotowym do ważniejszych przysług. Co zaś do mego dostojnego przyjaciela i protektora, kardynała d'Arquien...

— Zamilczmy o nim — przerwała mu dumnie królowa — zamilczmy o nim i o wszystkim, co się pana d'Arquien dotyczy. Dla niego stały się łaski Jego Królewskiej Mości zbyt cennymi; a jeżeliśmy kiedykolwiek wynurzyli życzenia nasze w tej mierze, to raczej dla doświadczenia przychylności dworu francuskiego, a którą nam jego poseł z takim wylaniem zapewniał, nie zaś przez wzgląd na prawdziwą ich dla nas wartość. Ależ i tej próby nie potrzebowaliśmy dla przekonania się o tak dobrze dowiedzionej już nam życzliwości Waszej w czasach ostatnich. Nie zaprzeczysz W Pan temu, że kule i bomby dostatecznymi są oznakami sentymentu królów; a przez takie to dary król Jegomość chrześcijański okazał swoją przychylność ku nam i swoją pieczołowitość względem osób, które nas blisko obchodzą.

Te słowa odkryły posłowi jeden z zarzutów przeciwko niemu wymierzonych i usunęły część winy, która na nim ciążyła; był bowiem w stanie zwycięsko się spotkać; jednakże z udaniem podziwieniem rzekł:

— Ja nie rozumiem Waszej Królewskiej Mości: chciej, Najjaśniejsza Pani, jaśniej się wytłómaczyć.

— Jaśniej — zawołała królowa — jaśniej opisać czyny króla Ludwika! Kiedy on przez WPana dopomagał usiłowaniom elektora, mniemałam w rzeczy samej, iż ma na myśli nasze dobro, nie przewidywałam wtenczas, że córkę moję poślę do Niderlandów, aby się tam stała ofiarą dzikiej gwałtowności, ofiarą jego nieograniczonej żądzy podbojów, która ślepo i zuchwale depce po trupach tak osób dostojnych, jako i po trupach tych, których swymi przyjaciółmi być mieni!... Pozwólmy, że elektor (w czem mu nie śmiem przyganiać) był nieprzyjacielem króla, którego przychylność tak wysokiej jest ceny, iż nie każdemu się podoba zasługiwać na nią: pozwólmy, że namiestnik niderlandzki, książę państwa, był wciągnięty do wojny przeciw królowi; lecz cóż mu uczyniła żona elektora, kiedy zapomniał o tem, że jest córką króla polskiego? Miasto, w którym się znajdowała, było obleżone z jego rozkazu i działa jego obrały za cel pałac, w którym mieszkała.

— Kto Waszej Królewskiej Mości udzielił wiadomość tego rodzaju? — zapytał Polignac z żywością. — I ja odebrałem doniesienia o wypadkach pod Bruksellą, pragnę ich udzielić i ręczę, że są zupełnie innego brzmienia.

— Co innego niż prawda nie rzadko wychodzi z ust posła francuskiego — rzekła Marja głosem drżąco-gniewliwym, mając w oczach duże łzy. — Udało się wam nieraz podejść łatwowierność królowej; lecz uczucia matki nie dadzą się złudzić waszym usiłowaniom. Proszę mi wyjaśnić, jaką pociechę stąd macie, że gwałty marszałka de Villars wydarły mi nadzieję posiadania wnuka; i że wskutek przestachu elektorowa postawiona nad przepaścią grobu.

— Zanadto się Waszmość unosisz — przerwał jej król — choć gniew sprawiedliwy, nie powinien do niesprawiedliwości pobudzać. Równie jak Wam, królowo, dotkliwą mi jest naszej córki przygoda, muszę Wam jednak uczynić uwagę, iż bieg niszczącej wojny nie ma względu na nieszczęścia pojedynczych ludzi. Godzi się człowiekowi głęboko czuć podobne

kłeski, ale żaden monarcha nie ma prawa głośno się na nie użalać. i należy wybaczyć panu de Villars, że nie odwrócił armat swoich od zamku stolicy, choć wiedział, iż się w nim księżniczka polska znajduje.

Po tych słowach, bardziej zagłuszony niż zawstydzony Polignac, rozumiejąc, iż znalazł w królu swojego obrońcę, gotował się już do niego rzecz zacząć, gdy wtem Jan III. przerwał mu głośno i dobitnie:

— Dajcie pokój, opacie; prawa narodów i wojny nie są przeciwne czynowi, który naszą starość z jednej nadziei ogalaca, a jeżeli są umysły rycerskie, które w wojnie nawet z ludzkością postępować umieją, napróżno byśmy takiego umysłu szukali w arcychrześcijańskim królu. Bolesną jest strata, jakiej doznaliśmy, ale mniejsza już o nią. Obyście potrafili wiele innych rzeczy usprawiedliwić, których prawo narodów nie tylko nie dozwala, ale nawet je potępia.

Zmieszany nowym tym wyrzutem Polignac, szukał jeszcze w swej pamięci jego przyczyny, gdy znowu odezwała się królowa:

— Od wielu już lat Austria i Francja, Wersal i Wiedeń tymże samym do nas przemawiają językiem? Czego się jedna względem nas dopuściła lub nie dopuściła strona zwala to zawsze na drugą, obiedwie zaś we wszystkim między sobą sporne, w tem się tylko zgadzają, że nie dotrzymują danych królowi i narodowi polskiemu przyrzeczeń. Względem nas wszakże nie dopuścili się jeszcze tego ani cesarz ani jego ministrowie lub generałowie. Lecz cóż się dobrego spodziewać po waszym monarsze, panie ambasadorze — dodała z przekasem. — Czemże mu jest więcej nasza córka jak żoną elektora bawarskiego, i nasz nieżywo narodzony wnuk jak jego synem? Co się niegdyś z starszymi synami arcyksiężniczki elektorowej stalo, co może spotka księcia Józefa Ferdynanda, to jest przeznaczonem zapewne i całemu potomstwu elektora, mniejsza w jaki sposób, czy przez gwałt czy drogą skrytą.

Ostrym był i wyraźnym wyrzut powyższy, jakkolwiek sprawiedliwą miał przyczynę; jakoż wysokiego tylko rodzaju był do przebaczenia. Melchior Polignac, który obok duchownej swej godności, posiadał znaczną dozę narodowej i rycerskiej, szlachcie tylko francuskiej właściwej pychy, zarumienił się z gniewu; a nie posiadając jeszcze tej niezachwianej obojętności, której z wiekiem nabył, ledwie co nie odpowiedział w sposób, któryby całą skłonność Marji Kazimiery w nienawiść był zamienił, a tem samem popsuł wszelkie zamiary Ludwika XIV. Król atoli niechętnem sercem w te odezwał się słowa:

— Raz jeszcze proszę Waszej Królewskiej Mości o umiarkowanie, proszę nie mieszać smutnych wprawdzie lecz nieodwrotnych skutków wojny z rzeczami, o których tu przynajmniej wspominać zbyteczną jest rzeczą; za prawdę — dodał z powagą — należałoby mi przeprosić wielkiego ambasadora Francji za doznane dopiero przyjęcie, gdyby sam pan ambasador nie potrzebował mego przebaczenia za niektóre rzeczy, będące większej cokolwiek wagi niż proste słowa.

Poważna Jana III. mowa ukoła uniesienie się opata de Bonport; dotknęła atoli przedmiotu, którego sobie przypomnieć nie mógł i który mu dla tego ważniejszym się zdawał niż wyrzuty Marji Kazimiery; odpowiedział więc z ukłonem nieco żywością:

— Nie wiem, coby takiego gniew królewski przeciw mnie wzbudziło; ale mniemam, że się równie łatwo usprawiedliwić z niego potrafię jak z oskarżeń królowej. Wasza Królewska Mość źle jesteś zawiadomiona, zapewne przez nieprzyjaciół swej spokojności. I ja otrzymałem doniesienie, jakem dopiero powiedział; wiem, że margrabia d'Artagnan przez marszałka de Villars został wysłany...

— Marszałek de Villars — przerwała mu królowa — według dzisiejszego zwyczaju na nic więcej nie patrzy jak tylko na własną korzyść, szczyci się ze swojej sławy, lecz nie będzie miał sławy z uszanowania dla kobiet, których

podług powszechnej wieści, szczególniejszym nie jest cziecielem *). Lecz nie on tylko sam, cała Francja jest już nie do poznania, niepodobna do tej, jaką była w dawnych czasach, gdy honor był najdroższym skarbem dla wyższej szlachty; wyższa szlachta nie zna dziś innego honoru, jak rzucać pochlebne słówka Ludwikowi XIV, gdy przechodzi przez wersalską galerję, jak wzbudzać kwaśno - słodki uśmiech pani de Maintenon, dobijać się o jej łaski i wielki wstęp do zamku (*grandes entrées*). Nie dziwota więc, że francuscy naszych czasów kawalerowie z babami i dziećmi bój wiedą!

— Nie z babami, nie z dziećmi wojują dziś Francuzi — odpowiedział na nowo rozgniewany poseł, dowiodą jeszcze, że umieją z mężami walczyć, a męstwo i grzeczność w równym posiadają stopniu jak dawniej. Dwojako jest bolesnym podobny zarzut, skoro wychodzi z ust rodowitej Francuzki, i mam nadzieję, że go Wasza Królewska Mość cofniesz, jeśli raczysz zwrócić oko na to pismo arcychrześcijańskiego króla, które mi złożył polecił.

Nie jesteśmy ciekawi — odparła zimno i dumnie królowa, zwracając Polignacowi papier — nie jesteśmy ciekawi czytać zawsze słowa, które są niezgodne z czynami. Oddajcie list ten naszemu kanclerzowi, Mości panie, możecie tego natychmiast dopełnić, bo właśnie się zbliża.

W rzeczy samej nadszedł biskup płocki, co niezmiernie uradowało Opata de Bonport, bo obok niego szła dama, której wczorajsze przybycie i dzisiejsze ukazanie się poczytywał za szczęśliwy wypadek, choćby nawet zamiarowi pomyślny nie odpowiedział skutek.

— Najjaśniejsza Pani, zawołał Andrzej Załuski, wskazując na zbliżającą się zwolna margrabinę de Béthune, racz

*) Kto odczyta pamiętniki Elżbiety Karoliny d'Orleans, łatwo zgadnie, do czego zmierzała mowa królowej, oraz stopień jej gniewu w którym pozwoliła sobie wspomnieć o podobnym przedmiocie.

dozwolić, bym z urzędu mego wprowadził damę, która niecierpliwie oczekując sposobności oglądania Waszej Królewskiej Mości, prosiła mnie, bym usunął przeszkody, które jej etykieta stawiała. Spodziewam się, że mi to wybaczonem będzie.

Podniósł oczy król, a poznawszy Ludwikę de la Grange, chciał się porwać z miejsca, ból go atoli na krześle zatrzymał; podał więc rękę przybyłej z dobrocią, jak gdyby na chwilę o swej chorobie i o niesnaskach, które niedawno czoło jego zachmurzyły, zapomniał. A gdy pani de Béthune, zgiąwszy kolano i uchwyciwszy podaną sobie prawicę, wbrew dworskiemu obyczajowi, uścisnąć ją chciała, powstał i rzekł żartobliwie: — Widzicie, Mościa margrabino, że was wita podagryk, tysiącem innych boleści obarczony cherlak; nie chceście go więc wystawiać na przykrość odmówienia wam tego, co by nie przystało. Przestańcie więc na tem, kiedy powie, witaj nam, droga pani siostró, witaj w Polsce i Wilanowie.

Ośmielona margrabina powstała, rzucając wzrok niepewny na królową, zdziwiła się jednak nader przyjemnie, gdy ta, powstawszy z miejsca, wyszła ku niej w postaci nader odmiennej niż wtedy, kiedy ją żegnała.

Nie mogła sposobniejszej obrać pery do widzenia się z siostrą. Cały umysł Marji Kazimiery zajęty był gniewem na Opata de Bonport, zrodziło go nie tylko macierzyńskie ale i innego rodzaju uczucie, którego by może nie wyznała. Cieszyło ją nawet widoczne na pozór upokorzenie margrabiny, nie stała już przed nią dumna wielkiego posła Ludwika XIV. małżonka; ani kobieta, która sama niegdyś polityczną rolę z patetycznym wymusem grywała; stała prosząca, i nie bez radości widziała królową w podobnej przed sobą postawie dostojną francuską damę w obec francuskiego posła. Powitanie jej zatem, lubo nie tak uprzejme jak Jana III. przeszło jednak wszelkie oczekiwanie margrabiny de Béthune.

— Panie Płocki — zawołał król żartobliwie po pierwszym przywitaniu — czy chcecie w istocie ręczyć za to,

coście uczynili? Czyż nie wiecie, że wprowadzona dama i królom samym może być niebezpieczną? Raczyście przyjąć, margrabino, kilka komnat w Wilanowie. Nie chcemy, abyście swoim dworem mieszkali; przybywać zechcecie do naszego stołu. Podobnie jak brat nasz Karol XI. Szwedzki, nie popisujemy się z kucharzem przeł naszymi ministrami *) a przeciw innego rodzaju niebezpieczeństwu bronić będzie obecność samej królowej.

Milem było margrabinie a razem zaszczytnem i odpowiedniem zamiarowi to zaproszenie dostojnego szwagra, pochlebiał nawet jej dumie sposób, w jaki wyrzeczone zostało, wiedziała dobrze, jak jej teraz aż do sposobnej pory zachować się wypada, a gdyby i zapomniała, łatwo by jej natychmiast ściśnięte brwi królowej przywróciły pamięć. Odpowiedziała tonem skromnego żalu:

— Gdyby łaskawa Waszej Królewskiej Mości wola nie tak mi była obecną, jak dawno uplynione chwile, sądziłabym, że Wasza Królewska Mość zemnie żartujesz. Upłynęły już czasy, w których małżonka margr. de Béthune szczyścić się mogła jakowemś znaczeniem, i gdybym była rada ich powrotowi, to jedynie dla tego, by uniknąć niektórych błędów, które wówczas popełniłam. Jestem tylko biedną wdową, co z winną wdzięcznością przyjmuje łaskę, jaką Wasza Królewska Mość obdarzać ją raczysz, i która dobijać się o nią nie byłaby się pokusiła, gdyby nie dzielne wstawienie się innej osoby.

W czasie całej tej rozmowy, na Opata de Bonport żadnej nie dawano uwagi; do czego nie będąc nawykłym, gotował się już do odejścia, zwłaszcza, że wiedział, iż pierwsze słowa margrabiny usuną wynikłe nieporozumienie i uła-

*) W czasie bytności margr. de Béthune w Sztokholmie, Karol XI. zabronił panom szwedzkim bywać u siebie na obiadach; żeby za ten zakaz mniej był uderzający, rozciągnął go i do ministrów zagranicznych.

godzą gniew monarchini. Król go atoli wstrzymał, mówiąc oziębło :

— Wybaczenie, Mości panie, że zdarzenie familijne, to jest przybycie pani margrabiny przerwało nam interesa większej wagi. Wolą jednak jest moją, abyś Wasz Mość był odprawiony, nim jeszcze Wilanów, nim tę komnatę opuścisz.

Słowa Jana III. miały w sobie coś tak rozkazującego, a nawet groźnego, że poseł francuski poniewolnie pozostał.

Tymczasem pani de Béthune zbliżyła się już była do Marji Kazimiery.

— Dozwól N. Pani — rzekła w uroczysty sposób — wręczyć sobie to drogie dla mnie pismo, bo odejmujące Waszej Królewskiej Mości bolesną obawę i dające mi nadzieję, że mnie obdarzysz częścią tej łaski, którą mnie elektorowa bawarska zaszczyca.

— A więc widzieliście elektorową? szybko zapytała Marja, odbierając list z rąk siostry. — Czy byliście w Brukselli?

— Nie w Brukselli — odpowiedziała — lecz w Liège gdzie zastałam i odjechałam Jej Król. Mość w najpożądanyszem zdrowiu.

— A więc moja córka nie była zamknięta w oblężonem mieście, ani wystawiona na strzały marszałka de Villars? Toż jej i nasze nadzieje nie zostały jeszcze zniweczone przez napasę wojsk francuskich?

— Elektorowa — odpowiedziała margrabina — słusznie się obawiała, by wieść daleko rozpostarta, a stąd zwiększona, nie napełniła bojaźnią drogich jej rodziców; powierzyła mi zatem równie jak jednemu z sług swoich to pismo, które zapewne wszelkie niepokoje uchyli. Wiedziała dobrze, że siostra jej dostojnej matki dołoży w tej mierze wszelkiej pilności i gorliwości. i uzupełni ustnie to, czego pismu na dokładności brakuje. Zaszedł wprawdzie wypadek, który królewską i elektorską rodzinę smutkiem napełnił, ale niesiono już do grobu zmarłego księcia, gdy wojska francuskie pod Bruksellę podeszły. Wkrótce potem przysłał pan de Villars

do elektorowej margrabiego d'Artagnan, donosząc, iż twierdzą zamyka i zapytuje, czy elektorowa wyjść z niej nie chce? Idąc za podaną sobie radą, Jej Królewiczowska Mość odjechała bez przeszkody do Liége. Com opowiedziała Waszej Królewskiej Mości, potwierdzą własne wyrazy księżnej.

Królowa, otworzywszy list, przemówiła do swego małżonka po niejakej chwili: — Tak jest wszystko, jak margrabina powiada; tą przynajmniej razą elektor stratę swoją może przypadkowi lub naturze przypisać.

Jan III. uśmiechnawszy się cokolwiek na ten ostatni przyczynek Marji, którego żadne przekonanie przytępićby nie mogło, odpowiedział:

— Dzięki naszej siostrze, że mi oszczędziła niesprawiedliwości, bo niesprawiedliwością jest bardziej kogo obwiniać, niż zasłużył. Wy, moja żono, winniście być siostrze szczególnie obowiązana za to, iż ziomeków waszych od zarzutu, jakoby ducha rycerskiego stracili, obroniła. Oby tak było i w innych wypadkach!

Dalekim był Polignac od okazywania jakiegokolwiek radości lub będącego cechą dusz małych tryumfu, że został usprawiedliwiony. Szlachetne umysły nie szczyć się z tego, że źle nie uczyniły, a roztropność radzi im również gardzić tak nikiemną pochwałą. Chciał wszelako kilka tylko słów powiedzieć, lecz i ten zamiar nie udał się, bo Marja Kazimiera nie spojrzała nawet na niego, będąc ciągle rozmową z siostrą i biskupem płockim zajęta. Król atoli siedział odosobniony ze spuszczonei oczyma.

Długiem się zdawało postłowi to milczenie, przerywane tylko szeptaniem królowej w drugim końcu sali i krótkimi odpowiedziami, jakie dawali bisk. płocki i margrabina. Cekał on na pozwolenie odejścia, którego nigdy tak nie pożądał, jak teraz, bo czuł potrzebę uzbrojenia się w samotności lub towarzystwie doradcy przeciw spodziewanej walce. Lecz zawiodły życzenia. Król, jak gdyby po długiem wahanii

się, coś postanowił, podnosi głowę. mierzy Polignaca smutnem i groźnem okiem, i tak mocnym do niego głosem przemawia:

— Cóżem. panie pośle, bratu memu królowi uczynił, iż mi śmierci życzy, i tej koronie, nim jeszcze z mojej głowy spadnie, rzuca przekleństwa, wydzierając ją memu potomstwu?

— Najjaśn. panie — zawołał wzruszony Polignac — coś ci nawzajem uczyniła Francja, że ją tak srodze obwiniasz, dając ucho podszeptom, które jedyną są przyczyną tego, co słyszę?

— Nie sądziliśmy nigdy — ponowił Jan III. żebyście, panie Opacie, tak łatwo przyznali, co Wasz pan przekroczeniem praw, lecz co wy, panie Polignac, zdradą mego zaufania i niewdzięcznością ku nam, nazwać powinniście. Nie tajno nam, że urząd wielkiego posła z wielu rzeczy tłómaczy, ale nie uwalnia od obowiązków honorowego i szlachetnie myślącego człowieka.

— Jak widzę — odpowiedział poseł — podejrzenie Waszej Królewskiej Mości nietylko na mój urząd ale i na moję osobę pada. Jako posłowi arcychrześcijańskiego króla służy mi prawo zapytać, co jest powodem groźby, którą w słowach Waszej Królewskiej Mości znajduję i która prawom mego urzędu uwłacza; ale jako szlachcic, upraszam Waszej Królewskiej Mości o wyjaśnienie mi wyrzutu, który równie mój honor jak serce dotyka. Ostatnie będzie świadectwem przywiązania mego do osoby Waszej Królewskiej Mości, które teraz zaprzeczonem widzę.

— Zaprawdę — panie Polignac, rzekła królowa, zbliżywszy się szybko — trudno przypuścić, aby rzecz podobna stała się bez Waszej wiedzy i przyzwolenia. Krzywdziłoby nawet — dodała złośliwie — Waszę głęboką naukę, gdyby w Wersalu bez Waszej wiedzy coś podobnego przedsięwzięto. Jesteś Francuzem, mój panie, Francuzem z czasów Ludwika XIV, równie jak wszyscy twoi ziomkowie poczytałbyś za wstyd nie poświęcić wszystkiego swojemu monarsze, choćby

nawet honoru, choćby obowiązków, których niegdyś ziomkowie nasi nigdy nie nadwreżali.

Po tych słowach zamilkła z obawy, iżby mowa zadaleko posunięta nie odkryła jej osobistej ku Polignacowi urazy. Na co tenże śmiało lecz z uszanowaniem odpowiedział:

— Raczy tedy Najjaśniejsze królestwo odkryć mi rzecz całą; jeśli dotyczy dobra mojego pana, nie zaprzeczę mego współdziałania, bo jeśli to prawdą ma być, o czem dopiero pierwszy raz słyszę, nie daję jeszcze prawa do wyrzutów mojemu panu, ani razić honoru jego posłańca.

— Przekonaj się sam, panie pośle — rzekł król, podając mu papier — przekonaj się, czy ten list zgadza się z twojemi obietnicami.

Polignac czytał czas niejaki pismo, naprzód szybko, potem zastanawiając się nad pojedynczymi miejscami; żadna jednak żyłka na jego twarzy nie zdradziła jego uczuć.

Nakoniec rzekł z wymuszonym uśmiechem:

— Ile widzę, pismo to ma oznaczać list dyplomatyczny, ułożony w mojej ojczystej mowie, ale luboć jestem posłem i Francuzem, wyznać muszę, że sposób jego pisania jest mi równie niezrozumiały, jak jego treść obcą.

— Więc może mój kanclerz snadniej te hieroglify odgadnąć zdoła — rzekła Marja, zmaglając rozkazującym gestem posła do ustąpienia pisma biskupowi. Chciejcie, Mościwy panie, wyreczyć pana Polignaca.

Przytomnych oczy zwróciły się na niego, podczas gdy Andrzej Załuski zwolna i dobitnie dziwną treść pisma wykladał. List ten pisany do cesarza od Ludwika margrabiego Durlach-Badeńskiego, zawierał wiadomość, że mu dwór wersalski wszelką pomoc na sejmie elekcyjnym w Polsce zapewnił, byle jako jeden z najznacześniejszych cesarskich generałów gorliwie i chętnie przyczynił się do zawarcia pokoju pana swego z Francją. Dodatek zawierał w kopji pismo z gabinetu Ludwika XIV. z podpisem sekretarza stanu pana Chamilly, zachęcający margrabiego usilnie do ubiegania się

o tak kosztowną nagrodę, która go wkrótce spotkać może, zwłaszcza, iż chwila zejścia Jana III. się zbliża, a łudząca nadzieja jego, że syn będzie następcą, do czasu tylko z innych widoków politycznych jest utrzymywana.

— Słyszałeś więc, Mości panie, i jak się zdaje, pojawiłeś, co ci dotąd niepojętem było — rzekł urażony król z przy-ciskiem. Prawda, i nam to jest niepojętem, dla czego wasz pan po tylu oświadczeniach przychylności chciał nas poświęcić na okupienie pokoju, który mniej nagannym mógł zawrzeć sposobem. Mości pośle, potrzeba wieku, któregośmy dożyli i nie mało gorzkich doświadczeń, ażeby się z tą myślą oswoić, że Wasz mość, przyjęty z staropolską gościnnością i królewską łaską, tak się wywdzięczasz za zaufanie, którem go obdarzyliśmy. — Potem zwracając się do królowej, — widzisz, pani — mówił dalej, — jak dziwnie z twojej łaski korzystają? Radzibyśmy przypomnieć Wam dane niegdyś słowo, że zostaniecie tylko Polką. Rzuciwszy wzrok pogardy na Opata Bonport, dodał: — Teraz, sędzę, nie będzie wam trudno wyrzec się podobnych ziomków. Cóż wy na to, panie Polignac? Nie macież co odpowiedzieć?

— Nie, Miłościwy panie! odpowiedział z ogniem ośmielony już poseł; nie mam co odpowiedzieć, powtórzę tylko pytanie, które mi Wasza Królewska Mość już raz uczynić pozwoliłeś. Co zawiniła Francja, co król arcychrześcijański, że czynione zarzuty popiera list jednego z oficerów jego nieprzyjaciela? Wiadomości wersalskie, które do Waszej Królewskiej Mości przez Wiedeń dochodzą, potrzebują dokładnego roztrząśnienia.

— Zapomniałeś Wasz mość o dodatku? rzekła Marja Kazimiera.

— Nie widzę żadnego, — odpowie Opat — pismo to nie ma cechy wiarogodności, nie ma na niem podpisu, a podrobione kopje żadnego nie mogą stanowić dowodu przeciw potężnemu monarsze. I jeszcze śmiem zapytać, jak można

wierzyć pismu, które dowodzi nie tylko złości ale i nieprze-
zorności. Kiedyż to rzeczy wielkiej wagi powierzano sługom
przeciwnika? kiedyż to poświęcano przyjaźń ukoronowanego
monarchy dla przysłużenia się ubogiemu księciu, władzę po-
tężnego mocarstwa żołnierzowi, który prócz szabli nic nie
posiada? Jak można myśleć, że mój pan opuści Jana Sobie-
skiego dla Ludwika z Durlach?

Nie bez przyczyny użył Melchior Polignac tak pochle-
bnych wyrazów, które w prostocie wyrzeczone, najsmadniej
gniew łagodzą, ale mocne oburzenie króla zawiodło jego
nadzieję.

— Znowu teraz jak zawsze — rzekł Jan III. — gład-
kiemi słowy chcesz leczyć bolesne rany. Powiadają, że my
nie pamiętamy uraz, lecz teraz poznajemy, że co w prywa-
tnym cnotą, to często w monarsze jest winą. Nie pierwszy
raz dzisiaj doświadczamy, że łagodność, miasto rozbrojenia
źle myślących, do nowej utarczki ich ośmiela, dla tego na
przyszłość rzekamy się tej niekrólewskiej cnoty. Strzeżcie
się, mości opacie Bonport, byście pierwsi nie doznali skutków
przedsięwzięcia naszego! Doszła już miara niewdzięczności,
i w naszym własnym kraju, i na cudzoziemskich dworach, i
u tych, co nas najbliżiej otaczają, których my naszą przyja-
źnią zaszczytili, i w naszym własnym rodzie.

Prędko podchwycił poseł ostatnie słowa i z żywością
wybiegom towarzyszącą zawołał:

— Któż częściej nademnie bywał świadkiem tej niewdzię-
czności? I kto żałośniej nademnie ubolewał? Nawet w tej
chwili, gdy mię niezasłużony gniew Waszej Królewskiej Mo-
ści spotyka, nie mogę mieć za złe tego podejrzenia spra-
wdzonego tytuł zdarzeniami, które mi częścią przez Waszę
Królewską Mością objawione zostały, częścią z innej strony
do mej wiadomości doszły. I jam słyszał o haniebnym za-
machu na życie dostojnej osoby, i jam dzielił z Waszą Kró-
lewską Mością całą boleść z powodu zapamiętałej niewdzię-
czności młodzieńca, którego święte węzły czci i wdzięczności

z osobą jego wiąza. Wprawdzie podobny wypadek głęboko razi szlachetne serce królewskie, ale powodowane mądrością rozróżni wkrótce niewinnego od przestępcy.

— Mości opacie — dał się słyszeć biskup płocki — jak mińiam, przywodziś zdarzenie dotąd tajemnicą będące, a które sędziego łącno w błąd wprowadzi. Jakiekolwiek są powody, które wspomnionego młodzieńca wstrzymują stawić się zwycięsko przeciw oszczercom, bądźcie pewnym, że powody te są równie nienaganne, jak jego czyn, na którym się nie poznano. Niezawodnie nadejdzie dzień jego usprawiedliwienia; tymczasem ja jestem jego rękojmią, i bez wątpienia mam do tego więcej powodów i prawa nad innych.

Na co król, podając mu rękę, mówił zwolna i posepnie:

— Czcigodny biskupie, po sobie sądzisz o świecie. Dowiodłeś wprawdzie, że odmówione żądanie nie zmniejsza w oczach twoich dawnej przychylności, ale nie każdy tobie równy. Większa część ludzi, panie płocki, traci pamięć dawnych dobrodziejstw w pierwszej chwili niechęci, z powodu raz odmówionej prośby.

— Miłościwy panie i królu — rzekł wyraźnie lecz półgłosem Andrzej Załuski, rzucając gniewny wzrok na Polignaca. — Za zezwoleniem Waszej Królewskiej Mości wyłuszcze Jej całą rzecz w przyzwoitym czasie. Nie sam oskarżyciel przodkuje; *audiatur et altera pars*.

— I na co? — pytał Jan III. takim głosem jak wprzód. — Nie miło nam, przed zejściem z tego świata, szukać nowych dowodów jego zgorszenia. Poruczyliśmy Bogu w ofierze zapłatę za ten czyn, a pamięć jego odnieśliśmy do wspomnień tylu bolesnych przygód. Lecz gdy nam się podobało — mówił dalej ostro i tonem rozkazu — to zdarzenie puścić w niepamięć, wcale nie przystoi cudzoziemcowi i posłowi obcego dworu znowu je oświecać. Nawet mu to mało posłuży, bo jeśli można pobbłażać tam, gdzie pobbłażanie nie ciągnie za sobą skutków, wcale inaczej będzie tu, gdzie spokojność państwa i godność naszego domu jest zagrożona. Zaniechaj

przeto, mości pośle, tłómaczyć własną winę oskarżeniem innych, za którymi może mówi niewinność, jaką wy, acz stałych łask moich doznawaliście, poszczycić się nie możecie.

— Łaski twojej, panie, zawsze doznawałem — przyznał Melchior Polignac — i spodziewam się, że zasługuję na nią nadal. Bacność właściwa posłom i zaszczytne zaufanie obojga Waszej Królewskiej Mości zawiadomiły mnie o tem, co serce Waszej Królewskiej Mości najbardziej trapi. Kilkakrotnie pocieszałem rodziców w ich nieporozumieniu z synami i niezgodzie z pierworodnym. Prawda, że ile tego charakter urzędu i cześć winna dla rodu Waszej Królewskiej Mości dozwalały, donosiłem panu memu o bolesnem położeniu Waszem w chęci zjednania pomocy i przyjaźni monarchy mego ku Wam, Miłościwy Panie, tam gdzie moje ustawały siły. Ten tylko był jedyny podstęp, któregoś sobie pozwolił. A ciągle usilność Pana mego w przywróceniu zgody rozstrzyga wątpliwość: czyli doniesienia moje były ze szkodą Rzeczypospolitej i domu Waszej Królewskiej Mości, równie jak i moja gorliwość w urzędzie posła i w osobistem uczuciu i szacunku dla Waszej Królewskiej Mości. Ciebie, Miłościwa Pani, wzywam na świadka prawdy mej mowy.

— Tak jest — odpowiedziała Marja Kazimiera. — Obrałeś WPan, jak to pismo dowodzi, najskuteczniejszy środek pojednania zawiści książąt, usuwając obudwom jabłko niezgody.

Polignac zawołał z ogniem:

— Nie chwytalem się nigdy takiego środka, zaręczam, że i król Ludwik nie miał go nigdy w myśli. Stoję przed potężnym mocarzem; wzrok jego, ów postrach nieprzyjaciół, zwraca się z gniewem ku mnie: jednak gniew ten nie budzi we mnie obawy, gdyż tylko niechęć i oszczerstwo mogły mnie w rząd jego nieprzyjaciół policzyć. Stoję bezbronny, lecz ufam prawu, prawu, jakie przystoi fałszywie oskarżonemu przed mądrym i sprawiedliwym sędzią.

Jan III. którego rycerska dusza śmiałość nad wszystko ceniła, poważając zawsze otwartość, choćby nawet pozorną, łagodnym odpowiedział tonem:

— Dobrze czynisz, mości pośle, nie uznając winy, której wykrzycie, na mój honor królewski, nieprzyjemne dla ciebie ściągnęłoby skutki. Lecz pamiętaj, że proste zaprzeczenie nie zbija pisemnego świadectwa.

— Ja nie uznaję tego świadectwa — odpowiedział opat — o wielokrotnym fałszu przekonywa list, który nie jest ani w gabinecie mego pana, ani ręką pana Chamilly, ani żadnego Francuza pisany. Jakimże dowodem on być może w tak ważnej sprawie? Czyliż kilka słów, do cesarskiego oficera napisanych, dostatecznymi są do narzucenia króla potężnemu państwu? Za prawdę, Miłościwy Panie, los połowy świata nie tak łatwo rozstrzygnąć, a wielkiego przedsięwzięcia nie takie są ślady. Gdyby co podobnego w Wersalu przedsiębrano, uszłoby to wiadomości tamtejszego posła Waszej Królewskiej Mości, i czyliżby cesarz nie udzielił tak ważnych zleceń posłowi swemu przy tutejszym dworze, celem przedsięwzięcia stosownych środków? Zaknijmy go na cześć i sławę, czy wie o podobnym układzie? Zaprzeczy, bo luboć moim przeciwnikiem, hr. Thun jest jednak szlachetnym mężem.

Żywosć wyrazów, ton szczerości, sprawiły na królowej oczekiwane wrażenie; w zamyśleniu stała, trzymając w ręku pismo będące powodem sporu, i dozwoliła wziąć je posłowi, który z pokorą po nie sięgnął.

— Prawdziwie — rzekł on dalej, jeszcze raz z śmiechem pogardy spojrzawszy — nader niezgrabny podstęp! Dłużej nad chwilę nie zdoła uwodzić Waszej Królewskiej Mości. Niech Miłościwa Pani albo margrabina rzuci okiem na pismo, a znajomość ojczystej mowy przekona je, czyli ono, w stylu Efemeryd paryskich osnowane, może być płodem dworu Ludwika, a tem mniej pochodzić od sekretarza króla Francji i być przesłaniem księciu państwa niemieckiego.

Cofnęła się w tył margrabina z udaną skromnością, mówiąc: że tak co do znajomości języka jako i polityki (której to pismo bez wątpienia dotyka) ustępuję siostrze, i dla tego nie chce pierwsza zdania wyrzekać. Melchior Polignac przystąpił wtedy spiesźnie do bliskiego stolika, porwał kilka drukowanych zeszytów, i stanął przed królestwem.

— Oto jest Lejdejska gazeta, którą miał zaszczyt przesałać Waszej Królewskiej Mości. Pozwól Wasza Królewska Mość na chwilę łaskawej uwagi. Racz, Miłościwa Pani — mówił dalej, przerynając gazety, w której ówczesne sprawy Europy śmiałością republikańską a z zawziętą nienawiścią ku Francuzom były traktowane. — Racz, Miłościwa Pani, przeczytać, jak haniebných uwag pod protekcją stanów holenderskich pycha kupców batawskich o dostojnych głowach królewskich sobie pozwala. Nawet o królu polskim często wspominają ci nowiniarze; i na każdej karcie znajdziemy doniesienie o bliskim zejściu którego z monarchów, co, dzięki Bogu, nie jest prawdą; a wszystkich tych wiadomości źródłem ma być Wiedeń. Racz, Miłościwa Pani, porównać treść tych wiadomości z tym listem, ich sposób pisania ze stylem mniemanego Chamilly, a łatwo rozpoznasz, gdzie oczekują tego wypadku, o którym Polska i Francja z obawą myślą.

Królowa milczała, lecz spojrzała na męża wzrokiem badawczym, czyli i u niego ustąpiły już podejrzenie i niechęć. Ale król Jan, zmarszczywszy czoło, rzekł:

— Widzimy, mości ambasadorze, że nam na dostatecznych dowodach zbywa, by was o tem przekonać, cośmy niechętnie przyznali. Odraczamy tedy aż do dalszego rozpoznania. Powolność przystała sprawiedliwości, ale bądźcie pewnym, że w swoim czasie będzie wykonaną.

— Dla czego nie ma być wykonaną natychmiast? — pytał niewzruszony opat Bonport. — Czyliż ten czas nie jest dogodnym? Bezwątpienia wolno panu memu, arcychrześcijańskiemu monarsze z wysokości tronu spoglądać okiem pogardy na podstępne intrygi, ale poddanemu obojętność w tej mierze

nie przystoi i każda chwila trwającego podejrzenia sławę jego hańbi. Wszak rycerska dusza monarchy polskiego nie przygani mi tego uczucia, i nie odmówi mi prędkiej sprawiedliwości, o którą z pokorą i usilnie proszę. Nie jest mi nieznanym ów Romanini, doręczyciel sławnego artykułu, luboć go z bliska nigdy nie widziałem, bo hotel francuskiego posła nie jest miejscem schadзки Włochów i Niemców; inny pałac, wyznać muszę, służy do tajemnych obrad. Przebacz, Wasza Królewska Mość — dodał z oziebłą powagą, gdy postrzegł gniewne poruszenie króla — nie chętnie wspominam książęcą osobę syna w przytomności ojca; ale tu idzie o moje sławę, której bronić będę przeciw pierwszym mocarzom świata. Nie racz mi przeto mieć za złe, Miłościwy Panie, gdy upraszać Waszej Królewskiej Mości będę, abys poszukiwał związków księcia Jakóba z dworem sztokholmskim, z rodzonym nieprzyjacielem jego ojczyzny. Może się wtedy i sposób objawi, jakim list margrabiego do Warszawy przybył. Odwołuję się do przekonania Waszej Królewskiej Mości, lubo mi ani na dowodach nie zbywa, ani nawet na świadku, którego długi pobyt w stolicy szwedzkiej i ciągle stosunki rzetelności są rękojmią. Świadek ten jest przytomny, albowiem — obrócił się żywo ku margrabinie — albowiem Was, pani de Béthune, dwór wersalski rękojmią prawdy mej mowy postanowił.

— Mnie? — zawołała Ludwika de la Grange z udanem przełknięciem. — Dla Boga, jak może król wkładać odpowiedzialność na kobietę, na wdowę, która od marności świata ku niebu zwrócona, z przykrością sobie zgiełk jego wspomina, co ją tak długo wstrzymywał od drogi zbawienia? Jak może się domagać, bym siała niezgodę w tym domu królewskim, gdzie przytułek znalazła?

— Mościa Pani — rzekła Marja Kazimiera z przyciskiem — jak uważam, bardzoż sponożniała, odkądśmy się nie widziały. Więc musisz wiedzieć, że od wstępu na dwór nasz zaciągnęłaś powinność przychylności ku twemu Panu. Myśmy dotąd w łasce niezmienni, dla tegoż dopełnienie tej powin-

ności jest warunkiem zezwolenia mego na przyjęcie, którem cię król zaszczycił.

— Wasza Królewska Mość rozkazujesz — odpowiedziała margrabina z pokorą i zwolna — posłuszna, niechętnie zeznaje, żem słyszała nieco o królewiczu. Zezwól jednak, Miłościwa Pani, w swobodniejszej chwili wyłożyć przekonywające dowody, by mi to smutne zdarzenie nie zatruiło tej pierwszej chwili, która mię opieką i łaską obojga królestwa obdarza.

— Więc wejrzyj na moję prośbę łaskawem okiem, Miłościwy Panie — powiedział Polignac. — W imieniu króla mego domagam się przytrzymania owego Romanini; i w chęci uniewinnienia się przed obliczem Twojem, Panie, zrzekam się prawa urzędu mego i żądam, aby stanął mi w oczy.

Na to ocknęła się w sercu Marji Kazimiery cała nienawiść ku najstarszemu synowi, i rzekła z naleganiem do króla Jana.

— Żądanie opata Bonport znajduję słusznem i nie wątpię, Panie, że dzieląc zdanie moje, zezwolisz.

— Daj pokój — odpowiedział król słabszym głosem — daj pokój, i nie domagaj się bolesnej inkwizycji, której skutkiem będzie dowód, że ojciec zbyt długo dla syna żyje.

— W imieniu Ludwika XIV. mówiłem — przerwał poseł śmiało — i nie wolno mi ustąpić. Słowo moje jest słowem mego monarchy do Waszej Królewskiej Mości wyrzeczonem.

Królowa wtedy z mocniejszym naleganiem rzekła:

— Nie obrażajmy potężnego przyjaciela dla księcia, który acz naszym synem, zawsze się nam nieprzyjaźnym okazywał.

— Przyjaciela — powtórzył Jan III. z bolesnym uśmiechem — podobno żadnego już nie mam.

Potem powstał z trudnością z krzesła i, idąc pomału, mówił głosem przytłumionym:

— Niech się więc stanie, czego żądasz i co zowiesz królewską powinnością. Niełatwy to urząd króla, coraz bardziej

wydziera spokojność i odzyskać jej nie ma nadziei, chyba w sklepieniach katedry krakowskiej.

Przytrzymanie atoli Romaniniego z mniejszym odbyło się pośpiechem, niżli się po naleganiu posła francuskiego spodziewano. Kilka osób miało go nawet widzieć chwilą przed przytrzymaniem w bliskości pałacu d'Arquien. Zapytany, że kopję od ministra cesarskiego otrzymał, z przyrzeczeniem nadesłania oryginału. Wkrótce potem uwolniony opuścił Warszawę bezkarnie i spokojnie.

Domyśleć się jednak można, że to dotąd nieodsłonione zdarzenie dworowi francuskiemu i jego posłowi mniej było obcem, niż udawano, gdyż po śmierci króla, dobijał się istotnie Ludwik Durlach Badeński o koronę polską. Ale Polignacowi udało się było zrzucić podejrzenie na królewicza Jakóba, wzrastająca niechęć królowej je utrzymywała, a stałe milczenie królewicza i upór potwierdził. Tak tedy wypadek, który opatowi Bonport zagrażał zupełną utratą wpływu, jeszcze wyżej go podniósł; dalszy ciąg nam pokaże, jak z niego korzystał.

Rozdział 6.

We wschodniej stronie dawnych Prus królewskich, na jednym ze wzgórków rozległej równiny stał nad obszernem jeziorem starożytny zamek Drahim. Za czasów Bolesława Krzywoustego jako warownia przeciw niepewnym hołdownikom korony, dzikim i wtedy pogańskim Pomorzanom zbudowany, nosił znamiona dawnego bytu i lat upłynionych. Główny budynek, nieforemny i skąpy w okna, otaczały niewysokie lecz mocne wieże; w około były budynki, stajnie, spichrze i kuchnie, opasane dosyć jeszcze trwałemi murami, wałami i okopami. Przestajemy na tem krótkim opisanu zamku starościńskiego, gdyż nie do niego nam czytelnik towarzyszy.

Starostwo Drahimskie zastawiła była Rzeczpospolita traktatem Wieluńskim 1657 margrabiemu brandeburskiemu Fryderykowi Wilhelmowi; ale dla nieszczęśliwego panowania Jana Kazimierza Wazy i wyczerpanych sił państwa za następcy jego Michała Korybuta Wiśniowieckiego nie nastąpiło wykupno. Po śmierci Michała, podczas bezkrólewia, gdy sejm elekcyjny uwagę zajął senatu i rycerstwa, a tem samem osłabione siły bardziej jeszcze nadwałił, zajął Fryderyk Wilhelm Wielki samowładnie, bez opowiedzenia, zastawione starostwo, i, jak wieść niesła, w zмовie z ówczesnym posiadaczem tej ziemi.

Posiadaczem starostwa tego, był brat zmarłego króla, Dymitr Wiśniowiecki, który przewidując rezultat wyborów, sądził korzystniejszym dla siebie przejść na stronę elektora, aniżeli bronić królewszczyzn, które dawny przeciwnik domu jego miał posiadać. Przeciwnikiem tym był Jan Sobieski, którego otwartość i wspaniałomyślność wkrótce Dymitra do wiernego nadal przywiązania zniewoliła.

Napróżno później domagał się wydania tej ziemi starosta, napróżno się i książę Bogusław Radziwiłł, luboć spokrewniony z elektorem przyczyniał, napróżno i Rzeczpospolita wypłacić zastaw przyrzekała. Oszczędny elektor, mało potrzebując pieniędzy, lecz dla dumy i przyszłych widoków pragnąc rozszerzenia swych granic, wszelkim wstawieniom się odmawiał. Wiedział, że myśli króla Jana ku południowi zwrócone były, sądził przeto, że może odrzucić żądanie stanów, których ramię potężne Jana III. nie popierało.

Tak tedy z znacznej części dawnego starostwa Drahimskiego, powstał magistrat Drahimski przyłączony do Cyrkułu ks. Pomorskiego. Starożytny zamek namiestników królewskich stał się mieszkaniem brandeburskiego justycjarjusza; a w salach, gdzie niegdyś zwyczajem Sarmatów przy biesiadach wino i miód z beczek wytaczano, płynął teraz atrament. Zewnętrzną bramę, gdzie przedtem odgłos trąby zbliżającego się gościa witał, przerobiono na celną komorę, gdzie dozorca przetrząsał wozy i kosze na targ przychodzących polskich wieśniaków; a na wałach bramy, które niegdyś do igrzysk i służby towarzyszków służyły, chodził teraz stary brandeburski inwalid, na zardzewiałej hałebardzie oparty, skracając czas długi powieściami o wojnie Nadreńskiej, albo o bitwie pod Fehrbellinem. Spoglądali ponuro ci wysłużeni wojownicy Fryderyka Wilhelma Wielkiego na południowo-zachodni brzeg morza, gdzie nieprzyjazny sąsiad mieszkał; z szyderczym uśmiechem i miną tajemną polityków przepowiadali, że zamek Draheim, teraz

na kraju państw elektoratu, będzie z czasem w pośrodku krajów jego, a wnukowie, co teraz u nóg ich o orzechy i cacka się kłóć, będą może strzegli granic daleko — w głębi kraju, albo po za morzem. Ale gdy rzucili wzrok na południe, zasępiąło im się mimo żartów oko, widząc nowo powstałe mieszkanie starosty, w miejscu dawnego zamku. Z drzewa zbudowane lecz obszerne było przez następcę ks. Dymitra, starosty Drahimskiego, luboć władza jego na mały obwód się rozciągała. Wyglądało wprawdzie jak wielka chata, podobnie do wielu dworów polskich na wsi, ale obfitowało w takie wygody, nawet przepych, jakich częstokroć w ogromnych zamkach napróżnoby szukano. Ponieważ budowa ta była siedliskiem królewskiego urzędnika, a poniekąd pograniczną twierdzą, przeto otoczono ją naprędce wałami. Wprawdzie niższymi jak przy zamku, ale za to mocniej opatrzonemi w działa, które z Drahimu przeniesiono. Na przyładku od morza unosiła się chorągiew z herbem Rzeczypospolitej, której żywe kolory w przeźroczu wody się odbijały; naprzeciw niej stały zatknięte znamiona elektora ozdobione czerwonym Orłem brandeburskim, czarnym księstwa Pruskiego, i złotem berłem w czerwonym polu, znakiem wielkiego podkomorzego. Przestrzeń między wałami i domem obrócono na ogród, który po dwudziestu siedmiu latach, przedstawiał w smaku francuskim proste aleje, szpalery cięte w kwadraty i w rozliczne kształty.

Lecz wstąpiwszy wewnątrz, można było łatwo zapomnieć o nikiemnym zewnątrz widoku: przysionki wykładane były taflami częścią pokostowanemi, częścią pozłaczanemi, miśsternej roboty snycerskiej. Sala i komnaty wybite były adamaszkiem i aksamitem, podłogi okryte różnobarwnymi i bogatemi makatami i dla tego też trudno było dostrzedz, że mieszkanie nowym drewnianym było budynkiem. Przeciwnie rozkład całego domu i wesołe widoki, nierównie były po-
wabniejsze niż sklezione sale po starych zamkach. A każdy rzut oka przekonywał, że mieszkani-
ec tej chaty musi nale-

żeć do najznacniejszych i najbogatszych obywateli kraju. — W gabinecie, którego okna na małą zatokę morską wychodziły, siedział ów mieszkaniec. Młodzieńcza twarz jego, była blada i wyschła, a blask słońca zachodzącego, rzucał promienie na świeżą bliznę, która boki od tyłu głowy do czoła spadała; zmarszczki atoli przekonywały, że oprócz rany jeszcze inna, wewnętrzna boleść nadwątlila świeżość jego młodego oblicza.

Obok starosty Drahimskiego siedziała na niskim taborecie młoda dziewczyna, ubrana w czystą ale prostą szlachecką sukienkę, w rękę trzymała mandolinę, której ostatnie tony gasły, i w zamyśleniu ukradkiem zdawała się poglądać na pana.

— Two piosnki smutne, Ewo! — przemówił starosta po chwili; — i nie mam ci tego za złe, jeśli ci tu przykro; bo prawda, żeś nie małą ofiarę uczyniła, zamieniając mieszkanie w świetnej stolicy i usługi u wielkiej księżnej na samotność i dozór nad chorym.

Dziewczyna spuściła wzrok jeszcze bardziej ku ziemi, i odpowiedziała z cicha ale wyraźnie:

— Wszak ja i tu pełnię usługi księżnej i pewnie niemałej wagi. Przyznam się wam, łaskawy panie, że mi się w tym półpolskim kraju mało co podoba i gdybym obierać mogła, tedy pewnie Bruksellę, Zaslów albo Warszawę. Wszak zadanie moje jeszcze niespełnione, przywrócenie jesteście do życia, ale nie do zdrowia; ja zaś myślę, że zdrowie wam prędzej wróci w starożytnym zamku ojców, albo na dworze królewskim.

— Prawda — odpowiedział starosta; ja sam tu czuję się obcym, zwłaszcza — dodał, zwracając oko ku drzwiom przybocznym, skąd jakiś głuchy szmer od czasu do czasu słyszeć się dawał — zwłaszcza od trzech dni.

— Zdaje mi się — odpowiedziała żywo dziewczyna, że pan wojewoda zaraz po podwieczorku odjedzie, przynajmniej pan podkomorzy kazał być ludziom swoim w pogotowiu.

Przerwała tu mowę w obawie, ażeby się z czem nie wymówić, i dodała zwelna :

— Jak goście odjadą i wam się tu nie podoba, powrócimy do ojczystego mieszkania, na luby Wołyń, albo do stolicy. Tam, miłościwy panie, zaraz wam lepiej będzie, lepiej niż tu, chociaż ten dom tak piękny.

Starosta odpowiedział tylko powolnem poruszeniem głowy i łagodnym uśmiechem : wtedy Ewa, ośmielona tem połażaniem, rzekła :

— Cóż może tak wielkiego i potężnego pana wstrzymać od opuszczenia miejsca, które mu się nie podoba ?

— Na wielkich i potężnych panach, moje dziecię, odrzekł, spoczywają ciężary, które nie każdy postrzega, i właśnie dla tego tem są przykrzejsze, im mniej się postrzegać dają. Jednak nie chcę cię tu przytrzymywać, Ewo ; moja rana zablizniona za twojem staraniem, obierz tedy sobie czas i idź pożegnać krewnych, wprzód nim może na zawsze w daleki kraj odjedziesz :

— Jakżebym mogła się tam pokazać, kiedym się jeszcze z zadania mego nie wywiązała ? — zapytała dziewczyna. Co było najgorszego, dzięki Bogu, to się już nie stanie ; pozwólcie mi, łaskawy panie, wykonać to, co jest już lepszem. Wprawdzie — mówiła dalej, jākając się — wprawdzie nie przeczę, że i mnie ten Drahim obrzydł, podobnie jak wam od trzech dni...

— Więc kiedy i moja wierna — odpowiedział Dymitr żartobliwie — nie chce mię za zdrowego uznać, musi także tu jeszcze czas jakiś przepędzić, i poświęcić swemu pacjentowi równie tęsknotę za rodzeństwem i rodzicami, jak zabawy w Brukselli. Tymczasem ciesz się, moja Ewo, że są wszyscy zdrowi, a nawet i twój pradziad, jak mi donoszą. Jednak nie rozumiem wszystkiego, co mi piszą. Mów — czy nie postrzegłaś czegoś dziwnego na starym Jorkiewicz ?

— Miłościwy książę — rzekła dziewczyna z szczególniejszym wyrazem zamyślenia na twarzy — powiadają w Małej

Polsce, i wy musieliście o tem słyszeć, że kiedy ciało i dusza przeszło dziewięć razy dziewięć lat, dziewięć razy dziewięć miesięcy, i tyleż tygodni, dni i godzin razem mieszkwały, tedy dusza już nie zupełnie do ziemi należy, lecz się zwraca ku przyszłości, którą wkrótce oglądać będzie. Takto się i z pradiadkiem dzać musi, i w samej rzeczy postrzegałam to, o czem burgrabia W. ks. M. pisze. Miał mu się wydarzyć wypadek w chwili odjazdu jego z Warszawy. Przypominacie sobie dzień Trzech króli?

Przytłumione westchnienie księcia było odpowiedzią na to pytanie, a Ewa ciągnęła dalej:

— Za przykładem pańskim idą zawsze słudzy i on też w dzień ten zaprosił gości do siebie, by się z nimi pożegnać. Wtedy powiedział do nich, że nazajutrz, gdy będzie most na Pragę przejeżdżał, spojrzy jeszcze raz na to okno, przy którym król Michał W. ks. M. stryj stawał; imię tego króla zawsze jak dzisiaj było w jego ustach. Lecz gdy nadszedł dzień odjazdu, zdawanie urzędu i pożegnanie z królową Jejmością tak go roztargnęło, że zapomniał o swoim przedsięwzięciu. Gdy atoli do Pragi dojeżdżał, pośliznął się koń na zmarzłym moście, tak że wóz stanął. To mu się wydało przestrogą zmarłego pana za uchybioną powinność; zaraz się obrócił i wtedy objawiło mu się widzenie, lubo to było wśród białego dnia. Bo chociaż pradiadka oczy dla wieku są osłabłe, a zamek daleko na drugiej stronie Wisły, przecież mógł dobrze rozpoznać okno w pokoju króla Michała, a nawet i osobę króla. Ale twarz króla była smutna a gesta wyrażały narzekanie. Nawet długo nie stał, bo głos trąb zabrzmiał od zamku, z odległości słyszeć było okrzyki wojenne, podobne do bisurmańskich, i w miejscu króla Michała pokazała się postać panującego monarchy otoczonego hetmanami. Ale się wydało pradiadowi, jakem sama od niego słyszała, jakoby z pomiędzy okrzyków radości przebijał się głos żałoby. Później gasł ten widok a pokazał się inny. Po wszystkich oknach, co na Wisłę wychodziły, widać było

kosztownie przybrane osoby, nie w polskim narodowym stroju, lecz w wielkich perukach i haftowanych sukniach, jak królewicz Jakób, hrabia Thun, albo baron Symeony chodzi. Jednak nie było tam ani królewicza Jakóba, ani żadnego z braci jego. Jeden z pomiędzy nich musiał wszelako być królem, bo był bardzo miły i wspaniały. Lecz i ten odszedł od okna; na jego miejsce wstąpił inny łagodnych rysów twarzy i dobrej tuszy mężczyzna; ci zaś, co go otaczali, pozostali jak dawniej. Nawet zdawało się ojeu, że ich słyszał mówiących, ale nie po polsku, i podczas, gdy się tam hucznie przy biesiadzie bawili, zaczęły się chwiać fundamenta zamkowe. Wkrótce się inna twarz pokazała, fundamenta coraz silniej drżały, lecz ci, co w gmachu byli, zdawali się tego nie postrzegać. Skrzypce i flety dały się słyszeć, okna były uwieńczone kwiatami, widać było wiele kobiet i mężczyzn w obcisłych cudzoziemskich sukniach. Ale głos żałoby ciągle się odbijał coraz mocniej, tak dalece, iż się zamienił w trzask, grzmot i pioruny. W tem zawył grom śmierci z po za Pragi, zadrżały mury zamku jak podczas burzy liście topoli. Z krzykiem pouchodziły kobiety, ten zaś, który stał na miejscu poprzednika i zdawał się być królem, patrzył w zdumieniu przez okno, jakby chciał dociec, co się dzieje, i gdy się nachylił, spadła mu korona z głowy, stoczyła się z pagórka do rzeki, i ledwie dotknęła wody, znikło wszystko, w około było ciemno i noc. Noc ta długo, długo trwała, wtem zabłysnęło, i pokazało się na niebie światło rzucające ogniste promienie w około, i przed nimi pradziad więcej rozróżnić nie mógł; to tylko dostrzegł, że zamek jeszcze stoi, i znowu jak w pierwszym widzeniu słyszał w odległości krzyk Muzułmanów. Tu był koniec widzenia, gdyż woźnica, przystąpiwszy zapytał: — Czy nie wsiadziecie, panie, powóz już gotów? I w tej chwili wszystko zniknęło; przed nim stał królewski zamek, za nim miasto Praga bladym promieniem zimowego słońca oświecone, i chociaż mu się zdawało, że kilka godzin w miejscu przepędził, przecież nie trwało

to widzenie nad czas, w którym konia podnieść zdołano. Sądzi więc pradziad, i z nim wielu innych starszych ludzi, że owe niepojęte widzenie na moście właśnie wtedy mu przypadło, kiedy kończył liczbę dziewięć razy dziewięć. Odtąd pozostał w nim dar przepowiadania, i często z ust jego sły-chać bardzo dziwne mowy, chociaż się zawsze świadków wystrzega.

Książę przysłuchiwał się opowiadaniu temu z uwagą, okazującą panujący duch wieku owego, gdzie wiara w nad-naturalne wypadki górowała w osobach nawet najoświecён-szych. Potem rzekł :

— Smutne są proroctwa starego Jorkiewicza ; ale powiedz mi, Ewo, czy nie przepowiada on czasami losu tego domu, w którym blisko wiek cały spędził. Czyli mu duch nie objawia czego o losie Wiśniowieckich ? Dziewczę przyło-żywszy rękę do czoła, poniewolnie wyrzekło z cicha kilka słów, twierdząc, że o niczem nie wie.

— Ręczę — rzekł Dymitr, wstając od okna — że cokol-wiek wie, jest równie niepomyślnem dla nas, jak ów zamek dla Rzeczypospolitej. Burgrabia pisze mi, że się domagał, ażeby go wprowadzono do grobów przodków moich ; długi czas tam się bawił, a gdy wyszedł, tak był osłabiony i znu-żony, że na żadne pytanie odpowiedzieć nie mógł. Pewnie — dodał z namysłem — pewnie go przeczucie nie myli, bo może wkrótce sklepienie zamknie wszystko, co z dawnego rodu Korybutów pozostaje.

Wzniósł potem oko ku zamkowi Drahim naprzeciw le-żącemu i mówił dalej, jak gdyby w myślach zatopiony.

— Niezadługo nie jeden dom i ten zamek nawet pana swego zmieni, stare imiona pogasną, a nowe ich miejsce zastąpią ; może chorągiew białego orła strąca z tych słabych murów i może na zamku w Warszawie inne znamiona powiewać będą. Wtem odwrócił się spiesźnie, jakby chciał przerwać tok myśli nieprzyjemnych, i skierował mowę do Ewy :

— Pogłoska ludu, o której wspominasz, nie jest mi obcą; ale słyszałem także, że zmysł podobnie obdarzonego starca przechodzi zwykle do jego pokolenia i jest przepowiednią długiego życia; kto wie, może i z Ewy Jorkiewiczownej prorok, nie tylko piastun? Ale mi się nie zdaje, bo mój mały doktor ledwie drugie dziewięć lat liczy, a powierzchowność jej nie ma pozoru Sybilly.

— A jednak — odpowiedziała żywo dziewczyna — a jednak sądzę, że jeżeli któremu z potomków mego pradziada ma się dostać ten dar w udziale, to zapewne mnie, bo już go zaczynam doświadczać, zwłaszcza tu w Drahimie, choć przepowiednie moje nie tyle mają wagi, ile wyroki osiwiłego starca. Nawet teraz — mówiła dalej, lekliwie się oglądając — teraz jakieś bliskie przeczuwam nieszczęście, które mi duszę przenika; ale znów jestem wesółą, bo coś mówi, że wasz wyjazd bliski, wyjazd w krainę rozkoszy, nawet nie powinienesz W. ks. M. z nim się ociągać, ażeby zapobiedz wielkiemu nieszczęściu Rzeczypospolitej.

Żartobliwie na to odpowiedział starosta Drahimski:

— Co do nieszczęścia, to nie jest skutkiem twego nadprzyrodzonego przeczucia, ale raczej skutkiem odwiedzin, które zmieszały spokojność naszego domku. Już dawno postrzegłem, że pan wojewoda i jego dwór nie pozyskali zaszczytu podobania się tobie, i że tylko słodkie słówka pana podkomorzego skarbiły mu łaskę w oczach skromnej służebnicy elektorowej bawarskiej.

— Nimem weszła w służbę elektorowej, z powagą odpowiedziała Ewa, zostawałam od urodzenia w domu Waszym, Panie, i nie przystałoby mi mówić bez uszanowania o gościu spokrewnionym z W. ks. M., albo życzyć sobie jego odjazdu. Atoli nie mogę się z tego cieszyć, co Was dolega. Podkomorzego uprzejmość wydaje mi się gorzką; na widok jego, jakiś mię przestraszyć przejmuje, jego uśmiech wynurza jakąś złą wieszczbę, a jego prędki i ostry wzrok podobny do strzały.

Przebaczcie, Panie, słowom moim; rozmowa o zdarzeniach mego pradziada przejęła mię dziwnem uczuciem, i nie mogę się uchronić od marzeń, które mimowolnie się tłoczą.

Rzeczywiście, zawołał Dymitr: — pobyt w tem miejscu ma dziwny wpływ na ciebie i, jak widzę, na mnie samego; obawiać się należy, ażeby chory i lekarz nie skończyli na fanatyzmie.

— A więc wyjeżdżajmy stąd — ponowiła Ewa. Jestem wprawdzie prostytutką, mało znam stosunki świata, ale nie sądzę, ażeby mimowolne uleganie tak wielkiemu panu przystało. Łajcie mnie, łaskawy panie! nazwijcie zuchwałą i wścibską: przecież nigdy nie uwierzę, aby księżnie matce oddalenie Wasze było do smaku; i druga jest jeszcze dostojna pani, co Was zawsze za podporę Rzeczypospolitej, za prawdziwego przyjaciela uważa. Szydzić będziecie ze mnie, że moje usta tak ważne rzeczy wypowiadają, ale mimowolnie musiałam wynurzyć, co mi było na sercu.

— Jak widzę, moja Ewo — odpowiedział ks. starosta — prócz innych urzędów piastujesz przy mnie i urząd radczyni i dobrześ go pełniła, gdyby nieszczęście tak było jawnem, jak ta świeżo zagojona rana. Ale i pocóż mam gdzieindziej zmierzać? — dodał nieco wzruszony, wszak nikt ani przybycia, ani pomocy mojej nie żąda. Ta tylko, która się jej niegdyś domagała, której w niebezpieczeństwie wykonałem przysługę, ta tyłkoby mię poznała; od innych odniosłem w nagrodzie potwarz i podejrzenie, z których mi nawet usprawiedliwić się nie wolno. Często mi życie wydaje się obmierzłem, o czemż miecz zdrajcy głębiej nie uderzył?

— Dla Boga! — zawołała Jorkiewiczówna z żywością, to jest właśnie, co mię trapi. Czyż za tak szlachetny czyn bohaterski, macie tak niegodną odbierać nagrodę? Prawda, że ludzie niesłusznie o was różne rzeczy głoszą, ależ wystąpcie, panie, choć raz i ukarście kłamstwa; moglibyście jednym słowem...

— Milez, Ewo, — zawołał Dymitr, rozkazując — nie-przystoi i kobiecie i dziecku rozprawiać o tem, co książę i żołnierz czynić powinien. Milcz i pamiętaj mój zakaz, nie wspominać nigdy przypadku owego w pogranicznym lesie.

— Gdyby W. ks. M. tak wszystko wiedział, jak ja wiem, odpowiedziała Ewa, uczulibyście, ile dla mnie jest przykrym podobny zakaz, i gdybyście, panie łaskawy, w to serce zajrzeli, przestalibyście się gniewać, żem nie w porę i nieco więcej nad potrzebę mówiła.

— Masz wielkie prawo, bym ci pobłażał — odpowiedział Dymitr ułagodzony — i nie biorę ci za złe, że co słuszne, uważasz za słuszne, a co fałsz za fałsz. Lecz na tem poprzestańmy do swobodniejszej chwili. Jedna jest tylko, przed którą me czyny i chęci są ukryte; w Brukselli gdy będziesz obok niej, wolno ci mówić o tem, czego mi święta powinność tu odkryć wzbrania, i co dopiero potomność usprawiedliwi. Dosyć mi na tem, kiedy używam spokojnego sumienia.

— W Brukselli! ponowiła wnuczka marszałka domu. — Nigdy ja tego miasta nie zobaczę. Patrzycie zdziwieni na mnie, miłośniwy panie, i rozśmiesza was mowa fanatyczki, a jednak zdaje mi się, że będę kiedyś stała przed księżną elektorową nie na tak pięknem miejscu jak w pałacu namiestników; że co jej opowiem, łyzy wzbudzi; że ja sama będę płakać na widok tego, co ujrzę.

— Doprawdy — dodał Dymitr — nie bardzo to dar przyjemny, którego ci twój pradziad udzielił, jeżeli się tak ma stać, jak ty myślisz. U nas w ojczyźnie nie jeden, choć go nie posiada, widzi przecież wznoszące się w około chmury, z których może wkrótce straszny grom spadnie; ale tam w Niemczech inaczej. Tam pałace panujących spoczywają na starożytnych prawach, a ten, co jest dziedzicznym elektorem bawarskim i z woli nieograniczonego monarchy namiestnikiem w Niderlandach i ojcem oraz tego, co ma nad Hiszpanją panować, nie może takich zmian losu doświadczać, do jakich twoja mowa zmierza. Nie odbierzesz mi tej po-

ciechy, że to, com utracił, jest w bezpiecznem ręku, że Teresa Sobieska, miasto cichego i spokojnego życia, idzie torem wielkości i sławy obok mężnego Maksa Emanuela, że jej potomność na nią jak na matkę wielu królów spoglądać będzie.

— Ale dajmy temu pokój, zaśpiewaj mi raczej jaką białoruską piosnkę. Twoje słowa nie zdołają wprowadzić zagoić rany duszy, jak twa ręka rany ciała, ale na to masz inny sposób. Dźwięk twojej mandoliny rozpędził nieraz nie pogodę umysłu mego, jak zły duch, co ustępował niegdyś z Saula na dźwięk harfy Dawida.

Na te słowa powstała Ewa przewiesiła instrument na ramieniu i rzekła z powagą:

— Nie czas teraz do geśli i śpiewów, ważne rzeczy czekają W. ks. M. a gdy je ukończycie, jak przynależy, niepotrzebna wam będzie moja mandolina dla powrotu wesołości.

— Niepoprawna z ciebie dziewczyna — rzekł książę — i mimo twych lat siedemnastu, koniecznie chcesz za mądrą uchodzić.

— Nie nazywajcie mnie tak — zawołała Ewa z szczególniejszą żywością — nie nazywajcie mnie tak, jak sama siebie zwać nie śmiem; sumienie bowiem mówi mi, żem nieoświecona.

W tejże samej chwili usłyszano mocny brzęk w przybocznej komnacie i natychmiast drzwi się otwarły. Mąż, który wszedł, był dorodny i słuszny, przyodziany w bogaty, ale nieco pstry strój narodowy. Wysokie czoło, pełne może od trunku, nieco zarumienione policzki, czarne i starannie ułożone wąsy, postawa dowodząca, że nawykł do rozkazywania, nadawały zjawieniu się jego coś poważnego. Ale powtórny rzut oka odsłaniał w nim podobieństwo do holenderskiego albo angielskiego osadnika, luboć go i postawa panów sarmackich i narodowa szybkość poruszeń i znajomość obejścia z wyższą klasą osób bardzo odróżniały od ówczesnych

Mynherów i Mastrów. Swobodna twarz zdradzała smakowanie w rozkoszach, wzrok nagle się zapalający, dumny i obojętny, okazywał, że za mało przywiązuje wagi do wszystkiego, co go otacza; uśmiech jego był szyderski i dwuznaczny, gdy winem na pozór zagrzany, do starosty przemówił.

— Już to widać — zaczął poufałym lecz złośliwym tonem — że jesteśmy na granicy, gdzie się panu brandeburskiemu podobało metę położyć. Koniec tu mowy i gościnności polskiej, bo w miejscu pana domu, kredencierz kielich pożegnania podaje.

— Spodziewam się, Mości Wojewodo — odparł książę grzecznie lecz ozięble — że wam w Drahimie na niczem nie zbywało, i że zaniedbanie powinności gospodarza zechcecie przypisać tylko zdrowiu memu, którego stan, równie jak i powody, są wam wiadome.

— Jak widzę, P. bracie — ponowił gość — macie się nieźle, oddaję sprawiedliwość waszemu staremu węgrzynowi, który nie tylko chorych uzdrawia, ale i zdrowych rozwesela. Takiego byli zawsze zdania nasi przodkowie, od węgierskiego Ludwika począwszy. Dziś jednak wszystko inaczej, i jeszcze byłoby gorzej, gdyby my panowie po wsiach starego zwyczaju nie przestrzegali. Bo w stolicy nasza młodzież dziś łyka na trzeźwo z szlufowanych lejków pianę wina szampańskiego, pije kwiat pomarańczowy, albo wodę z czarek jaapońskich, zamiast coby miała spełniać starodawne wiwaty; z francuskimi bulionami nachleptała i mody francuskiej.

— Nigdy nie sądził — odpowiedział Dymitr — żeby prawy Polak, narodowości i miłości ojczyzny miał szukać na dnie puhara.

— Prawy Polak! — zawołał wojewoda z przeraźliwym śmiechem — nie wielu musiałeś ich widzieć, mój szanowny panie bracie. W przedpokojach Marji Kazimierzy napróżno ich szukać. Tam głos republikanina przeszedł w szepty dworaka, i odkąd staremu królowi krzesło wygodniejsze od sio-

dła, zdaje się i młodym paniątkom weselej toczyć wojnę gładkimi słowy z kobietami, niżli ostrym pałaszem z Turkami, z Brandeburczyki albo ze Szwedami.

— No, odpowiedział Wiśniowiecki — osobiwsze macie wyobrażenie o dworze naszego króla, bo mało ktoby uznał Jabłonowskich, Potockich, Lubomierskich Kontskich za wyrodnych synów ojczyzny! A co się tyczy wysławionego talentu picia, sądzę, że każdyby wam jeszcze dotrzymał, gdyby się pora zdarzyła; ja sam nawet z puharem w ręku okazałbym się godnym Sarmatą, gdyby tylko zgoiła się rana, zadana przez takiego, którego zapewne za wzorowego szlachcica z wieków Ludwika Anjou uważacie — chociaż ten wiek nie najświetniejszy w dziejach naszych.

— Głośny dzwon bo próżny, tak i ci panowie, o których mówicie, Mości ks. Dymitrze — rzekł wojewoda, zmarszczywszy brwi. — Nie odmawiam im rozsądku w radzie, może i w wojnie nie jeden z nich, *bene meruit de republica*; ale mimo tego nie widzę w nich czego po szlachcicu polskim wymagam, żelaznej wytrzymałości w dochowaniu przywilejów naszych, ani prawnego oporu przeciw władzy królewskiej. Tak, tak, młody panie, opór we wszystkim, bo na tem spoczywa równowaga konstytucji naszej. Niestety, nie znają się w naszych czasach na tem *principium*, i nasz patryjotyzm przez owe podróże za granicę i inne wpływy tak przygaśł, że już dają się słyszeć tu i owdzie głosy, co potępiają pamięć Sicińskiego. Z jego to ust pierwsze *nie pozwałam* wyszło; jest to najpiękniejszy w słowniku prawodawstwa naszego wyraz, i niech tam go sobie, jak chcą, rozbieirają, przyjdzie, da Bóg, czas, gdzie jeszcze śmieiej jak dzisiaj króla upominać będą, że jest tylko *primus inter pares*, jego ministrowie nic innego jak słudzy, nie lepsi od żadnego ze spółbraci. Przyjdzie czas, gdzie bogaetwa i liczba dusz jak w oligarchicznem państwie przystoi, nie zaś łaski dworu lub rozdawane przez króla urzędy powagę stanowić będą.

— Wtedy to — odpowiedział Dymitr z przyciskiem — wtedy też przyjdzie czas, kiedy tym, co są tak dumni z prawa *nie pozwalam*, nic nie będzie wolno; kiedy imię owego Si-cińskiego brzmieć będzie w uszach całego narodu jak przekleństwo smutnej przeszłości, za którą smutniejsze jeszcze dni poszły.

— Wasze przepowiadania są, widzę, tak nieżyczliwe, jak przyjęcie gości w Drahimie — odpowiedział wojewoda ostrym tonem — aleście jeszcze za młodzi do prognostykowania, a zwłaszcza w obecności starszego *consanguinei ascendentis*. Zresztą nie przybywam do was w myśli rozprawiania o przeszłości, ale w chęci mówienia o tem, co jest obecnem, i proszę was z uwagą mię posłuchać, chociażby i mowa moja nie tak mile brzmiała jak pół-francuski, pół-włoski makaronizm w pokojach Wilanowskich, lub dźwięk cytry, co się stąd o nasze uszy w jadalnym pokoju odbijał.

— Jesteście mojej matki bliskim krewnym i moim gościem, panie wojewodo — odpowiedział starosta, skłaniając głowę — jestem na usługi.

— Czy tak? zapytał wojewoda oburzony obojętnością Dymitra. Nie zdaje się wprawdzie, ażeby wam jakie przedstawienia teraz przystały, i wcale bym nie myślał wam ich czynić, gdyby nie szło o dobro naszej Rzeczypospolitej.

— Jak się podoba, więc na inny raz — rzekł książę równie obojętnie. Częstobyśmy musieli rozmawiać, nimbyśmy pojednali nasze zdania względem tego, co wy dobrem Rzeczypospolitej zowiecie.

— Za pozwoleniem — przemówił wojewoda z przekąsem, nie na inny raz, Mości książę. Nie zwykłem kilka razy jedno mówić, zanim odpowiedź otrzymam; dla tego zechcecie miłą sobie rozrywkę na godzinę lub dwie odłożyć.

Tu, oko wyrażające pogardę i pożądlivość zwrócił na Ewę, która gdy wgląb pokoju się odsunęła, tak mówił dalej:

— Zdaje mi się, że wam nie zbywa na takiej rozrywce, panie Dymitrze, i tego wam nie ganię; dobraliście sobie hożą dziewczinę dla skracania chwil samotnych; i choć to tylko służebnica, mało na to na wsi zważają.

— Mylicie się, mości wojewodo — odparł urażony Wiśniowiecki z powagą. — Ta młoda panienka nie jest służebnicą; jest to córka i wnuczka domowników naszych szlacheckiego rodu; przybyła tu wcale nie dla rozrywki mojej: jej staraniu winienem, żem się nie stał ofiarą wypadku, którego przypominać wam nie mam potrzeby.

Wojewoda zdawał się nie uważać na te słowa; przystąpił do Ewy, pogłaskał ją pod brodę i rzekł:

— Dobrze robisz, moja szlachcianeczko, przystoi taka hardość tak pięknej twarzy. Nie trać serca, moje dziecko, po jakimś czasie dostanie ci się kredencarz, może i marszałek; dobroduszny małżonek otrzyma od wspaniałomyślnego pana dzierżawę w dodatku, albo i wioskę, żeby sobie mógł podłatać pas, u którego szlachecka szabla wisi.

— Mości wojewodo — zawołał rozjątrzony Dymitr — proszę szanować tych, co są pod moją opieką, jak ja ich szanuję.

Ewa w milczeniu oddaliła się od zuchwałego oszczercy i odchodząc, rzuciła na niego wzrokiem, w którym nie tylko gniew, ale nienawiść i pogarda przemawiały.

Wojewoda, wzruszywszy ramionami, patrzył chwilę za nią, potem z głośnym śmiechem odwróciwszy się do pana domu, mówił z szyderstwem, nie zważając na jego niezadowolnienie:

— Dalipan, dziewczę musiało wam bardzo do serca zajechać, kiedy wy, Dymitr Wiśniowiecki, tyle się za nią ujmujecie. I czegoż się tu gniewać? cóż to za wielka rzecz? Dosyć żaszczytu, kiedy się magnat do szlachty zniża.

— Pomijam — odrzekł Dymitr — że się zupełnie co do mnie i co do Ewy Jorkiewiczówny mylicie, ale słowa, któ-

reście dopiero wyrzekli niezgodne są z ową równością szlachecką w Polsce, za którą ujmowaliście się dopiero.

— Co? ja? — zapytał gość ze śmiechem. — Widzę, żeście mnie nie zrozumieli. Któryż by to z nas przypuścić chciał wolność i równość z hołotą? My tylko, potężni dóbr właściciele, sobie równi i wolni, nam jednym przystała władza patryarchalnym obyczajem. Wtenczas, kiedy się krocie tej hołoty do narad krajowych zjedzie, niech się nazywa wzajem *panie bracie*, i my, senatorowie i magnaci, nie odmawiamy jej tego imienia. Broń nas nawet Boże, znosić ten zwyczaj chwalebny. Jesteście uczeni, mój panie, wychowaliście się w Warszawie, i wyćwiczni w kunsztach wielorakich, pozwólcie, niech stosowny dla was przykład przytoczę. Oto, gdy mój kapelmistrz z wielkim ma wystąpić koncertem, potrzebuje orkiestry; każdy z tych grajków sam nie nie znaczy, i gdyby solo chciał się odezwać, wysmianoby go a możeby co i oberwał. Ale kiedy wszyscy razem utną, wtedy huczno, ten śpiewa, ów rzepoli, tamten dmie, ów bębni jak może najlepiej, a zawsze według dyrekcji kapelmistrza. Takiej to orkiestry potrzebujemy i my, mistrze Rzeczypospolitej: wyborna do zagłuszenia króla i każdego, którego piosnka z naszą się nie zgadza. Z tego to powodu i ja i każdy prawy Polak poważa zgromadzoną szlachtę, szczególnie na sejmikach, i żaden z nich nie narzeka na biesiady w wojewódzkich pałacach. Nawet pojedynczo przyznaję im niejakię prawa. Zawsze jest na szarym końcu mego stołu kilka miejsc nakrytych dla tych, co mi czynsz przynoszą lub jaki urząd piastują; i żaden z nich głodnym nie zostanie, choćby nawet odszedł, nim służba pieczone przyniesie. Tak bywało od dawna i tak będzie, bo nie napróżno nasza łacina zrobiła różnicę między *perillustres*, *illustres*, *magnificos* i *generosos*. *)

*) Wszystko tytuły odznaczające stopnie szlacheckie w stylu urzędowym.

— Czyliż waszym zamiarem — zaczął Dymitr na nowo — wyliczać same tylko przywary konstytucji: dosyć je znam, przewiduję skutki, jakie nieprzezorna duma, niezgoda co do celu i środków, opór władzy najwyższej, przez nas samych dla poniżenia tylko obranej, za sobą pociągną... O biedny i szlachetny narodzie polski, ciężkie spadną niedługo na ciebie plagi, a po niepowetowanej stracie znosić jeszcze będziesz i ten zarzut, na który niektórzy tylko zasłużyli; ci zaś, co się jak prawi patryjoci złemu opierali, będą zapomniani!

Wojewoda, rzuciwszy ponury wzrok na starostę drahimskiego, z urąganiem odpowiedział:

— Prawdę mówicie, daremneby było usiłowanie wyszukiwać urojone ulepszenia; dla tego radzę wam, Mości książe Wiśniowiecki, poprzestać i wyrzec się roli dziwaka, która osobie waszego urodzenia i majątku nie przystoi. Wspomnieliście wprzód nie bardzo zaszczytnie o tym, który wam tę małą bliznę zadał, bliznę nadającą waszej twarzy męską i wojowniczą postać; muszę jednak wam wyznać, że moje zdanie o naszym stryju od waszego się różni; nie dzielę waszej chętności z wydarzonego wypadku, bo wasz postępек, wybaczenie mi, donkiszoterjā mi się wydaje.

— Proszę nie zapominać, Mości Wojewodo — zawołał Dymitr rozniewany — proszę nie zapominać, że i prawo gościnności i wzgląd na krewnych mają pewne granice...

— Których zapewne względem mnie nie przekroczysz, panie starosto drahimski? — dumnie odpowiedział wojewoda. — Jednak — mówił po chwili nieco wolniej — jakimże sposobem wpadamy na tę rozmowę? Czy nie owa mała szlachcianka wszystkiego powodem? Tak, Mości książe, nie sam ja jeden to myślę o niej i o was; w całej okolicy, a nawet z tamtej strony między Brandeburczykami jest wielu, którzy wątpią, czyli owe bohaterskie pod Międzyrzeczem dzieło było wyprawione dla dostojnej pani lub nikezemnej służebnicy?

Gniew zarumienił twarz Dymitra, gdy zapytał:

— Nie wątpię, że przekonani zupełnie o niesłuszności tego obwinienia, usiłowaliście zbijać tę oszczerczą obławę.

— Wcale nie — zupełnie obojętnie, lecz z przyciskiem odpowiedział tamten — i to niech was bynajmniej nie zaskoczy, gdyż wam jest wiadomo, ile mnie samemu i stryjowi podobny domysł się podoba.

— Jest czas złudzenia i błędu — gwałtownie się miarkując, odparł książę — ale nadejdzie chwila, gdzie się prawda objawi.

— Lecz nie przez was, bo chociaż was w domu Marji Kazimiery, córki kardynała, przez pół na Francuza przez pół na Niemca wychowano, spodziewam się jednak, że pozostało w waszem sercu dosyć szlachetności, byście mieli łamać słowo czyli to wprost czyli przez podstęp od was uzyskane.

— Dotrzymałem go — odpowiedział Dymitr z powagą — i dotrzymam, lubo widzę, że go nadużywają; pamiętajcie jednak, panie wojewodo, że nie łamiąc słowa, podobne nadużycia poskramiać umiem.

Na te słowa oko wojewody zapaliło się mocno i żywo zwrócił prawą rękę ku lewej stronie pasa; lecz wtem wstrzymał się nagle, ów nieprzyjemny uśmiech zeszedł na nowo usta jego, i zaczął mówić dalej sposobem sobie właściwym, to jest częścią z dumą, częścią z szyderstwem:

— Zwolna, panie, nie ma tu damy do obrony, chyba że chcecie dla wnuczki waszego marszałka z rodzonym stryjem waszej matki pojedynek odprawić, jak z owym przyjacielem od serca, dla innej damy. Bez obawy, mości panie, tej wam żaden elektor państwa rzymskiego nie uwiedzie.

— Nie jest tu i nie może być mowa o Ewie Jorkiewiczównie — odpowiedział Wiśniowiecki, przytłumiając rozjątrzenie swoje — sądziłem, że bytnością waszą zaszczyciliście mnie w innym celu, dla tego was proszę, jeśli o nim mówić raczycie, wyrażać się sposobem przystojniejszym dla syna synowicy waszej.

— Ważnem jest — rzekł na to wojewoda z zapalem — com wam w tych dniach napróżno, niestety, po kilkakroć przedstawiał i jeszcze raz przełożę, gdyż przystało doświadczonemu senatorowi napominać, a młodemu patrycjuszowi słuchać, co się tyczy dobra Rzeczypospolitej.

— Więc do rzeczy, jeśli łaska — zawołał książę starosta.

— Więc do rzeczy, a co gorsza do zlej i straconej rzeczy, za jaką się z całym ujmujecie zapalem, a czego powody z trudnością pojmie, kto dziwacznej cudzoziemszczyzny, zarażającej, niestety, całą szlachecką młodzież, nie zna. Wiem, że nie zbywa tym głowom na pięknie brzmiących wyrazach, które za cnotę sprzedają; ale najpierwszą cnotą znakomitego Polaka, Mości Panie, jest miłość ojczyzny.

— Zgadzam się w tem, Mości Wojewodo — odparł Dymitr — radbym tylko wiedzieć, jak ten wstęp ma mię ująć do waszych zamiarów.

— Najprostszym sposobem w świecie — zapewnił wojewoda. — Patrijotyzm potępia to, co wam się głównym celem wydaje, a co już wielu zacnych mężów z niezadowoleniem postrzega. Wiek Sobieskich wkrótce minie i po zejściu starego zgaśnie. Ani my, ani nikt nie przywróci, co oni stracili. Ojczyzna już wydała wyrok; a jeśli mówię ojczyzna, rozumiem przez to szlachtę, a między szlachtą tych, co majątkiem i władzą przodkują.

— Wiem — odpowiedział książę — jakie są wasze i wielu innych widoki; luboć powodów badać nie chcę, gdyż jak się zdaje zawisły od korzyści osobistych każdego. Jednakże nawet między tymi, o których wspomnieliście, znalazłem wielu, którzy od tego zdania odstępują; i ja jestem wysokiego urodzenia; sądzę więc, że równie jak każdy inny współobywatel mam prawo trzymać się własnego zdania.

— Nie masz jeszcze własnego zdania, kochany kuzynie — wyrzekł wojewoda — ci, o których mówisz, są zapewne ci sami, co w Żółkwi i w Wilanowie zapomnieli języka wolno-

ści i godności obywatelskiej i senatorskiej dla buław, pieczęci i innych rupieci, któremi ich łaska królewska obsypuje.

Dymitr, któremu nie było tajno, że przed nim stojący dumny arystokrata sam nie dawno o podobne rupiecie, to jest o koronę się dobijał, nie mógł tu wstrzymać małego uśmiechu. Wojewoda, postrzegłszy to, spuścił nieco wzrok ku ziemi, lecz wkrótce z zwykłą zarozumiałością mówić dalej począł:

— Przynajmniej wiedzą owi panowie, co i dla czego chcą, i nie przyganiam temu, który duszą i ciałem dla korzyści działa; lecz jakaż korzystać z waszego przywiązania do Sobieskich, którzy upadają, chociażby tysiąc znaczniejszych od was utrzymać ich się siliło. Na co się przyda księciu Wiśniowieckiemu łaska króla-opiekuna? Pokażcie mi owoce tej łaski? Może kawał tego starostwa, co ledwie o dwudziestą część wasze dochody pomnaża? Przestajecież na tem, jako na wynagrodzeniu za nadzieję, którą wam robiono, nim się szczęśliwszy nie trafił kandydat, albo poczytujecież to za wykupno niemal już wyraźnie danego słowa?

Zmarszczyło się czoło księcia, lekki rumieniec pokrył blade jego policzki, i odpowiedział z wymuszoną spokojnością:

— O podobnem przyrzeczeniu nic nie wiem; zresztą każdemu wolno sprzedawać nadzieję za taką cenę, jaka mu się podoba, i ja sądzę, że ta cena, którą ja sobie naznaczył, jeszcze jest mniejsza w oczach Waszych, mój JW. Panie, niż starostwo drahimskie. Rozmaite są zdania względem tego, co miłe, słuszne i przyzwoite.

— *Dulce et decorum pro patria... vivere* — rzekł wojewoda tonem nauczycielskim — ale wasze dążenie jest niepatriotyczne, jakem już wam tego dokładnie dowiódł.

— Owszem — odpowiedział Dymitr z uśmiechem — oczekuję choć słówka podobnego dowodu.

— Zaiste piękna zapłata — mówił dalej wojewoda, nie zważając na to zapytanie — któraście otrzymali za wasze przywiązanie i awanturnicze wyprawy. Podejrzenie i upośle-

dzenie są nagrodą bardzo stosowną synowi takiego ojca jak wasz. Bądźcie pewni, że ów starzec, którego się strony tak gorliwie chwyciliście, nie bardzo wam wdzięczny, źle jesteście zapisani u niego i drzwi jego zamknięte przed wami.

— I wy to, wy mi przypominacie, coście sami zawinili? — uniesiony gniewem zawołał Wiśniowiecki. — Wiem ja, kto uzbroił ramię owego śmiałka do gwałtu! Wyrzucacie mi ofiarę, którą dla danego wam słowa poniosł?

— Nie zaprzeczam tego, co mówicie — rzekł tamten zimno — ani ganie. Ale jeśli tak będzie, jak jest, zostaniecie zawsze w przykrem położeniu względem swego króla, opiekuna i jego najjaśniejszej rodziny, a wasze usiłowania nie będą miały ani wdzięczności ani skutku. Dla tego przejdźcie na naszą stronę, bo tam się na nie nie przydadcie.

Z gościem wyrażającym niecierpliwość i poniekąd pogardę odwrócił się Dymitr, lecz wojewoda mówił dalej:

— Tak, nie inaczej, mój Mości książę, mamy was w rękę i nie wypuścimy. A choćby i tak nie było, wierzajcie mi, że wdzięczność jest to stary, dziwaczny sprzęt w pałacach królów, dla tego unikajmy, ile możności jego użycia; sądzę, że was już pierwsze nauczycie doświadczenie.

— Jam jeszcze za młody, Mości Wojewodo — odpowiedział Wiśniowiecki — ażebym za moje czyny przedwcześnie ustanawiał nagrodę.

— Co to, to prawda — zapewnił wojewoda — jeszcze jesteście młodzi i trzymacie się wielu mylnych zdań, których nicość czas i doświadczenie wyświecą. Podobało wam się mieć mię za nieuka i w dziecinnem zarozumieniu waszem odmawiać mi nawet zdolności udowodnienia przytaczanych czynów. Wszakże i ja równie jak każdy inny mego stanu do Jezuitów w Toruniu chodziłem, uczyłem się tam Logicam, a prztem Historias sacras et profanas, jak to na szlacheica przystało. Tam tedy słyszałem o Damonie i Pytyaszu, o Achillesie i Patrokle i o wielu innych równie czułych jak przykładnych przymierzach przyjaźni, które jeśli nie bajeczne,

to przynajmniej od naszych jak dzień od nocy różne. Do tego zwykli doliczać historję Dawida i Jonatana, która, jako do starego należąca testamentu, żadnej wątpliwości nie podlega, a oprócz tego szczególniej się do waszego położenia stosuje. Wszak wiecie — dodał, rzucając ostry wzrok na Dymitra — co Dawid uczynił, gdy widział, że ród Saula mimo wszelkiej jego usilności upadał. Wziął, bracie, czego tamci nie mogli utrzymać.

— Ja nie mam nic wspólnego z synem Isai — z rozmyślną obojętnością odpowiedział Dymitr — chyba że Goliata zechcecie porównać z synem waszego brata, którego zuchwałość pokonałem, wprawdzie nie nad strumieniem Cedron, lecz w lesie na pograniczu Marchji Brandeburskiej.

— Zupełnie jeszczeście go nie pokonali — wchodząc niby w ten żart odpowiedział wojewoda — jeszcze żyje ten Goliat, bawi teraz w Wiedniu, jakem się dowiedział od jednego Włocha signor Romanini, i zostaje w niemałych łaskach cesarza i jego ministrów. Gotów nawet zapomnieć o owej awanturze, użyć względów, które posiada na waszą korzyść, byleście chcieli przystąpić do tego, co roztropność, sprawiedliwa niechęć i głos waszych rodaków radzi.

— Wszak wam już mówiłem — rzekł Dymitr nieco z szyderstwem — że ja rzadko co dla nagrody czynię. A mniej jeszcze wierzyć można, żebym przy owem cięciu pałasza miał zamiar pozyskania łaski jego.

Podobało się gościowi uniesienie młodzieńca; nawet ostatnie słowa dość pomyślnie sobie tłómaczył; odpowiedział przeto łagodniej niż dotąd:

— Może macie i słuszność, mości starosto, że ja mimo moich nauk *in collegio* w Toruniu, nie sprostam waszej mądrości szkolnej w dysputach, i z ukontentowaniem widzę, że ktoś, co tu nadchodzi, więcej z waszym sposobem oswojony, lepiej wam dopomoże do rozwiązania tego politycznego *dilemma*.

Rozmowę przerwało wejście człowieka, któremu raczej z przyzwyczajenia przynależnej od pana domu niżli życzliwości oddał Dymitr grzeczne powitanie. Postać jego była ujmująca, a postępowanie okazywało czułą i niewymuszoną przyjacielskość męża, który rozum i wyższe ukształcenie posiada.

Był to podkomorzy chełmski, mający nieco więcej nad 30 lat; słusznego wzrostu, nie bez przyczyny uchodził za pięknego mężczyznę. Rysy twarzy jego były łagodne i pełne wyrazu, szczególnie gdy je ożywiał uśmiech, który często-kroć od jego woli był zawisł; mierna pełność lic, czerstwy kolor zdrowia wróżyły w nim umysł niestroskany, lubiący używać życia; oczy jednak zdawały się sprzeciwiać temu przypuszczeniu, często bowiem padały ukradkiem, wyraz ich często był bystry, a prawie zawsze niestały, krótko mówiąc te oczy usprawiedliwiały poniekąd odrazę, którą sprawiały w Ewie Jorkiewiczówniej, chociaż istotnie nie miały tak złego wyrazu, jaki w nich nateżony umysł młodocianej Sybilli upatrywał. Obcowanie jego okazywało człowieka, który wiele i z korzyścią podróżował; jak wielu tamtego i późniejszego wieku rodaków przyswoił sobie nieco obyczajów obcych z krajów, które zwiedził, lecz nie stracił jeszcze narodowego piętna. Dla tego widziano w nim obok polskiej porywczowości, pewności i powagi, francuską udatność i tę etykietalność, która w siedemnastym wieku po dworach niemieckich gościć zaczynała. Takim był Jan Przebendowski, sposobiący się wtedy do tej roli, którą wkrótce miał w dziejach ojczyzny odgrywać. Zaraz na wstępie zmierzył zwykłym sobie wzrokiem przytomnych, a postrzegłszy, że rozmowa ich nie bardzo poufała była, pospieszył przerwać ją, sądząc się zdolniejszym do jej dalszego prowadzenia od twardego i porywczego magnata, którego powinowatym wówczas nazywał.

— Przychodzę — rzekł, obracając się ku niemu — upraszać od was, Mości Wojewodo, odłożenia wyjazdu na czas pewien; tuszę sobie, że nasz łaskawy gospodarz przebaczy przykrość, jaką mu wyrządzimy przedłużonym na kilka

godzin pobytem. Mój szwagier pisze mi, że tu przybędzie, ażeby w towarzystwie do Chełmna się udać; sądzą jednak, że nie ten zamiar sprowadza go do Drahimu, ale raczej chęć pozdrowienia księcia Wiśniowieckiego, którą mi już kilkakrotnie oświadczył.

W umiarkowanych wyrazach zapewnił go Dymitr o zadowoleniu, które mu sprawią odwiedziny pana pułkownika; a wojewoda kontent z odłożenia odjazdu, lubo nie rad przyczynnie, zakreślił węża i powiedział nieco ozięble:

— Tęgi i żwawy kawaler pan Flemming, jak słyszałem, chociaż Luter.

— Jak jego wszyscy rodacy — odpowiedział nawiasem podkomorzy.

— Jak powiadają, zwiedza w naszej prowincji — mówił dalej wojewoda z nienader przyjemnym uśmiechem — wyznawców swej wiary, i nawet sądzą, wybaczenie, mości Przebendowski, że jakiegoś rodzaju misji tu dopełnia.

Na słowo „misja“ spojrział Przebendowski żywo, jak gdyby ten wyraz obudził jego uwagę i odpowiedział natychmiast ale obojętnie:

— Jeżeli Wasza miłość przez to słowo teologiczną misję rozumie, tedy gorliwości mego szwagra wiele czyni honoru. On jest wojskowy a do tego nieco dworak; co się tych dwojga rzemiosł nie tycze, mało go zajmuje. Nasze pokrewieństwo mówi za jego tolerancją; a jeżeli odwiedzi kilku tutejszych dyssydentów, zasłużonych i pocziwych wieśniaków, których w Saksonji poznał, mało to znaczy, gdyż skłonności jego ciągną go zawsze ku znakomitszym osobom acz różną wyznającym wiarę.

— Rad będę — przemówił książę powtórnie — widzieć męża, który po dworach bywał, i za którym jest głos powszechny.

— Te podróże dyssydentów za granicę nie podobają mi się wcale — wtrącił wojewoda z przekąsem. — Po powrocie z Drezna lub Berlina nie tylko są zatwardziali w błę-

dach, lecz do tego stają się obcymi ojczyźnie; dyssydent jest tylko pół polskim szlachecciem.

— Ale dwór Fryderyka Augusta nie słynie podobno z tego, aby się rzeczami religijnymi zajmował — zawołał Przebendowski z uśmiechem i dodał nieco poważniej — nasi ziomkowie i ja sam mamy słuszne powody szczyścić się z przyjęcia, jakiegośmy od elektora doznali, jako też z jego sposobu myślenia o naszym narodzie i konstytucji.

— Dworski to balsam; zawsze on Niemiec — odpowiedział magnat — a póki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem.

— Podobno Wiedeńczycy — wsunął Dymitr — są wyjątkiem od tego polskiego przysłowia.

— Wiedeńczycy — mruknął wojewoda niezadowolniony — Wiedeńczycy są rzymsko-katolickiej wiary; lecz Saksonja, to gniazdo kacerstwa, którego sam elektor głównym jest promotorem. Czyż nie jest głową *Corporis evangelicorum* w niemieckim *imperium*?

— Tak, bez wątpienia — odpowiedział podkomorzy z przy-ciskiem, i niewiedzieć czemu nieco zmieszany. — Jednak co innego są polityczne stosunki, a co innego osobista opinja. Jak wiadomo, elektor długo bawił w krajach katolickich, w Austrii, we Włoszech, Francji i w Hiszpanji, i wszędzie go wspominają z największemi pochwałami; coby szczególnie w Hiszpanji niepodobnem było, gdyby się był okazywał zbyt gorliwym zwolennikiem nauki Marcina Lutra. Ale — dodał, udając chęć przerwania tej rozmowy — uważam, żem przerwał dyskurs, którego przedmiot może był ważniejszym, niż przymioty elektora; oddalam się, nie chcąc być na przeszkodzie.

— Wcale nie — zawołał wojewoda — zostanie raczej. Może wam snadniej niż mnie uda się przełamać upór księcia Wiśniowieckiego.

— Może — odpowiedział Jan Przebendowski z grzecznym ukłonem — Waszej miłości jako krewnemu księcia podobało

się nazwać to uporem, coby wielu innych szlachetną stałością nazwało, i ja sam nawet, gdybym wiedział, o co rzecz idzie.

— Zbytek łaski — odpowiedział Dymitr grzecznie, lecz z przyciskiem — podejmujecie obronę, a możebyście się jej wyrzekli, gdyby wam wiadome były okoliczności, jeżeli ich już nie wiecie.

— Jest to mój zwyczaj — przerwał wojewoda z nieco niezgrabnym pośpiechem — każdego *in mediam rem* wprowadzić. Krótko mówiąc, Mości Przebendowski, oto mój kuzyn nie odmienił zamysłu ofiarowania usług swoich Sobieskim, a ponieważ Jan III. ich nie pragnie, postanowił czekać, aż się któremu z jego synów podoba użyć na swoją korzyść jego majątku i wpływu w wschodnio-południowych ziemiach.

— A więc — zawołał podkomorzy z udanem zadziwieniem — wyraz: szlachetna stałość, któregom użył, był nadspodziewanie moje stosowny, i śmiało powiedzieć mogę, że w Warszawie, gdzie bawił niedawno, ani myślą, że w księciu starości drahimskim tak wiernego i bezinteresownego stronnika panująca familja posiada. Nawet ci, ku którym tchnie tą chwalebłą gorliwością, nie zdają się jej poznawać.

— Nie tajno mi — odpowiedział Dymitr — że Wam, Mości Panie, w tej sprawie więcej wiadomo, aniżeli tym, komu ją sam powierzyłem; zatem niemniej wiedzieć musicie, że panujące niejakiś nieporozumienie samo przez się wkrótce bez moich zabiegów się rozwiąże.

— Obawiam się niemal przeciwnie, lubo w tej rzeczy mniej wiem, niż Waszej Książęcej Mości sądzić się zdaje — odpowiedział, ruszając ramionami Przebendowski — i chociaż zupełnie przekonany jestem, że w powieści, którą głoszą, nic prawdziwego nie ma, prócz tego, coby do wystawienie Waszej Książęcej Mości służyło; jednak ażeby ją przytłumić, potrzeba z waszej strony otwartego i dokładnego objaśnienia. Wzrok naszego miłościwego Pana był niegdyś w sprawach publicznych i prywatnych równie trafny, jak na

polu bitwy, a teraz król się podstarzał, a wiek czyni podejrzliwym. Nieustannie wyrzeka na doznaną niewdzięczność, i z boleścią wam, Mości Księżę, powiedzieć muszę, że i wasze imię bez żadnej ogródki było wymawiane obok tych, o których on mówi, że mu złem za dobre odpłacili.

— Mniemam jednak — odpowiedział Dymitr z przekonaniem — że jest nadto u dworu znany, ażeby mię pozory potępiać mogły.

To mówiąc, rzucił wzrok gniewnego wyrzutu na wojewodę, który tylko wzniesieniem ramion odpowiedział.

— A jednak pozory te mają tam wagę — zapewniał Przebendowski, odpowiadając na ostatnie słowa Wiśniowieckiego. — Wielu z starych towarzyszków broni i domowników Jego Królewskiej Mości nie usunęło bynajmniej uszanowania swego, a między nimi pan wojewoda ruski i podskarbi księżę Hieronim Lubomirski; jednak ani pierwszego wymowa, ani drugiego dowcip nie mogły przynieść pożądanego skutku, bo, mówię to z niechęcią, król natychmiast przerywa rozmowę, kiedy ją na księcia Wiśniowieckiego naprowadzą. Ja sam z boleścią słyszałem go mówiącego, iż żałuje, że stryj Waszej Królewskiej Mości nie zaprzedał całego starostwa drahimskiego elektorowi brandeburskiemu; ale mocniej boleje, widząc pozostałą część zamienioną w ognisko przyszłych niepokojów przez młodzieńca, u którego na większe względy zasłużył.

— Co do tego, nie zupełnie król się myli — odpowiedział ostro Wiśniowiecki — zwłaszcza w chwili obecnej.

Nie zważając na tę przymówkę, Przebendowski mówił z uśmiechem:

— Ja, który tylko z pogłoski wiem o pewnym wypadku, znajduję go bardzo zabawnym i romantycznym, prawdziwa awantura z wieków rycerskich i dziwi mię poniekąd, że nie z tego względu uważają go na dworze, który prawie zupełnie francuskie przybrał obyczaje. Awantury Małgorzaty de Valvin, przygody Anny Austryjaczki z lordem Buckingham są

mniej dziwne, ba! i przypadki tysiąca innych księżniczek francuskich, które, oddając rękę z woli rodziców dla widoków politycznych, nie mogły jednak z taką łatwością uwolnić serca z miłych więzów przeszłości.

— Ani księżna elektorowa, bo o niej bezwątpienia pan podkomorzy chełmski wspomina — wyrzekł Dymitr ostro — ani ja, nie bardzo mu za te względy obowiązani jesteśmy; usprawiedliwiać się zaś, gdy widzę was o wszystkim dokładnie uwiadomionymi, za niepotrzebne uznaję.

— Tylko z pogłoski — zapewniał podkomorzy. — Można się spodziewać, żeby ją królowa zbijała, gdyby istotnie była tak mylną, jak wy utrzymujecie; pewną jest jednak rzeczą, że od podobnych objaśnień dotąd się wstrzymała.

— Acz niby nic nie wiecie — przerwał książę — nie zbywa wam przecież na dokładnych doniesieniach: wolnoż mi się zapytać, skąd go doszły?

— Doszły mnie z ust jednej na dworze osoby, nie przyznającej uczestnictwa w owym zamiarze uwiedzenia, które się nie powiodło; mianowicie z ust przewielebnego pana płockiego; wiedząc on, że nasza ziemia cieszy się z obecności waszej, każe was upraszać, abyście wesprzeć raczyli jego obronę obdarzeniem zaufania, którego, ile ze słów jego wnoszę, dotąd nie doznawał, aby tym sposobem, był w stanie zwycięsko się stawić francuskiemu posłowi.

Wojewoda, rzuciwszy badawczy wzrok na Dymitra, rzekł z szyderstwem.

— Ponieważ teraz może są powody, które księcia od tej szczerości wstrzymują, więc słusznie oczekuję innej chwili, która jego niewinność i zasługę odsłoni, a zapewni oraz zasłużoną nagrodę.

— Nie wiem — odparł Przebendowski z udaną obawą — jakie mogą być te powody; ale jeżeli są istotne, tedy ubolewać należy, że pan takiej rangi i przymiotów, jakim jest książę Wiśniowiecki, nie chwytając się żadnej partji, jak to dziś każdy w ojczyźnie czyni, przybiera dwuznaczne

położenie, które, wybaczenie, miłościwy książę i waszej sławie i powziętym o was przez współobywateli nadziejom uszczerbek przynosi. Mam prawo dziwić się, że acz tak mocno przywiązani do panującej familji, jednak Opatowi Bonport tyle czasu i sposobności zostawiacie; może on was w podejrzenie wprawić, bo szczerze mówiąc, Melchior Polignac nie jest waszym przyjacielem. W przypadku rozdwojenia Rzeczypospolitej, sądzę, że należy chwycić jedną albo drugą stronę; kto między obiema stoi, łatwo nieufność wszystkich na siebie ściągnie.

— Nieskończenie wdzięczny, Mości Podkomorzy — odparł Dymitr — za waszą o mnie troskliwość; lecz pozwólcie, bym zataił wszelkie działania mego powody, dopóki się o ich niestosowności nie przekonam. Nieraz to już postrzegałem, że poseł francuski, którego talentom wszelką oddaję sprawiedliwość, mało mi jest przychylny; sądzę jednak, że jego niechęć nie tycze się mojej osoby, i mam nadzieję, że ta zniknie, skoro się przekona, że nasze zamiary zgodniejsze są między sobą, aniżeli mniema.

— A zamiary Opata sąż tak dokładnie W. ks. Mości wiadome? — zapytał Przebendowski. — Wprawdzie niechęć jego nie tycze się Waszej osoby, bo komużby ta mogła być powodem niechęci; ale minister Ludwika XIV. nieprzejajnem okiem patrzy na pana, tak blisko z domem cesarskim spowinowaconego; cześć nawet i poważanie, które Wam, Mei książę, w Wiedniu okazują, acz się jej z szlachetnością wyrzekacie, w niesmak mu idzie.

— Poczciwy panie Przebendowski — zawołał wojewoda — wiedźcie o tem, że nie przemawiacie tu do osoby, któraby przejętą była słabościami ambicji lub chęci grania roli zamiarom swym odpowiedniej; mówicie do takiego, jakimi wszyscy dzisiejsi młodzi panowie i szlachta być zwykli. Mój książę kuzyn jest to mędrzec w aksamitnym żupanie i złotym pasie, lecz bez włosów na brodzie. Mało go łaska Wiednia obchodzi, choćby mu podawała koronę; odwraca się od

niej, a posłuszny marzeniom z dziecinnego wieku, zamiast słuchać głosu mądrości i wyższych widoków, posłusznym jest tak zwanym związkom przyjaźni, które się zaszczyliły gdzieś tam podczas rekreacji, między lekcjami nauczyciela.

— Zdziwi was może, Mości książę, odrzekł Przebendowski, że Jego Cesarską Mość za jedyną podporę domu Sobieskich uważam, podług was drugą podporą jest dwór wersalski, daleko nawet czynniejszą i silniejszą przez swego posła pana de Polignac, który gra rolę ministra Ichmość królestwa polskiego, sprawując niby tylko nawiasowo dyplomatyczne swe interesa. Czyni to honor waszemu wzniosłemu i szlachetnemu sposobowi myślenia, że ufacie wierności i czystości zamiarów człowieka, który względem was samych niezupełnie korzystnie się okazał. Jestem o wiele lat starszy od Was, miłościwy książę, a spojrzenie na przeszłość czyni mnie zdolniejszym do czytania w przyszłości. Sądzę więc, że gdy ręka czasu skruszy podstawę, na której świetność domu Sobieskich spoczywa; gdy Marja Kazimiera, która przez własną chciwość upadek swój gotuje, niczem nie będzie więcej jak owdowiałą królową polską; wówczas Opat de Bonport mało będzie uważał na planetę pozbawioną blasku słońca. Wówczas to domownik i przyjaciel Ichmość królestwa zamieni się znowu w ambasadora arcychrześcijańskiego króla; jak z Wiednia tak Wersalu ukaże się współzawodnik do korony, a królowa — królowa, jak wszystkie niewiasty zwłaszcza podstarzałe, żałować będzie tego, co się stało; nie przestanie oskarżać niewiernego domownika o niewdzięczność, o złamanie zaufania, którem go zaszczyliła.

Tu podkomorzy zamilkł, wzrok jego wlepiony był w księcia, jak gdyby chciał ocenić wrażenie, które sprawił. Książę siedział czas niejaki, milcząc i opierając na rękę skłopotaną głowę, poczem zwolna i z przytłumionem westchnieniem przemówił:

— Niepodobna wszystkie nazwać bezzasadnem, coście, Mości podkomorzy, wyrzekli; tem boleśnieszą więc była wa-

sza mowa. Jeśli tak długie i świetne panowanie czcigodnego Jana nie zapewni ojczyzstego dziedzictwa jego potomstwu, nie ustali w kraju spokojności i porządku, na których jedynie spoczywają państwa, cóż nam przepowiada przyszłość i czyż zawsze każdego dobrego panowania taki ma być skutek?

— Nie troszczmy się tu o przyszłość, odparł wojewoda. Jest ruskie przysłowie: po mej śmierci niech pożar las pochłonie, niech wół łąkę wyżre. Każdemu w swym czasie baczyć należy, *ne quid detrimenti Respublica capiat* niech nasi potomkowie troszczą się jak my o siebie.

— Czy i wasze takie zdanie, panie Chełmski? zapytał Dymitr. — Czyż i wy dajecie wiarę okropnej przepowiedni, którą mi uczyniono, a która spełni się na naszych potomkach, jeśli dojrzeją podobnych zasad owoce?

Wojewoda chciał już na tę uwagę ze zmarszczonem czołem odpowiedzieć, gdy go uprzedził podkomorzy:

— Kto tyle czasu jak pan Wojewoda w polu i radzie przepędził, może myśleć, że już dosyć uczynił, że inni działać podobnie powinni, skoro na nich kolej przyjdzie. Ci jednak, którzy są mniej obciążeni wiekiem, mając przed sobą długi jeszcze szereg obowiązków, słusznie zwracają oczy na przyszłość. W ich rzędzie, ród wysoki, znaczenie i przymioty umysłu, stawiają i Was. Mości Książę: wiele od Was oczekuje ojczyzna, i sprawiedliwie spodziewać się należy, że przełożysz dobro powszechne nad prywatę, choćby to być miało kosztem pięknego uczucia, jakim jest przyjaźń. Wątpić nie można, że w osobie tak oświeconej i wykształconej jak Wy, Mości Książę jesteście, z życzeniami serca łączą się także i powody rozumu, i gdybyście z tego stanowiska rzeczy uważając, owe powody wyjawić mi chcieli, byłbym wam nieskończenie obowiązany.

— Chętnie, — rzekł z uśmiechem Wiśniowiecki — objawię wam moje zdanie, lubo się obawiam, czy moi szanowni

słuchacze i goście nie powzieli już przedwcześnie niezmiennego wyroku. Bez najmniejszej wątpliwości miłość ojczyzny, skłaniać powinna Polaków do miłości ku panującej dynastji, i każdy to zemną przyzna, kto równie jak ja cześć umie jej naczelnika i jego prawdziwie królewski charakter. Jestem Polakiem, Mości panowie, umiem szanować pochodzenie wolnego wyboru, szczytę się nawet podobnym szlachty naszej przywilejem; lecz nie widzę dobrych tej swobody skutków dla nadużyć, które wszystkim dziełom ludzkim towarzyszą. To przekonanie, że nie wrodzone prawo, lecz zasługa synom królewskim drogę do tronu toruje, obudza w nich konieczność stania się jej godnymi; rzadziej nawet niż w innych krajach trafi się po wielkim ojcu syn niegodny, któryby najwyższą w społeczeństwie dostojność nie za obowiązek lecz za dar boski przez pierworództwo nabyty poczytywał. Myśl wreszcie, że szacunkowi tylko i miłości wyborców winien będzie koronę, zniewala go do wczesnego łączenia się z tymi, którzy kiedyś o jego losie stanowić mają; pobudza samego nawet monarchę do cnotliwych rządów, któreby na swych potomków rad przelał; a lży poddanych przy jego trumnie staną za klejnoty w koronie jego syna. Tak jest, zacni panowie, elekcja królów, polskiej szlachcie służąca, jest to ogniwo, co króla z ludem jednoczy. — Zbyt częste atoli z niej korzystanie — mówił dalej — jest w oczach moich najwyraźniejszym nadużyciem. Z urażonem sercem patrzy król na tych, którzy jego rodzinę stracić z tronu radzi; z niezupełnem staraniem sprawuje on ciężkie wodze rządu, za które nagroda zamknie się z nim w jednym grobie; alboliteż bojaźń przyszłości każe mu, ile można, z przeszłości korzystać, by ród jego obok niechęci narodu nie uniósł z sobą hańby ubóstwa z królów pałacu; przyjsć może czas, w którym ówczesny posiadacz korony uważać się będzie za dożywotniego dzierżawcę; w którym opuści obojętnie szlachetny naród, by tylko uratować blask najwyższej godności niemilej już poddanym. Tym sposobem

wieniec, co przy rozsądnem użyciu łączył panującego z poddanymi, stanie się może przepaścią, która ich od siebie oddzieli, aż nareszcie wspólnie ich z nim pochłonie. Powiedzcież, któraż jest najświetniejsza w dziejach polskich epoka? Czyliż nie ta, w której następowali po sobie w nieprzerwanym rządzie Jagiellonowie syn po ojcu, brat po bracie? I wówczas istniało już prawo wolnego wyboru, ale w owych czasach nie przekładano osobistych przywilejów nad dobro ojczyzny !....

— Możecie się przekonać, panie Przebendowski — przerwał tu wojewoda — że starosta Drahimski studja swoje nie bez korzyści ukończył. Żałować tylko należy, że tak pięknej mowie na gruntowności zbywa. Właśnie za tych zachwalonych Jagiellonów starodawne senatu i szlachty przywileje najwięcej uszczerbku poniosły; pod maską wyobrażeń o ojcowskiej opiece króla i zgodnego posłuszeństwa stanów, chcieli oni przywieść nas do celu swej dumy, to jest do monarchji, i dzisiaj polski dygnitarz nie byłby już niczem więcej jak niemieckim baronem, gdyby był bezdzietnie nie umarł ów Zygmunt August, który miał powód trzymać się podobnego systematu. Szczęściem, że późniejsze wybory wzmocniły zachwianą konstytucji naszej budowę; pójdziemy i my w ślady ojców naszych, nie dopuścimy, by jedna rodzina zbyt głęboko zapuszczała korzenie, i kusiła się łamać nasze *pacta conventa*, przed którymi cała władza królewska bezsilna upada.

— Już upadła — zawołał z niechęcią Dymitr — nie tylko przed wami, ale i przed sąsiednimi nieprzyjaciółmi; wkrótce urwiska skał się stoczą i obalą bezbronny kolos, na który włożyliście glinianą głowę! — Słyszałeś moje zdanie, panie podkomorzy; podług mnie, mniej częsta zmiana dynastji przytłumia niezgodę stronnictw, które zawsze grożą zgubą ojczyźnie: im prędzej to dobrodziejstwo osiągniemy, tem będziemy szczęśliwsi.

— Niemasz w tem wątpliwości — odparł dwuznacznie Przebendowski — że przy wyborze nowego króla, baczyć i na to należy, by tron wcześniej nie osierociał. Albowiem — dodał z przytłumionym uśmiechem — owe rozdwojenia, o których wspomnieliście, najczęściej przynoszą korzyść jednemu, nie zaś całej Rzeczypospolitej.

— Po cóż więc zostawiać to przyszłości, co się dziś samo nasuwa? — ponowił Dymitr z coraz większym zapałem. — Po co szukać po obcych krajach, kiedy może cel się znajdzie w własnej ojczyźnie? Czyliż ród Sobieskich nie liczy w sobie dwóch przynajmniej godnych potomków, czyliż ich ojciec nie ma prawa na nasze wdzięczność rachować?

— Zgadzałbym się zupełnie z wami, M. Książę — odpowiedział Przebendowski — gdyby nie okoliczności, które wyłożyłem, a którym przyznaliście niejaka wagę. Kraj potrzebuje głowy, któraby łączyła w sobie przymioty osobiste ze wszystkim, czego wymagają krytyczne okoliczności, mianowicie: męstwo, doświadczenie z majątkiem, siłą zbrojną i potężnymi sprzymierzeńcami.

— Bajki to są — przerwał wojewoda — nam tylko wojny z Bisurmanem i odzyskania Kamieńca potrzeba. Nasz pan Jan ma poniekąd słuszność, gdy mówi, że nowy król powinien przyprowadzić z sobą siły i sprzymierzonych. Wszelako dostatecznym jest sprzymierzeńcem cesarz. Pan Leopold i z powodu godności, jaką piastuje, i jako sąsiad, i dla oczywistej korzyści, nigdy żyć nie może w pokoju z Portą; nam zaś Kamieniec zawsze dziurę w zębie przypomina, a Rzpolita jedynie w Jego Apostolskiej Mości znaleźć może prawdziwego przyjaciela i pomocnika. Wiem ja dobrze, że niejeden ku Wersalowi wzrok swój obraca, nadewszystko białogłowy, zwłaszcza od czasu, jak królowa zamiast wachlarza berło piastuje — z przeproszeniem W. ks. Mości, J. O. księżna, jego stryjenka, należy także do ich liczby. Ja jednak nikogo stamtąd nie chcę; Francja od nas zdaleko, a

jej król spoufalił się z poganinem sułtanem — wreszcie Francuzi są skąpi, w błyskotki tylko szczodrzy.

— Zgadzam się z wami, Mości Wojewodo — przemówił Podkomorzy — że o potrzebie dalszego prowadzenia wojny z Portą i o szczęśliwem jej ukończeniu myśleć należy; ale zgadzam się także i z Księciem, który utrzymuje, iż niedosyć na tem. Wielorakie są potrzeby w dzisiejszych okolicznościach; a jeśli z pomiędzy dziesięciu lub jedenastu pretendentów do korony, są tacy, którzyby im choć w części odpowiedzieć mogli, żadnego niema, którzyby wszystkiemu w ogólności poradził: baczyć nam zatem należy, gdzie jest największa korzyść, a raczej gdzie najmniejsza szkoda.

— Co? dziesięciu albo jedenastu kandydatów do korony? — zawołał zdziwiony Dymitr — a król jeszcze żyje i może dłużej jeszcze żyć będzie. by tak przedwczesne nadzieje zniweczyć.

— Nie pierwszy to raz — przerwał Podkomorzy — jeszcze skóra na baranie, a już chłopki piją na nie. Mości książę, ani mniej ani więcej jak jedenastu.

— Chciejcie więc, Mości Podkomorzy — zawołał z żywością Dymitr — objaśnić nieświadomego, który od dawnego już czasu od dworu i wielkiego świata stroni, i wyliczyć mu imiona wszystkich tych kandydatów, jeśli w tem niema tajemnicy.

— Czemuż nie — odparł tamten — jednych niesie powszechny odgłos, drugich odkrywają roboty stronnictw. Przed wami, jako pierwszych wymienić muszę synów Jego Królewskiej Mości, pomimo zarzutów, jakie przeciw nim walczą. Książę Konstanty jest wprowadzie za młody, lecz utrzymują, że zarzut ten codzień się umniejsza; księcia zaś Aleksandra filozoficzna ohojętność jeśli powabom korony ulegnie, i jeśli królowa skarbów swych nie poszczędzi, przewyciężyć się może wstręt narodu. Mówią jednak, że królowa w miejsce synów swoich wołałaby raczej mniejszym kosztem widzieć córkę na tronie. Elektor bawarski — dodał dobitnie —

walczył już ze sławą z Turkami, i nie odstraszy go wyraz Kamieniec od *Pactów conventów*.

— Kto? elektor Maksymiljan Emanuel! — zawołał Dymitr zarumieniony; — poczem jednak umiarkował się i dodał — jestto wspaniałomyślny i waleczny książę.

— Nieinaczej — odpowiedział Przebendowski — mniej nawet w oczach waszych niż w oczach kogo innego. Jest nadto bogaty, hojny i lubi świetność. Ale i on nie dla nas, ani my dla niego. Gdyby chciał być naszym królem, musiałby się albo z Austrią albo z Francją złączyć, pomiędzy którymi dotąd jeszcze wyboru uczynić nie może. W pierwszym przypadku naraziłby własne swoje kraje, w drugim sukcesję hiszpańską; wzrok jego ku zachodowi się obraca, i dla wschodnich byłby tylko ojczyzną, a możeby ich w każdym wydarzonym wypadku opuścił jak Henryk Walezy.

— Nie wspominajcie mi o Bawarii — wtrącił wojewoda — równie jak synów królewskich, nie chcę i córki; na jedno byłoby wyszło zatrzymać ją tu, zamiast przywoływać.

— Wszakżem powiedział — rzekł Podpomorzy — że elektor bawarski jest bogaty i hojny, lecz być może, iż kto inny podobne posiada przymioty. Co do księcia Jakóba, trzeba go jeszcze liczyć w rzędzie kandydatów, bo dotąd dwór wiedeński nie odczepił się jeszcze od swego pupila. Atoli i z tej strony zaczynają się ukazywać nowi, i zachodzi obawa, czy się ku nim cesarz nie skłoni. Książę Lotaryngji Leopold....

— A ten golec po co? — przerwał tu wojewoda — nauczyło nas dwukrotne doświadczenie, że u Lotaryńczyków snadno przyrzec ale dotrzymać niełatwo. Czyliż nasz warszawski zamek ma być gospodą dla ubogich rycerzy i tułających się bez służby oficerów, którzyby próżne swe worki naszemi skarbami zapełniali? Brać nam, nie dawać wypada, mieliżbyśmy za nie tronu ustąpić?

— Ludwik badeński — ciągnął dalej Przebendowski.

— Dobry wprowadzie generał — odparł wojewoda — ale czyż nam na dobrych wodzach zbywa? Prócz tego goły jak tamten i słaby katolik. Rzpolita potrzebuje gorliwego wyznawcy, któryby zapobiegł szerzącemu się kacerstwu, i dysydyntom usiłującym uformować *statum in statu*. Darujcie, panie podkomorzy, że do was w podobny sposób przemawiam, do was, którzy w swej parenteli Lutrów i Kalwinów liczycie.

— Jeżeli obadwa ubodzy — odparł urażony cokolwiek Przebendowski — trzeba nam szukać bogatego, lecz któryby zarazem takie posiadał cnoty i męstwo jak Ludwik Badeński.

— O kimże to jeszcze myślicie — zapytał książę Wiśniowiecki — bo zaczął się dorozumiewać, że podkomorzy z wojewodą nie zgadzają się na jedno.

— O! mam ich jeszcze wielu — rzekł Przebendowski obojętnie. — Naprzykład Don Livio Odeschalchi.

— Co? Don Livio, synowiec Innocentego XI. papieża — rozśmiał się wojewoda. — Należało mu wcześniej starać się o to; dziś Polska byłaby pięknym wyposażeniem synowca papieża, który już nie żyje.

— Rozumiałbym — rzekł Przebendowski z ironją — że wybór Don Livia odpowiada zupełnie waszej gorliwości o kościół.

— O kościół! — zawołał wojewoda — prawda, żem do niego przywiązany, ale i na światowe stosunki względ mieć potrzeba. Niech się Włoch nie spodziewa okupić naszej korony paciorkami, któremi nas stryj jego, w miejsce przyrzeczonych na wojnę turecką pieniędzy, traktował.

Kiedy więc i ten niedobry — zapytał Dymitr, — powiedźcież, któż jest tym feniksem, coby posiadał wszystkie razem pożądane przymioty?

— Wymieniłbym jeszcze księcia z domu Burbonów — odpowiedział dwuznacznie zapytany — przez którego niespodziewane ukazanie się Opat de Bonport chce nadać stal-

szego ducha swemu stronnictwu; lecz widzę słuszość w przytoczonych przez wojewodę zarzutach przeciw temu kandydatowi.

— Ależ, mości podkomorzy — ozwał się wojewoda — czemuż panu staroście o tych tylko mówimy, których *nie chcemy*, mówmyż o tych, których *chcemy*. Wymieniliście porządkiem wszystkich, którzy nam chcą uczynić zaszczyt stania się naszymi panami, czemuż pominęliście Falegrafa, który podług mnie posiada wszystkie te przymioty, na jakich zbywa tamtym?

Przebendowski skłoniwszy się nisko, odpowiedział:

— Słusznie się zachowuje co najlepsze na ostatek. O Karolu Filipie z Neuburga wspomniałeś sam JO. książę, i nie pozostaje mi nic dodać do tego, co mówi powszechny odgłos. Chwałą jego rozsadek, sprawiedliwie się spodziewają męstwa po nim, przez własną więc siłę może być użytecznym ojczyźnie; gdyż elektor Jan Wilhelm acz młody, jest bezdzielnym; a co najważniejsza, iż mu będzie przychylny i dwór cesarski i większa część najznakomitszych panów polskich, jak to z słów waszych, mości wojewodo, postrzegam.

Wojewoda nie był rad pochwałom na nadziejach tylko opartym. Dymitr zaś, obróciwszy się do niego, oświadczył żartobliwie:

— Nie mogę zataić, iż w tym kandydacie, który miejsce moje w waszem sercu tak prędko zastąpił, nie widzę wszystkich potrzebnych przymiotów. I on nie bogaty, bo zważcie, mości wojewodo, że elektor Filip Wilhelm miał trzynaścioro dzieci, i że posażek Ludwiki Radziwiłłówny nie mało już nadwreżony.

Wojewoda, spojrzawszy ponuro na księcia, rzekł z uporem:

— Spokrewniony on jest ze wszystkimi chrześcijańskimi pany; cesarz nie odmówi szwagrowi swych wojsk, królowie hiszpański i portugalski udzielą mu bez wątpienia swych wschodnio i zachodnio indyjskich skarbów, a skrzynie księcia Parmy będą zapewne bratu żony otwarte.

— Też same powody — rzekł poważnie Dymitr — przemawiają i za małżonkiem Jadwigi Neuburskiej a wszyscy wymienieni monarchowie i księcia Jakóba Sobieskiego krewnym swym zowią.

— Jakóba! — odparł rozgniewany wojewoda — niech sobie gdzieindziej szuka sukcesji. Dwojako zaś byłaby mu bolesną strata, gdyby znienawidzony szwagier wydierał mu dziś koronę jak niegdyś oblubienicę. Widzicież więc, że mam wszelką przyczynę wotować za Karolem Filipem na Falcu.

Tu przystąpiwszy do stolika, na którym giermkowie poustawiali byli butelki i kielichy, wypił z nich jeden duszkiem, jak gdyby na zdrowie przyjaciółnych i na potępienie nieprzyjaźnych sobie kandydatów. W czasie tym mruczał niezrozumiale, czy to dla tego, że się gniewał na samego siebie, czyli że nie był kontent z hojnego gospodarza za to, że wymowa mało na nim sprawiła wrażenia, czyli na koniec że mu się nie podobało, iż podkomorzy w szczególniejszy sposób jego zdaniom potakuje.

Wtem Dymitr, przystąpiwszy grzecznie do Przebendowskiego, rzekł:

— Jeśli się nie mylę, ze wszystkich kandydatów, których wymieniliście, żaden jeszcze całkowitej przychylności waszej równie jak mojej nie pozyskał, i sędzę, że najlepszego zachowujecie na sam koniec.

— Rozmaite są zdania — odparł Przebendowski z wybiegiem — wprawdzie nie mam prawa jak pan wojewoda zasiadać w senatorskiem krześle i wyrokować o przyszłym narodu losie; wolno mi atoli własne mieć zdanie, z którego tłómaczyć się powinienem samemu tylko gospodarzowi tego domu, gdyby było od jego własnego zdania odmiennem.

— Nie potrzebujecie bynajmniej tłómaczyć się — odparł książę — wdzięczny wam jestem, że przez szacunek dla mnie nie zarzucacie na moje zdanie wędki, której szanowny mój kuzyn ukryć nie umiał, i zawierzacie, iż moje zasady prawdziwemu tylko przekonaniu i głębszemu rozbiorowi rze-

czy ustąpić potrafią. Zaszczycacie mnie zawsze imieniem prawego Polaka i przywiązanego syna ojczyzny, i bądźcie przekonani, iż lubo mam na względzie stosunki osobiste, dobro atoli powszechne nadewszystko cenię, skoro je tylko ujrzę. Wasz wyrok jeszcze mi go nie okazał, bo podobno nie wydaliście jeszcze własnego wyroku.

— Nie czuję się zdolnym — odparł Przebendowski — nauczać Waszę Książęcą Mość; wystawiłem wam położenie rzeczy, do waszego rozsądku należy zawyrokować. Czas potemu bliski, acz jeszcze nie nadszedł; jedna chwila wskazać nam może nadspodziewanie to, co jest najlepsze. Niech sobie inni — dodał, rzucając wzrok szyderski na stojącego tyłem wojewodę — trwają w uporze, który im duma lub chciwość dyktuje; ulegną oni jak najłatwiej przy każdej zmianie okoliczności. Porównywać atoli z nimi takich mężów, jakim jest książę Wiśniowiecki, byłoby niedorzecznością, bo podobni bawidełkami ująć się nie dadzą. Wyczytałem ja to zaraz w oczach waszych — rzekł dalej z cicha — i wstydząc się przyjętej na siebie roli, cofnąłem się na właściwe mi stanowisko. Nie własne lecz Rzeczypospolitej wyłożyłem wam życzenia, a skoro się otworzy droga do ich wypełnienia, nie wątpię, że nią pójdziecie, nie potrzebując namowy.

W tej chwili przysunęli się do stolika, na którym stało wino; Dymitr, przekonany że oba jego goście w zdaniach zupełnie się różnią, Przebendowski zaś z pomieszanym wyrazem zadowolenia i obawy:

— Niech się spełnią życzenia wszystkich Polaków! — zawołał wojewoda, podając mu puhar.

— Jak najchętniej — odpowiedział tamten — trzech nas tu, skutek życzeń powinien wypaść jak najlepiej.

— Ale cóż to? — krzyknął wojewoda — czemuż nie pijecie, książę Wiśniowiecki? Wy zaś, panie podkomorzy, choć pijecie, nie pijecie z serca! Mielizbyście wotować za Neuburczykiem?

— Cóżby w tem złego — odparł podkomorzy — podług mnie Falcgraf jest najgodniejszym z pomiędzy wszystkich, którzy się dziś ubiegają o koronę polską.

To słowo „dziś“ udobruchało cokolwiek wojewodę, zawsze jednak z niechęcią patrzył na gospodarza domu, który się z piciem ociagał. To widząc gospodarz, porywa za puhar, wychyla go do dna, jakby na dowód, że mu nie są obce obyczaje przodków i ziomków, i wnosi ten toast:

— Oby się spełniły życzenia wszystkich prawych Polaków! szczęście ojczyzny jest ich zamiarem, a taki zamiar godzien, aby za niego drogie wino i drogą krew rozlewać. Lecz żyje jeszcze zwycięzca Ottomanów, potężny Jan, przed jego zdrowiem, żadne inne w Polsce przodkować nie powinno! Oby żył długo, oby z świetnej jego przeszłości zlały się promienie na piękną i spokojną przyszłość; oby nie porzucano istniejącego dobra dla urojonych ulepszeń, i oby w braterskiej zgodzie narodu zniknęły ciche i głośnie widoki osobiste.

Życzenia te wzbudziłyby może w uściech zagranego trunkiem wojewody opozycję, lecz w tej chwili otworzyły się podwoje i giermek wprowadził nowego gościa.

Rozdział 7.

Gość, który się ukazał, był szczupłej postaci, wzrostu nieco wyższego nad mierny, rysy twarzy miał raczej delikatne niż piękne, oczy jego, zdało się, że były nawykły do łagodzenia właściwej im przenikliwości, a lekki uśmiech na ustach pokrywał dwie zmarszczki, dowodzące może skłonność do ironji; postawa była pewna i układna, jak przystało na żołnierza i razem dworaka, doświadczonego w obu tych zawodach; miał coś w sobie podobnego do podkomorzego chełmskiego, odznaczał się atoli pewnem piętnem wykształconej światowości, którego ów republikanin nie posiadał, a nadewszystko różnił się od wszystkich ówczesnych polskich panów tem, że stracił ową niewymuszoność poruszeń, ową patetyczną niejako powagę, z jaką się tamci okazywać zwykli. W tej właśnie chwili przybrał nasz nowoprzybyły taką minę, jaką Francuzi okolicznościową (de circonstance) zowią. Dość różnił się także jego ubiór od bogatych acz jednostajnych szat narodowych, w które trzej przytomni byli przybrani. Dość wielka, w równe kędziory ubrana peruka okazywała na wierzchu głowy mały okrągły wycisk od obszytego złotą taśmą kapelusza, który podług zwyczaju w pokoju dopiero zdejmowano, i który teraz nasz bohater w rękę swoim trzymał; krótki biały mundur, złotemi wą-

skiem i galonkami obłożony, czerwoną jedwabną materją podszyty, którego obszerne poły sterczały z tyłu, opierał się szerokiej haftowanej i frenzlami obłożonej taśmie, na której bujała mała, złota szpada. Kamizelka i spodnie podobnież czerwonej barwy, miały dziurki od guzików otoczone złotym sznurkiem. Czerwone z grubego jedwabiu pończochy zachodziły aż po kolana, a złote ich kliny kryły się w głębokich z surowej i niewyprawnej skóry trzewiakach, ozdobionych złotemi sprzączkami. Zatrzymał on się we drzwiach, jak gdyby postrzegł, że uchybił zwykłej etykiety i nie śmiał kroku uczynić, dopóki nie obrócili się ku niemu obecni; poczem przemówił w języku niemieckim, a raczej takim, jaki wówczas nie bez przyczyny niemieckim nazywano, do Jana Przebendowskiego: ³⁾

— Panie bracie, jesteście przyczyną, że staję się natrętnym, prezentując się bez introduktora tak dostojnemu tego domu gospodarzowi. Wybacz mi chyba gościnność panów polskich, która tak słusznie za granicą jest celebrowaną.

— Miło mi jest — rzekł Dymitr, występując przeciw niemu z przyjacielską powagą — przyjąć was w mojej drewnianej chacie. Pułkownik Flemming może się obejść bez prezentacji, oby tylko przyjął z dobrem sercem wzajemne moje powitanie.

Saski oficer nie odmówił powitania, przyjmując podany sobie kosztowny puhar winem napełniony, i acz nie po polsku, wychylił go po niemiecku, tak wszakże, iż nic na dnie nie zostało. Potem rzekł uprzejmie:

— Kto tyle zwiedził krajów ile ja, z radością i pożytkiem stara się przyswoić sobie zwyczaje i obyczaje narodów, u których doznaje przyjęcia; najwyższą wszakże sprawia mi satysfakcję obyczaj panów polskich, noszący na sobie dowód znanej ich munificencji i hojności. Darujcie mi, JO. książę, jeśli się okazał na pierwszym wstępie niezręczny; będzie mojem staraniem lepiej z tego profitować w przyszłości,

zwłaszcza jeśli będę miał zaszczyt zawsze z podobnymi, jakich tu widzę instruktorami obcować.

— Tutejsi kalwini — odezwał się wojewoda — których odwiedzić głównym jest podobno pańskim celem, zarzucają *gradatim* staropolskie obyczaje, jak niegdyś porzucili wiarę ojców, wszystko na wzór panów sąsiadów. Z mowy pańskiej widzę, iż jego obecnością dłużej cieszyć się mamy; skądże więc pochodzi, żeby pan, który tak wiele piękniejszych zwiedzał krajów, znajdował upodobanie w tych tu odludnych prowincjach, splądrowanych przez Szwedów, Brandeburczyków i ich współwyznawców?

Książę Wiśniowiecki, znając już sposób wojewody, a nie chcąc, by cudzoziemiec pierwszy raz w domu jego będący, niekorzystnie o gościnności polskiej powziął wyobrażenie, przeciał niemiłą rozmowę i wypił do saskiego oficera zdrowie elektora; Flemming atoli grzecznie się tylko skłonił i czując potrzebę odpowiedzi na uczynione zapytanie, rzekł do wojewody:

— Bez wątpienia wiele wojażowałem i dla własnej przyjemności i w obowiązku służby, albowiem miałem zaszczyt należeć do swity Jego Elektorskiej Mości w czasie, gdy tenże jeszcze jako książę saski czynił ekskursje po obcych krajach. Co się tycze potężnego i pysznego polskiego państwa, nie przywiodła mnie tu sama tylko ciekawość filozoficznym badaczom właściwa i podziw nad jego wspaniałemi, słusznie w całej Europie wysławianemi obyczajami, ale raczej stosunki familijne, które mnie z panem Przebendowskim łączą. Nie mogę jednak i o tem przemilczeć, że mi Jego Elektorska Mość żądany urlop z zadziwiającą deferencją akordował, postanowił bowiem z ust najwierniejszego sługi dowiedzieć się o stanie narodu, dla którego szczególniejszą ma konsyderację.

Wojewoda, patrząc przez chwilę na wypróżniony dopiero puhar, zawołał mniej jeszcze grzecznie jak dawniej:

— A więc, podług słów tego pana, Saksonja czuje ku nam szczególniejszą affekcję? Mnie się jednak widzi, że cała ta affekcja, równie jak konsyderacja elektora brandeburskiego, koncentruje się na dyssydentach w naszym kraju; cała zaś troskliwość ma na celu kościoły i szkoły kacerskie: w pierwszych rzucają na Ojca Śgo anathemata jak na Antychrysta, w drugich zasiewają ziarno *status in statu*. Tak postępowali protestanci i w imperium niemieckiem, których głową się mieni najjaśniejszy elektor saski. O tymże to błogim stanie naszych prowincyj masz WPan donieść swojemu panu?

Podobny ton polskiego magnata bardzo w niesmak poszedł pułkownikowi wojsk saskich, szambelanowi i ulubieńcowi jednego z najznakomitszych i najoświecieńszych książąt: w miejsce więc układności dworskiej, zaczął przybierać postawę żołnierską, gdy wtem spojrzał na swego szwagra. Wzrok Jana Przebendowskiego, wyrażający prośbę przebaczenia, i lekkie ściągnięcie ramion, przekonały natychmiast doświadczonego męża, z jakim człowiekiem ma do czynienia i jak sobie postąpić powinien.

— Parbleu! — zawołał wesóło, oglądając się na swój ubior — do kogoż ja to podobny, do generalnego superintendenta wyznań ewangelickich czyli też do inspektora szkoły? Sądzę jednak, iż panowie augsburskiego wyznania, co chodzą w czarnych płaszczach, małyby mieli respekt dla tej białej odzieży. Mogę zaręczyć, że mój *Serenissimus* nigdyby mi podobnych zleceń nie dawał, choćby nawet powstały w jego myśli; i wątpię, czyby w swojej camarilli znalazł choć jednego gorliwego misjonarza. Wprawdzie pani matka Zofja Amalja Duńska, i dziś nam panująca monarchini, wielkimi są sekciarkami w luterskiej wierze i otaczają się zawsze gronem prawowiernych, pierwsza jednak przemieszkuje w Pretsch, druga w Torgawie; dwór zatem drezdeński od wszystkich gorliwców zupełnie jest wolny. Sam *Serenissimus* w czasie swej bytności w katolickich krajach takim się to-

lerantem okazał, że żałowano w Hiszpanji, iż do rzymskiego kościoła nie należy, którego byłby potężną podporą i zwolennikiem.

Książę Wiśniowiecki dostrzegł, że podobna mowa nie sprawiła miłego na Przebendowskim wrażenia, sam nawet uznał, że nie jest czas ani miejsce do kontrowersyj religijnych, zapytał zatem Sasa, zbaczając od przedmiotu.

— Panie pułkowniku, czy dużo macie znajomych w naszym kraju?

— Nie licząc w to Lutrów i Kalwinów — w tracił zapamiętały wojewoda.

— Bardzo mało — odpowiedział Flemming — nim przyjechałem do Drahimia, nie mogę się poszczycić znajomością wielu panów; nie wspominam tu o panu Rafale Leszczyńskim, staroście odolanowskim, do którego droga mnie prowadzi.

— O Leszczyńskim? — zapytał wojewoda — prawda, że i Leszczyńscy od niedawnego dopiero czasu z arjańskiej i kalwińskiej do prawdziwej powrócili wiary; wieście atoli, Mości pułkowniku, że owi Leszczyńscy byli zawsze dzielnymi obywatelami, samemu królowi mówili *verba veritatis*. Dał tego dowód jeden z ich przodków Rafał na sejmie anno domini 1549. z Zygmuntem Augustem, i nawet dzisiejszy marszałek sejmowy. Stwierdza się zatem przysłowie: że *no-men est omen*.

— *Mais oui* — ozwie się pułkownik — *mais oui, d'un oeuf qu'un aigle a pondu dans son aire, jamais ne sortira quelque poussin vulgaire* — i ja uważam pana starostę odolanowskiego za znakomitego szlachcica, muszę się poszczycić jego przyjęciem, nawet syn staroście zapowiada dzielne ingenium i przy dobrem prowadzeniu stać się może kiedyś *bien remarquable*.

— Cokolwiek jeszcze za młody ów Stanisław Leszczyński — rzekł Dymitr — wszakże wszyscy w nim widzą wiel obiecującego młodzieniaszka.

— Zapewne, — odparł Flemming — chociaż, nie wiem dla czego, nie czuję ku niemu inklinacji. Toczyła się była rozmowa o 30-letniej wojnie, o szwedzkim Gustawie Adolfie, a nareszcie o Janie Jerzym I. elektorze saskim. Starosta odolanowski, którego ojciec ze strony Austrii walczył w sławnych bitwach pod Breitenfeldem i Lutzen, okazał, że jest bardzo świadom owoczesnej polityki i zdarzeń wojennych. W tem to miejscu i synek słówko swoje wsunawszy, ganił nieboszczyka elektora za jego irrezolucję i niedbałą asystencję Szwedom. Starosta kazał mu wprawdzie milczeć, lecz ja ujęty jego żywością, przedstawiłem mu, że jego elektorska Mość powodowany był częścią dobrem własnego kraju, częścią wątpliwemi intencjami króla szwedzkiego, które w każdym znakomitym księciu podejrzenie wzbudzić były powinny. Temu jednak słuszności nie przyznał, twierdząc, że gdyby się kiedy szczycił przyjaźnią i łaską jakiego bohatera, zawszeby go wspierał *à tous risques et périls*. Żeby więc tę ciekawą pogadankę jeszcze przedłużyć, nie groziła bowiem żadną konsekwencją z dwunastoletnim *jouvenceau*, zapytałem go żartem, czy mu niewiadomo, że ja, jako pułkownik w służbie elektora będący, mam prawo, za podobne mowy żądać satysfakcji? Na to wraz oświadczył się gotów; Rafał Leszczyński zgromił go za podobną *véhémence*; ja jednak widząc, że nie była niemiłą ojcu tak rezolutna syna postawa, prosiłem, by zezwolił na ten udany pojedynek. Stałem tedy w pozycji z rapierem, który tu nosze; mały mój przeciwnik wziął tepą polską szablę. Ponieważ starałem się trzymać zdaleka koniec mego oręża, i nawet nie jestem bardzo *exercé à l'espadon*, on zaś atakował mnie z całym zapalem, przyszło do tego, że silnem cięciem wytrącił mi szpadę z ręki. Potem rzucił się na nią, nie chcąc jej zwrócić, a gdy mu ojciec częścią z gniewem, częścią ze śmiechem zwrócić rozkazał, rzekł te słowa:

— Kiedy się Saksonja rozbroić pozwala. niechże pokaże, jakim sposobem broń odzyskać potrafi?

W końcu jednak usłuchał rozkazu ojca, pocałował mnie solenniter, naśladowując starszych kawalerów po skończonej *affaire d'honneur*; a nareszcie wyszedł i więcej się nie ukazał. Starosta ekskuzował bardzo długo petulancję swego syna, zwłaszcza, że go miał zawsze za moderata.

W czasie, gdy wojewoda zbyt wielką z opowiedzianego wypadku okazywał radość, Flemming ciągnął dalej w wesołym humorze:

— Widzicie tedy, *Messeigneurs*, że podczas mojej pierwszej w Polsce podróży nie nader przychylnego doznał przyjęcia; lecz mnie pocieszy łatwo powtórne lepsze przyjęcie. *Son Excellence* pan wojewoda zdawał się presumować, że od mego *Sérénissime* otrzymał pewne *commissions*; przyznając więc jak najumiędloniej, że prawda. Nie są one atoli tak dalece *épineuses* i *de nature grave*, jak JW Pan sądził, przeciwnie, są wcale *agréables* i mnie i temu, do kogo zaadresowane. Ponieważ W. pan jedziesz do Polski — mówił mi elektor w czasie audyencji pożegnalnej — więc się poinformuj o JO. księciu Dymitrze Wiśniowieckim, moim ukochanym wuju, który jak słyszałem kiedy niekiedy w swem starostwie Drahimskim przemieszkuję. Że zaś Wpan jedziesz w sąsiedztwo, pamiętaj zrobić ów mały *détour*. Nie zapomnij potem oświadczyć Jego książęcej Mości ⁴⁾ całą konsyderację, którą we mnie wzbudzają nie tylko własne jego *mérites*, ale i względy dla jego stryjenki owdowiałej królowej polskiej i księżnej Lotaryńskiej. — Z najwyższą więc satysfakcją mam honor zakomunikować W. ks. Mości podobną ze strony Saksonji *ouverture*.

Sposób, w jaki Dymitr Wiśniowiecki przyjął to pozdrowienie, okazywał nie tylko względność dla osoby posłańca, ale nawet rzeczywistą wdzięczność za pamięć księcia, który się w swym wieku tyle odznaczał przymiotami duszy i ciała. Lecz pułkownik mówił dalej:

— Dziwnie w tej *rencontre* mnie i mego pana faworyzował przypadek tak, iż mogłem się podjąć innego jeszcze

zlecenia. Jego elektorska Mość — rzekł, obracając mowę do wojewody — słyszała z renomy o cudownej kolekcji rzadkich rzeczy, którą JWpan w swym pałacu formujesz; jak niemniej o wielu tureckich pamiątkach, któreś w czasie wyprawy tureckiej przez osobiste męstwo niewiernym wydarł; wreszcie o obrazach i innych osobliwościach, które szanowny pan wojewoda z chwalebnym smakiem i znaczną depansą *accumuluje*.

— Czy tak? odparł wojewoda cokolwiek uprzejmiej. — Miałożby to dojść do uszu Jego elektorskiej Mości? Jakkolwiek mało cenię wszystko, co posiadam, byłoby mi bardzo miło, gdybyś Waszmość skromny mój domek szlachecki zwiedzić zechciał. Ujrzysz tam Waszmość i moję nadworną kapelę, przekonasz się, że nie zaniedbujemy muzyki, i nie jeden włoski skrzypek lub śpiewak da się słyszeć w domu uniżonego Waszmości sługi.

— Jaśnie Wielmożny pan uprzedzasz intencje elektora i moje życzenia — odpowiedział Flemming. Mój Serenissimus, będąc sam amatorem osobliwości i wysokim protektorem *des beaux Arts*, pomiędzy którymi sztuka Orfeusza niepoślednie trzyma miejsce, życzy mieć wiadomość o waszem znamienitem muzeum; nadewszystko atoli o wydartych Bisurmanom osobliwościach, które dwojaki właścicielowi przynoszą zaszczyt: dowodzą bowiem i jego osobistego męstwa i smaku we wszystkim, co jest uwagi godnego w narodach. Niektóre tego rodzaju przedmioty i nam się dostały po bitwie pod Temeszwarem ⁵⁾ z której *à bride abattue* powróciłem; chciałbym zatem wiedzieć, czy nie będę w stanie szacownego zbioru pańskiego jaką bagatelą pomnożyć. Ponieważ zaś wszystko, coby mógł panu wojewodzie ofiarować, nie może mieć wielkiej u niego wartości, Jego elektorska Mość osądził, iż nie zechcecie wzgardzić próbami inwencji w jego krajach, które wzbudziły podziwienie całej Europy. Mówię tu o porcelanie z Meissen, której wyroby niedawno przez barona Tschirnhausen wydoskonalone zostały;

że zaś życzeniem jest elektora, aby ten produkt krajowy za granicą był znany i w pierwszych egzemplarzach każdemu znakomitemu amatorowi rozdany, polecił mi więc, abym małą próbkę tej saskiej industrii JW Panu zaprezentował. Serwis stołowy na 50 osób ze wszystkimi zwyczajem Japońskim agredencjami, jakoto: koszykami, wazami, cudownemi poczwarami i pagodami, nie byłby godnym gabinetu pana wojewody; prośbą jest zatem moją i mego pana, byście, panie wojewodo, na te graciki przynajmniej kącika w waszym kredensie nie odmówili.

— Mamże zapewnić mego szwagra — ozwał się tu podkomorzy, któremu rzecz ta snadź nie była nową — że łaskawy pan nie będzie miał mu za złe podobnej śmiałości, i mały ów datek poczyta za dowód szacunku obcych dla wszystkich naszych protektorów sztuk pięknych, tem więcej gdy pochodzi z rąk tak znamienitego książęcia? Mnie samego dziwiłoby to powinno, gdyż właśnie elektor hojniejszym jest w udzielaniu złota, drogich kamieni i srebra, aniżeli wyrobów swojej nowej manufaktury, która, jak powiadają, w Brandeburgji wielką wznieca żaluzją.

— Poczwary i chińskie pagody, mówi pułkownik — ozwał się w tem miejscu cokolwiek rozweselony wojewoda — przedziwnie się one wydawać będą na moim ze słoniowej kości kominku, który dostałem od Falcgrafa. Nie mogę zataić, że mam jakąś predylekcję do podobnych osobliwości, i jeżeli W. M. pozwolisz, miło mi będzie ofiarować *vice versa* jemu i *Serenissimo Electori* niektóre drobiazgi *ex meo thesauriculo*..

— Sądzę, że elektor — dodał Flemming nie bez znaczenia — rad będzie z waszą excellencją wejść w ten rodzaj małego handelku, i spodziewam się, że to nastąpi z satysfakcją stron obudwóch.

— Niezmiernie mnie cieszy — przemówił Dymitr — iż widzę w Drahimie oficera mogącego nam udzielić niektórych wiadomości o N. elektorze, który prócz wielu innych

chwalebnych przymiotów, odznacza się jeszcze męską pięknoscą i nadzwyczajną siłą ciała.

— Takim był także Jan III; a jeśli wiek i choroby powstać jego zmieniły, nie mogą jednak dotąd zniweczyć męstwa, którego niegdyś tak zaszczytnie dla własnej sławy i dobra chrześcijaństwa używał.

— Mój łaskawy pan — rzekł Flemming — łamie z wszelką łatwością podkowy; sześć srebrnych talerzy potrafi zgiąć razem jakby talję kart; i ze mną samym uczynił sobie igraszkę, zgniótlszy mocny puhar z którego wytryśnięty trunek, sprawił mi kroplistą kąpiel. Zamilczam tu o jego prestancji i majestatycznej figurze; dosyć o niej rozpowiadają damy. Ale i w owych egzercejach, które tyle księciu i kawalerowi przystoją, posiada N. Pan nadzwyczaj wiele ekspresjencji; do dziś dnia mówią w Madrycie o andaluzyjskim bawole, którego książę własną zterasował ręką, nie wspominam już o karuzelach, o bieganiu do pierścienia, o wywijaniu kopiją, mianowicie podczas jego pobytu w Wiedniu, gdzie na uroczystości, jaką mu J. C. Moś wyprawił, na czele kadrylu chrześcijańskich rycerzy, z nadzwyczajną zręcznością pięć maurytańskich i tureckich maszkar strącił. Wtedy sam cesarz przyznał, że gdyby elektor miał kiedy na prawdę utarczkę z niewiernymi, dałby się im nieźle we znaki.

Porcelanowe dary i chińskie pagody nie przytłumiły jeszcze ducha opozycji w wojewodzie, zawołał bowiem, śmiejąc się głośno:

— Hm! nie taka to wielka rzecz gnieść puhary i talerze, lub łamać podkowy; mam ja dwóch hajduków, co tego samego dokazać potrafią. Łatwiej podobno powalić w Wiedniu na szermierskiej sali dwóch ochrzczonych muzułmanów niż na polu bitwy prawdziwych; *hic est Rhodus*, panie pułkowniku, *hic salta!*

— Znalazł się już i *Rhodus*, znalazły i *salta* — odparł z powagą Flemming. — Wspomniałem już wam o przestą-

sławnem pod Temeszwarem zwycięstwie; nie była to sala szermierska, ale istne *champs de bataille* i Serenissimus pokazał, że tyle u niego znaczą oryginały niewiernych co kopie. Słowa więc J. C. mości nie tylko spełniły prognostyk, ale stanowią zaszczytną przepowiednię na przyszłość.

— W domu saskim liczą już wiele bohaterów — przypomniał uprzejmie ks. Wiśniowiecki — i spodziewać się można, że dzisiejszy elektor nie zejdzie z toru swoich przodków, *heroum filii noxae*.

— *Par ma foi* — odparł z zapalem pułkownik — godnym on jest swego ojca Jana Jerzego trzeciego, który nie mało się odznaczył w sławnej bitwie pod Wiedniem i wielki miał udział w zwycięstwie. Przyznają mu to wasi panowie rodacy, i nawet Wasza Ekscelencja, panie wojewodo, gdyż bez wątpienia tam byłeś.

Wojewoda, jako jeden z tych ludzi, którzy acz niechętni temu, co się w domowym lub obywatelskim dzieje pożyciu, wysławiają je jednak ile możliwości przed obcymi, rzekł:

— Byłem tam wprawdzie z królem Janem i mogę być wiarogodnym świadkiem, że porażkę Turków jemu tylko i nam Polakom przypisać należy, acz ją sobie Niemcy przypinają.

— *Suum cuique* — odparł Dymitr, łagodząc ten ostry wyrzut wojewody — nie tak mówi Jan trzeci, i często z ust jego słyszał, że natarcie elektora saskiego na czele jazdy, jeśli nie rozstrzygnęło zupełnie losu bitwy, to przynajmniej przyspieszyło skutek.

— Wielkie dusze — rzekł tu pułkownik — oddają sobie *réciiproquement* sprawiedliwość, i nieboszczyk nasz pan podobnie mówił o królu, a swoim naczelnym wodzu; jeśli się dopuszczono podobnej injustycji w Wiedniu, nigdy jej elektor nie dzielił, hołdując zawsze jak przystoi królewskim zasługom i męstwu. I syn po nim odziedziczył podobną cześć

ku polskiemu królowi, niezmiernie się nawet zasmucił, gdy w obozie w Węgrzech wieść o śmierci królewskiej puszczo-
no.

— O śmierci królewskiej — zapytał zdziwiony Dymitr.

— I w Wiedniu podobna wieść się rozeszła — mówił dalej tamten — tak dalece, iż w Szląsku dopiero dowiedziałem się o jej nieprawdzie. Wszak N. Pan ma się znajdować *in extremis*, i dwaj młodszy jego synowie otrzymali przez sztafetę rozkaz wracania z Francji na Wiedeń, i tam pacjentowania dopóty, dopóki coś ważnego w Warszawie nie zajdzie.

— I o tem jeszcze nie wiemy — rzekł stroskany Dymitr.

W tej chwili dał się słyszeć przed drewnianym dworcem wielki hałas; zajechało na dziedziniec kilka powozów otoczonych jazdą, odezwały się trąbki pocztyljonów, którym odpowiedział odgłos trąb z przyległego domu, gdzie chorągiew księcia starosty straż trzymała. W czasie, gdy gospodarz domu wysyłał swego szatnego na zwiady, zbliżył się Flemming do wojewody stojącego już przy oknie i niechętnie patrzącego na pierwszą karetę z świetnemi herbami.

— Mam dla Waszej Ekscelencji — rzekł mu z cicha — szczególne złożyć pozdrowienia od blisko tyczącej go osoby.

— O! mego synowca? — zapytał szybko tamten — mniejsza o to, niedługo przy sobie go ujrzę, skoro tylko swych zleceń dopełni.

— Niech tylko pan brat nie zapomina o poczwarach — wtrącił podkomorzy, który ową rozmowę słyszał — może te dziwotwory więcej są na sercu panu wojewodzie, niż pozdrowienia wiedeńskie. Pomyślne to dla nas będzie zjawisko, gdy je ujrzymy na kominku od Neubureczyka.

Właśnie z gwałtownym trzaskiem rozwarły się podwoje i weszło dwóch młodzieńców w bogate suknie przybranych, ozdobionych gwiazdą św. Ducha. Jeden z nich, nie uważając na obecnych, rzucił się w objęcia Dymitra i długo go ścisnął, gdy tymczasem drugi wysoki, silny, ciemnowłosy młodzian, z czerstwemi policzkami, wesoło lecz poważnie przytomnych pozdrowił. Wojewoda powitał go ozięble i z napu-

szoną miną; Flemming zaś, przystąpiwszy do Przebendowskiego, który niski oddawał pokłon, zapytał, ciągnąc go na stronę:

— Kto są ci panowie, *mon frère*?

— *Parbleu, mon frère* — odpowiedział — ci sami, których wysłałeś do Wiednia... — królewiczowie polscy.

— Widzę teraz, że moja tu obecność nie bardzo potrzebna.

— I moja także — dodał Przebendowski — ale zostańmy jeszcze chwilkę, niedługo tu wojewoda wybuchnie.

— Zacny mój książę — przemówił Konstanty Sobieski do Dymitra — powinienem ustąpić przyjaźni i starszemu bratu; spodziewam się jednak mieć prawo do dobrego z waszej strony przyjęcia, choćby tylko dla tego — dodał ściskając go — że wracam z Brukselli i wiele wam stamtąd pozdrowień przynoszę. Zbyt usilnie zalecała mi je siostra elektorowa, bym wam nie miał jak najspieszniej oświadczyć i zarazem zapewnić, że o swym przyjacielu młodości jak najczulej pamięta.

Gdyby nawet książę Wiśniowiecki nie odgadł był myśli królewicza, odkryło mu ją zachmurzone czoło wojewody; zapytał więc tylko o zdrowie Jej Królewskiej Mości.

— Moja siostra zdrowa — mówił dalej Konstanty coraz donośniejszym głosem — i byłaby jeszcze zdrowszą, gdyby ją nie smuciły fałszywe, a przynajmniej przesadzone wieści, które się o zdrowiu naszego króla ojca rozeszły. My z Aleksandrem w Szczecinie dopiero zostaliśmy uspokojeni własnoręcznem Jego Królewskiej Mości pisanem i sądzimy, że panowie radość naszą podziela. Od was szczególnie, panie Przebendowski, tego oczekuję, gdyż zdrowie pana naszego i króla dozwoliło mu przez sankeję senatu wyświadczyć waszym zasługom nagrodę. Ten papier — mówił dalej, ukazując podkomorzemu pismo opatrzone wielką pieczęcią — przysłany mi został przez Jego Królewską Mość, abym go wam w czasie mego przejazdu wręczył. Mianuje was kasztelanem

chełmskim i podaje mi miłą sposobność, iż wam pierwszy tego zaszczytu powinszować mogę.

Mocny rumieniec pokrył mimowolnie lica nowego senatora; dostrzegł atoli zwrócony na siebie przenikliwy i nieufny wzrok wojewody, jako też stroskane oko szwagra. Wszakże potrafił zebrać dosyć odwagi, ażeby królewiczowi w przyzwoitych słowach wdzięczność swą i uniżoność dla króla wyraził.

Potem nastąpiło przedstawienie saskiego pułkownika i rozmawiano wspólnie, dopóki królewicz Aleksander po cichej z Dymitrem naradzie nie objawił obecnym, iż przybył końcem uprowadzenia księcia Wiśniowieckiego i otrzymał przyrzeczenie, że mu do Warszawy towarzyszyć będzie.

— Jakto, jedziecie do Warszawy, książę Dymitrze? — zapytał wojewoda sucho i dobitnie.

— Tak jest — odpowiedział Wiśniowiecki z powagą — przyszedł czas, że iść mogę za popędem serca i przytem dopełnić wszelkiego rodzaju obowiązków.

Upłynął kwadrans, nim królewiczowie oświadczyli, że myślą prznocować w starostwie. To usłyszawszy wojewoda, osądził za rzecz przyzwoitą oddalić się. Poszli za jego przykładem kasztelan i Flemming, lubo ten ostatni, czy przez upodobanie czy przez inne względy, w żywą i zajmującą z Konstantym Sobieskim zapuścił się rozmowę.

Gdy już Sas wsiadł do pojazdu a dwaj jego towarzysze dosiedli koni i zostawiwszy swój poczet z tyłu, ujechali część drogi w milczeniu, przemówił wojewoda:

— Cóż się tedy z wami dzieje, mości kasztelanie? czy nowa godność i królewska łaska nie miały jakiej influencji na wasze projekta?

— Za nadto korzystał — rzekł poufalszym już tonem Jan Przebendowski — z nauk i przykładu pana wojewody, ażeby mnie nowa godność zaślepić mogła, godność, do której ród mój równe mi daje jak innym prawo.

— Przedziwnie — ponowił tamten — to są słowa godne polskiego senatora i szlachcica; a więc między nami zgoda. Z księciem kuzynkiem tylko trudna sprawa, a przybycie Ichmość królewiczów i podróż do Warszawy wszystko zapewne popsuje.

— Żadne drzewo pod pierwszym cięciem siekiery nie pada — odparł dwuznacznie Przebendowski — dokazałem swego na wielu daleko twardszych. Na każdego sposób inny, polityk o tej maksymie wiedzieć powinien.

Gdy się zbliżyli do miejsca, gdzie ich rozłączała droga, zawołał wojewoda, żegnając Przebendowskiego:

— A więc, mości kasztelanie, zostajemy przy naszym haśle? Vivat Neuburezyk!

— Vivat! — powtórzył tamten.

Słówko atoli, które po tym wykrzyku dodał niezrozumiale, nie było wcale o Neuburezyku; poczem poskoczył za pułkownikiem saskim.

— Pamiętajcie — wołał za nim wojewoda — przypomnieć panu szwagrowi o stołowym serwisie!

— I o porcelanowych pagodach, spuście się na mnie, mości wojewodo.

Były jeszcze wymówione i inne drwiące słowa, ale wiatr wieczorny już ich nie dopuścił do uszu znamienitego zbieracza osobliwości.

Rozdział 7.

Wieść, która się rozeszła o śmierci Jana III., nie była zupełnie bezzasadną. Nagromadzenie się rozmaitych chorób podkopywało zwolna siły żywotne osiwniałego bohatera; przyrodzona zaś jego wesołość umysłu, stopiona domowym niepokojem i wzrastającą obojętnością narodu, któremu całe, pełne sławy życie poświęcił, nie tyle już co dawniej uzbrajała go przeciw zbliżającej się śmierci. Ze smutkiem dowiedziała się Marja Kazimiera o złowieszczych Jonasa obawach, a nie chcąc dać im wiary, zwyczajem niewieści gniewała się na zwiastuna niepomyślnych przepowiedni. Była w położeniu właściwem tej, której postępowaniem zmienny humor kieruje; czuła, że nic ani dla siebie ani dla swoich nie przygotowała na grożący jej wypadek, a wahając się między mnóstwem projektów, zaniedbała najgłówniejszego. Nadto, podług jej zdania, wypadek ten jeszcze był dalekim; wierzyła więc, ile mogła, innym, a jeśli spojrzenie na cierpiącego małżonka wstrząsało jej nadzieje, chciała przynajmniej, by nie widziano jej obawy, i używała całej swojej nad królem władzy, by stan swój przed obecnymi i domownikami ukrywał. Znalazła w tem dzielną pomoc w opacie de Bonport i w coraz liczniejszych stronnikach swoich na dworze. Ilekroć minister francuski stanął przed królem, nie przypominał cieszyć

się z dobrej jego cery; dla Marji Kazimiery zawsze miał słówka pocieszającej nadziei, i gdy z innej strony ustnie i piśmiennie skazywano już na śmierć Jana III., Melchior Polignac i jego przyjaciele rozgłaszali, że to tylko mała słabość, którą użycie kąpieli mineralnych wcześniej nadchodzącej wiosny jak najłatwiej uleczy. Późniejsze wypadki zrodziły wątpliwość, czyli te zapewnienia posła pochodziły w istocie z przywiązania do domu Sobieskich, których się mienił najżyczliwszym sługą? Wierzył mu przecież prosto-myślny monarcha.

Najsilniejszemu człowiekowi ciężką jest do zniesienia chwila bliskiego zgonu; cóż dopiero starcowi królowi? wdzięczny więc był temu, który wszelką myśl śmierci daleko odpędzał, lubo już nieraz widział ją być zbliżoną. Ze zgrozą patrzył na drugich, podobnych do dziedziców, czyhających na przywłaszczenie sobie niby wyglądanego spadku; zwłaszcza, że między tymi własnego syna spostrzegał! Od godziny do godziny podnosiła się do góry szala austriackiego stronnictwa, lubo Leopold I. bynajmniej niem nie kierował. Hrabia de Thun został odwołany; ojciec Vota chociaż zachował urząd spowiednika, pozbawiony był przecież innych daleko ważniejszych poleceń. Jadwiga Elżbieta Neuburska doznawała coraz większej ze strony świekry oziębłości; a niezręczne Jakóba Sobieskiego usiłowania w utrzymaniu partji, jaką mieć rozumiał, zamiast korzyści, przynosiły mu uszczerbek. Coraz więcej skłaniał się umysł Jana III. ku młodszym synom. Ministerjum austriackie nie zupełnie w tych zawiłych okolicznościach bezczynne, coraz mniej zważało na bezskuteczne Jakóba zabiegi i politycy wiedeńscy upatrywali już zręczniejszego i szczęśliwszego zastępcy. W tym to czasie dzień powrotu Aleksandra i Konstantego Sobieskich z Francji i Niderlandów był dniem prawdziwej na dworze radości, której zwodnicze pozory niedługo spełznąć miały.

Zaraz po przybyciu dostojnych podróżnych, nieliczne zaufanych osób grono zebrało się w komnacie królewskiej,

oczekując nadejścia godziny, kiedy cały dwór na uroczystość wieczorną miał się zgromadzić. Przed krzesłem, na którem osłabiony na siłach Jan III. niechętnie spoczywał, stali obadwa młodsi królewiczowie i odpowiadali na pytania ojca: Konstanty trafnie, wesoło i dowcipnie, Aleksander poważnie i rozsądnie. Niedaleko nich siedziała w oknie Marja Kazimiera, nie mieszając się na pozór do rozmowy, słuchała jej w milczeniu a kiedy niekiedy pogrążała się w myślach. Przedmiotem tych myśli był podobno najmłodszy syn jej, gdyż często spoglądała na niego z widoczną radością. Jakoż postać jego i obejście usprawiedliwiały macierzyńskie uczucie, był bowiem najurodziwszym z synów królewskich. Nad wszystkich zrobił się podobnym do ojca, lubo dawniej to podobieństwo w Aleksandrze widziano; lecz ten nie doszedł spodziewanego wzrostu i acz wyższy i lepiej zbudowany od brata Jakóba, nie był równy królowi ani co do wzrostu ani co do tuszy; włos jego nie wiele ściemniał, rysy twarzy acz regularne, pozbawione były wyrazu owej żywości, wzrok owego ognia, które monarcha w młodszych okazywał léciech. A ponieważ Konstanty równał się królowi i w wzroście i w sile, ponieważ wysokie czoło jego i kwitnące policzki czarnym okryte były włosiem, i ten sam miał uśmiech, który już dziś coraz rzadziej na usta Jana III. powracał, też samą postawę, ten sam głos nieledwie: nic dziwnego, iż w umyśle matki wspomnienia przeszłości kojarzyły się mile z nadziejami przyszłości.

Cokolwiek dalej widać było królewicza Jakóba, jak zawsze w postaci słabowitej, bladej, ponurej, ze zmarszczonem czołem, które pokrywał krótki włos czarny; nie nosił bowiem peruki, bo czy przez wzgląd na życzenie ojca, czy z innych widoków, od niejakiego czasu strój francuski na narodowy zamienił. Zajęty był na pozór rozmową z swym dziadkiem, odpowiadał mu jednak z roztargnieniem, rzucając raz po raz wzrok przenikliwy na grono otaczające krzesło ojca. I jego uwagę zwracał najwięcej Konstanty. Wiemy

z dziejów ówczesnych, iż względniejszym był dla niego, niżeli dla innych członków rodziny, a przynajmniej nie tyle odpychającym. Lubił niektóre jego żarciki, jakichby może z innych ust nierad słyszał, i uważał go zawsze za dowcipnego i otwartego młodzieniaszka, jednym słowem za dziecko. Gdy jednak to dziecko ukazało się teraz w postaci młodzieńca, zwróciło na siebie troskliwsze oko Jakóba. I on postrzegał owo uderzające podobieństwo.

W przeciwnej stronie komnaty jaśniała bogata suknia margrabiny de Béthune, zrzuciła już bowiem żałobę, w której ukazała się w Warszawie, a wraz z żałobą może i ową słodką pokorę, którą wówczas, kto wie czy nie do roli tylko była na się przybrała. Nadzwyczajna uniżoność, jaką okazywała siedzącej obok siebie Jadwidze Elżbiecie Neuburskiej nie wiele pochlebiała tej ostatniej, a urażała królową, jak tego dowodziły szastania wachlarzem i wymuszone śmiechy nad każdym powiedzianem słowem. Księżna odpowiadała z niechęcią i z dumą właściwą córkom książęcyom XVII. wieku. Oddawna niemiłym jej się wydawał pobyt obok świekry, zwłaszcza w obecności małżonka; położenie jej na dworze warszawskim nigdy nie było do zazdroszczenia, a tem bardziej teraz. Królowa wypłacała się jej szyderskim tryumfem za to, że w łasce Jana III. pierwsze miejsce osiąść usiłowała; gdy tymczasem Jakób wyrzucał jej niezręczność w tej mierze. Marja Kazimiera z niechęcią uważała ją za podpórę niemiłej sobie austryjackiej partji; mąż zaś świadomy życzeń Karola Filipa Falegrafa czynił ją odpowiedzialną za sprawy brata. Nie dziw, że te okoliczności skłopotać musiały biedną królewiczową, która skromnie w ojczystem wychowaniu mieście, nie umiała się podobać na dworze, gdzie układość francuska i austryjacko-włoskie wybiegi, wspierane z obojej strony intrygami, rej wiodły. Przekonana, że wszystko, cokolwiek uczyni, ściągnie na siebie nagane, straciła wszelką odwagę i postanowiła w nie się już nie wdawać.

Lubo czytelnik widzieć może, że dwie te damy nie były z sobą w arcypożądaney zgodzie, wielu jednak z przytomnych naprzemian od jednej do drugiej chodziło. W. podskarbi koronny Hieronim Lubomirski zajął się margrabiną, pragnąc ją uwikłać w dowcipną słów igraszkę; wojewoda ruski Marcin Kątski przystąpił do królewiczowej może dla uniknienia rozmowy z królową, która niedawno zniweczyła jego nadzieje w otrzymaniu mniejszej buławy. Przyłączył się do nich W. Hetman Jabłonowski, unikając oczu królewicza Jakóba, ścigających natrętnie tego, który nie wiadomo czyim był stronnikiem, czy Aleksandra czy elektora bawarskiego? Wielu jeszcze innych zwiększyło to grono, a między tymi oczywiście Melchior de Polignac. Ostatni wszakże przybył biskup plocki z inną jeszcze osobą, na którą dotąd nie zważano, z Dymitrem Wiśniowieckim! Jan III. powitał Wiśniowieckiego nader ozięble.

Wtem z podwojów przybocznej komnaty, które się właśnie otworzyły, wyszedł, otoczony młodszymi zwolennikami swej sztuki i służbą niosącą lekarstwa, Jonas żyd, przyboczny monarchy lekarz.

— Miło mi bardzo, gdy słyszę — rzekł Jan Sobieski, ciągnąc dalej rozmowę — iż brat mój król francuski tak życzliwie synów moich przyjął, i spodziewam się — dodał z uśmiechem, schylając się do królowej — że opis waszej podróży równie miłą matce sprawi przyjemność.

— Sądzę — odparła królowa pozostając na miejscu — że dziś wszędzie wiadomo, jakie przyjęcie synom waszym przynależy, i król francuski zbyt jawne okazał swego sposobu myślenia dowody, żeby o nim powątpiewać można.

— Traktowano nas jako książąt krwi — przemówił Aleksander — i jakeśmy już w listach donosili, dano nam mieszkanie w Luwrze, w tychże samych komnatach, które zajmowało Ichmość Królestwo Angielskie, nim do St. Germain odjechali. Ośmiu szarych muszkietierów trzymało straż honorową i towarzyszyło nam zawsze przy pojazdach. Względność

ta tem się wydała większą, iż owi muszkietierowie była to sama szlachta polska, i nie zapomnę miłego wrażenia, jakiegom doznał, gdy brygadier w ojczystym języku zapytał nas o rozkazy.

— I król także — dodał Konstanty — życzliwie przyjął składane przez nas podziękowania. Zbyt wielka liczba szlachty francuskiej poświęcającej się służbie wojennej — mówił nam — skłoniła mnie do oddalenia z mej gwardji wszystkich cudzoziemców, ale dla waszych ziomków sprawiedliwy uczyniłem wyjątek. Nie należy im odmawiać miejsca w kompanji, która się niegdyś zaszczycała sławnym ich królem i dotąd jego imię nosi. Służby to nawet za wielką muszkieterom zachętę, bo któż będzie tchórzem w szkole, która w rzędzie swych wychowanców króla polskiego liczyć potrafi?

Uradowany Sobieski nie mógł wstrzymać swego zadowolenia i obracając się do francuskiego posła, który niby rozmową z margrabiną zajęty, dawał przecież pilne ucho na wszystko, co mówiono, zawołał:

— Mości Polignac, zapewnij waszmość Króla Imci o mojej szczególniejszej wdzięczności za tak łaskawe przyjęcie. i oświadcz, że tytuł francuskiego muszkietera, pomimo wielu innych, którem pozyskał, dotąd mi jest niewymownie miłym.

— Kto, jak W. K. Mość — odpowiedział Polignac — najwyższym tytułem przyczynia blasku, zamiast go od nich odbierać, ten nie gardzi i małemi.

— I ja także — odezwała się Marja Kazimiera — równie jak król czuję dla Jego Arcychrześcijańskiej Mości wdzięczność za łaskawe synom naszym wyświadczone dowody życzliwości i równie jak za te, które nam przez was, Mości Polignac, przesłane zostały. Czułabym nawet jeszcze więcej, gdyby jedność między dworem warszawskim a wersalskim i na przyszłość rozciągnąć się mogła.

Na te słowa Opat de Bonport skłonił się uniżenie i odszedł do osób po drugiej stronie sali będących.

Zapytania ojca i odpowiedzi synów naprowadziły naturalnie rozmowę na Bruksellę i elektorową bawarską.

— Pamiętaż jeszcze Teresa — zapytał król — o nas i o ojczyźnie?

— Waszmość królestwo — odparł Konstanty — byliście ciągłym przedmiotem naszych rozmów. Elektorowa jest zawsze Polką i mało pominęła znajomych, zlecając nam swe pozdrowienia. Burze wojenne w Niderlandach, acz od niej przez grzecznych wodzów francuskich odsuwane, nabawiły ją przecież niepokoju; i oddalona po większej części od małżonka, którego zatrudniają polityczne i wojenne stosunki, często z rozczuleniem o szczęściu swych lat młodszych wspomina.

— Wieleśmy rozmawiali o Wilanowie i Żółtkwi — dodał Aleksander — i zapewniono nas, królu ojczyźnie, że ogród Brukselski Bellevue nie wygładził z pamięci siostry ani jednego krzaczka, ani jednej topoli, które własną sadziliście ręką; nawet świetność dworu nie dała jej zapomnieć o tych, którzy w cieniu drzew Wilanowskich dzielili z nią dziecinne igraszki. Minęły już te czasy, a elektor, acz względny, jest przecież za nadto poważnym małżonkiem.

— Podług waszych listów — przemówiła królowa — widzieliście podobno elektora bawarskiego. Cóż o nim sądzicie?

— Dzielny to książę i mężny wojownik — ozwał się Jan III. — znałem go takim jeszcze pod Wiedniem i w Węgrzech.

— Dotąd się nie zmienił — rzekł Konstanty — i korona byłaby mu równie do twarzy jak mitra.

Marja Kazimiera, uśmiechnąwszy się na te słowa w osobliwy sposób, zawołała:

— A ty, Aleksandrze, co sądzisz o swoim szwagrze?

— Toż samo co i Konstanty — odpowiedział — ale... prawdę mówiąc, choć wielkie ma przymioty, większe jeszcze żądze.

— Są to właśnie prawdziwe królewskiej duszy oznaki — ponowiła matka — chętnie je widzę, mój synu, w mężach

wysokiego rodu, i nie podoba mi się wcale, że ty im przyganasz.

— Rozumiem już W. K. Mość — rzekł zarumieniony syn, spuszczając ku ziemi oczy — ale choćbym sam był niekontent z ograniczonych życzeń moich dla tego, iż wam się nie podobają, nigdyby mnie od nich przykład Maksymiliana Emanuela nie odwiódł. Choć jest bogaty, poważny i majestatyczny na swoim dworze, widziałem go nieraz zasmuconym, zmarszczki trosk pokrywały jego czoło.

— Są to ślady, które każda zostawia korona — rzekł Jan, wstrzymując westchnienie.

— Podług mnie — mówił dalej Aleksander — podobnym on jest do bogacza, który, ufny w swe skarby, puszcza się na gry największem niebezpieczeństwem grożące, byleby mu powab nadziei podały.

— Niestety! — ponowiła Marja — czyżby ci także podobny sposób myślenia nie przystał? Wielką jest gra elektora, ale nie widzę w niej niebezpieczeństwa; śmierć, ów gracz najzręczniejszy, jest mu pomocą; dotknęła ona króla hiszpańskiego i przez to zięciowi memu zwróciła stawkę.

— Oby więc — zawołał urażony Konstanty — ów wychudły gracz, o którym W. K. Mość wspominasz, długo rzeczy nie zwlekał! bo i ja postrzegłem mimo milczenia i umiarkowania mej siostry, że nie wiele szczęścia domowego używa. Podobno już nigdy ojczyzny nie ujrzy.

— A to dla czego? — zapytała królowa — czas nieraz nagle zbliża, co się zdawało dalekiem; i jeśli pan Konstanty tak bardzo pragnie tu widzieć siostrę i szwagra, życzenia jego mogą być spełnione.

Jeszcze syn szukał w obliczu matki odgadnienia myśli tych ostatnich wyrazów, gdy Jan III. zawołał:

— Niechże więc nie odwołają przyjazdu; dom ten często zmienia panów; i wkrótce możeby córka moja drzwi przed sobą zawarte zastała. Wtedy nie byłby dla Teresy Sobieskiej

pożądany powrót do ojczyzny, w którejby wszystko tylko pamiętać drogich osób jej przywodziło.

— Proszę was, najukochańszy małżonku — rzekła królowa, spozierając wokoło sali — nie wspominajcie o dalekim jeszcze wypadku, przynajmniej w obec tych świadków, z których może nie jeden pragnie potajemnie, czego się na pozor obawia.

— Czyż myślisz, że nie wiem o tem? — ponowił starzec z bolesnym uśmiechem — wiem ja dobrze, że lubo przyzwitość i uszanowanie trzymają w szrankach serca niewdzięczne i niewierne w oczach żyjącego jeszcze monarchy, z niecierpliwością jednak nasuwają mu myśli o grobie; nie pomnę, że on zamknie zwłoki ojca ich lub dobroczyńcy!

— Wszakże mnie i Aleksandra wyłączaście z ich liczby? — rzekł Konstanty, ściskając rękę ojca z pełnym uszanowania zapalem — wszakże — dodał po niejakej chwili — i Jakóba to nie dotyczy?

— Zapewne, że ojciec nasz — zawołał z ogniem Aleksander — nie może tak okrutnie synów swoich posadzać; lubo są tacy, którzyby radzi, Bóg wie w jakim celu rozbrat między nami sprawić.

— Wątpię, żeby w dobrym — ponowił młodszy królewicz — wartoby więc pozbyć się tych usługnych ichmościów, których działania nigdy nam nie przyniosły owocu; i prawdę rzekłszy, nawet elektorowej nie mało trosk zrządziły.

— Młodziku, młodziku — ozwała się królowa łającym lecz dość uprzejmym tonem — czy i ty chcesz narzucać J. K. Mei obowiązki?

— Daj mu WMość pokój — przerwał jej Jan III. — na mój honor królewski, nie tak dalece się myli. Gdybyśmy na nowo zaczynać mieli, możeby wiele rzeczy poszło inaczej. Ale dziś, zapóźno! i niedaleka godzina, w której choć nie ja, ty przynajmniej, kochanko, poznasz, kto z nami szczerze postępował, a kto przeciwnie.

Rozmowa ta najjaśniejszych osób zaczęła zwracać obecnym uwagę, co postrzegłszy Aleksander, przystąpił jeszcze bliżej do ojca i szepnął mu następujące słowa:

— Wasza mowa, N. Panie, i to, co brat Konstanty o elektorowej wspomniał, przypomina mi obowiązek, którego dopełnienia dłużej zwlekać nie powinienem. W. K. Mość wspomniałeś o przygodzie, która siostrę naszą, gdy opuszczała ojczyznę spotkała; zleciła mi zatem odkryć wam to, co jej okoliczności komu innemu jak bratu odkryć nie dozwalały. Wszakże jej świadectwo powinno być dostateczne o zdarzeniu, którego stałaby się ofiarą, gdyby nie pomoc znajomego; i w Brukselli daleko jaśniej widzą niektóre wypadki przed nami ukryte. Muszę was uwolnić, ojcze, od podejrzenia, które ciężarem być musi dla waszej wspaniałej i szlachetnej duszy.

W tej chwili król rzucił wzrok niechętny na Dymitra, (który czując się niejako obcym w tem zgromadzeniu, gdzie dawniej był domownikiem, stał samotnie) poczem zawołał z wymuszonym uśmiechem:

— Nie mam ja za złe Teresie, że wybaczła temu, którego przyjacielem swej młodości zwała; mówią, że niewiasty wybaczą płochości i błędy, których są powodem; może mu więc szczerze przebaczyła; bo ta białogłowa wiele ma w sobie podobieństwa do ojca i chętnie doznanych uraz zapomina.

— Wątpię bardzo — zawołała królowa z żywością — ręczę że elektorowa nie zapomni tak dalece o swej godności, iżby mogła podobny zamach na jej sławę wybaczyć? a gdyby tak być miało, proszę mi o tem, panie Aleksandrze, nie wspominać. Podobne mowy mogłyby znowu odnowić dawno zapomniane pustoty i wprawić moją córkę w posadzenie, że jeszcze o nich pamięta. Nie spodziewaj się, królewiczu, by pobłażanie elektorowej i twoje nieproszone pośrednictwo przywrócić zdołały łaskę królewską temu, który stał się jej niegodnym.

— N. Pani! — zawołał Aleksander z uczuciem — ani Teresa, ani mój przyjaciel nie zasłużyli na tak niekorzystną W. K. Mości opinię, mogę za to zaręczyć.

— Ręcz za siebie samego! — przerwała tonem rozkazującym Marja; poczem z mniejszym gniewem dodała — możesz być posłusznym i szczerze przywiązanym do króla ojca, ale nie masz jeszcze zdolności sądzenia o innych.

— Mój synu — wtrącił tu król — nieledwiebym wierzył, co o tobie mówią, żeś nie zrodzon na króla. Zbyt wielką ufność i wiara w cnoty, które wszędzie, wyjąwszy na jałowym gruncie dworskim, kwitną, nie są przymiotami królewskimi; i kto je z sobą na tron przynosi, prędzej czy później a częstokroć nie bez bólu i pracy, odstąpić od nich jest zmuszony.

— A więc nie osiągnę nigdy tego, coby mnie tyle kosztować mogło — odparł rozczulony Aleksander — lecz N. Panie i Ojczy, skądże to pochodzi, że wy, którym te przymioty tak były właściwe, dziś im przyganiacie?

Król, przyłożywszy rękę do czoła, odpowiedział:

— Mogę przeto najlepiej sądzić, jak gorzko jest doznac w nich zawodu. I ów Dymitr dokuczył mi niemało; kochałem go, kiedy był jeszcze dzieckiem, widziałem z jakimi nadziejami wzrastał; lecz okazało się inaczej; duma przybrana w innego rodzaju uczucie opanowała go i stawiała w rzędzie nieprzyjaciół domu, mającego opiekę nad jego dzieciństwem.

— Co? Dymitr Wiśniowiecki nieprzyjacielem naszego domu? — ponowił ledwie nie urażony królewicz.

— Mówią, że jest stronnikiem Austrii — ciągnął dalej ojciec — albo raczej członkiem stronnictwa, co przybiera tylko nazwę austryjacką, by zatruwać moje dni ostatnie i gotować krajowi nowe zamieszki. Spójrz na województwa, obejrzyj się w około nawet w tej sali, a postrzeżesz nie jednego, który się szczyty swym wpływem i związkami z dwo-

rem wiedeńskim. I wasz brat jest między nimi. Obawiam się tylko, by go mniemani pomocnicy nie opuścili w potrzebie, a tę obawę widzę z smutnych jego oczu.

— Czyliż to tylko jedno stronnictwo gnieździ się na tujejszym dworze — rzekł Aleksander — możeby dało się wysledzić i drugie, o którym już głośno za granicą mówią.

— Stronnictwo, o którym wspominasz — przemówiła dumnie królowa — powinnyby zjednać twoję wdzięczność; bo na niem gruntuja się nadzieje, jakich ty cenić nie umiesz. Powinieneś je nawet szanować, bo twoja matka na czele jego stoi.

Tu Aleksander chciał odpowiedzieć, lecz groźne Marji skinienie zamknęło mu usta.

Wyrezył go jednak otwarszy i więcej złośliwy Konstanty.

— A więc — rzekł z uśmiechem — jako dobrzy synowie zaciągniemy się pod chorągiew naszej matki; a przedewszystkiem z ostrożnością udzielać będziemy kwater wojskom posiłkowym, żeby się ich pozbyć można, gdy na to czas przyjdzie.

Postrzegłszy, że król, kołysając głową, z upodobaniem go słucha, tak mówił dalej:

— Wojska te posiłkowe mają, jak słyszałem, zręcznego i ostrożnego wodza, który nie ścierpi równiennika; właśnie to N. Panie i Ojczy, nie austriacka lecz p. Polignaca partja księcia Wiśniowieckiego stronnikiem swym zowie.

— Mógłbyś, panie Konstanty — przemówiła królowa — więcej mieć szacunku dla ministra, który ma najlepsze względem ciebie zamiary, i którego zasługi wzbudziły twych rodziców zaufanie.

— Przebaczcie, NN. Państwo, przywiązanemu synowi — rzekł Aleksander — że się obawia, iżby w orszaku otaczającym króla nieprzyjaciela za przyjaciela nie wzięto.

— Nie ucz nas rozumu! — ponowiła Marja, cofając rękę, którą królewicz z uszanowaniem chciał pocałować.

— Co nam po tych cudzoziemcach — zaczął znowu Konstanty z otwartością ulubionemu dziecięciu właściwą — będąc za granicą, pokochałem każdego w jego domu, ale cierpieć ich nie mogę w Warszawie. Słyszałem także, iż największa ich część wdziera się do spraw naszych domowych; czyliż nie możemy ostać się bez tych przybylców?

Tu uśmiechnął się król, lecz pogroził mu palcem. Zrozumiawszy go królewicz, dodał szybko:

— Nie chcę, aby Polska jak Chiny murem otoczoną była i z barbarzyńską ostrożnością wypędzała wszystkich cudzoziemców, którzy albo na ziemi naszej osiedli, albo rozmaite urzędy, wysokie czy niskie, z zaszczytem piastują. Mówię tylko o włóczęgach, co do nas się tłoczą; a nawarzywszy piwa uciekają, mało się troszcząc o to, czy nam pożytek czy szkodę zrzadzili.

Zręczny ten obrót ulubionego syna rozbroił gniew królowej; nie bez szyderstwa atoli odpowiedziała:

— Widzicie, Najjaś. Panie, że nie jest bez korzyści wysyłanie synów za granicę; zaledwie nasi obejrzeli kilka miast i wiosek, już powracają jak doświadczeni doradcy; mogliby jednak oszczędzić sobie swych rozumnych lecz młodocianych uwag, dopóki ich nie zapytamy. Albo przynajmniej — dodała — gdy będzie po temu czas i miejsce; bo uważam, że tu mają więcej niż potrzeba słuchaczy.

I słuszną była uwaga królowej. Głośna mowa Konstantego i upokorzona jego brata postawa, zwróciły ucho i oko obecnych i przerwały ich rozmowy. Pani de Béthune nie słuchała już zadawanych sobie pytań; poseł francuski, acz dyplomatycznie głuchy, zwrócił uwagę na wymówione imię swoje, i w skutek tego zajął miejsce innej osoby, bliżej królewskiego krzesła stojącej; królewicz zaś Jakób zakończył swoje z kardynałem rozmowę, mówiąc:

— Pójdźmy też posłuchać, co nam bracia o swojej podróży zwiastują. Zdaje się, że Ichmość królestwo ciekawie ich słucha.

— Bardzo chętnie — odpowiedział były kapitan gwardji księcia Orleańskiego — jeszcze ich nie badał, co się dzieje w Palais Royal; w jakim zdrowiu Madame i książę de Chartres?

— Zapewne — odparł złośliwie królewicz, dwór Monsieur boleśnie czuje stratę Waszej Eminencji i królewiczowie nie omieszkają poświadczyć jak dalece żałowani tam jesteście.

— Chcę temu wierzyć — ponowił z niejakim żalem kardynał — lecz cóż robić — dodał, patrząc z upodobaniem na swoje sutanę — tak chciało przeznaczenie.

Wtem roztworzyło się szczupłe grono otaczające królewską parę, by pozwolić przystępu innym gościom. Przedniejsi dygnitarze cywilni i wojskowi zaczęli winszować rodzicom szczęśliwego powrotu synów, a w pośród powszechnej wrzawy, każdy prawie wynurzał królowi swe zadziwienie nad jego polepszonem zdrowiem. jak to zwykle chorych się pociesza.

— Panie Stanisławie — przemówił król do wielkiego hetmana, a najdawniejszego swego przyjaciela i sługi — jeszcze wprawdzie z niebezpieczeństwa nie wyszedł, jak utrzymujecie, ale mam nadzieję, że silna natura dopomoże starymu żołnierzowi do opierania się jeszcze czas niejaki nieprzyjaciółce ludzkości.

— Dałby Bóg — odparł Jabłonowski, spoglądając na stojące na stoliku pudełko i flaszki z lekarstwem — dałby Bóg, żebym jeszcze W. K. Mość widział w bitwie z pohąncem, z szablą w ręku, zamiast tych aptekarskich kul, któremi się owej nieprzyjaciółce zastawiać potrzeba.

— Skromne to wprawdzie życzenia — ponowił król z uśmiechem ale wątpię, żeby były spełnione. Zda mi się, żeśmy już dosyć uczynili. Gości hetmanie; nie to może, co by należało, ale to, co było w siłach naszych; niech inni dokażą więcej. Mamy, chwała Bogu zastępców — dodał z cicha, biorąc za rękę Jabłonowskiego i patrząc radośnie na swoich

synów, szczególnie na Konstantego. — Mamy zastępców, i my takimi byliśmy jak oni, stary mój towarzyszu; nawet może więcej potrafią uczynić, jeśli wsparci doświadczeniem ojca, mieć będą za przewodników i doradców jego przyjaciół.

Nie pierwszy to raz, w ostatnich swych latach, przemawiał podobnie Sobieski do swych wiernych przyjaciół; a słowa czcigodnego starca więcej sprawiały skutku na polskich magnatach, niż sztuczne Marji Kazimierzy namowy. Zazdrośni bowiem o swe przywileje, uważając dostojność królewską jako pierwszy urząd w państwie, w królowej małżonkę tylko pierwszego rządcy widzieli. Nie uszło ich uwagi, że Marja Kazimiera więcej cokolwiek była jak małżonką, ale właśnie rosnąca codziennie władza kądzieli pomnażała ich wstręt ku niej. I teraz uradowany był Jan III. rozczuleniem hetmana, którego tenże zataić nie umiał, i rzekł do otaczających osób:

— Dzięki wam, zacni panowie, za uczucie, z jakim domową naszą radość dzielicie, i za troskliwość o nasze zdrowie. To ostatnie w takim jest stanie, jak zwykle u bezsilnego starca, co młode swe lata na usługi ukochanej ojczyzny poświęcił. Życie nasze jest w ręku Boga; jak bez jego woli ptaszyna z gniazda nie spadnie, tak i korona z głowy monarchy. Prędzej czy później Pan panów do siebie nas powoła — chętnie pójdziemy, bo acz nie zupełnie czyści od winy, zwać się jednak możemy wiernym jego służebnikiem.

Gdy król tak mówił, powszechna w sali panowała cisza. Najchłodniejsi z pomiędzy obecnych byli dotknięci owym przeżywaniem śmierci, które się przebijało w królewskich wyrazach. Przerwała mu jednak Marja Kazimiera, mówiąc:

— Pocóż W. K. Mość osłabiasz nadzieje tych panów. Wszak prawda, Mości panowie, że król ma się daleko lepiej niżeli przed kilkoma tygodniami?

Na te słowa otaczający odpowiedzieli niskim pokłonem i przyzwalającym zapewnieniem.

— Dobrze, dobrze, kochaneczko — odparł Sobieski żartobliwie — wiem, że chciałabyś mnie widzieć tak zdrowym i rzeskim jak przed 20stą laty — dalipan! i ja bym nie był od tego. Nawet masz niejaka słuszość, bo w rzeczy samej czuję się dziś daleko żwawszym i mocniejszym. Radość, Mości panowie, jest puklerzem życia a dziś wielkiej doznaliśmy radości. Patrzcie — dodał wskazując na Aleksandra i Konstantego — owa młoda szlachta polska wróciła z zagranicy; nie zaraziły ją, jak mniemam, obce dziwactwa, kocha zawsze drogą ojczyznę; wzbogaciła się tylko większą znajomością ludzi i doświadczeniem. Mości Płocki, weźcie no ich na *examen*, czyli czego nie zapomnieli, mianowicie przywiązania ku Rzeczypospolitej i spółobywatelom, które jest pierwszym prawego Polaka przymiotem.

— Chciejcie, Mości biskupie — wtrącił tu królewicz Jakób — i mnie także wziąć na *examen*. Nic chciałym, aby moi młodszy bracia przewyższali mnie w znajomości naszych obowiązków.

— *Dulce* — przemówił Andrzej Chryzostom Załuski dobitnie — *dulce est et iucundum habitare fratres in unum*, miłą jest zgoda między bracią — lecz nieodgadnione są Niebios wyroki!

Na te słowa prałata zachmurzyło się nieco czoło Jana III; ale zaraz potem przemówił:

— Lubo za zdaniem Jejmości królowej chętniebyśmy wszystkie te łacińskiej kuchni specjały za okno wyrzucili, zwyczaj jednak ma prawa swoje, i chociaż dusza je potępia, ciało przyjąć rade. Godzina nadeszła, w której posłuszni być musimy medycynie. Wiecie, Mości panowie, że i królowie ulegają jej wyrokowi; wybaczenie przeto, że w waszej obecności mego obowiązku dopełnię.

— Jabym nie tylko łacińską kuchnią — mruknął tu wojewoda Marek Małczyński — ale i żyda kucharza wyrzucił za okno.

— Kiedyż przestaniecie, Mości Wojewodo ruski, swych wyrzutów przeciw naszym cielesnym i duchownym lekarzom? — zapytał tu król, przypomniawszy sobie opisane już dawniej w niniejszej powieści zdarzenie.

— Nigdy, jak mi Bóg miły! — odparł wojewoda, uprzeczeniem Marji Kazimiery skinieniem ośmielony. Podług mnie, żyd nie zbawi nikogo.

— I jabym się zgodził z zacnym panem Małczyńskim — przemówił biskup płocki — i żałuję bardzo odjazdu doktora *O'Connor*, który w liście do mnie pisanym gani metodę leczenia W. K. Mości, podając inną wcale odmienną.

— Miło nam widzieć — zawołał Sobieski — że stan naszego zdrowia tyle osób w rozmaitych częściach Europy zajmnje. Z jednej strony, w Anglii wynajdują dla nas nową metodę leczenia, z drugiej w Wiedniu odkrywają lekarstwo na wszystkie dotykające nas boleści.

W tej chwili zbliżył się do grona cokolwiek opodał stojący Wiśniowiecki; Marja Kazimiera zapewniała, że za nadto świat się troszczy o przemijającą słabość królewską, którą kilka kąpielei jak najłacniej wyleczy.

— Ale mówimy o lekarstwie, a zapominamy go użyć — przemówił król — za pozwoleniem waszem, *Mesdames* i mości panowie. — Poczem zawołał ku przyległemu pokojowi. *Doctissime Jonas!*

Natychmiast ukazał się lekarz nadworny z pokorą właściwą w obecności tak dostojnych osób. Na jego czole widać było całą troskliwość zwolenników sztuki lekarskiej; usta miał ściśnięte, jak gdyby przytłumiał urazę, jaką może wojewody ruskiego mowa wzbudziła.

— Na ciebie teraz kolej, Mości doktorze, zawołał król; wybierz więc z arsenału którym mnie otoczyłeś najdzielniejszą broń przeciw chorobie, ażebym miał wieczór swobodny. Niezawodnie będzie dobry skutek, bylebyś dobrze wybrał, bo powiadają, że wesołość umysłu dodaje lekarstwu podwójnej dzielności.

— Nie inaczej — przemówił lekarz — nie inaczej, sam *Gallen* utrzymuje, że *vis animalis* jest przystępniejszą, skoro *temperamentum* w właściwym sobie *situ* się znajduje.

Przejrzał tu pudełka i flaszki na stoliku stojące, przy-mróżwszy oczy; i wkrótce jakiś specyfik wynalazł. Świeciło się pomiędzy lekarskimi naczyniami złote z pigułkami pudełeczko, pięknie wyrabiane i zawstydzające swym bogatym pozorem skromnych sąsiadów.

Postrzegłszy to, Jan III. z uśmiechem powiedział:

— Lubo z Waszeci wysoko uczony człowiek, przecież nie mógłbyś się zaprzecć swego narodu, bo widzę, że jeśli nie kruszec pudełka, to zapewne zamknięta w niem kontrabanda zwróciła twoją uwagę.

— Kontrabanda? zapytała królowa i wszyscy z cicha to zapytanie powtórzyli.

Izraelita otworzył naczynie i obejrzawszy, co się w niem znajdowało, obracał je z niejakim pomieszaniam w wychudłych i długich swych palcach. Po chwili:

— Gdybym ten medykament przepisał mówił, mógłbym go w istocie nazwać kontrabandą. Może to i próbka metody leczenia — dodał, rzucając złośliwy wzrok na biskupa płockiego — którą przeuczony doktor O'Connor a mój szanowny kolega Waszej Eminencji zalecił.

W całym tem zajściu było coś niezwykajnego i dotknęło wszystkich obecnych, najwięcej zaś Dymitra, który niepomny już na miejsce, okoliczności i zimne króla przyjęcie, przecisnął się do jego krzesła z popędliwością; monarcha zaś tak przemówił:

— Choć to *arcanum* nie z twojej wychodzi apteki, panie Jonas, byłoby jednak dowodem zbyt wielkiej zawiści z twojej strony, gdybyś mu skuteczności zaprzeczał. Nie z Anglii ale z Wiednia nadesłanem mi zostało, gdzie podług wiarogodnych świadectw, wielu osobom uleczyło chorobę, na którą ty, Bóg wie jak długo kurujesz. Wiem nawet, że ci jest znane, bo

wówczas kiedy je przywiózł *Signor Romanini*, poczytałeś je za gwałtowne wprowadzie, ale razem za doświadczone i skuteczne.

Tu sięgnął do pudełka, w rękach Izraelity będącego i odebrał mu je. Wszystkim prawie obecnym wiadoma była dwuznaczna rola, którą grał w Warszawie ów *Romanini*; imię jego wzbudziło powszechną obawę, a królowa rzekła:

— Spodziewam się, że nie użyjecie tego, co z takich rąk pochodzi?

Na Dymitrze atoli wspomnienie owego Włocha największe uczyniło wrażenie. Lubo nie zupełnie świadomy wszystkich zaszyłych na dworze w jego nieobecności wypadków, przypominał sobie jednak nazwisko *Romaniniego* z jakimś wstrętem; a przejęty silnem uczuciem, zapominając o zewnętrznych uszanowania oznakach, uchwycił króla za rękę, mówiąc:

— Na Boga! Najjaśniejszy Panie, nie wystawiaj na niebezpieczeństwo życia tak drogiego ojczyźnie, i nie dotykaj się tego dwuznacznego daru.

Król cofnąwszy rękę — odpowiedział z zimnem i niejako pogardliwym zadziwieniem:

— Skądże to rozumiecie, Mości starosto Drahimski, iż nie można utracić praw, z których się umyślnie urągało? Jużśmy wam od niejakiego czasu za wasze życzliwe usługi podziękowali i teraz to powtarzamy. Słyszeliśmy wprowadzie, że się podobało komuś w Wiedniu zabić nas językiem, jednak, gdzie słowa zabijają, niema czynu obawy; gdy przeciwnie tam najniebezpieczniej, gdzie zła chęć pozór pochlebstwa przybiera. Panie Jonas, przyznałeś skuteczność temu lekarstwu, daj nam go użyć: powiadają, że *coram medico* wszystko zdrowe a przynajmniej nieszkodliwe.

Cofnął się w tył Jonas, jak gdyby nie chciał być posłusznym, lecz złote pudełko było zawsze w rękach Jana III, który już się gotował do pokosztowania zawartego w nim

specyliku. Zawsze atoli wstrzymywał mu rękę książę Wiśniowiecki i oglądając się w około z niespokojnością, zawołał:

— Mości panowie! pozwolicieź, aby w pośród was dopełniono na królu morderstwa? Mości Polignac, wszak się mienicie wiernym J. K. Mości sługa, wspierajcież moje błagania waszemi prośbami.

Wyraz morderstwo poruszył nadzwyczaj wszystkich umysły; wiele rąk sięgnęło po niebezpieczne naczynie; ale gwałtowniej i śmielej niż inni odebrał je z rąk królewskich Opat de Bonport, w sposób wszakże z uszanowaniem połączony. Dopiero odebrawszy, rzekł do zdziwionego monarchy:

— Musiałem milczeć, bo ów awanturnik, istny mój nieprzyjaciel, zawsze mi był niemiłym; pomimo tego przeciwnicy moi zbyt ciężkie czynili mi wyrzuty. Bez względu jednak czy to, co wzbudziło podejrzenie ks. Wiśniowieckiego, jest sprawiedliwe lub nie, nigdybym nie dopuścił, by podobna zgroza w mojej przytomności się stała.

Nalegano powszechnie na lekarza o rozebranie lekarstwa, ten atoli sucho i z sztuczną zarozumiałością odmówił. Przyznawał, że wprawdzie uznał był wówczas pigułki jako dobre, ale nie widział potrzeby ich użycia; przez długi zaś przeciąg czasu, gdy nie były w schowaniu królewskim, być może, iż uległy jakiej zmianie, za którą odpowiedzialnym być nie chce. Ręczy on tylko za leki, jakie sam przepisuje, bo powołanie jego zbyt jest trudne, ażeby miał ręczyć za drugich. Prosił więc, by mu nie przypisywano czynu, któryby go niesłusznie na niebezpieczeństwo mógł narazić, gdyby prawdą było, co utrzymują.

Jeden z młodszych Eskulapów zajął się rozbiorem lekarstw według zasad chemicznych; pies, któremu pigułki zadano, przestał żyć na miejscu. Takie spotykamy opisy zdarzenia, którego powody i sprawców do dziś dnia pokryła tajemnica.

Przez cały ciąg tej lekarskiej próby, odbywanej w obecności wielkiego marszałka Lubomirskiego i wielu innych

panów, panowało w komnacie królewskiej niezwykle milczenie, zaledwie dawały słyszeć się tu i owdzie szepty, tudzież ciche postrzeżenia nad królem, którego życie zawisłe było od rozstrzygnięcia poszukiwanej wątpliwości. Gdy jednak ks. Lubomirski, wracając wolnym krokiem, zwykłą sobie wesołość na widoczny smutek zamienił i lica jego płomień gniewu ogarnął, wybuchnął pomiędzy przytomnymi krzyk zgrozy i obrzydzenia; królowa zaś omdlała i padła w ramiona swej synowej i margrabiny, bo objawiona okropność na chwilę przynajmniej drobnych zawiści skutek zatarła.

Monarcha siedział ciągle spokojnie na swem krześle, starając się na pozór przytłumić gorzkie uczucie, by obecnych jeszcze więcej nie zasmucać; jednak zdawało się, że nie uważał na stojących przy sobie synów a troskliwe spojrzenia Aleksandra i Konstantego nie zyskały wzajemności. Po niejakiem chwili osłabiona starca głowa padła na obie jego ręce, przez które przebiegał się ciężki oddech chorobą i troskami przywalonych piersi; gdy zaś lekarz do niego przystąpił, i wahając się między zeznaniem, jakie nań wkładało powołanie, a wewnętrznem wzruszeniem, wyrzekł, iż pigułki zawierały truciznę, król podniósł głowę i powiedział spokojnie:

— Dzięki tobie, przyjacielu, idź i powiedz, niech ci tę szkatułkę napełnią złotem, oby ci lepiej służyła jak mnie.

Poczem wyciągnięte ręce zwolna na poręcz krzesła opuściwszy, siedział chwilę w milczeniu, lecz wnet nagle i z uczuciem boleści zawołał:

— Takież to jest dank, który mi ludzkość, chrześcijaństwo, Rzeczpospolita i moi ziomkowie przynoszą za to, że za nich wszystkich we dnie znosił upały, a zimno po nocach; że lata męskie na próżnem strawił usiłowaniu, a krew przelewał za sprawę Europy przeciw jej nieprzyjacielowi! Czemuż cios śmierci w młodości nie ugodził we mnie, jak w brata mojego Marka; nie byłbym jako starzec naprzykrzył się nikomu. Czemuż to skuteczne lekarstwo od ust mych oddalił? byłoby już po mnie. Bojaźń śmierci jest gorszą niżeli śmierć

sama; i czemuże zasłużyłem na podobną ostatnich chwil gorzyc, byłem Neronem, albo Ludwikiem XI.?!

— N. Panie — rzekł Maltańczyk — niech bojażn będzie daleką od Waszej Królewskiej Mości; nikt z nas tak ojcobójczego nie powziął zamiaru; niebezpieczeństwo w pośród twych wiernych cię spotkało, nie opuszczą cię nigdy; za jednego zdrajcę tysiące dobrych Polaków stoją na Waszej Królewskiej Mości obronę!

Podczas tej przerażającej chwili, przeszłość stanęła w pamięci obecnych, z pomiędzy których tylu było uczestnikami chwały Jana III. a w pośród płaczu niewiast, odezwał się szczeł na pół dobytych szabel i głos:

— Boże, zachowaj nam Króla, *moriatur pro Rege nostro Joanne tertio!*

— Niemasz tak niegodnego przodków swych Polaka — ozwał się wielki hetman — któryby tak nieznana zbrodnia cały naród znieważył. I gdyby, broń Boże, był taki, niechaj imię jego wymazane zostanie z rzędu naszych rodzin, i niechaj przepadnie w wiecznej niepamięci.

Król patrzył chwilę przed sobą, jak gdyby sobie coś przypomniął, poczem odezwał się rozrzewnionym lecz spokojnością malującym głosem:

— Dobrze mówicie, panie Stanisławie, niechaj zapomnianym będzie, i dla tego choćbym go znał, pierwszy o nim zapomnę!

Jak zawsze tak i teraz szlachetne uczucie przyniosło pociechę; król z wypogodzonym czołem zaczął w koło spoglądać i łagodnymi, prawie żartobliwymi słowami rozpaczającej Marji Kazimiery boleść łagodzić; dziękował bardzo deklamującej margrabinie za okazaną przychylność, miał nawet dosyć czasu na nie nieznaczące pytania kardynała d'Arquien odpowiadać; trzymając ręce obu synów w swej prawicy, pieścił lewą rękę Jadwigi Elżbiety Sobieskiej, która nieudannymi łzami szczerą radość z uratowania króla, jedyne go swe go na dworze obrońcy, okazywała.

Pod ten czas rozważano przyczyny zbrodni i starano się odgadnąć jej autora.

Owo spotkanie się Opatą Bonport z Romaninim krótko przed jego oddaleniem jeszcze zupełnie zapomniane nie było. Nie od całego dworu dobrze był widziany Opat, główni tylko dostojnicy przychylnymi mu byli; niektórzy nawet po pierwszym przestachu zaczęli uważać to zdarzenie jeżeli nie za zbrodnię, to przynajmniej za widowisko sceniczne, przez francuskiego ministra na szkodę swych przeciwników politycznych wymyślane. Zapewne niepodległy sposób myślenia panów polskich byłby to domniemywanie jawniej wynurzył, gdyby wmięszanie się do tej sprawy prawego Dymitra, bardziej tajemniczego nie nadało jej znaczenia.

Marja Kazimiera uważała jednak Polignaca jako jedynego zbawcę, który na jej wdzięczność zasługiwał; oddalwszy się z nim o kilka kroków, stanęła blisko Jakóba Sobieskiego, i z uprzejmą żywością, która ją i w podeszlejszym wieku nie opuszczała, rzekła do niego:

— Zdaje się, Mości panie, że jest naszym przeznaczeniem, ażeby wszystko co dobre, pocieszające, przez wasze ręce do nas przychodziło. Wiele zobowiązań ciąży na naszym sercu; czy się nie obawiacie, aby nam nakoniec niepodobnem było z nich się wypłacić?

— Najjaśniejsza Pani! — odpowiedział lekkim tonem Polignac — może już bliską jest ta chwila, kiedy w szacunku waszym wielką, bardzo wielką odbiorę nagrodę za usiłowania moje stania się wam użytecznym. Lecz raczcie, Najjaśniejsza Pani nie wspominać o tem, co jest tylko wypełnieniem zwyczajnej powinności. Wyznaję owszem, że się jej niechętnie podał; niezaprzeczoną wdzięczność wienien jestem księciu Wiśniowieckiemu, za udzieloną mi sposobność, wołałbym jednak, żeby to był uczynił z mniejszą okazałością.

W tej chwili zrozumiał nakoniec król Lewy Jakób, że dłuższe jego milczenie byłoby co najmniej dziwne, zbliżył się do króla i rzekł:

— Najjaśniejszy Panie! Waszemu pierworodnemu wolnoż jest liczyć się do rzędu tych, którzy Waszej Królewskiej Mości szczęścia życzą, przy zdarzeniu tak niespodziewanem i oburzającym nas wszystkich. Zgroza usiłowanej zbrodni, obawa rozmaitych zamiarów, któremi tajemnie, a stąd tem niebezpieczniej podła zbrodnia otaczać się zwykła, są powodem, iż radość moje i chybionego jej celu tak późno objawiam. Zapewne nie wątpicie o prawdzie mojej radości, Królu mój i Ojciec! i nikt — tu oglądając się w koło głośniejszawołał — i nikt zresztą z pomiędzy obecnych o niej nie wątpi.

— I dla czegoż mieliżbyśmy wątpić? — odparł dobrotliwy i łatwo przebłagać się dający monarcha. — Wprawdzie, mój synu — dodał nieco dobitniej — łatwo to pojmuję, że was to zdarzenie podwójnie zmartwiło, i dlatego bardzo naturalnem znajduję wasze mocniejsze poruszenie; ganię tylko was za to, żeście jedną chwilę o mnie powątpiewać mogli. Wszakże się Sobieskim nazywacie, a ja wasz Ojciec. Lecz dosyć o tem i to na zawsze. Widzicie — obrócił się, żartując, lecz rozczulony ku swojej synowej — u nas tak jak u ptaków, młode choćby już uleciały, przylatują, kiedy trzeba bronić swego gniazda. Powrócił do nas i młody orzeł, który własnymi skrzydłami latać już próbował; do was to należy, zacna pani córko, nie poobcinać mu ich zupełnie, jednak cokolwiek skrepować węzłem domowego pożycia, ażeby odtąd domu pilnował.

Przymuszony uśmiech Falegrafiarki ukrywał z trudnością trapiące ją przeświadczenie, jak mało było w jej mocy żądaniu temu zadosyć uczynić. Jan zaś mówił dalej sposobem ówczesnej galanterji, ręce jej obie ku swym ustom podnosząc:

— Proście go jednak, żeby nam już więcej aptekarza nie sprowadzał, chyba własną małżonkę; a jeżeli by te łagodne delikatne ręce staremu lekarstwu przygotować chciały, toby je chętnie zażył; myśl, kto je podaje, skutkowałaby może le-

piej, aniżeli medyczne ingrediencje. Nie raczyż Wasza Wysokość na nowym urzędzie sił swoich doświadczyć?

Wcisnął przytem księżnie blisko stojącą flaszkę z lekarstwem, zażył dozę, którą mu taż z uśmiechem i wzruszeniem podała, chwalił może nieszczerze jego smak, i z prawdziwie rycerską grzecznością rękę dawczyni pocałował. Zamiar jego tym sposobem spełnionym został; gdyż powłoka żartu okrył wszystko złe, które się już stało i wszelkie podejrzenia odwrócił. Całe zgromadzenie wolniej oddychać poczęło; nawet z królewicza Jakóba znikło piętno nieśmiałości i fałszywego wstydu; i od dawnego czasu po raz pierwszy ujrzano znowu Ojca w zupełnem pojednaniu z synami i poufałej z nimi rozmowie. Tymczasem Dymitr, zbliżywszy się do Opata Bonport, rozmawiał z nim z otwartością i powagą:

— Jakże sobie winszuję, Mości Panie Ambasadorze, żem wspólnie z wami tak wielkiemu zapobiegł nieszczęściu; jakże wam szczerze dziękuję za prędki ratunek, z którym za mojem pośpieszyliście słowem.

Nieco obojętnie, lecz nie bez zupełnego pomieszanja odpowiedział Polignac:

— Jesteście za łaskawi, mój książę, że mi dziękujecie; ja to jestem wysoce wam obowiązany, wam, którzy może świadomsi rzeczy, z moim urzędem związku nie mającej, podaliście mi sposobność okazania małego dowodu przychylności, jaką mam dla Króla waszego i Pana.

— Nie wątpię ja, że jesteście przejęci uczuciem, którego by szlachetny umysł dla Króla odmówić nie potrafił — dodał Wiśniowiecki, rękę mu podając — pragnę, żebyście i o mojem wątpić nie raczyli. I ja, Mości Panie Polignac, chociaż błąd i przesąd ludzki inaczej o mnie sądzić może, jestem Jana III. wiernym czcicielem, więcej nawet, bo wdzięcznym wychowancem. Lękam się tylko, czyliście wy dotąd inaczej o mnie przekonani nie byli, i cieszyłbym się, gdybym was lepszem o sobie natchnąć potrafił mniemaniem. Dajcie mi słowo, że w właściwym czasie, kiedy przyjaciele królewskiego

domu radzić będą nad jego dobrem, nie zechcecie wzgardzić i mojem tam uczestnictwem i wszelką pomocą, jaką wam ku tak chwalebnemu zamiarowi ofiarować będę.

— Przekacny mój książę, uznaję zapewne pożytek związku z panem tak wysokiego rodu, wielkiej fortuny i wpływu; zważcie jednakże, iż jestem ministrem króla francuskiego; kiedy wy...

— Kiedy ja do austryjackiej partji należę — przerwał niecierpliwie Dymitr.—Tak przynajmniej mówią. Lecz mogę was upewnić, iż żadna partja od powinności oddalić mię nie zdoła; spodziewam się więc, że odrzucicie na bok wszelkie względy, aby tylko usprawiedliwić ufność, z jaką dostojny starzec na was spogląda, i może z po za grobu jeszcze spoglądać nie przestanie.

Tu mu podał znowu prawą rękę, którą Polignac mimowolnie uchwycił, i uściśnieniem odwzajemnił; lecz wnet swoje cofnął i uprzejmym lecz suchym tonem dyplomaty odpowiedział:

— Jako cudzoziemcowi nie przystoi mi zamiary i czyny polskiego, wysokiego rodu pana zgadywać, albo o nich sądzić; drogim dla mnie będzie zaszczytem, jeżeli się kiedy obadwa na drogach działania naszego spotkamy, i ujrzę, iż te przynajmniej z sobą się nie krzyżują.

Poczem grzecznie, lecz tak szybko, ile tylko przyzwolność dozwalała, oddalił się od księcia. Piękne słowa i kunsztownie ułożone, pomyślał sobie Dymitr. Lecz za nadto piękne, ażeby z duszy wychodzić mogły; sztuczne dosyć i zawikłane, lecz razem i bez żadnej treści się wydają. Tu przypomniał sobie Kasztelana Chełmińskiego i jego uwagi, i zląkł się czy w Melchiorze Polignac znajdzie wiernego pomocnika swych zamiarów.

Coraz to żywsza, częścią powszechna, częścią w małych gronach trwająca rozmowa nagle ukazaniem się nadwornego lekarza przerwana została; wyraz twarzy i postawa Jonasza były tak jak dawniej pokorne, lecz brwi jego jeszcze więcej

zmarszczone. Zbliżył się w sposób trzymający środek między pomieszaniem a uporem do zdziwionego nieco monarchy i w słowach lękliwych prosił o uwolnienie ze służby.

— Chcesz się więc oddalić, wysoko uczony doktorze — spytał go się Sobieski — i do tego w gniewie? Powiedz, skąd ci przyszła ta chimera; może ci kto jaki zarzut śmiało uczynić, wierzaj; iż nie przyszło nam do głowy odpowiedzialnym cię czynić za to, co więcej naszą było winą, niżeli twoją.

— Nie radabym ganić pana doktora — przerwała ostro królowa — i żądania tego nazywać chimera. Zdaje mi się, że jest słusznem; dobroć wasza odpuszcza mu zasłużoną nagane, ale on się lęka, ażeby jej kiedyś w sposób karygodniejszy na siebie nie ściągnął. Nie wątpię, że W. K. Mość nie odrzucisz jego prośby, którą okoliczności terażniejsze dostatecznie usprawiedliwiają.

— Ale czyż nie przewidujecie, kochanko — odpowie Sobieski — jaki będzie w świecie sąd o doktorze, który po takim zdarzeniu z urzędu swego oddalonym został? Wierz mi, moja najukochańsza, im więcej wpływu mieć może potężne słowo panujących na szczęście lub niedolę prywatnego człowieka, tem ostrożniej w każdym wypadku postępować winni. Nie zastanowiłeś się nad twoją nierozsądną prośbą, mój doktorze, bez wątpienia ją cofniesz; powiedz tylko, skąd ci do głowy przyszła?

— Ny! — odpowie doktor akcentem właściwym jego współwyznawcom. — Ny! dla czegożby mi nie miała przyjść do głowy, Najlaskawszy Panie? bardzo łatwo mi przychodzi, kiedy już tu niepotrzebny jestem; kiedy tylu innych przeskadza mi w rzemiośle albo raczej w sztuce. Taki to jest teraz zwyczaj we wszystkich kunsztach i w polityce: wszyscy się do niej mieszają. — Jaskrawe i ruchome jego oczy na wszystkie strony zwracać się poczęły. — Urzędnicy dworscy, oficerowie, panowie i panie, cudzoziemcy i krajowcy

i komu się podoba; a jeżeli monarcha na to nie mówi, co mnie do tego? Ja jednak, chociaż biednym jestem człowiekiem, nie ścierpię nigdy, by się do mojej sztuki choćby dwa razy tak wysokie osoby mieszały.

— Mówisz dość śmiało — przerwał mu na pozór rozgniewany monarcha. — Magister Jonas za wiele dufa władzy lekarza nad chorym, niechże jej w innych nie gani, i nie miesza się do spraw, które do niego nie należą. Dałbyś pokój; wdzięczność nasza za wyświadczone przez ciebie usługi przebacza ci nie tylko twoją opieszałość ale i niebaczne gadanie.

— Waszej Królewskiej Mości wdzięczność? — odpowie żyd złośliwie — wiele w starym testamencie powiedziane jest o wdzięczności wielkich panów; i w nowym znajdują się przykłady nie o jednym, który wysoko ceniony u dworu, u ludu za wielkiego mianu, został potem wygnany, unosząc z sobą nędzę i ubóstwo za to, że innych skrzynie napełniał.

Szybki, ukradkiem rzucony wzrok na Marię Kazimierę zdradził przed obecnymi mowę lekarza; wielu oczy na dół się spuściły, wielu uśmiech w ustach przygryzło. Królowa z udaną obojętnością przycinek ten przyjęła, a dostoyny jej małżonek urażony zawołał:

— Zaprawdę rozumielibyśmy, że mówisz o niegodziwym Bethsalu, twoim współwyznawcy, który wielkiej od nas doznał łaski, żeśmy go i dotąd powiesić nie kazali.

— Cudowny Boże! — zawołał Jonasz z tragicznym szyderczym dowcipem swego narodu. — Cudowny Boże! mamże i ja takiej doznać łaski, że powieszonym nie zostanę? a gdyby ziściło się szczęście, którego byłbym tylko niewinnym narzędziem, toż całą moją byłoby nagrodą darowanie życia? o cudzie boski!

Śmiech głośny powstał między obecnymi, podzielił go i król, lecz wkrótce rzekł rozkazującym tonem:

— Dosyć tego, magister Jonas! tak małej nagrody mogłeś być zawsze pewnym, choćbyś się tylko na przywileje twego stopnia powołał; trzeba wam albowiem wiedzieć, moi panowie, że jego godność akademicka jest *indelebilis*; a jeśli doktor ma wisieć, powinien jako doktor być powieszonym. Ruszaj natychmiast *ad tuam officinam* a jutro do swoich obowiązków!

Zmartwiony na pozór, oddalił się Izraelita; lecz serce jego było pełne radości, że się wyplątał z tej sprawy, której cel chybiony jemu może najlepiej był znany, i że wywarł swój gniew na wysokich panów, którzy jego sztukę mało cenili. Królowa, końcem usunięcia niemiłego sobie przedmiotu i dania dowodu swej przychylności dla francuskiego posła, mówić zaczęła o zasługach, które tenże znowu dla króla, jego rodziny i całego państwa położył; głęboki i uprzejmy ukłon opata dowiódł, że mu te słowa obojętnymi nie były. Wtem królewicz Aleksander, obróciwszy się ku ojcu, rzekł:

— Chociaż panu de Polignac bardzo obowiązany jestem za gorliwość w tak ważnem okazaną zdarzeniu, jednakże ośmielam się zwrócić Waszej Królewskiej Mości pamięć i na tego, który go pierwszy do niej zachęcił.

— Masz słuszność, Aleksandrze — rzekł nagle monarcha, którego serce zawsze wszelkim łagodnym i ludzkim uczuciom było przystępne — tak jest, był to twój przyjaciel i zabaw twych towarzyszy, Dymitr. Gdzież jest książę Wiśniowiecki? Jeszcześmy go nie powitali.

Słowami monarchy ośmielone wszystkie oczy szukać zaczęły Dymitra, lecz go już nie ujrzały; zaraz po rozmowie z opatem Bonport, zasmucony w milczeniu salę i zamek opuścił.

— Co mnie najbardziej w tem zdarzeniu cieszy — odezwał się śmiały Konstanty — jest to, że ten, który Wasze Królewską Mość od tak bliskiego już niebezpieczeństwa uwolnił, był Polakiem. Świat boży jest wielki, różne się na

nim znajdują kraje i narody; każda rzecz na swojskim najlepiej udaje się gruncie; i ja mniemam, że każdy myśli najlepiej o ziemi, na której się urodził. Choć tu i owdzie obywatel zbłądzi, to jednak, co jest prawdziwie dobrem, od niego pochodzi. Kocham Niderlandczyków ale w Brukselli, w Wersalu Francuzów, a Polaków w Warszawie.

— Mój Mości siostrzeńcze — odezwała się margrabina de Béthune — lękaćby się trzeba, że na Waszej Królewiczowskiej Mości podróże inny zupełnie wpływ miały, jak się tego zwyczajnie po młodych spodziewamy. Niektóre narody są w pewnych czasach wzorem swych współczesnych, a tem samem współobywatelami wszystkich ucywilizowanych ludów. Czyliżby ta myśl nie miała zwrócić waszej uwagi na świetnym dworze Ludwika Wielkiego?

— Nie wątpię — odpowiedział królewicz z niejakim lekceważeniem ciotce — że Wasza Ekscelencja ma niezaprzeczone prawo za wzór naszym damom służyć, chociaż niektóre narody, w pewnych czasach, wzorów nie potrzebują. Lecz mało sióstr obcych królowych posiada dwór wersalski, i nie wszystko tak dalece godne szacunku, co stamtąd pochodzi.

Marja Kazimiera, która już dzisiaj słyszała narzekania z powodu zbyt wielkiej liczby i zbyt silnego wpływu cudzoziemców, uchwyciła tę okoliczność, ażeby przytyk, właściwie przeciw opatowi de Bonport wymierzony, skierować ku swojej siostrze. Dopełniła więc satyrycznej mowy Konstantego, dając w niej dość wyraźnie do zrozumienia, że margrabina nie zdaje jej się być szczególniejszym wzorem do zjednania swemu narodowi szacunku zdolnym, że mogłaby bez przeszkody i im prędzej tem lepiej na ten dwór powrócić, który nad warszawski tak bardzo przenosić się zdaje. Ludwika de la Grange była kobietą, która rzadko kiedy nie podniosła rzuconej sobie rękawicy; odpowiedź jej tchnęła właściwym, znowu od niej przyjętym tonem; oświadczyła w niej dość wyraźnie, że niedalekim może jest czas, kiedy drzwi zamku,

które Jej Królewska Mość tak łaskawie swej siostrze wskazuje, dla niej samej będą zamknięte.

Z małej kłótni urosła burza i nadaremniemi były w jej uspokojeniu starania Jana III. równie i Ludwika de la Grange; tego ostatniego już margrabią d'Arquien nazywano; był on w podobnem położeniu jak nieproszony sędzia dwie zacięte strony godzący. Spokojna radość z powodu oddalonego niebezpieczeństwa została przerwana; niejedno lepsze uczucie, owym ważnym wypadkiem obudzone, znikło w pośród wszczętej kłótni, która niezawodnie ściągnęłaby na margrabinę powtórne wygnanie, gdyby się w tej chwili nie był ukazał Zarzycki z oznajmieniem, że zaproszeni goście już się zjechali i uczta, którą Najjaśniejszy Pan z powodu powrotu swych synów królewiczów wydaje, gotowa.

Jeszcze była trwała sprzeczka, pobudzana wszelkimi siłami przez Jakóba Sobieskiego, gdy Polignac, zbliżywszy się do królewicza Konstantego, rzekł:

— Nad spodziewanie moje i z prawdziwym smutkiem słyshałem was dzisiaj, łaskawy panie, mówiących przeciw cudzoziemców. Nie spodziewałem się tej nieprzychylności w królewiczu, który sam oddany naukom i sztukom z zachodniej Europy pochodzącym, czułby najmocniej powinien korzyści, jakieby bliższa z niemi styczność dla ogółu sprowadzić mogła.

— Ileście mnie zrozumieli, panie ambasadorze — odpowie najmłodszy Sobieski — ci, którzyby do tego przyczyniać się chcieli, zawsze mi będą miłymi. Mogą zawsze pełni nauki cudzoziemcy udzielać nam tego, czego nam brakuje, albo cośmy, już raz posiadając, po długich nieszczęściach stracili. Mogą oni zdobić zewnętrzną okazałość naszego życia; ale dozwolić, aby się w nasze wewnętrzne mieszały stosunki, nie sądzę być dobrem, a nawet jest przeciwnem pomyślności każdego narodu i jego prawom.

— Ziomkowie moi — odparł Polignac — którzy przez Najjaśniejszą Królową i was między siebie poniekąd liczyć

moga, nie mieliżby w tej mierze stanowić wyjątku? podobno nawet dotąd tak było; i ledwie wierzyć mogę, żeby osobista znajomość z pierwszym chrześcijańskim królem, wysławiane na dworze jego przyjęcie, mogło was ku jego poddanym uczynić nieprzychylnymi.

— Właśnie, że nie tak, mój panie — rzekł książę — tyle mam poważania dla Francuzów, ile uwielbienia dla ich monarchy. Przecież to zbliżenie się ku waszemu władcy zmieniło poniekąd mój sposób widzenia w tej mierze. Ludwik XIV. wielkim jest monarchą. Bardzo sprawiedliwe byłoby życzenie stania mu się podobnym, i gdybym był kiedy w jego położeniu, nigdybym, równie jak on po kardynale Mazarynim, żadnego cudzoziemca ani, wybaczenie, opacie, żadnego księdza do steru rządu nie przypuszczał.

Milczące spojrzenie, którem wielki ambasador na tę mowę odpowiadał, podobnem było do przeciągłego: Ta-a-ak? I gdyby był Konstanty wszystkie rysy jego twarzy uważał, byłby w nich coś nakształt wyroku wyczytał. Podług wszelkiego do prawdy podobieństwa postanowił Polignac nie dopuszczać nigdy Konstantego do takich działań, które, wedle jego mniemania, przystały tylko królowi francuskiemu a żadnemu innemu władcy Europy.

Z równą niechęcią od córek swych odprawiony, kardynał d'Arquien zbliżył się do króla. Był mocno wzruszony, jak gdyby coś ciężkiego miał na sercu. Jednak znaczna upłynęła chwila, nim te ważne wymówił słowa:

— Wprawdzie jedna z mych córek jest polską królową, ale przebaczenie, Najjaśniejszy Panie, wyznam prawdę, że podobno na całym świecie żaden szlachcic — tu zaczął po swojej duchownej oglądać się sukni i poprawiać ją — to jest... chcę powiedzieć, żaden z członków świętego kolegium tyle z dziećmi nie ma do czynienia co ja.

Mimo umartwienia kardynała, nie mógł Jan III. wstrzymać się od śmiechu nad tak szczególną jego sytuacją i rzekł:

— To samo, co Wasza Eminencja o swoich trzyma współbraciach, sprawiedliwie i o innych mógłbym powiedzieć królach... lecz... — tu z rozkoszą spojrzął się na trzech razem stojących królewiczów — mam nadzieję w Bogu, że inaczej będzie na przyszłość i lepiej. Idźmy do stołu, kardynale.

Godny pożałowania monarcha! który, zaszczytną przepędziwszy przeszłość, wszystko, co jest szlachetnem i czego mu odmawiała teraźniejszość, rachubom na przyszłość zostawiał; gdy tymczasem ta przyszłość nigdy się ziścić nie miała!

Rozdział 8.

Stosownie do ustaw kardynalnych zwołani niektórzy senatorowie dali byli królowi zezwolenie udania się w Lipcu 1696 roku do kąpieli szląskich, Warmbrun zwanych; dwór zaś przeniósł się tymczasem do Wilanowa, ażeby spokojność i świeższe powietrze chorego do używania wód uzdrawiających przysposobiły. Wprawdzie codziennie odbierano w stolicy najpomyślniejsze o stanie zdrowia ukochanego monarchy wiadomości, lecz byli tacy, co im mało wiary dawali; Marja Kazimiera bowiem, jakby niewidzialnym szańcem jakim otoczyła małżonka, do którego przystęp tak był utrudniony, że własnym synom nawet nie zawsze był dozwolony. Wilanów, niegdyś miejsce uciech najświetniejszej i najznakomitszej szlachty, zamienił się teraz w przybytek odludny, cichy, podobny do domu umierającego; oprócz domowego orszaku obojga królestwa, przemieszkiwał tam tylko kardynał d'Arquien; a chociaż wielu polskim panom dość często przystępu odmawiano, jednemu opatowi Bonport, jak gdyby się bez niego obejść nie można było, drzwi zawsze stały otworem.

I Dymitr także, mimo wyraźnego życzenia króla, od owego wieczora już go nie widział; wiadomość zaś jego o tem, co się w pośród królewskich komnat działo, ograniczała się na doniesieniach, o ile sami wiedzieć mogli, synów królewskich i jeszcze innej osoby. Ewa Jorkiewiczówna przy-

była w jego orszaku do Warszawy; lecz gdy ją, obsypaną dobrodziejstwami, do jej pani w Brukselli chciał odesłać, oświadczyła grzecznie lecz razem stanowczo, że tej podróży odbyć nie myśli, że wywiązawszy się z jednego danego sobie zlecenia, ma jeszcze wypełnić drugie i jest pewną, iż pozostanie jej w Wilanowie zyska elektorowej pochwałę. Skutek nawet okazał, że miała słuszność; po nadejściu bowiem listu od tej księżnej, zaraz ją Marja Kazimiera do orszaku swych panien pokojowych przyjęła. Lecz i Ewa Jorkiewiczówna z ust tylko królowej posiadała wiadomości o tym, który teraz zwracał na się uwagę całego państwa; królowa bowiem gwałt sobie niejako czyniła w pokrywaniu boleści i bojaźni pozorem obojętności i przywróconej zdrowia nadziei; tak dalece, że łyzy, które przy łożu małżonka wylewała, osychały zawsze, nim się oddaliła z tego smutnego przybytku.

Było to dnia 17. Lipca, w rocznicę wstąpienia na tron Jana III., kiedy książe Dymitr Wiśniowiecki, z uroczystego nabożeństwa powróciwszy, znajdował się w pałacu swego ojczyrna, który niekiedy w jego nieobecności sam zajmował. Tam to odbiera pismo herbem Sobieskich zapieczętowane, które otworzywszy, z pewnem zdziwieniem nieczytelną rękę królewicza Jakóba poznaje.

„Szanowny książe — były słowa pisma — błąd jest wszędzie godzien przebaczenia, szczególnie w miejscu, gdzie do niego z usilnością podlegają. Sądzę, żem przeciw Waszej Miłości zawinił, posadzając was o myśli, których nie macie: co jeżeli tak jest, chciejcie przybyć natychmiast do Ujazdowa; proszę Boga, aby was zawsze w swej pieczy zachował.

Jakób Ludwik.“

Niespodzianym wprawdzie, ale zawsze pożądanym był ten krok niechętnego od tak dawna królewicza dla Dymitra Wiśniowieckiego; lecz czytając monarchiczne zakończenie listu, to jest przeciwny zwyczajowi podpis, synowie bowiem królewscy nazwiskiem podpisywać się byli powinni, uśmie-

chnął się książę, przyszedł mu bowiem na myśl ów następca tronu, o którym wspominał wojewoda w Prusach królewskich. Druga myśl wzniciła w nim obawę, ażeby tak mało ugruntowane a zbyt wczesnie objawione pretensje złych za sobą nie pociągnęły skutków.

W obszernym czworoboku Ujazdowskiego zamku, pomimo pięknej pogody letniej, było pusto i na korytarzach panowała niespokojna, jeśli wolno tak się wyrazić, cisza. Służba krzątała się wprawdzie, ale z ostrożnością i w milczeniu; na wielkim dziedzińcu obok osiodłanych koni stali ludzie do posłańców podobni, którzy albo dopiero przybyli, albo na zlecenia oczekiwali. W drugiej sali ujrzał książę Wiśniowiecki kilku panów z orszaku Jakóba Sobieskiego: a z powodu ciemności, którą sprawiały spuszczone zasłony okien, po niejakiem dopiero chwili poznał pomiędzy przytomnymi rezydenta Rzeczypospolitej Weneckiej, i ojca Votę, którzy na osobności coś sobie szeptali. Za jego zbliżeniem się przerwali rozmowę a ksiądz Vota chciał go z całą dawnego nauczyciela poufałością powitać, gdy zameldowany Dymitr był zaproszonym, aby wszedł do królewicza. W tej chwili będący na służbie la Brie obecnym osobom coś do ucha szepnął; poczem wszyscy zaraz na różne rozbiegli się strony, zostawiwszy w przedpokoju samego tylko kamerdynera.

— Szanowny książę — przemówił Jakób Sobieski; łaska wa wasza powolność jest mi dowodem, żem się nie omylił w tem, com naprzód o was sądził. Niestety! już to od dawnego czasu starano się zbyt gorliwie was i wielu innych najwięcej na zaufanie króla i nas wszystkich zasługujących zdala od nas trzymać. Zbyt dobrze jednak znacie dwór, ażebyście nie odgadnęli osób, którym idzie o pozbawienie nas najgodniejszych przyjaciół naszych. Ich zamiary w tej mierze nie są wam także tajnemi.

— Cieszy mnie to, najłaskawszy panie, że mi nakoniec sprawiedliwość oddajecie — odpowiedział Dymitr z obojętnością, mogącą przekonać Jakóba, że mimo niewątpliwego

przywiązania Dymitra do królewskiej rodziny, syn najstarszy nie wiele w niem miał udziału.

— Król — mówił dalej Jakób — pomimo wszelkich złośliwych języków przekonał się nakoniec o waszym szczerym i patriotycznym sposobie myślenia, a ja mam się za szczęśliwego, że to przekonanie podzielać mogę.

Na to, z niejakim wzruszeniem odpowiedział książę:

— Był czas i dawniej, kiedy Jego Królewska Mość obdarzał mię swoją łaską, której nie przez czyny wprowadzić, ale przez niezmienny sposób myślenia godnym się stawałem; wówczas atoli Wasza Wysokość, jak sobie przypominam, nie szła za przykładem swego ojca.

— Puśćmy w niepamięć, co było — przerwał Jakób — wyznaję, że wiele rzeczy powinno było pójść inaczej. Lecz teraz mówmy o przyszłości, a raczej o tem, co jest dzisiaj. Mogę się po was spodziewać, że mi dacie dowód przywiązania do domu, który was swoim nazywa wychowancem?

— Wasza Wysokość może być pewną — odpowiedział Dymitr — że gotów jestem dać dowód tego rodzaju, byleby się to nie sprzeciwiało obowiązkom obywatela i polskiego szlachcica.

— Jakżeby się to sprzeciwiać mogło? — żywo odparł Jakób — kiedy wiemy, że życzeniem jest waszem, aby się dom panujący na tronie utrzymał, i żeby ojczyzna uniknęła zamieszek i kłótni zwyczajnych przy wyborze nowego króla? Widzicie, przeznaczył mój książę, że nie tylko wasi przeciwnicy u waszego przyjaciela Jakóba posłuchanie znaleźli.

— Jakkolwiek miłem mi jest to nazwanie, które po raz pierwszy z ust Waszej Wysokości słyszę, wyznam jednakże szczerze, że chociażbym sobie życzył widzieć koronę rycerskiego narodu na skroniach potomków bohatera, nigdybym zezwolić nie chciał na zrzeczenie się elekcji, którą za nieuchronną, z naszymi instytucjami zgodną, i za najświętszy przywilej narodu uważam. Nie pojmuję nawet tego, iż Wasza

Wysokość tę tak uprawnioną potrzebę za rzecz poboczną uważasz.

— Elekcja — przerwał z niecierpliwością królewicz — Któżby o tem nie wiedział, że koniecznie raz obranym być potrzeba. Ale jest różnica między elekcją a elekcją, mój panie, między tą, w której egoizm i zuchwalstwo przeciw najświętszemu prawom głos swój podnoszą, a tą, która, czyniąc zadosyć formom, zapobiega szkodliwemu widzimisię panów braci naszych, jak to na przykład bywało, kiedy dom Jagiełłów i Wazów w nieprzerwanym dziedzictwie tron polski posiadał.

— Słusznie nawet wiek ten — rzekł Dymitr — w pierwszej mianowicie połowie złotym wiekiem się zowie; wątpię jednak, aby czas teraźniejszy podobny był tamtemu, i mało mam nadziei, żeby tak pożądana zgoda mogła się utrzymać.

— I cóżby — zapytał Jakób — podług waszego zdania powinien czynić ten, któryby miał przyczynę życzyć sobie takiego czasów powrotu?

— To, czego dotąd zaniedbywał — z powagą odparł Dymitr. Otwarcie i szczerze połączyć się z tymi, którychby nadzieje były z jego nadziejami zgodne, udzielić im oraz ku wspólnemu celowi tej siły, któraby ich niepewnych i rozdzielonych zjednoczyć i utwierdzić mogła. Tym to sposobem przyszłość pomyślnie przynieść może owoce.

— Lękam się — odpowiedział Jakób z wahaniem, żeby nie było za późno. Drogi mój książę — dodał z westchnieniem — od niejakiego już czasu przewidujemy zdarzenie, które Rzeczpospolitą i Europę w smutek pogrąży. Życzenia nasze radeby widzieć zdarzenie to dalekiem, lecz coś mogą ludzkie życzenia przeciw biegowi natury i boskim wyrokom?

— Dla Boga! co mówicie, łaskawy panie? drżącym i pełnym trwogi głosem zawołał Dymitr. Miałoby to być prawdą? Powiedźcie, czy Jan III. w tak wielkiem niebezpieczeństwie!

— Nie, nie — odparł znowu niepewnym głosem Jakób Sobieski — tak źle nie jest. Nie chcę wam atoli ukrywać, że już o owej podróży do Warmbrun, w której całą nadzieję wyzdrowienia pokładano, wątpić zaczynają. Widzę, że uczucia wasze zgadzają się z mojemi; chcecie mnie na chwilę uważać za brata i nie odmawiajcie mi swej rady w tak trudnem położeniu.

— Jakaż radę dać mam Waszej Wysokości? jeśli nie tę, którą wam własne serce dyktuje? Spieszcie, gdzie was uczucie woła, z tymi, którzy są rzeczywiście waszymi braćmi, przystąpcie do łoża szanownego starca, który może w tej chwili z boleścią o wiaźce strzał owego króla Scytów rozmyśla. Pomóżcie Najjaśniejszej Matce Waszej znosić ciężar, który jej duszę przytłacza, a potem, wypełniwszy obowiązki synowskie, potem, mówię, z pociechą wyglądajcie przyszłości!

Po niejakej chwili rzekł Jakób z namysłem:

— Wasza rada, panie, nie jest tak złą, chociaż cokolwiek zbyt żarliwym jesteście. Gotówem jej usłuchać i proszę o pomoc, iżby skutek odpowiedział oczekiwaniu.

— Nie w mojej to mocy — rzekł Wiśniowiecki urażony cokolwiek zimną krwią Jakóba.

— Chcę z wami pomówić otwarcie. Jako obywatel Rzeczypospolitej zgadzacie się ze mną na to, co ja jeszcze z innego stanowiska pożądanem znajduję, to jest utrzymanie domu naszego na tej wysokości, do której go przymioty i czyny ojca mojego wzniosły. Jeżeli stąd jaka dla synów jego ma spływać nadzieja, nie weźmiecie mi za złe, że jako pierworodny najbliższym dziedzicem uważać się mogę.

— O ile Wasza Wysokość nie uważasz tego za prawo, któreby przeciwne było zwyczajom i ustawom naszym, lecz tylko za nadzieję; wyznać muszę, że ją nietylko za słuszną i sprawiedliwą ale i za ugruntowaną poczytuję; przyszłość ją bowiem potwierdzi, jeżeli dacie dowód starań o wyrównanie w przymiotach temu, o którego tron się dobijacie.

Zmarszczywszy czoło, odpowiedział królewicz, ze zwykłą sobie cierpkością:

— Zwyczajom i ustawom! zaiste, gdyby ich nie było w naszej kochanej Polsce, do czegożby tyle kłopotów, do czegoż ta między nami rozmowa? Właśnie, dla zapobieżenia sprzeczności ich z interesem familijnym postanowiłem uczynić ów krok, który mi wskazujecie. Potrzebuję jednakże jakiegoś zapewnienia, i proszę mi je dostarczyć, Mości książę Wiśniowiecki.

— Jakiegoż to zapewnienia! — zawołał Dymitr zdziwiony — w jakiż sposób mamże udzielić?

— Znane wam są — po chwilowym namyśle odrzekł Jakób Sobieski, pewne nadzieje, któremi, aczkolwiek bezzasadnie, karmiono braci moich. Prawa Aleksandra odważono się porównywać z mojemi, a teraz, Boże łaskawy, ów młodzik Konstanty uroił sobie podobno, że osiągnie to, czem wzgardził brat jego filozof. Takie to marzenia, Mości książę, rozdławiają nasz ród i siłę jego osłabiają; raczcie mię z tej strony zapewnić, reszty ja sam dokonam. Patrzycie na mnie z zadziwieniem. Lecz powiem otwarcie, skłonił królewicza Aleksandra do porzucenia wszelkich nadziei, na które niby z obojętnością patrzy; żądajcie od królewicza Konstantego, ażeby oddalał wpływ Francji od matki, bo jej na teraz, jak mówią, ulubionem jest dziecięciem; a wtenczas jako dobrze myślący brat połączę się z nimi. Łatwo wam będzie wymódlą na nich, ażeby się zrzekli tego, czego osiągnąć nie mogą, ani powinni. A kto pierwszego miejsca zająć nie może, rad będzie, że osiągnie drugie, ażeby na ostatnie nie był strącony. Donieście mi o ich zezwoleniu; a zaraz po nastąpieniu smutnego wypadku, pierworodny zastąpi im miejsce ojca i potężnego obrońcy; wiedźcie albowiem, miłościwy panie, że nie zbywa mi tak dalece na środkach, przyjaciółach za granicą i stronnikach w Rzeczypospolitej, jak to się niektórym mniemać podoba.

— Jeżeli was dobrze rozumiem, łaskawy panie, z zapalem odparł Wiśniowiecki: żądaniem jest waszem, ażeby młodszy królewiczowie umawiali się z wami o spadek tego, co nie jest przedmiotem spadku; ażeby ustąpili korony, która jeszcze w tej chwili na głowie waszego dostojnego ojca spoczywa, a która, skoro z niego spadnie, do rąk narodu jako własność powróci. Darujcie mi, Panie, zbyt dobrym jestem Polakiem, zbyt słabym politykiem, żebym się mógł zająć takimi sprawami, tem bardziej, że ich bezskuteczność zbyt jest widoczną. Gdyby nawet królewicze przez przychyłność braterską skłonić się chcieli do takowego żądania, królowa po tylu nieprzyjemnych wypadkach opierałaby się wszelkimi siłami. Żądaliście rady mojej, powtórzę wam ją jako przyjaciel Sobieskich i ojca waszego wdzięczny wychowaniec. Przystąpcie do nich szczerze, otwarcie i bezwarunkowo, a od szlachetnego sposobu myślenia braci waszych wszystkiego oczekiwać możecie; i królowa w pierwszych chwilach głębokiego smutku może być zmiękczoną.

— Zbyt szybko postępujecie, książę Dymitrze! — odezwał się z półśmiechem Jakób Sobieski — musicie mi pozwolić, że powolniejszym pójdę krokiem. Co się mych braci tycze, pozwalam; lecz zdanie królowej równie jak i jej skarby są w ręku owego Francuza, który niemi jak piłką przerzuca i niestety! w widokach nie bardzo godziwych. Lękam się gładkiej tego człowieka powierzchowności i pojmuje zdziwienie mojej matki, skoro ujrzy odwrotną stronę medalu. Nauczyłem się dość wczesnie — dodał z goryczą — że nie należy na łaskę lub niełaskę jej Królewskiej Mości rachować.

— Sprawiedliwie — rzekł Wiśniowiecki — unikacie Opat de Bonport, lecz czyliż przystoi stronić od matki w chwili, gdy ta, widząc się opuszczoną, odda się zupełnie człowiekowi, który jak mówicie, zbyt wiele nad nią władzy posiada i nadużyć jej myśli? Za prawdę, ukazanie się najstarszego

syna przy łożu konającego ojca pokazałoby jej, że ten, kogo sama przeznaczyła natura, będzie stanowił podpórę jej starości.

— Dobrze wprowadźcie myślicie; tym samym tonem jak pierwiej rzekł znowu Jakób — zdaje mi się jednakże, iż sądzicie o ludziach z książek, albo podług miłych lecz omylnych pojąć waszej młodości. W życiu pospolitem uczucia mogą zawsze dostateczną stanowić rękojmię; lecz na dworze i w sprawach państwa tylko dobrze określone umowy są pewnemi.

— Jeżeli tylko o samych warunkach i klauzulach to ma być mowa — odparł Dymitr wzruszony — pozwólcieź się zapytać, czemużby one na Waszę tylko stronę nie zaś razem i na korzyść królewiczów ułożone być miały? W oczach moich i narodu, prawa ich do następstwa tronu zupełnie są równe prawom Waszej Wysokości.

— Jakto! równe? — zawołał z gniewem królewicz — mylicie się; nigdy równemi być nie mogą między pierworodnym a młodszymi braćmi, między mężem, a niedojrzałymi młodzikami, między tym, który wspólnie z ojcem w sławnych walczył wyprawach, a nowicjuszami, co ledwie raz jeden szabli z pochwy dobyli! Jeszcze patrzcie na różnicę między mną, szwagrem rzymskiego cesarza i najpotężniejszych królów Europy, a nimi, którzy żadnej nie mają podpory prócz zmiennego humoru niewiasty i dwuznacznej przychylności Francji? między nimi, którym zaledwie próżniacka zgraja młodzieży szlacheckiej w koronie i kilku upartych i niespokojnych Litwinów towarzyszyć będzie; a mną, który posiadam siły, i tych albo za nimi, albo przeciw nim użyć potrafię. Widzicie — mówił dalej niepohamowanemu oddając się gniewowi — widzicie, że nie cierpię mego szwagra Falcgrafa nie mam przyczyny go cierpieć, wolałbym wszakże jemu ustąpić, niż doświadczyć zniewagi i zdrady od własnego rodzeństwa. Wolałbym jemu zostawić koronę,

którą Jan III. własną krwią oblewał; z niewdzięczną zaś ojczyzną, matką i rodziną, którzyby mię tak nieprawnie z dziedzictwa wyzuli, wieczny uczyniłbym rozbrat — oto jest odpowiedź na waszę radę, Mości książe Wiśniowiecki!

— To ma być odpowiedzią — zapytał Wiśniowiecki prawie nawskroś boleścią przejęty. Nie, to nie mogą być ostatnie wasze słowa do rodziny w chwili, która o jej i waszym stanowisku. Słuchajcie mię, Panie! — nie jedna święta powinność wiąże mię z waszym rodem, a jeżeli mowa moja nie jest tak układna jak waszych doradców, jest przynajmniej szczerą i z czystego pochodzi serca. Nie tak ubezpieczeni jesteście, jak sądzicie. Nie jedna obietnica, na którą rachujecie i innym jest dana. Zwolnijcie nieugiętość Waszę; spieszcie tam, gdzie teraz z niechęcią uważają nieobecność syna króla Jana III, spieszcie, dopóki czas, dopóki jedna niecofnięta chwila może nie więcej wam nie zostawi, jak niewczesne żale na długie lata!

Nieporuszony wprawdzie, lecz miarkujący się Jakób, odpowiedział:

— Jeszcze raz upewniam was, książe, że zdanie wasze szanuję i nie odrzucam zupełnie rady; mądrze atoli rozważyć trzeba, jak postąpić należy w tak ważnej okoliczności. Jedziecie podobno do Wilanowa? spytał się po chwili milczenia. Raczcie zapewnić Jej Królewską Mość i królewiczów, że uległym chcę być synem i przywiązanym bratem.

— Nie chcecież sami tak pożądaną zanieść odpowiedzi, ażeby pocieszyć umierającego już może króla?

— Powtórzę ją niezawodnie — rzekł Sobieski zimno i z roztargnieniem; poczem przerwał mowę, od najważniejszego do dziennych nowin przechodząc. Jeszcze nie skończyła się rozmowa, gdy pan de Polignac w towarzystwie Opata Révérend do pustej wszedł sali; przy drzwiach spotkał go la Brie na jego żołdzie będący, spytany od posła, czyli królewicza widzieć jest wolno; odpowiedział; że książe

Wiśniowiecki znajduje się u Jego Królewiczowskiej Mości, potem dodał z tajemną poufalskością:

— Przybył on na wezwanie najłaskawszego Pana, był bardzo dobrze przyjęty; i już więcej jak siedemnaście minut sami tylko z sobą zostają. Czy mam Jaśnie Wielmożnego pana zameldować?

Krótkie *nie* i znak do oddalenia się były odpowiedzią posła, który się temi słowy do swego dyplomatycznego pomocnika odezwał:

— Jak widzę, ten, co sobie rady dać sam nie może, szuka jej u przyjaciół i u nieprzyjaciół; nie dziwiłoby mnie nawet, gdyby chciał tego młodego człowieka sobie pozyskać i oskarżać mnie przed nim.

— Ja sędzę — rzekł Dominik Révérend — że dobrzebyście zrobili, gdybyście temu zapobiegli.

— Nie potrzeba — odparł Polignac — książę Wiśniowiecki jest jednym z tych, co się niełatwo i nieprędko dla widoków i zamiarów drugich pozyskać dają; a tem mniej dla najstarszego królewicza polskiego. Założę się, że go nie przekona; i jak na mnie przed nim, tak w kwadrans po jego odejściu przedemną na niego skarżyć się będzie, i znowu za kwadrans — dodał z uśmiechem — na nas obu przed Signorem Alberti i ojcem Votą, których tu spotkaliśmy. Przyznam się wam także, że nie bardzo pragnę spotkania z owym księciem Wiśniowieckim.

— Jak to? — zapytał ks. Révérend cokolwiek z ironią — miałby minister króla francuskiego, między pierwszych dyplomatów czasu naszego liczony, unikać nowicjusza, który mało zna świat, patrząc nań jak na jaki utworzony przez siebie ideał?

— Unikać — powtórzył poseł nie bez powagi. — Nie lubię tego wyrażenia; a przecież zataić wam nie mogę, że w jego obecności coś takiego uczuвам. Zbliżenie się do niego na nic mi się nie przyda, przypomina mi tylko, czem człowiek być może a raczej powinien; czem nie jeden był a dziś już

nie jest! Szkodziłem mu a przecież go nie mogę nienawidzić, i właśnie dla tego, że go nienawidzić nie mogę, jest mi niemiłym.

— Jaśnie Wielmożny Pan ma, jak widzę, upodobanie w antitezach — uczynił uwagę Révérend.

— Jesteście wszakże chemikiem, Opacie — rzekł Polignac. — Wiadomo wam przeto, że dwa magnesy, aczkolwiek równego kształtu, mają swe odpychające punkta. Podobnym więc punktem zasłaniać się muszę przeciw temu, o którym mówimy, aby mnie nie przyciągnął. Niedawno ofiarował mi jako przeciwnikowi swoje przyjaźń; i zaiste nie tak jak drudzy w zamiarze własnej korzyści; z trudnością mi przyszło ją odrzucać. Lecz nie chcę jego przyjaźni, związaćby mnie mogła; a moje stosunki wymagają, abym niczem nie był związany.

— Rozumiałbym — odezwał się podwładny — że dzisiaj związku takiego odrzucać nie należy; z tem zastrzeżeniem wszakże, żeby go rozerwać, kiedy się okoliczności zmieniają. Polecenia, które Jaśnie Wielmożny pan masz od swego dworu, co się tycze następstwa tronu, ile mi wiadomo, nie są teraz przeciwne widokom tego pana, który się obrońcą panującej rodziny mianuje.

— Teraz, nieinaczej — rzekł Polignac z namysłem — ale czy długo to „teraz“ trwać będzie? Nie przynosi zaszczytu dyplomatom, przyjacielu, na teraźniejszość tylko patrzeć; kto się nad mierność wznieść pragnie i na przyszłość oglądać się powinien. Mierny to pełnomocnik, co przestaje na rozkazach swego dworu w rzeczach, przez niego tylko widzianych i słyszanych; baczny stróż interesów swojego pana może i powinien, mając na oku rozmaitość położzeń, nawet kiedy potrzeba wypadnie...

— Prosić o nowe rozkazy — przerwał tu Révérend — nie prawdą, Mości ambasadorze?

— Wyrzekliście — była odpowiedź Polignaca. — Niechże więc zastępca swego pana nie prostą tylko tubą lub perspektywą, ale godniejszem będzie jego narzędziem.

— I dla własnego pożytku — dodał Révérend. — Te dwa bowiem punkta są niezaprzeczenie najgłówniejszemi w naszym zawodzie, tyle i mnie jest wiadomo, chociaż zawsze tylko bywałem Waszej Ekscelencji i innych przełożonych pokornym Gamalielem, a więc — mówił dalej po krótkim namyśle — Wasza Ekscelencja inną wcale rolę przybierze, skoro w Wilanowie nastąpi oddawna grożące nieszczęście.

Żadnej na to nie odebrał odpowiedzi od posła, który się w własnych myślach zatapiać zdawał; gdy wtem książę Wiśniowiecki z gabinetu Jakóba wyszedł. Bojaźń pana de Polignac, za jego zbliżeniem się doznana, na ten raz była do wybaczenia, z zimnym bowiem i niejako dumnym ukłonem przeszedł obok niego Dymitr, ku wielkim udając się schodom. Wsiadłszy na konia, udał się na przejażdżkę w pole, dokąd go piękna pogoda i potrzeba rozmyślenia nad teraźniejszością i przyszłością wzywała. Kilka godzin na tej przejażdżce spędził, a słońce już się znacznie ku zachodowi nachylać zaczęło, kiedy do stolicy wrócił. Niedaleko swego pałacu spostrzegł natłok ludzi w przysionku kościoła Karmelickiego, w którym się zaraz dzwony odezwały, a ich dźwiękowi odpowiedziały natychmiast wszystkie dzwony w stolicy.

Rozkazał towarzyszącemu sobie Jorkiewiczowi dowiedzieć się, czyli i nieszpory będą się odprawiać w uroczystość obchodu wstąpienia na tron Jana III.

— Wstąpienia na tron? — odpowie zapytany — zlituj się Boże i wszyscy święci! Wszakże to zanosi się na czterdziestogodzinne nabożeństwo!

— Być nie może? — krzyknął Dymitr trwogą przejęty; a zwróciwszy konia, szybko przez Nowy Świat popędził. W miejscu zwężonem tej ulicy spotkał powóz z równą jak on pędzący szybkością, a w nim z wybladłą twarzą królewicza Jakóba, który go zobaczywszy, stanąć rozkazał.

— Czy do Wilanowa jedziecie? — zapytał przytłumionym i zaledwie zrozumiałym głosem.

— A Wasza Królewiczowska Mość czy stamtąd? — nawzajem zapytał Wiśniowiecki z przytłumioną niechęcią.

— Jeszcze jedno zlecenie — mówił dalej królewicz — powiedźcie królowej i braciom moim, że o dobro domu naszego mam staranie, chociaż nie w taki sposób, jak mi wskazali, ani podług waszej rady.

Poczem i powóz i jeźdźcie w przeciwnie rozjechali się strony.

Kiedy na kilka godzin wprzód Opat Bonport do królewicza polskiego był wprowadzony, nie doznał tak otwartego przyjęcia, jak gość poprzedni. Mniemał bowiem królewicz, że jeśli przed niedoświadczonym bez żadnego okazać się można przymusu, w przytomności jednak mistrza władanie sobą i pewne umiarkowanie jest niezbędne. Nadto rozmowa jego z Dymitrem nie odpowiedziała jego oczekiwaniu, uznał więc, że z Polignakiem inne zupełnie zachowanie się potrzebne; niemiłe uczucie zawiedzionej nadziei, połączone z usilnością trafnego teraz pokazania się, przedłużało nieco czas, który mu do należytego przygotowania się był potrzebny. Kilka więc upłynęło minut, nim się krótkimi słowy pozdrowili i usiedli; i już poseł miał zapytać o rozkazy królewicza, gdy tenże przerwał milczenie:

— Macie podobno zamiar udać się na wieś, a ponieważ wasza droga tędy prowadzi, pozwoliłem sobie korzystać z chwili waszej obecności.

— Nie przeczę, że jadę do Wilanowa — odparł ostrożny Polignac. — Jeżeli Wasza Wysokość ma jakie dać mi zlecenia; czekam na rozkazy.

— Rozkazy? ten wyraz, panie ambasadorze, między mną a wami nie jest właściwy — rzekł Sobieski tonem okazującym, że niechętnie mówi. — Prosić was mógłbym może; a raczej wam dziękować. Nie opuszczacie śmiertelnego łoża mojego ojca; jego synowie za tak wierne usługi czują ku wam wdzięczność. A ja nie chciałbym być ostatnim w wynurzeniu wam jej i okazaniu, skoro tylko sposobna pora nastąpi.

Dyplomata nie wiele wzruszony tą wdzięcznością królewicza i jego obietnicami odpowiedział:

— To, co Wasza Wysokość godnem pochwały uznawać raczysz, jest tylko wypełnieniem powinności kapłana i dowodem wysokiej czci, którą mam dla Najjaśniejszego Króla Jego Mości. Gdyby zasługiwała na jaką wdzięczność, przestałbym na tej, którą mi sam Król okaże; ciągle bowiem wzrasta pocieszająca nadzieja, że powróci do zdrowia ów wielki chrześcijaństwa monarcha, a mój najszacowniejszy Pan i przyjaciel.

— Czy doprawdy? — zapytał Jakób zwolna, rzucając bawdawe spojrzenie na zimną twarz pośła. — Boże daj, ażeby tak było. Lecz znikome jest życie człowieka, i to wszystko, co on sam albo drudzy na niem budują. Powinniśmy więc z ukorzonem sercem życie Bogu polecić, lecz razem i ludzkich nie zaniedbywać obowiązków.

— Nie inaczej — odpowie Polignac — pierwszego żąda po nas religja, drugiego roztropność.

To mówiąc, poruszył się na krześle, podobnie jak człowiek, który widzi zbliżające się wynurzenie a pragnąłby go uniknąć.

— Daleko niech od nas będzie ta chwila, o której myślimy — mówił dalej Sobieski. — Lecz później czy prędzej nastąpi; zawsze rodzina przyjaciela Jego Chrześcijańskiej Mości z zupełnem zaufaniem i niejakim prawem na jej życzliwy sposób myślenia rachuje.

Nieme zaprzeczenie było całą odpowiedzią francuskiego ministra.

— Jeżeli dawniej nie miał tego zaufania — ciągnął królewicz — przywróciło mi go własne pismo waszego Pana do mojego ojca; i co się mnie tyczy, nie omieszkam dać dowodu całej mojej wdzięczności.

Tu Opat zapytał przebiegle:

— A więc zaufanie Waszej Królewiczowskiej Mości zmniejszyć się musiało w kim innym?

— Mogę się wprawdzie największą życzliwością cesarza poszczycić—z niejakim wahaniem się odpowiedział Jakób—lecz ciężar lat już go przyciskać zaczyna; i jak zwykle wpływ swój na stałość charakteru wywiera. Wiecie, jak się dzieje na wielkich dworach, gdzie już naczelnik laty obciążony. Wiele się tam głosów podnosi, które pierwiej milczały, i często przygłuszają ten, który sam jedynie rozstrzygać powinien.

— Nie mogę zataić — rzekł Polignac — że te rozmaite głosy doszły mych uszu, lecz one nie są nader pocieszające dla Waszej Królewiczowskiej Mości.

— Niestety! — ponowił Jakób z udaną obojętnością — wspominają prawda o imionach, ale o imionach takich osób, które się próżno tylko łudzą nadzieją; biedacy a raczej awanturnicy wysokiego rodu! wierzę, iżby radzi błędzące swe kroki do zamku warszawskiego skierować.

— Jeden z nich jednak — wtrącił złośliwie Polignac — nie jest tak dalece biedakiem, mówię o Falegrafie, któremu dość znaczenia nadaje posąg księżnej Radziwiłłownej.

Rumieniec gniewu wystąpił na twarz i czoło Jakóba; umiarkowawszy się jednak, zawołał z przyciskiem:

— Wszyscy, o których tu mowa, albo są niechętni królowi francuskiemu, albo służą w wojskach jego nieprzyjaciół. To, zdaje się, powinno być dostatecznem dla jego pełnomownika, ażeby słuszniejsze popierał pretensje.

— Upewniam W. Królewiczowską Mość—odparł Polignac— że jeszcze żadnych nie odebrałem rozkazów na wypadek, który dwór wersalski z chęcią dalekim być sądzi, gdy przeciwnie w Wiedniu zawsze go bliskim wystawiają. Nigdy zaś z własnego popędu nie ośmielę się mieszać do spraw kraju, dla którego mimo doznanej gościnności zawsze jestem cudzoziemcem.

— Czy tak?— rzekł szydlerczo Sobieski.— Miłem mi jest ze strony waszej zapewnienie bezstronności, o której tu niegodziwi ludzie wątpić śmieli.

Nie było zamiarem Opata gniewać królewicza; jest bowiem zasada i w dyplomacji i w pospolitem życiu nigdy tego nie czynić bez potrzeby; dodał zatem te słowa:

— Jeżeli Waszej Królewiczowskiej Mości jako minister pełnomocny wpływu mojego odmówić muszę; rozkażcie człowiekowi prywatnemu, najłaskawszy Panie, a wszystko, co będzie w mych siłach jako najżyczliwszy sługa królewskiego domu waszego uczynić nie omieszkam.

— Sobiescy nie są dla przyjaciół niewdzięcznymi — odpowiedział Jakób — Jan III. umiał usługi biskupa de Beauvais rzymską purpurą nagrodzić; mój dziad już jest przy schyłku; łatwo więc i nie zadługo przykład kardynała Forbin Janson powtórzyć się może.

Pokłonił się Opat z uprzejmym uśmiechem, jakby dla okazania wdzięczności, a królewicz uradowany wrażeniem, jakie na pozór wzmianka o kapeluszu kardynalskim uczyniła, dodał:

— Chcę więc na pomocy waszej jako prywatnego człowieka i zacnego przyjaciela rodziny, mojej poprzestać; bo w rzeczy samej tej tylko potrzebuję. Królowa was poważyła i posiadacie jej zaufanie, które, wyznać muszę, lepiej umieszczone być nie mogło. Ponieście jej oświadczenie mojej uległości i sprawcie, ażeby Jej Królewska Mość prawa i pretensje domu naszego na przyszłego jego naczelnika przelała; ażeby siły nasze w jedno złączone tem dzielniejszy przeciwnikom opór stawiały. Wasz rozsadek, do którego zapewne powyższa myśl trafia, wasza przychylność dla ojca mojego, połączone z zapewnieniem niezawodnej mojej wdzięczności każą mi się spodziewać, że tego zlecenia chętnie się podejmiecie, a roztropna zręczność wasza w każdej sprawie więcej dokaże, aniżeli... ten, który tu niedawno czczemi słowy na moje żądania odpowiadał.

Ucieszony Polignac, że się wywinie tak małą rzeczą, jaką jest obietnica, której dotrzymać nie miał zamiaru, rzekł:

— Skoro Wasza Król. Mość zaszczycaś mnie podobnem zleceniem, miłoby mi było stać się raz jeszcze szczęśliwym pośrednikiem między matką a synem.

— Gdybyście chcieli — mówił dalej Sobieski — króla pana waszego o mojej przychylności zapewnić, uczynilibyście zadowolony i prawdzie i życzeniom mojego serca; lecz zobowiązalibyście mnie najwięcej, gdybyście nie chcieli odmawiać mi rady w chwili, gdy silnemu działaniu pomoc roztropności jest niezbędna.

Poseł małą chwilkę namyślać się zdawał, potem rzekł z udaną otwartością:

— Jak pierwsze tak i ostatnie żądanie Waszej Król. Mości gotów jestem wedle sił moich skutecznić. Smutne zdarzenie, o którym mowa, zdaje się bardziej Waszę Wysokość dotykać, niżeli sobie tego wszyscy życzymy. Wersal jednakże jest daleko: ośmiele się więc na moje odpowiedzialność żadaną dać radę. Nieraz śmiały postępek otrzymał nagrodę, której sztuczne zabiegi osiągnąć nie potrafiły. Pyrrus to, nie Ulisses, wkroczył w bramy Troi. Gdybym był na miejscu Waszej Wysokości, o ile mi tego stan duchowny dozwoli, nie mówię tego jako poseł francuski, ale jako Melchior Polignac, gdybym był na miejscu Waszej Królewiczowskiej Mości, śmiałą ręką pochwyciłbym za okoliczność, która często bojaźliwym wysliznąć się może. Wybrany Król Polski jest już króla francuskiego przyjacielem z powodów politycznych, sługa więc ostatniego może z wdzięcznością przyjąć dar, który mu łaska pierwszego ofiaruje.

— O czymże to myślicie, panie ambasadorze! — zawołał Jakób — czyliż zważacie, gdzie jesteśmy i jakie są ustawy naszego kraju?

— Przyznam się, że je znam mało — odpowiedział Polignac — Wasza Król. Mość potrafisz jednak w chwili stanowczej korzystać własną z wolą tych ustaw połączyć.

Obadwa stali jeszcze naprzeciwko siebie, Jakób w myślach zatopiony, Opat zaś na pozór obojętny, gdy drzwi się gwałtownie otwierają i wchodzi przerażony La Brie wołając:

— Najlaskawszy Panie! posłaniec z Wilanowa..... Jego Królewska Mość.....

— Cóż takiego? trutniu! — przerwał mu nagle królewicz Jakób. — Będziesz jeszcze na rynku wywoływał sprawy twojego pana?

La Brie prawie skulony, zbliżywszy się ku swemu panu kilka mu słów do ucha powiedział, te słowa Jakób posłyszawszy, zbladł i drżący prawie postąpił ku oknu. Poseł zwrócił oczy na oniemiałego La Brie, wznoszącego ręce do góry, a jego postawą równie się przeraził jak królewicz.

— Przebaczenie mi — mówił królewicz Jakób, łkając — przebaczenie mi, żem was tak długo zatrzymywał. Czy pojedziecie do letniego zamku?

— Czy Wasza Królewiczowska Mość sobie życzy tam pojechać? moja karetka może być na jego usługi?

— Dobrze... lecz nie... natychmiast... darujcie niektóre interesa... zaraz pojedę za wami.

— Już się zbliża katastrofa — szepnął wielki poseł Opatowi Révérend—lecz nas tak nieprzygotowanych nie zastanie jak jego. Oto człowiek, który acz nigdy szczerzy nie był, od drugich jednak szczerości wymaga; od każdego żąda rady a ręczę, że pójdzie za najgorszą.

— Kto mu jej też udzieli? — zapytał duchowny.

Na to uśmiechnął się minister i obadwa do powozu wsiedli.

Jeszcze jednej narady potrzebował królewicz Jakób, to jest z Ojcem Votą i posłem weneckim. Lecz ta krótko trwała; poczem Sobieski udał się drogą, na której jak nam wiadomo z Dymitrem się spotkał.

— Zda mi się, że postanowienie królewicza nie koniecznie stosowne — przemówił, kołysząc głową, Signor Alberti do

Voty — i dziwi mię mocno, że je pochwalacie, przewielebny Panie.

2— Alem mu przecie tego nie doradzał — odpowiedział Vota — za skutek więc odpowiadać nie będę. Tymczasem, kto może wiedzieć, jak wypadnie? W pewnym względzie zamek ten królewski podobnym jest do pałacu Śgo Marka w Wenecji. Nie jedno atoli ujdzie u ludu żywego i czynnego, coby w waszej kupieckiej Rzeczypospolitej wielkie wznieciło wrażenie.

— Powiedźcie raczej u Panów Adryatyckiego morza — odparł Alberti wzruszony.

— Złą jest ta rada — rzekł ojciec Vota, gdy sam pozostał — prawdę mówiliście, mości panie z Wenecji, i rad jestem, że ją Bóg wie kto udzielił. Mnie jednak wszystko jedno: uda się, to dobrze; nie uda się, więc na tem nietylko on, ale i doradca cierpieć będzie; bądź jak bądź, wypadek dla nas zawsze pomyślny. Czynność tu moja, jak przeczuwam, wkrótce weźmie koniec. Dość długo już bawię na północy, abym cię mógł po tylu latach znowu powitać, kochana Ojczyzno! piękna Lombardjo!

Rozdział 9.

Kiedy w stolicy wielka liczba niższego ludu ulice i place bolesnemi napełniła skargami, a w świątyniach zasyłała modły do Boga o zdrowie króla, którego kochać i szanować żadne osobiste nie przeszkadzały względy; kiedy na placach wojskowych zebrane rycerstwo smutnie o przedmiocie powszechnej trwogi rozmawiało, albo w milczeniu patrzyło na postrzelone chorągwie, które tak często przeciw nieprzyjaciółom prowadził ten, co teraz wojnę z najstraszniejszym przeciwnikiem toczył; kiedy możni, w zdaniach swoich rozdzieleni, bliski zgon pana i wodza oplakiwali, albo ciekawie chytry wzrok w przyszłość zapuszczali, w podwojach Wilanowa głęboka panowała cisza, którą tylko ostrożne stąpanie albo przytłumione jęki przerywały. Aczkolwiek te poruszenia i wyrzekania mniej były głośnie, towarzyszyło im jednak niemniejsze jak w stolicy uczucie boleści. I Marja Kazimiera wyrzekła się już nadziei, którą tak długo z uporem karmiła; widziała ona teraz, że jej wszystko stracić przychodzi; pragnęła więc przynajmniej, tyle zabezpieczyć sobie, ile tylko zdoła. Lecz na próżno starała się skłonić króla do wyrażenia ostatniej swej woli; uprosiła nareszcie swego kanclerza biskupa płockiego, że i on swoje prośby z jej prośbami połączył.

Gdy 1696 r. dnia 17. Czerwca z rana Andrzej Chryzostom Załuski na pokoje królewskie przybył, zastał monarchę na łóżku ubranego i otoczonego służbą, która za ukazaniem się pralata odeszła. Chociaż częstemi napadami febrы i cierpieniem osłabiony był bardzo Jan III, jednakże na jego czole jaśniał jeszcze cień dawnej wesołości; podał on biskupowi rękę i rzekł:

— Kazano mi zażyć merkurjuszu, wzięłem go z niewielką nadzieją i zapewne duszę wygna mi z ciała.

Po tych słowach cofnął król szybko podaną prawicę i wyrzekł nagle z uczuciem największej boleści mocnym głosem te słowa:

— Znajdź się kto, któryby śmierci mojej się pomścił?

Biskup mocno wzruszony widokiem umierającego monarchy, a bardziej jeszcze jego zagadkowemi słowami, odpowiedział:

— Miłościwy panie i królu, bądźcie dobrej myśli i znoście boleści wasze mężnym umysłem. Tysiące ofiar u ołtarzy pańskich wznosi się codzień za całość waszą, ufajcie w Pannę. Niech dawna wesołość znowu wasz umysł ożywi; nie bardziej nad myśl pogodną zdrowiu nie pomaga.

Jan trząsnął głową i rzekł:

— Zdrowie moje takie będzie jutro, jakie jest dziś, jak było wczora, przedwczora, na niewiele podobno sztuka lekarska się przyda. Niechże i tak będzie! — dodał po jakimś namyśle, a potem jakby przypomnienie jakieś na pamięć przywołując, spytał się tonem osoby usiłującej o obojętnych mówić rzeczach.

— Powiedzże mi, biskupie, co robisz w Pułtusk? Czem się tam bawisz, czemu też częściej nie przyjeżdżasz na dwór nasz? Wiesz przecie, jak miłą nam każda bytność wasza.

Na te uprzejme wyrzuty Andrzej Załuski wymawiał się obowiązkami pasterza.

— Wiadomo jest W. K. Mości — powiedział — jak ważne, jak święte są powinności biskupów; więcej one wymagają pracy niż odpoczynku; nie na to jesteśmy postawieni, żeby być próżnymi widzami czynów owieczek naszych; naprowadzać je na drogę cnoty i bojaźni Boga, cieszyć w utra-pieniu, wspierać w nieszczęściu, to powinności nasze, tych ja według możliwości mojej staram się dopełniać, a dopeł-niaćbym ich nie mógł bez stałego w pośród owczarni mojej przemieszkowania. W wolniejszych godzinach bawię się książką lub rozmową z uczonymi. Niedawno — wtracił, pamiętając na zlecenia królowej, smutniejsze miałem zatrudnienie, pomny jak niepewne są dni nasze; pomny, że zostawiam po sobie braci i sukcesorów, z bojaźni by licha moja pu-ścizna nie dała powodu do kłótni, sporządziwszy inwentarz wszystkich ruchomości moich, uczyniłem testament, a to tem chętniej, iż takie rozporządzenie mianuję powinnością rozsądnego człowieka, jej dopełnienie spokojnym go czyni, a spokojność najwięcej przyczynia się do zdrowia.

Zrozumiałwszy, do czego ta mowa zmierzała, przerwał król biskupowi; a z żartobliwym uśmiechem, który dawniej tak mu był właściwy, zawołał:

— *O medici mediam pertundite venam!* *) biskupie, wy, którzy na niedostatek czasu narzekacie, wy, człowiek rozu-mny, traciecie go na robieniu testamentów? Piszecie więc testament? — powtórzył kilkakrotnie, zawsze się uśmiechając. Co do mnie przydał, znam ja dobrze wraz z innymi ruskie przysłowie: niech ogień spali ziemię, niech wół wszelką trawę wyźrze, po śmierci nic o to nie dbam. — Te słowa wyrzekł król tonem, który je więcej za narzekanie na powszechny duch wieku, niżeli za tłumaczenie własnych myśli uważać kazał. Biskup zapewnił go z uszanowaniem, że radę tę natchnęła mu wierność i przywiązanie ku tak do-bremu panu.

*) O doktorzy, otwórzcie mu arterję.

— Wierzę wam, mój biskupie, odpowiedział Jan III, dobitnie. Ale sam się zastanów, w jakim żyjemy wieku, w tak bezbożnym, iż nie mamy prawa spodziewać się miłosierdzia od Najwyższego. Nie widzisz, jakie jest powszechne zepsucie? nie znajdziesz już niewinności, wszyscy puszczają się na wszystko nieczne; zdeptane wstyd i obyczaje, czyliż ty je, biskupie, podniesiesz? Długo byłoby wyliczać święte postanowienia tylu królów, poprzedników moich, tylu biskupów, poprzedników twoich — a miałyż jaki skutek? — Tu król jął przytaczać różne gorszące przykłady i dodał: Rozumiesz, iż ostatnia wola moja więcej będzie szanowaną? za życia słuchać mnie nie chcą, będąż po śmierci?

Gdy się tak zgodzić nie mogli, nadeszła królowa i czytała w twarzy prałata, iż jej życzenie spełzło na niczem. Biskup niebawem do stolicy się udał, skąd go zaraz po południu spieszny posłaniec do Wilanowa wezwał, uwiadomiwszy go pierwszej o znacznem pogorszeniu stanu monarchy.

Marja Kazimiera niepowściągnionemu oddała się żalowi, który krótko, ale gwałtownie żywym umysłem wstrząsa, rzucała się na łóżko, wydając głośnie narzekania, i jeszcze mniej jak zazwyczaj zważała na przedstawienia kardynała ojca swojego, który ją napominał, ażeby pokoju ostatnich chwil małżonka nie przerywała. Opat Bonport, który, jak nam wiadomo, nie zaniedbywał żadnej sposobności przebywania w Wilanowie, zbliżył się do króla i usiłował wesołą twarzą i uczoną rozmową, która tak często Jana III. rozrywała, uwagę od cierpień ciała odwrócić. Biskup płocki ukazał się także i król zapytał go dosyć swobodnie.

— Co tam słysząc w Warszawie?

— Wszyscy się modlą — odpowiedział prałat; nabożeństwo jest we wszystkich kościołach, nie tylko o zachowanie W. K. Mości, ale i na pamiątkę dnia tego, który Was, miłościwy panie, lat temu 22, przez wybór wolnego narodu na tron wyniósł. Może wola jest waszą, Miłościwy Panie,

z powodu tej uroczystości odbyć sakrament pokuty, do której służyć mu ofiaruje się.

— Chętniebym to uczynił — odpowiedział przykładny w wierze król — lecz właśnie napiłem się klejku, a co więcej nieprzygotowany jestem, lepiej zatem tę rzecz odłożyć do jutra.

— Do jutra? powtórzył Andrzej Załuski zdziwiony i nie przestał nalegać na króla, póki nie dokazał swego; pomimo że i Opat de Bonport dla zaspokojenia królowej przeczył, by zachodziła tak gwałtowna świętego aktu potrzeba. Wraz posłano po proboszcza Wilanowskiego, by mszę odczytał, lecz ponieważ nie było go w domu, wyręczył go właśnie obecny ojciec Vota.

I w istocie troskliwość biskupa zdawała się być zbyt tęczną, po mszy albowiem Jan III. blisko godzinę z nim i francuskim posłem o ulubionych sobie przedmiotach rozmawiał, tak dalece, że i uspokojona królowa stała się powoli tej rozmowy uczestniczką. Tymczasem w przedpokojach coraz rosła liczba przybywających z Warszawy dygnitarzy nadwornych, koronnych, senatorów i rycerstwa; król dowiedziawszy się o tem, zapytał: ktoby był między nimi, a wraz biskup płocki bez najmniejszego zamiaru, wymówił nazwisko księcia Wiśniowieckiego; król oświadczył chęć widzenia go, powiadając, iż gdy go ujrzy, będzie się czuł spokojniejszy. Po chwili atoli zapytał znowu: czy czasem niema królewicza Jakóba?

Na to zapytanie Załuski nie rzekł ani słowa, królowa okazała wyraz niechęci, a gdy Polignac wynurzył swe zadziwienie, dla czegoby królewicz Jakób, acz świadomy niebezpieczeństwa króla, nie był obecny, westchnął ciężko Sobieski i zamilkł tak, iż obecni rozumieli, że zasnął. Gdy atoli cichym krokiem oddalać się chcieli, postrzegł biskup na nagle zmienionej chorego twarzy napad lekkiej apopleksji. Wezwał go więc, żeby dał jaki znak na dowód żalu za grzechy, a gdy monarcha zwrócił ku niemu bolesne i na

w pół otwarte oczy, udzielił mu ostatecznego rozgrzeszenia. Ledwie się to stało, porwał się Jan III. gwałtownie z łóżka, lecz wnet padł. Przestraszona królowa wybiegła wraz z Opatem de Bonport, a głośnie jej w krużgankach lamenty ściągnęły do komnaty królewskiej mnóstwo ciekawych. Lekarze i chirurdowie, dworscy i służący otaczali leżącego na podłodze Pana, którego drgające członki i zapienione usta dowodziły niezmiernych cierpień.

Na próżno usiłował biskup podnieść silnej budowy króla; ciało bowiem jego w ostatnich czasach przybrało wagi przez nadzwyczajną otyłość i wodną puchlinę; kiedy tak się męczył monarcha, kapłan przypominał sobie *agnus dei*, który królowa od papieża Innocentego XI. dostała, pospieszył zatem do komnaty Marji Kazimiery, która we łzach jęczała na łożu, a otrzymawszy, co szukał, umoczył kawałek w winie chcąc podać królowi. Nie sądząc się atoli tej posługi godnym, zdał rzecz na spowiednika królewskiego, Dominika Skopowskiego, daleko, jak sądził, świętobliwszego od siebie. Wraz — mówi on w listach swoich — za szczególną łaską Najwyższego król, westchnawszy głęboko, zapytał: Cóż się zemną stało?

Poczem namawiał go znowu biskup do spowiedzi i oddał się z wszystkimi, którzy byli przytomni, zostawując króla sam na sam ze spowiednikiem.

Już upłynęła przeszło godzina, jak książę Dymitr Wiśniowiecki na spienionym rumaku przybiegł do Wilanowa. Udał się był natychmiast do sali zgromadzenia, gdzie wiele osób oczekiwało na to, co się stanie. Zdawało mu się, że nie wszyscy dzielą toż samo co on uczucie, i że nie są, jak należy, stroskani zbliżającą się chwilą, która Jana III. wydrzeć miała ojczyźnie.

Młodzi i średniego wieku panowie okazywali raczej ciekawość, niecierpliwość niż smutek; raz wraz odchodzili i powracali z przyległej pałacowi i na sposób włoski urzą-

dzonej gospody, gdzie, jak mówi Andrzej Załuski, kuflem skracali nudy. Wielu jednak dygnitarzy, senatorów i znakomitszej szlachty stali smutni i w milczeniu, alboliteż szepcząc sobie do ucha; a jeśli niektórzy z starych przyjaciół i towarzyszy broni króla, spotykając się w natłoku, z bolesnem wejrzeniem ściskali się za ręce, nie zważali przecież na księcia, który był dla nich za młody, a nadewszystko nie walczył w zaszczytnych z nimi bojach. Biskup płocki razem z duchowieństwem udał się był do kaplicy, i z zdziwieniem dowiedział się Dymitr, że obadwa królewiczowie, nie spodziewając się najmniejszego niebezpieczeństwa, pojechali z kilku członkami francuskiego poselstwa do Nieporęta na polowanie, które wprowadził sam Polignac, lecz się od niego później wymówił. W tej chwili dostrzegł księżę w tłumie starego domownika Zarzyckiego i zbliżył się ku niemu.

— Chwałaż Bogu! — rzekł widocznie zmartwiony starzec — że przecież W. ks. Mość znajduje. Już kilka razy Najjaś. Pan o was się pytał i bardzo troskliwie.

— O mnie? — zawołał Dymitr — prowadźże mnie natychmiast do niego.

Gdy jednak starzec oświadczył, że to być nie mogło, bo król się spowiada, prosił go księżę, aby mu towarzyszył do osobnego pokoju.

— Przychodzę tu z uczuciami wdzięcznego syna — mówił Wiśniowiecki, idąc — spieszę do czcigodnego ojca na śmiertelnem łożu i wątpię, aby wielu z pomiędzy tych, którzy tam zostali, dzieliło moje uczucia, chociaż im ojciec ojczyzny umiera.

— Jakoż zda mi się — odparł z uszanowaniem Zarzycki — że król W. ks. Mość jako czcigodnego syna ojczyzny i swego własnego oglądać pragnął. Niema tu prawdziwych jego synów. Uchowaj mnie, Boże, krzywdzić dwóch moich młodszych paniczów, których Bóg wie po co wysłano strzelać bekasy, w czasie gdy ich ojciec z śmiercią się pasuje.

Złe tu dzieją się praktyki, łaskawy panie, i pomimo zakazu Francuza i Najjaśniejszej Pani, która niby nie chce królów na próżno zastraszać, posłałem po nich; niebawem przybędą.

— Czy i królowa? — powtórzył zaszępiiony Dymitr.

— Od kilku dni często rozmawiano o testamencie — mówił dalej marszałek — i gotówbym już Opatrzności dziękować za mój stan ubogi, jeśli bogaćstwa takie za sobą dziwy pociągać mają. Ale gdzie też to królów Jakób? Czy i J. K. Mość poluje, ciekawym, co ułowi?

— Widziałem go — odparł Dymitr — mam od niego zlecenia do matki i radbym ich się pozbył.

— Zaprowadzę was do niej — mruknął starzec — chociaż podobno nie czas już znosić się z matką przez posłanniki. Wprawdzie nie przystoi mi źle mówić o synu mojego pana, zwłaszcza przed W. Ks. Mością, ale nie pojmuję nieobecności królów Jakóba przy łożu śmiertelnem ojca, ojca, któremu nie wart rzemyka u obuwia rozwiązać. Przepraszam W. Ks. Mość, są postęпки wielkich panów, które się pomieścić nie mogą w głowie chudego pacholka, i mimowolnie usta o nich wspominają.

— Są i inni, którzy niemile na to patrzą, choć milczą — odparł książę.

To mówiąc, weszli do wstępnej sali, prowadzącej do komnat królowej Marji Kazimiery, i zastali w niej jedną z służebnic, gdyż służba męska z powodu zamieszania rozprószyła się i wszelka etykieta ustała. Dymitr pozdrowił Ewę Jorkiewiczównę, bo ona była ową służebnicą i prosił, by go zameldowała królowej, jako w pilnej, przychodzącego sprawie; dziewczyna jednak tłómaczyła się danymi sobie rozkazami.

— Najjaśniejsza Pani — rzekła — nikomu w teraźniejszej chwili smutku wniknięcia nie dozwala, prócz posłowi francuskiemu, który i teraz u niej się znajduje. Tylko wiadomościami od chorego króla pana wolno jej przerwać rozmowę.

Rozmowa ta musi sprowadzać ulgę N. Pani, bo lubo przed chwilą szlochała, załamywała ręce i rzucała się na łóżko, wydając głośnie jęki, przecież skoro nadszedł pan Polignac, zaraz się uciszyła i wstała, bo słyszę, jak z sobą chodzą po pokoju i rozmawiają.

— Że też wszędzie pełno tego pana posła — mruknął Zarzycki z niechęcią — nigdzie bez niego obejść się nie mogą. Może zastępuje matce synów, których oddalił, albowiem nawet widok śmierci małżonka znika z pamięci przed jego słodką jak miód wymową. Panno Ewo! — rzekł, obracając się ku niej — może dotrzymam twemu pradiadowi, com przyrzekł, odwiedzę go, nie w grobie wprowadzę ale za życia. To, co jego spotkało, spotyka i mnie wcześniej, niżem się spodziewał; i ja się wyprowadzę z warszawskiego zamku, acz rozumiałem, że w nim umrę. Tak więc wierny króla Jana sługa zasiądzie obok wiernego sługi króla Michała, i o lepszych czasach rozmawiać będą; pochlebiam sobie, że W. Książęca Mość nie odmówisz mi małego kącika w obszernym swoim zamku zasławskim?

— Będę wam rad nieskończenie — odparł Wiśniowiecki — nie spodziewam się jednak, abyście kiedy takiego przytułku potrzebowali. Choćby nawet upadło drzewo rodu, otaczają je latorośle, pod których cieniem starzy słudzy wypocząć będą mogli. Nie zawsze zamek królewski mieszkańców swoich wyrzuca; oswoili się w nim Sobiescy przez dwudziesto-kilkolennie panowanie króla bohatera, lepiej niż Wiśniowieccy w czasie krótkich i nienader sławnych rządów. Wierzcie mi, wielu innych dzieli moje zdanie, i oby ta nadzieja z ust moich ostatnie królowi osłodziła chwile!

Trząsnął starzec głową, wskazał palcem na drzwi w pełnej znaczenia postawie i odszedł, przyrzekając księciu dać znać, jak tylko monarcha widzieć go zapragnie.

— Wszak to z własnego wyboru, Ewo — rzekł Dymitr do Jorkiewiczówny — zamiast towarzyszyć swej pani do wesołych obcych krain, pilnowałaś chorego w samotnem ustro-

niu, a teraz znowu służysz w domu żałoby. Lecz jestżeś zadowolona z dzisiejszej swej pani?

— Wasza Książęca Mość sam mówiłeś dawniej — odpowiedziała — że nie zawsze wielkim panom wolno czynić, co im się podoba; cóż dopiero mnie, biednej służebnicy; częstokroć wypełnianie nadpowinnych obowiązków wynosi człowieka ze stanu, do którego został zrodzony, a zawsze go uszlachetnia.

— Wiem dobrze — ponowił książę — że sposób twój myślenia wywyższa cię nad wiele innych, lecz niedawno sama napomknęłaś o innej przyczynie, która cię tu zatrzymuje. Powiedz, czyli nie rozkaz elektorowej? Wiemy, żeś była jej ulubioną, musiały więc być arcyważne powody, dla których się z tobą rozstała.

— Po części rozkaz elektorowej — rzekła Ewa — po części jednak i własna wola skłoniła mnie do poświęcenia się dwojakiej powinności.

— Zkądże dwojakiej? — zapytał książę — wytłómacz się jaśniej.

— Moja w tem tajemnica — odpowiedziała Ewa bojaźliwym głosem, poczem jednak śmiało dodała — jest to jedyna tajemnica, którą mam przed Waszą Książęcą Mością. Elektorowa, niespokojna o przyszłość, uznała za rzecz stosowną poruczyć oku wiernej służebnicy wiele rzeczy ukrytych, które, gdy przyjdzie godzina, na jaw wystąpić mogą. Wiecie, łaskawy panie, na tem ona najwięcej szczęście swej rodziny zakłada; sądzi jednak, iż dobrze jest korzystać z gadatliwości kobiet, by wcześniej powziąć wiadomość o rzeczach, którym, gdy już wyjdą na świat, możeby było przytrudno zapobiedz.

— Zaprawdę — rzekł z uśmiechem Dymitr — obowiązki twoje u mnie były rozliczne; byłaś lekarzem, radcą i prorokiem, a teraz widzę, żeś moją sprzymierzoną w sprawie nie-małej wagi.

— Nie inaczej — odpowiedziała Ewa — skoro wasze takie upodobanie, chętnie tę godność na siebie przyjmuję.

— Jesteś zatem — mówił Dymitr — elektorowej...

— Pełnomocniczką — przerwało dziewczę — i mam zlecenie udzielać wam, czego się dowiem, bo w waszej szlachetności i gorliwości pani moja zupełne pokłada zaufanie.

Z zadziwieniem patrzył czas niejaki Wiśniowiecki na młodą dziewczę przemawiającą tak rozsądnie i śmiało, i rzekł:

— Ponieważ mówi za tobą tak dobra osoba, nie mogę nie przyjąć twojej pomocy. Dziwno mi jednak, żeś się z taką śmiałością podjęła tej posługi, przy tak niestalej w swym humorze pani, która niezawsze odróżniać chce i umie niewiernych czasem usług od zawsze dwuznacznej usłużności. Lecz twoja odwaga, zimna krew w rozpowiadaniu rzeczy tak ważnych sprawia, iż nie poznaje już w tobie ani owej bojaźliwej Jorkiewicza wnuczki, ani owej czulej dziewczycy, co mnie chorego tak troskliwie pielęgnowała, co płakała na moje cierpienia i śpiewem lub dźwiękiem lutni uzdrawiała. Czy się tylko nie zgubisz, Ewo, w odmęcie spodziewanych wkrótce wypadków?

— I owszem, jam się na nowo znalazła — rzekła Ewa ze łzami prawie w oczach, lecz zaraz dodała z siłą — uczucie powinności wzmacnia słabe nawet serca; na mnie zaś polegają powinności szczególniejszego rodzaju, choćby się takimi komu innemu nie wydawały. Mniemam nawet, łaskawy panie, że się zupełnie zmieniła; czyliż nie wiecie, że jeden moment może nas o wiele lat starszemi uczynić? — Zamilkła na chwilę, poczem dodała: — Wy jesteście znakomitym panem, ja ubogą dziewczyną; obowiązek jednak i skłonność wzajemna jedną nas prowadzą drogą; zechcecież mnie przyjąć za towarzyszkę do usług, podług woli elektorowej?

— Skoro jej taka wola, dobrze — odparł książę — przewiduję wprawdzie wielkie burze; ale — dodał z uśmiechem — miałabym się w odwadze dać wyprzedzić Ewie Jorkiewiczównę? Nie zawiedzie się elektorowa na nas obojgu, a

ojczyzna i przyjaciele nie zawiodą się na mnie; *fais ce que dois, advienne qui pourra.*

W tej chwili ukazał się we drzwiach Zarzycki z smutną twarzą i zaprosił Dymitra do króla.

Z wielką trudnością podniesiono monarchę na łożę; spoczywał na niem w całkowitem ubraniu, bo nie chciał nigdy odstąpić od powziętego w obozach nałogu wczesnego ubierania się; długa i bolesna choroba, gwałtowne i nietrafne leki, zbliżająca się chwila śmierci zmieniły już były męski wdzięk jego twarzy; lecz spojrzenie, którem rzucił na wchodzącego Dymitra, było jeszcze tak szlachetne jak zawsze. Żywy zwykle lic rumieniec zamienił się w żółtą bladłość, oczy i policzki zapadły; przez zielone zasłony, zapuszczone na okna, słabe na niego padało światło, przerywane kiedy niekiedy cieniem topol, któremi wzmagający się wiatr wieczorny kołysał.

— Kazaliśmy was do siebie przywołać, Dymitrze Korybucie Wiśniowiecki — rzekł do niego, podając mn rozpaloną i wyschlą rękę — dziękujemy wam, żeście przybyli.

Tu wskazał mu blisko stojące krzesło; Dymitr zaś przyłożywszy do ust rękę, co niegdyś tak dzielnie berłem i mieczem władała, a dziś zaledwie dobrotliwe uściśnienie wyrazić była zdolna, przykląkł na wysłaniu, które służyło królowi do odbycia sakramentu pokuty.

— Zrobiłem już mój obrachunek ze światem — mówił dalej Sobieski z trudnością, lecz dość wesoło — *summa facit* inaczej wypadło, aniżelim sądził, każdą bowiem rzecz w księdze mej pamięci zapisywałem. Człowiek sam sobie łatwo przebacza, tem więcej królowie; mniemam przeto, że mało niesprawiedliwości popełnił, a wiele nawzajem ucierpiał. Rozstanę się więc ze światem jako wierzyciel, i przed sądem, do którego mnie zapewne przyszła godzina powoła, okaże, że więcej mam do żądania niżelim dłużny. Ostatnie spojrzenie przekonało mnie, że ciężar mój nie wiele waży,

i przyrzucić doń mogę dobre moje chęci, oraz ufność w sprawiedliwem miłosierdziu Boga.

Zamilkł, i jak gdyby zapomniał z kim mówi, wlepił oczy w przeciwległą ścianę komnaty, wydawał ciężkie i przerwane westchnienie, a nareszcie przemówił:

— Będzieź to miłosierdzie udzielonem za wszystko? — potem z ust jego drżących wyszło nazwisko: Lysiński! a na ostatek uderzywszy się trzy razy w piersi wołał: „moja wina, moja bardzo wielka wina!“ *)

Dymitr świadomy znaczenia tego nazwiska i smutnych wspomnień, jakie obudzało, zawołał z zapalem:

— Czyliż dla tego, N. Panie, wątpisz o łasce niebios, że przebaczyłeś błędy ludziom, które sam Stwórca z istotą swego stworzenia połączył?

Król słuchał go z widocznem zadowoleniem i spokojnie zaczął:

— Czy tak sądzisz, mój synu? prawda, był to błąd ale ciężki, krwawy błąd... Znowu go obaczę... tam, gdzie mi będzie równy. Czy myślisz, że mi przebaczy w nagrodę gorzkiego, długoletniego żalu? I na mnie czyniono zamachy, każdemu przebaczyłem, gniew i zemstę złożyłem u podnóżka tronu Króla królów; czyż mi przynajmniej ta jedna wina odpuszczoną nie będzie? Wszak mówimy: i odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom. Czyliż on sam nie zawoła: Panie! nie sądz go, jak on mnie sądził!

Tu nastąpiło milczenie, w czasie którego król usiłował zebrać swą przytomność i tak mówił dalej:

— Nie po tom was przywołał, książę Wiśniowiecki, aby wesoły wasz umysł smutnemi obciążać obrazami; wiem, że młodym ludziom śmiertelne łoże niemiłe sprawia wrażenie, bo im stawia przed oczy chwilę, w której błędząca dusza na wpół z więzów cielesnych oswobodzona, niepewną przebiega przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Byłem królem, współcześni zwali mnie mężnym wojownikiem, kościół tarczą chrześcijaństwa, a przecieź, mój synu, nie jedna groźna

twarz łoże to otacza, odwróciły się od niego jak jakie zwo-
dnicze zjawiska wszelkiej ludzkiej wielkości i szczęścia obra-
zy. Ten, któregom wspomniał, czeka na mnie po za grobem,
inną jednak niesprawiedliwość jeśli nie odpokutować, to przy-
najmniej wyznać chcę z tej strony grobu. Względem ciebie
byłem niesprawiedliwy, Dymitrze!

— Na cóż? na cóż? Najjaśniejszy Panie! — błagał ksią-
żę — niech mój widok nie wam nie przypomina, prócz łaski
i ufności, którą mnie zaszczycaliście.

— Z próżnością panującym właściwą — ponowił król po-
ważnie i wzruszony — zburzyłem podstawę, na której sam
was namawiałem, abyście szczęście swojego życia budowali;
a kiedy wy patrzyliście z wspaniałomyślnością i abnegacją
na szczątki waszej nadziei, odpłaciłem wam nieprzyjaźnią i
podejrzeniem. Prawdziwem jest, choć krzywdzącem ludzkosć,
przysłowiem: że serce odwraca się od tego, komu wyrządzo-
na niesprawiedliwość; nie byłem ci ja jednym z najgorszych,
przecież i na mnie się ziściło. Możecie już odpuścili star-
cowi próżność, której poświęcił szlachetniejsze uczucia; od-
puścicież królowi troskliwość o blask swojej rodziny? odpuści-
cież umierającemu przyjacielowi ojca, że was ukrzywdził a
potem znienawidził?

— Oddał tę myśl, Najjaśniejszy Panie — zawołał Dymitr
— poniża ona wielką waszą duszę i mnie o miłość własną
posądza; któżby śmiał Jana III. winić o nadzieję, do któ-
rych większa część miernych nawet monarchów sądzi mieć
prawo; komuż więcej przystało jak wam owoce pełnego sła-
wy życia na późne przelewać potomki? Uznałem słusność
waszych powodów, acz zrazu boleśnie dotknięty. Co później
zaszło... lecz, wszakżeście mnie przywołali, N. Panie, z da-
wną waszą miłością i łaską, wszak tu stoję jako syn wdzię-
czny i wierny poddany, oczekując na błogosławieństwo swego
ojca i pana.

— Synu mój! — rzekł wzruszony monarcha, kładąc rękę
na młodzieńca głowie — tak jest, Dymitrze, a nie inaczej...

oby ten wyraz rozlał radość i pokój na twoje życie, jakie mi sprawia przy śmierci. Ach tak, mój synu! — mówił dalej, szukając oczyma w około — jedyny synu, który po błogosławieństwo do umierającego ojca przychodzisz.

Gdy znękany i zasmucony Dymitr spuścił na dół oczy, rzekł Sobieski:

— Jest tu wielu innych ofiar poświęconych widokom, które wy ojcu wybaczasz. Lecz będąż te widoki spełnione? Nie zostanież imię moje tak odosobnione w dziejach świata, jak to łoże, które wszyscy opuszczają? Nie zniknież wraz ze mną imię Sobieskich z dziejów ojczyzny?

— Imię to pamiętnem będzie po wszystkie wieki — zawołał z zapalem Dymitr — i nigdy obywatel Rzpltej nie odwróci się od tego, który je po was, N. Panie, z godnością nosić będzie!

— Z godnością — powtórzył Sobieski — wszakże ten, na którego za kilka godzin spadnie... chętniebym kilka jeszcze lat pożył — dodał boleśnie — aby widzieć jednego, który, gdy lat dojdzie, z godnością je nosić potrafi... lecz, Panie! bądź wola twoja. Nalegano na mnie o testament; odmówiłem... byłem królem, Dymitrze, za życia doznałem nieposłuszeństwa, nie chciałbym, by po mojej śmierci byli nieposłuszni! Com nabył przez ciąg długoletnich trudów, niech moja rodzina wspólnie odziedziczy; co mi dała godność królewska, niech, jeśli Bóg dopuści, i to na nią spadnie. Nie chcę, bo moi synowie, jak to pospolicie bywa, kłócili się o puściznę po Janie Sobieskim, zapominając o pierwszym klejnocie, to jest o Jana III. koronie. Com mógł, tom zdziałał, od Boga zawisło zapewnić skutek.

— Mogliżby królewiczowie w tak ważnej chwili o tem myśleć — zawołał Wiśniowiecki — sądź lepiej o swych synach, N. Panie; najdroższą dla Aleksandra i Konstantego puścizną jest ojcowska sława.

— Aleksander, szlachetny młodzieniec — ponowił monarcha, zwolna poruszając głową — nie wątpię, że ma skłonność

do wszystkiego, co dobre i chwalebne, nie dosyć jednak byłoby na tem, gdyby on miał moje miejsce zastąpić, nie takiej sławy żądają Polacy. Godność króla dolegliwym jest ciężarem, i jeśli go zniosły barki ojca, upadłby pod nim słaby Aleksander.

— A Konstanty?

— Konstanty co innego, szkoda że lat niema. Widzę w nim obraz mej młodości, co mnie nad innych wynosiło, jest i w nim, kochałem go nawet za wady jego, bom sam w nich się widział. Stary ogrodnik, panie Dymitrze, mocniejsze wypielegnował drzewa, ale ulubioną sobie latorośl opuścić musi, nim dojrzałości dojdzie, i kto wie, czy jej przed czasem nie złamią wichry, które po moim grobie wiać będą. Ale wszakże jeszcze trzeciego mam syna. Starosto Drahimski, czemu o nim nie wspominasz?

— Jego Wysokość królewicz Jakób — odparł zapytany — zbyt mało przestawał zemną, ażeby mógł w nim dostrzedz to, cobym w synu mojego króla rad widział.

— Nie dostrzegłeś — przemówił zasmucony Sobieski — i jam nie dostrzegł i nikt inny. Nie poczytuje on imienia ojcowskiego za najdroższą puszczynę; i jeśli patrzy na koronę, wabia go tylko złote jej promienie. Duma zachęca do wielkości, łakomstwo nęci do poziomych rzeczy, ku którym jeśli się nachyli, może nie osiągnie tego, co stoi wysoko. A przecież ty zawsze wierny przyjaciel Sobieskich, jakich wkrótce wielu liczyć nie będą, spełnij życzenia umierającego ojca; stań synom moim za dzielnego obrońcę; a jeśli los, częstokroć dziwaczny, Jakóba Sobieskiego powoła, bacz na to, że on jest synem męża, który ciebie jednego na śmiertelnem łożu synem swoim nazwał.

To błaganie osłabionego króla tak było wzruszające, że Dymitr, zalawszy się łzami, odpowiedział:

— Ponawiam w ręku W. K. Mości ślub, który już dawniej uczyniłem, a który zawsze za święty obowiązek ku ojczyźnie uważam.

— Mała jest liczba podobnie myślących — mówił monarcha, patrząc z uradowaniem na rozrzewnionego młodzieńca, nie z każdym mówię jak z tobą, nie znajdziesz wielu obrońców mojej rodziny, której szczęście podobno razem ze mną wstąpi do grobu. Dla tych nawet, którym najlepiej życzysz, znajdą przeszkody. Cóż się z wami stanie, moi potomkowie, moja ojczyzna, moja Polsko!

— Wszakże w dniu najpiękniejszym waszego życia, N. panie, — zawołał Dymitr — dały się już były słyszeć z świętego miejsca te słowa:

— Był człowiek posłany od Boga, któremu na imię było Jan *). Jak wówczas tak i teraz imię wasze będzie przepowiednią najpiękniejszej przyszłości.

Na te słowa wąły błady uśmiech ukazał się na ustach monarchy, które już powlekać się zaczynały cieniami śmierci i przemówił niezrozumiale:

— Podobnie jak głos świętego poprzednika, głos mój był głosem wołającego na puszczy.

Drzwi się otworzyły i weszli spiesźnie, acz cichym krokiem, młodszy królewiczowie polscy. Aleksander ze spuszczoną głową usiadł na ojcowskim łożu, a na twarzy jego malowała się boleść i rozpacz; Konstanty tłumził w sobie z trudnością smutek, którego po raz pierwszy w wesołym swym życiu doświadczył. Uśmiechnął się ojciec, ujrzawszy swych synów, wymawiał ciche błogosławieństwa, a złączywszy ich ręce położył swoje na ich głowach.

Komnata napełniała się przybywającymi: Marja Kazimiera, głośno płacząc, wyrwała się z rąk prowadzącego ją francuskiego posła i przybiegła do konającego małżonka. Monarcha, podniósłszy się na łożu, spojrział w około, jak gdyby kogoś szukał, i w tej chwili przebiegł po jego twarzy ostatni cień bólu.

*) W dzień oswobodzenia Wiednia, podczas nabożeństwa w kościele Śgo Szczepana, na którym znajdował się Jan III., celebrujący ksiądz wybrał to miejsce z Ewangelji.

Zbliżył się do niego opat de Bonport z ułożoną miną, ale oniemiał na widok wlepionego w siebie królewskiego oka; potem monarcha zwróciwszy na swą małżonkę wzrok wyrażający całą miłość lat upłynionych i całą o przyszłość obawę, spoczął znowu na swych poduszkach.

W tej chwili rozwarły się podwoje, i w ciemnej komnacie zajaśniało wiele świec jarzących. Nieśli je księża, poprzedzając Witwickiego poznańskiego i Popławskiego inflant-skiego biskupów, którzy olej święty do ostatniego namaszczenia trzymali. Tu monarcha, słabem poruszeniem ręki pożegnawszy małżonkę, synów, przyjaciół, służbę i świat, dał znak, by go zostawiono samego w towarzystwie sług wiary.

Okolo dziewiątej godziny wieczorem, opuściła znikomą powłokę wspaniała dusza bohatera. Po otwarciu ciała okazało się, że nadmiar merkurjuszu zepsuł wszystkie wewnętrzności, tak iż nawet na twarz maskę położyć musiano, bo okazywała ślady jakby gwałtownej śmierci. Wśród łkań i szeptów poniósł zwłoki królewskie Zarzycki z resztą sług przywiązanych; a może nie jeden z czytelników poweźmie o tej śmierci oparte na historii domysły, z których zrzucić zasłony nie było zamiarem niniejszego opisu.

Rozdział 10.

Następującego wieczora ciągnął milczący i smutny orszak drogą od Wilanowa do stolicy. Na jego czele jechali marszałkowie w czarne przyodziani płaszcze, z spuszczonei buławami; hufiec królewskich kopijników pod dowództwem księcia Wiśniowieckiego z obróconemi na dół kopiami, których proporce, niegdyś wesoło powiewające, nurzały się w piasku, otaczał wóz żałobny ciągniony końmi okrytemi ki-rem, a na którym znajdowały się zwłoki śmiertelne Jana III. Zwłoki te miały być przez kilka dni wystawione na widok publiczny w zamku, potem złożone w kościele Śgo Jana, dopóki by ich do Krakowa nie przewieziono.

Za orszakiem szło kilka karoc; w pierwszej siedziała królowa wdowa z kilkoma damami; w drugiej młodszy królewiczowie; w dalszych rozmaici dygnitarze koronni i senatorowie, a między nimi: biskup płocki, marszałek nadworny królowej, Rafał Leszczyński wojewoda łęczycki, ten sam, o którym pułkownik Flemming jako o staroście odolanowskim wspominał i W. podskarbi koronny. Po obu stronach drogi stało mnóstwo ludu, przypatrując się w milczeniu i smutnie nadciągającemu orszakowi, a gdy przeszedł, przyłączyli się do niego. Gdy zbliżano się do miasta, tłum coraz był większy, a na każdej wieży kościelnej uderzono w dzwony.

Skoro doszedł orszak do ulicy Bednarskiej, prowadzącej od mostu na Krakowskie Przedmieście, otoczyło karocę królowej wielu panów na koniach, tłocząc się pomiędzy ludem. Smutek pokrywał ich lica, lecz obok tego widać na nich było gniew i zadziwienie. Wnet złączył się z nimi jadący konno wojewoda ruski w najwyższym zapale gniewu. Cisnął się do pierwszej karocy, jak gdyby chciał mówić z królową, lecz hrabina Wessel, wskazała, milcząc, na królową, która z zasłoniętą twarzą, w żałości pogrążona, w kącie pojazdu siedziała. Słów kilka, które następnie Małczyński do hrabiny Wessel przemówił, wzbudziły w niej zrazu zadziwienie, później strachem przejęły; tak dalece, iż zbliżywszy usta swe do ucha królowej, powtórzyła jej słowa wojewody. Natenczas zerwała się królowa z swego zamyślenia, łzy stanęły w jej oczach, a wyraz dumy i gniewu zastąpił miejsce żałości. Z rozkazującą postawą, odrzucała rękę hrabiny chcącej pochwycić za sznurek woźnicy, by się zatrzymał, i krzyknęła mocnym głosem: naprzód!... poczem usadowiła się prosto, spoglądając groźnem okiem w około.

Już orszak zbliżył się był do zamku, gdy w pierwszych jego szeregach powstało zamieszanie, przednia straż otoczyła wielkiego marszałka koronnego Stanisława Lubomirskiego; dowódzca żałobnego hufcu i zatrzymał swych żołnierzy. Królowa, wychyliwszy głowę z pojazdu z gniewem wyrzekła:

— Czyż podobna? czyliżbyśmy dziś doznać mieli takiego obejścia! — Bramy zamku były zamknięte.

Wielki marszałek, skinąwszy na księcia Wiśniowieckiego, poskoczył z nim naprzód, i krzyknął rozkazującym tonem:

— Otworzyć bramy przed ciałem Jana III. króla polskiego W. księcia litewskiego!

Po niejakej dopiero chwili otworzono furtę i wyszło z niej kilku oficerów zamkowej straży z oświadczeniem, iż bram nie otworzą z powodu zakazu Jego Królewiczowskiej Mości.

Zaniesiono tę odpowiedź królowej, która zawołała :

— Godziż się to straży przybocznej? panie wojewodo ruski, czy to z wiedzą waszą? nie jesteścież jej pułkownikiem?

— Dotąd nim byłem — odparł Małczyński — podobało się jednak królewiczowi odebrać mi tę godność i przenieść ją na siebie, przyrzekając zapłacić żółd oddawna zaległy. Trudno było gwałtowi sprostać, znajdują się jednak sposoby nauczania Jego Królewiczowskiej Mości, że niebezpieczniej jest jeszcze naruszać prawa krajowe niż prawa przyrodzenia.

— Zaklinam was, N. pani — rzekł Lubomirski — umiarkujcie gniew swój, jakkolwiek jest sprawiedliwy. Obawiam się — dodał z cicha — aby to niepojęte zaślepienie królewicza Jakóba, nie odstreczyło pozostałych jeszcze przyjaciół króla - bohatera, którzy z W. K. Mością jedne życzenia mają. Strzeż się, N. pani, byś przez zbyt wielki rozgłos więcej go jeszcze narodowi nie obmierzyła.

— Co, ja? — rzekła królowa — ja mam ścierpieć, żeby syn znieważał zwłoki ojca, żeby matkę z zamku wypędzał? **Ani** kroku nie ustąpię, choćbym tu cały dzień czekać miała!

— Niema tego potrzeby — odparł wielki marszałek — prawo mówi za W. K. Mością, a to prawo, dzięki Bogu, dość jeszcze silne w Polsce do obrony owdowiałej królowej. Zdaj na nas, królowo, swą sprawę, a ile można, pozory uległości okazuj. Czas wielki po temu, widzicie to poruszenie między ludem — i ciężko przewidzieć wrażenie, jakie na nim sprawi wypadek, równie z powagą tronu, jak z dobrem waszem niezgodny.

W istocie wzrastała niespokojność i wrzawa na placu zamkowym, bo zajęcie raziło nie tylko religijne pojęcia ludu ale i uszanowanie, jakim dla imienia króla był przejęty. Ze zgrozą patrzył na obelgę zwłokom pomazańca boskiego wyrządzoną, na syna wypędzającego z domu matkę i braci, i roszczącego niewłaściwe prawa do dziedzictwa. Tak nieprzyzwoite zaczęcie wróżyło smutną przyszłość.

Wnet powstał niezmierny nacisk narodu; mało kto wprawdzie pocieszał królową, ale jedni zabierali się do wyprzegania koni, żeby wóz żałobny własnymi siłami na dziedziniec zamkowy zaciągnąć, drudzy chcieli wysadzić bramę, inni nakoniec radzili na gwałt uderzyć i wojsko sprowadzić. Kobiety zalane łzami błagały królową, by wróciła do pałacu Sobieskich; królewicze i senatorowie otaczający karocę złożyli naradę, w której wszyscy prócz królewicza Konstantego, nalegali na spieszne oddalenie się, lecz nie do pałacu Sobieskich, aby nie sprawić ludowi sceny zgorszenia.

Jeszcze Marja Kazimiera trwała w swym uporze, gdy ukazał się szlachcic od arcybiskupa gnieźnieńskiego z oświadczeniem, że Jego eminencja zaprasza N. panią do swego pałacu, dopóki się rzecz nie ułatwi. A gdy i na to królowa zezwolić nie chciała, rzekł posłaniec:

— Jego eminencja uważa swą prośbę za pierwszy akt godności Interregis, od dnia wczorajszego nań przypadłej.

Królowa, uśmiechnawszy się gorzko na te wyrazy, które jej niechęć wielkość wczorajszej straty przypomniały, kazała zawrócić na Senatorską ulicę. Wielki marszałek przemówił jeszcze kilka słów do ludu, oświadczając, że zaszłe zdarzenie jest tylko skutkiem małego nieporozumienia, i kazał kopijnikom oraz służącym dworskim otoczyć wóz żałobny. Dla zaszłej pomroki rozpalono przyniesione z kościoła OO. Bernardynów pochodnie. Gdy tak oczekiwały zwłoki bohatera, przed którym niegdyś tyle miast otwierano, a dziś własny pałac zamknięto, wielki marszałek bocznemi drzwiami wszedł do zamku; poszli za nim biskup płocki, wojewoda łęczycki, wielki podskarbi i inni panowie, a pomiędzy nimi Dymitr, którego nie dostojęństwo lecz ostatnie Jana III. słowa ośmielały. Gdy wchodzili, rzekł wielki marszałek do idących obok królewiczów:

— Błagam was, abyście królowej matce towarzyszyć raczyli. Do Rzpltej należy baczyć nad waszemi prawami.

Aleksander z chęcią usłuchał rady, brat jego jednak z oczywistym niezadowoleniem.

Ksiązę arcybiskup Gnieźnieński wyszedł naprzeciw królowej aż przed przysionek swego pałacu, i pomógł jej wysiąść z karocy z tem uszanowaniem, jakie się zwykle dla tych, co z wielkich godności zstępują, podwaja; Marja Kazimiera wszedłszy do dolnej sali, rzekła natychmiast do arcybiskupa, który dotąd stronnikiem Sobieskich się mienił.

— Wasza eminencja jesteś teraz interrex tego kraju — spodziewam się więc, że przez pamięć na Pana swego nie dopuścisz, by znieważano koronę, której teraz jesteś stróżem.

— Bez wątpienia — odparł Prymas z widoczną oziębłością — starać się będę wypełniać w całej rozciągłości obowiązki wysokiego mego urzędu, każdemu pozwolę lub odmówię, co mu prawa i ród pozwalają lub odmawiają, i zachowam koronę w całej czystości temu, komu ją wola narodu przeznaczy.

Na te słowa rozśmiała się nieco królowa, a obróciwszy się do nadchodzących w znacznej liczbie panów, mówiła do nich o zająsci, nie oszczędzając najstarszego syna i sprawiła, że obecni, zapomniawszy o rzeczach dawniejszych, widzieli w niej tylko sprawiedliwie urażoną matkę i głośno przeciw Jakóbowi wynurzali niezadowolenie. I poważny Stanisław Jabłonowski hetman dał się także słyszeć; a lubo jako najwierniejszy zmarłego króla przyjaciel dzielił zdanie z innymi, przekładał królowej, by się w równem jak Jakób nie stawiała świetle, i nie szkodziła przez to całej rodzinie. Nie skutkowały na niej grzeczne te i rozsądne rady; jak każda rozgniewana kobieta, miotała ciągle groźby, które niewszystkie spełnić było w jej mocy. Gospodarz domu nie miał wielkiego w rozmowie udziału, co chwila stawał się ozięblejszym, bardziej roztargnionym i mniej otwartym; naśladowali go inni; co postrzegłszy wielki hetman, starał się rozmowę do innego zwrócić przedmiotu.

— Szczególniejszy to wypadek — rzekł do wojewody ruskiego — trudno o nim sądzić, nie zastanowiwszy się nad rzeczą z każdej strony; i im dziwniejsze jest postępowanie królewicza Jakóba, tem słuszniejsze musiał mieć przyczyny, które go w własnych jego oczach a może i w innych usprawiedliwić potrafią. Mówicie, panie wojewodo, że J. K. Mość odjął wam dowództwo straży przybocznej, sam je na siebie biorąc, czyż wam nie objawił przyczyny?

— Na przyczynach mu nie brakło, panie marszałku — odparł rozjątrzony wojewoda. — Oświadczył, że przyboczne wojsko króla było płatne z własnej jego szkatuły, a zatem jemu tylko jako następcy króla służyć powinno. A gdy mu jako niegdyś przewodnik młodszych królewiczów przełożył, że jego bracia równe z nim mają prawa do dziedzictwa, rozśmiał się szydersko, radząc mi, bym rzecz jemu zostawił; on bowiem, będąc naturalnym swych braci opiekunem, potrafi, przebaczyć N. Pani, zasłonić puściznę przed chciwością królowej matki, i zapobiedz, by do Francji uwiezioną nie została.

— Królewicz, widzę, dość głośny — wtrąciła Marja, z trudnością gniew swój tłumiąc — szczęście, że się zawczasu dał słyszeć. Ślicznie sobie postępuje jako Pan domu!... ale chyba żyć nie będę, jeśli go stamtąd nie wypędzę, jak mnie chciał wypędzić!

— Jakób mym opiekunem? — zawołał Konstanty — on, który przed nami bramy zamku zamyka? nigdy. Król w tej mierze nic nie postanowił: Was ja, mości wojewodo, jeżeli łaska, was, dawny mój nauczycielu, was, którego ów śmiałek godności pozbawił, za mego opiekuna wybieram, dopóki Rzeczpospolita inaczej nie postanowi.

— I ja na to przystaję — wtrącił Aleksander — o ile zezwoli nasza matka, której prawa przynajmniej nad nami zawsze są jednakie. Za wolą przeto Jej Król. Mości, złożę i ja sprawy moje w wasze ręce, Mości wojewodo ruski.

— Niechaj i tak będzie — odpowiedziała królowa — lecz proszę was, udajcie się niezwłocznie na zamek i wspólnie

z biskupem płockim weźcie w opiekę mój i synów moich majątek, który dziś większemu niż kiedykolwiek ulega niebezpieczeństwu.

Wielki hetman zaczął błagać królowę, ażeby była cierpliwa, dopóki jaka wiadomość od senatorów nie nadejdzie. A urażony chciwością matki i najstarszego syna, któryby najpospolitszy człowiek w tej przynajmniej chwili starał się ukrywać, rzekł:

— Czyż nie wiadomo komu, kto tak zgubnej królewiczowi udzielił rady? Wierzyć nie mogę, aby syn pierworodny czci-godnego Pana i przyjaciela mego z własnego popędu takiej zgrozy się dopuszczał.

— Słyszałem — odparł Małczyński — że J. K. Mość zaraz po rozmowie z Ojcem Votą i rezydentem weneckim, to nagłe wziął postanowienie.

— To austryjaska partja — zawołała Marja Kazimiera — co oddawna ziarno niezgody między nami zasiewa; odstęrczyła ona odemnie i od króla synowskie serce i codziennie spory pomnaża. Taką to jest dworu wiedeńskiego nagroda za dobrodziejstwa i zaufanie wspaniałomyślnego nieboszczyka? O jakże gorzko żałuję, żem jej raz przystępu w moje podwoje i do mego serca dozwoliła.

Wielki hetman, którego już dawno zastanowiło dziwne postępowanie kardynała, postrzegł teraz na jego twarzy lekki uśmiech; wraz przypomniał sobie kilka odwiedzin w pałacu d'Arquien przed kilku dniami przezeń odbytych, a domyślając się z tego, że wydarzone zajście nie musiało być tak dalece naczelnikowi senatu obce, rzekł z cicha do królowej:

— Nie szukaj W. K. Mość tak daleko powodów do żalu; są i bliżsi, którzy nad wszelkie spodziewanie niewdzięcznością za doznaną ufność i dobrodziejstwa odpłacają.

Po tych słowach starca jaśniej jeszcze wyraził się młody Konstanty:

— Słusznie, matko, użalacie się na roboty stronnictw; lecz podług mnie nie sama tylko partja austryjaska winna, kto wie,

czy nie francuska, a może i trzecia jaka wypędza nas z domu.

— Znam ja moich przyjaciół — odparła królowa — ty ucz się lepiej poznawać swoich.

— Moimi przyjaciółmi są sami tylko Polacy — przerwał Konstanty z uporem, który odziedziczył po matce.

— Nieszczęśliwa była to chwila — mówiła dalej Marja, nie zważając na słowa syna — kiedyśmy oczy nasze ku Wiedniowi zwrócili, ale stokroć nieszczęśliwsza, kiedy owa Neuburczanka w dom nasz weszła; jest ona ogniwem łańcucha, co nas teraz krępuje. Z jej przybyciem opuściła nas swoboda, i ona to jest przyczyną dawniejszych i dzisiejszych nieszczęść. Prawdziwie, gotowabym oplakiwać dzień zwycięstwa pod Wiedniem, w którym się to wszystko skojarzyło.

— Najłaskawsza Pani — odparł wojewoda ruski obrażony — ja zaś gotówem się radować z śmierci królewskiej, bo was nie będzie widział oplakującą dnia, który go do potomności przeniósł i za który odbiera już w niebie nagrodę. Mniemam także, że zbyt surowo sądzicie o Teresie Jadwidze, która z niechęcią i we łzach za małżonkiem poszła, i ciągle zamknięta w zamku, na świat pokazywać się nie śmiała. Nawet i Ojca Votę z posłem weneckim tak lekce obwiniać nie śmiem. Kapłan ów, sam mi szczerze wynurzył swoje niezadowolnienie z postępów królewicza; zaś Signor Alberti był pierwszy, który radził na zgromadzeniu zagranicznych ministrów odrzucić nadesłany im przez królewicza manifest, aż do dalszych instrukcyj, z powodu, iż teraz do traktowania z samą Rzplłą są upoważnieni.

— Szanowny wojewodo — przerwała Marja z szyderstwem — widzę, że do wypraw wojennych i interesów domowych nieoceniony z was dla synów moich sternik; ale na nauczyciela dyplomacji nigdybym was nie zalecała. Wszystko, co mówicie, dowodzi, że to są obłudnicy. Wiedziałam dobrze, że najłacniej opuszczają tego, który im obowiązki synowskie, miłość ojczyzny i honor poświęcił, by tylko szkodzić innym,

a mianowicie wdowie po Janie III., która, gardząc nimi, wierniejszym oddała się przyjaciołom.

Uśmiechnął się kardynał, a nawet pomimowolnie i wielki hetman, że królowa w podobnem towarzystwie tak nieprzezornie wynurzyła swe myśli.

— Na Boga, N. Pani — ostatni przemówił — kto podobnej udzielił rady, ani wam ani królewiczowi dobrze nie życzy. Szczerszą jest jednak rada moja: chrońcie się potwarzy, jeśli nie chcecie podać oreża waszym nieprzyjaciołom. Jako przyjacielowi czcigodnego waszego małżonka, jako starcowi, pozwólcie przytoczyć pospolite wprawdzie, lecz nadto istne przysłowie: kiedy orzeł zdechnie, całe gniazdo szarpie się nawzajem szponami i dzioby; kto sobie nos obcina szkodzi całej twarzy.

Królowa urażona, bądź prawdą, bądź gminnością podobnych wyrażen, rzuciła tylko dumne spojrzenie na w. marszałka i zaczęła przechadzać się po sali; gdy z zasmuconą twarzą ukazał się Opat de Bonport.

Senatorowie, co weszli do zamku, zastali królewicza Jakóba na dziedzińcu. Zajęty był przysposobieniami do obrony. Zdawał się na pozór niewymuszony i pewny swej sprawy; rozkazy jego były krótkie lecz stanowcze, ton pański; często atoli marszczone czoło, wzrok podejrzliwy w około rzucany i nierówne kroki okazywały, że nie był wewnątrz spokojny. Łzy i pierwszy raz może wypowiedziane wyrzuty małżonki, nie-ma niechęć służby i głośnie znakomitszych jego przyjaciół nagany odkryły mu nieprzyzwoitość jego postępków. Daleko więcej niepokoiły go nadechodzące wieści o niezadowolnieniu mieszkańców stolicy i pogrózkach nieugiętej szlachty, jako też pismo odesłane przez ministrów dworów zagranicznych. Zmartwił się, gdy mu doniesiono, że rezydent wenecki, który dawniej sprzyjał jego zamiarom, pierwszym był tego odesłania motorem, a poseł francuski najdzielniej go popierał. Nie dostawało mu wesołej odwagi ojca, będącej skutkiem nie-skazitelnosci w postępowaniu i zdrowego rzeczy pojęcia; ro-

zumiał więc, że ją uporem zastąpi. Jakoż przyjął nadchodzących z dumą, zapytując, jaki był powód ich przybycia?

— Na pytanie, które nam W. K. Mość zadajesz—odezwał się książę Stanisław Lubomirski—łatwa odpowiedź. Widzicie podskarbiego koronnego, którego sprowadzają tu obowiązki służby, czcigodny biskup płocki jest kanclerzem królowej, pan Leszczyński jej marszałkiem, ja na koniec jako w. marszałek jestem w tym zamku najwyższym wodzem i sędzią, nawet w obecności króla; tem więcej, gdy go niema, gdy jego szanowne zwłoki z nadzwyczajnem oburzeniem wszystkich czekają tu przed bramami. Udzieliszże W. K. Mość tak prostą odpowiedź na pytanie, które mu z mego urzędu w imieniu senatu, rycerstwa i całej Rzeczypospolitej zadam? Co tu macie do czynienia, królewiczu Jakóbie Sobieski? Jakiem prawem bawicie w tem miejscu, gdy owdowiała królowa i wasi bracia za bramami zwłok Ojca pilnują?

— Wiadomy mi jest termin — odparł obojętnie Jakób — w którym wedle konstytucji rodzina zmarłego króla z zamku wyprowadzić się powinna. Nowemu tylko Panu obowiązana jest ustąpić. Moim więc zamiarem ten przywilej utrzymać.

— Rzeczpospolita — ponowił wielki marszałek — i przez wzgląd na wasze prawa i bardziej przez wzgląd na pamięć Ojca nie odmówi wam tego, co wam przynależy; lecz czyliż trumna dopóty ma czekać pod bramą, dopóki jej następca nie otworzy?

— Jeszcze nie wiemy, Mości książę Lubomirski — odpowiedział zuchwale królewicz — czy tą czy inną drogą przybędzie następca. Wszakże nie jest moim zamiarem wzbronić przystępu zwłokom; każe zaraz otworzyć, ale im tylko samym i należącemu do nich orszakowi.

— Jak to mamy rozumieć? — zapytał Lubomirski — myślicie wzbronić wjazdu N. Pani i królewiczom?

— Tak jest — odparł krótko Jakób — mnie tylko jako najstarszemu, jako głowie rodziny, przystoi rządzić jej sprawami.

— Nie zgadzam się na to, z przeproszeniem W. K. Mości— wtrącił wojewoda łęczycki — jako marszałek królowejzywam W. K. Mość o powierzenie mi jej własności oraz dozoru nad jej mieszkaniem i dworem.

— I ja jako kanclerz królowej—dodał Andrzej Załuski— protestuję przeciw samowładnemu postępowaniu; jestem z prawa jej kuratorem.

— Wszystko, co jest w zamku — przebaknął żartobliwie Hieronim Lubomirski—ulega podług dawnego i arcyważnego zwyczaju dozorowi podskarbiego koronnego, zwłaszcza w dzisiejszych okolicznościach, nim proces między koroną a jej doczesnymi posiadaczami lub następcami odsądzonym nie zostanie. Ponieważ tedy jestem podskarbigim, pozwolisz W. K. Mość, że dla zapobieżenia wszelkim pomyłkom, z urzędu mego w obec deputacji senatorów królewskie mieszkanie opieczętuję.

— I ja w imieniu królewiczów Aleksandra i Konstantego nie zezwalam na to przywłaszczenie — rzekł książę Stanisław.

— A to skąd? — zapytał Jakób — ktoś, jeżeli nie ja, jest opiekunem małoletnich braci?

— Rzeczpospolita! — odparł w. marszałek głośno i dobitnie — kiedy nieboszczyk nie zostawił żadnego rozporządzenia. Tak jest, Rzplita, dopóki królewicze za zgodą królowej innego sobie nie obiorą; w imieniu zaś Rzplitej ja stawam.

Rozmowa tak dostojnych osób na dziedzińcu zwabiła wielu ciekawych z pośród żołnierstwa i dworskich; Jakób postrzegł, iż to zgromadzenie, spokojna senatorów postawa i bardziej rozkazujący niż proszący ton ks. marszałka, w niekorzystnem między widzami stawiają go świetle; zaczął się przechadzać nierównym krokiem jak pierwaj, a stanawszy nagle przemówił wolnym głosem:

— Nie będę się sprzeciwiał woli Rzplitej, której chcę być zawsze wiernym obywatelem; możecie więc. Mości Marszał-

ku, wziąć się do swego urzędu, o ile tego potrzeba; wy zaś, Mości podskarbi, możecie przyłożyć pieczęcie, byleby i moja własność razem zajęta była. Co do komnat matki mojej — dodał, ze wzgardą, obracając się do drugich dwóch dygnitarzy — i sprzętów J. K. Mości, one mnie nie obchodzą, Panowie kanclerz i marszałek postąpią, jak im się zdawać będzie, a obecność tak znakomitych zastępców usuwa potrzebę osobistego jej i braci moich pośrednictwa.

— Jeśli was dobrze, królewiczu, rozumiem — wtracił biskup płocki — przyjęliście niesłuszną zasadę; chcecież bronić wdowie płaczu przy zwłokach małżonka a braciom oddania ostatniej ojcu posługi? Strzeżcie się, bo napisano: Czcij ojca i matkę twoję, byś długo żył na świecie. Strzeżcie się, by ojczyzna i ludzkość ze zgrozą nie patrzyły na nieczułych potomków Jana III., który był nie tylko bohaterem ale i człowiekiem.

— Wiem dobrze — odpowiedział z ironją Jakób — że z waszych ust, tak jak z ust waszego patrona Chryzostoma, złote płyną słowa, one nie są jednak na mojem miejscu. Był czas, kiedy podobne myśli robiły na mnie wrażenie, lecz nieraz mi przyszło tego żałować. Nawet i religja wkłada względem nas samych pewne obowiązki.

— Widzicie, Mości biskupie — rzekł książę Stanisław — że J. K. Mość nie rada, kiedy mu mówią o uczuciach ludzkich i chrześcijańskich powinnościach, mówcie innym, może skuteczniejszym językiem. Skądże to mienicie się być panem w tych murach, Panie Jakóbie Sobieski? Skądże to szaleństwo? Jakież to są prawa, któreby razem nie służyły i braciom? co mówię, wszystkim Polakom? dla tego rozkazuję Wam w imieniu Rzplitej — dodał, uderzając srebrną laską o bruk — otworzyć bramy tym, którzy mają prawo do wnijscia; albo natychmiast opuścić zostający pod moją jurysdykcją zamek, w którym tylko gościem jesteście!

— Mylicie się bardzo, Mości książę — odpowiedział królewicz — jeśli mnie zastraszyć rozumiecie. Nie dziwi mnie

wasza niewdzięczność ku synowi waszego Pana i dobroczyńcy. nie obawiam się laski, którą, jak sobie przypominacie, na sejmie grodzieńskim samiście przedemną zniżyli.

— Nie powołujcie się na Ojca — zawołał Lubomirski — którego zwłoki znieważacie i którego duch może teraz nas obudwu sądzi. Nie przypominajcie mi chwili, której żałować nie przestanę. Zniżyłem laskę przed synem, który zdawał mi się być godnym mego króla i Pana; ale przed niegodnym podniosę ją i bronić się będę.

— Stój, książę — przerwał mu Jakób — zapominacie, z kim mówicie, i że w tem miejscu możecie tego pożałować.

Słowa te, acz cokolwiek bojaźliwie wymówione, tak oburzyły Lubomirskiego, iż zawołał:

— Stoję przed poddanym korony, śmiałżeby który z jego siepaczy targnąć się na jej w. marszałka?

Już oddawna Hieronim Lubomirski patrzył z niejakim politowaniem na owego nowego Ikara, którego woskowe skrzydła w pierwszym zaraz polocie stopniały; a gdy mu obecny Dymitr słów kilka do ucha szepnął, głośno zawołał:

— Dobrze, dobrze, spróbujcie szczęścia, Mości marszałku, pozwólcie temu młodzianowi pomówić z królewiczem o tem, co mu podobno król nieboszczyk zlecił. Może mu się uda załatwić sprawę, nie tylko nieprzystojną ale nawet nudną.

— Chętnie, chętnie — odparł marszałek — zostawiam pole słowom królewskim, oby tylko do serca J. K. Mości trafiły.

— Czegóż chcecie odemnie, książę Wiśniowiecki? — zapytał go Jakób — jeśli to rada, dawniejszym podobna, schowajcie ją dla siebie; widzicie, że nie myślę jej słuchać.

— Za młody jestem — przemówił Wiśniowiecki — do udzielania rady, i nie zwykłem jej udzielać nieproszony. Mam słówko do was od nieboszczyka króla Pana, i jeśli chcecie je usłyszeć, raczcie o parę kroków dalej zemną ustąpić.

Leniwie i niechętnie oddalił się Jakób, a gdy przybyli do przysionku, z którego na skinienie Jakóba ustąpili straż trzymający żołnierze, zaczął Dymitr:

— Królewiczu, byłem przy łożu śmiertelnem waszego króla ojca. Dawniejsze zdarzenia, a raczej troskliwość o przyszłość, jaka się obudza w każdym umierającym, cisnęły jego duszę; lękał się tego, co dziś nastąpiło, i mnie, swemu wychowawcowi, polecił, abym nie opuszczał, coby z dobrem jego potomków zgodnem być mogło. Przyrzekłem mu być przyjacielem i sługą jego dzieci, nawet W. K. Mości, a gdy mu dał słowo, błogosławiąc, przyłożył do mojej głowy swą rękę, tę rękę, która nadaremnie kogo innego szukała. Jestem szlachcicem, świętem jest dla mnie dane słowo umierającemu monarsze, i postanowiłem dotrzymać go wszelkimi siłami, z własnem nawet niebezpieczeństwem.

— Mocno wam jestem obowiązany, Mości książę starosto — ozwał się królewicz — żeście i mnie ze swej opieki nie wyłączyli, nie mogę atoli zataić mego podziwienia na szczególniejszy rodzaj pomocy, jaką nam ofiarujecie, łącząc się z tymi, którzy w kilka godzin po śmierci ojca występują przeciw jego synowi.

— Nikt nie występuje — odrzekł Wiśniowiecki — nikt się nie nazywa waszym nieprzyjacielem; wy to, wy, występujecie przeciw własnej rodzinie, przeciw prawom Rzplitej, przeciw... sobie nawet samemu! Żle czynicie, królewiczu polski. Z dotkliwą boleścią patrzył lud na mary czcigodnego króla: śmierć jego wygnała z serc nawet niechętnych dawniejsze urazy; starzy wojownicy, których niegdyś wiódł na pole sławy, rosili gorzkiemi łzami osiwiiałe wasy, cały naród z rozczuleniem patrzył na królową, na waszych braci, jako świętą puściznę po tym, którego niebo zabrało. Nie korzystaliście z tej szczęśliwej chwili; zwłoki Jana III. stanowiły palladium dla waszej rodziny, a wy im bramy zamknęli.

— Umiecie dobierać słówka — odparł Jakób — znaczą atoli toż samo, coście mi w Ujazdowie powiedzieli. Jeślim ich jednak przed dwoma dniami nie usłuchał, tem mniej dziś usłuchać mogę; nie ścierpię, aby królowa dowolnie zagarniała moje własność, by ją oddać w ręce jakiego faworyta,

może cudzoziemca; powolność i pokora nigdy mi nie przyniosły korzyści. Wierzcie mi, ta kobieta ma zakamieniałe serce.

— Luboć wasz postępek zasługuje na niejaki zastanowienie, sądzę jednak, że szczere z waszej strony przeprosiny ułagodzić ją potrafią. Miłą jest pamięć waszego czcigodnego ojca tym senatorom, którzy z urzędu swego ostre poniekąd czynią W. Królewiczowskiej Mości wyrzuty; wybaczą oni, a nawet bronić będą tego, co nie jest do wybaczenia; ja zaś wchodzę jako pośrednik niezgody, nie z powołania, nie z zasług, ale jako ten, którego wielki mąż zaufaniem swem zaszczycił.

Słuchając tych słów z oczami na bok zwróconemi i poruszając głową, Jakób odpowiedział:

— A zatem, wedle waszego zdania, powinienem zgiać kark i zezwolić, aby każdy czynił, jak mu się podoba? Nie, zbyt poważny jest początek, aby się skończył jak jakie sceniczne widowisko, i aby pojednanie się moje z N. Panią stało się znowu przedmiotem powszechnego pośmiewiska.

— I jakiegoż to końca wyglądacie? — zapytał żywo Wiśniowiecki — ja przewiduję tylko dwojaki: albo powstanie wojna domowa, największe zło, jakie tylko na kraj przypaść może; albo miecz prawa przetnie węzeł, który W. K. Mość nieprzezornie tworzysz. Obadwa wypadki zaszkodzą wawrzynom zdobiącym grób Jana III., które sobie w daleko chlubniejszy pozyskał sposób, niż wy je pozyskać zamierzacie.

— Podług was — po chwili odpowiedział z pół uśmiechem królewicz — w Polsce prędzej wolno jest prostemu szlachcicowi niżeli królewskiemu synowi praw przyrodzonych bronić. Cóż na to powiecie, że ja sądzę inaczej i acz niechętnie, wezmę się do najostrzejszych środków, choćby nawet wojny domowej? Zdaje wam się, równie jak innym, częstym gościom w Wilanowie, że nie mam przyjaciół i stronników, ale bądźcie pewni, że nie jeden zaciągnie się pod zwycięską króla Jana chorągiew, skoro ją tylko podniosę; wy

za mną nie pójdziecie, książę Wiśniowiecki, wasze przywiązanie do naszego domu słabo, jak widzę, jest utwierdzone.

— Nie — odparł wzruszony książę — nie uczynicie tego, co byłoby niemilem i przeciwnikom i stronnikom waszym.

— Uczynię — odpowiedział Jakób krótko — nie jestem niegodnym mojego ojca, potrafię, gdzie potrzeba, działać z hartem duszy.

— O! nie równajcie się z sławnym Janem — zawołał Dymitr — on jedynie za honor i za ojczyznę walczył. Nie podnoście przeciw ojczyźnie i matce chorągwi, którą on przeciw nieprzyjacielowi ojczyzny i chrześcijaństwa rozwijał; ci, których niegdyś zagrzewała, dziś opuszczają ją ze zgrozą. Odstąpcie od nierozważnego zamysłu, zaszkodzi on wam zamiast dopomódz!

— Rozumiem was i waszę gorliwość — przemówił Jakób — postanowienia mego nie odmienię, trzymajcie się swego.

— Nie odmienicie? — zawołał Dymitr — a zatem z moim hufcem wysadzę bramy zamku, które przed zwłokami ojca, przed matką i braćmi zamykacie; przysiągłem królowi bronić jego potomków; lecz wy jesteście najzaciętszym waszej rodziny nieprzyjacielem.

— Zapominacie się — odparł z gniewem Jakób — zapominacie, że królewicz polski nigdy w podobny sposób przemawiać do siebie nie dozwalał, a zatem i dziś milczcie! — potem obróciwszy się do blisko stojących oficerów, zawołał: — Panowie, wsadzić do więzienia starostę drahimskiego!

— Odpowiedzcie mi za to — przerwał z dumą książę — choćby nawet tam, przy waszym ojcu, krew moja miała być świadectwem, jak syn najstarszy zniweczył jego nadzieje!

Przez cały ciąg tej rozmowy nie spuszczała z nich oka senatorowie; postanowili wreszcie zbliżyć się nieco, by wszelkiej nieprzychylności zapobiedz. Lecz nie było tego potrzeby; bo owi oficerowie nie chcieli usłuchać rozkazu Jakóba. Będąc sami szlachtą, niechętnie widzieli gwałt stanowi swemu wyrządzony, patrzyli więc na się w milczeniu i z podzi-

wieniem, nie opuszczając miejsca; jeden zaś z nich przypomniał dość głośno starodawną praw kardynalnych zasadę: *neminem captivabimus nisi iure victum*. Wtedy Jakób nagle przejrzał nieprzyzwoitość swojego postępu, postrzegł, że wdarł się na stromą górę, z której nie było sposobu zejścia; śmiertelna bledź pokryła jego lica; a zmarszczywszy czoło i ścisnąwszy zęby, rzekł:

— Jesteście zbyt młodzi, książę Wiśniowiecki, wybaczam waszemu wiekowi i sposobowi myślenia, który w innych względach na pochwałęby zasługiwał.

Nie trudno już było senatorom skłonić do swych żądań pomieszanego królewicza: jakoż ten, co się niedawno wyłącznym dziedzicem skarbów korony polskiej mienił, poprzestał na przyłożeniu pieczęci do komnat królewskich obok pieczęci skarbowych.

Robota ta trwała w czasie, gdy wprowadzano zwłoki króla na zamek, a następnie do wielkiej sali posłuchalnej; i królewicz, pomimo widocznej ku sobie oziębłości senatorów, oraz żarcików księcia Hieronima Lubomirskiego, skłonił się do proszenia ich o pośrednictwo u królowej.

— Co mówisz na to, kuzynku? — rzekł do Dymitra na samym wychodzie podskarbi — czy jeszcze nie ostygł w tobie zapal wczorajszy? Prawda, że był sprawiedliwy — dał, widząc, że urażony Dymitr nic nie odpowiada — ale kto sobie pomódz nie chce, dla tego nie ma pomocy.

Książę Stanisław Lubomirski i biskup płocki za przybyciem do prymasowskiego pałacu, donosząc królowej o otwartych bramach zamku, wywiązali się oraz ze zleceń królewicza Jakóba; wszakże Marja Kazimiera słuchała ich z widoczną niecierpliwością, a przybierając postawę panującej królowej, rzekła:

— Dziękuję Waszmościom za ich troskliwość, proszę was jednak, byście na mnie zdali obronę praw macierzyńskich.

Poczem, podawszy rękę kardynałowi, wyszła z nim do karety, rozprawiając z nadzwyczajnym uniesieniem o swych

żalach i życzeniach, a nie uważając bynajmniej na zimne lecz wiele znaczące milczenie kardynała.

Polignac na skinienie królowej chciał zaraz iść za nią, gdy go podskarbi w przysionku temi zatrzymał słowy:

— Winienem upraszać Waszę Ekszelencję, byście na teraz odwiedziny do królewskiego zamku wstrzymać chcieli, dopóki, wedle obyczaju dworskiego, królowa zwykłego przy sobie orszaku nie zgromadzi. Wszakże nie jest moją myślą wystawiać waszej cierpliwości na próbę, i najdalej za 24 godzin będę miał zaszczyt was wprowadzić.

— Jakże wdzięczny jestem W. Ks. Mości — ozwał się opat de Bonport — że cudzoziemca osłaniacie od niewczesnego postępuku. A zatem za 24 godzin? Czy mógłbym mieć wolność odwiedzić W. Ks. Mość przed upływem tego terminu, aby się dowiedzieć, co w takim zdarzeniu wymaga obyczaj dworski w Warszawie od cudzoziemskiego ministra; wiercie mi, wstęp do tego zamku równie mi będzie jak i wam bolesny.

— Wiem dobrze — odparł dwuznacznie Lubomirski — że dzielicie nasz smutek i wydarzonemu zgorzeniu obcymi jesteście; dla tego w każdej chwili miłemi dla mnie będą odwiedziny ministra Jego Arcychrześcijańskiej Mości.

Już był prawie wieczór i dość ciemno, gdy francuski poseł w przysionku prymasowskiego pałacu oczekiwał na swoją kolebkę, która z kolei szła za innemi. Wtem rzuca mu ktoś na ramiona płaszcz, w tej chwili arcypotrzebny, bo ledwie zwłoki obrońcy chrześcijaństwa weszły do zamku, zachmurzyło się niebo i deszcz rześisty łać począł. Polignac rozumiejąc, że to który z giermków, mało co na tę usługę uważał, obróciwszy się jednak, ujrzał Dominiką Révérend.

— Przepraszam was, opacie — rzekł minister — nie spodziewałem się od was tak zbytecznej usługi.

— Cokolwiek za ciemno — odparł duchowny dyplomata z uśmiechem — nie rozpoznałem barwy płaszcza, tak dalece, iż rozumiałem, że kładę purpurę nowej eminencji.

— Żartujecie sobie, szanowny panie — rzekł Polignac.

— Nie żartuję bynajmniej, wróżę tylko; wiadomo Waszej Ekscelencji, że się trudnię chemją i alchemją, znam się przeto na znakach. Wasze znaki pomyślne, jesteście pod lwem.

— Wodnik to, wodnik — ponowił Polignac — zaczął mi się ukazywać, ale wkrótce przyjął bieg raka.

— I Panna zawsze nam sprzyja — mówił dalej Révérend, ciągnąc swe porównania.

— Ja sędzę, dobry opacie — odrzekł Polignac — że wnet inne zaświecą nam gwiazdy.

— Wasza Ekscelencja lepszy astrolog — odparł Révérend — ja tylko wskazuję gwiazdy, wy niemi kierować umiecie.

Rozdział 11.

Przykro było Jakóbowi Sobieskiemu uleść konieczności, zniweczyć plan w samym początku; straż, co mu niedawno przysięgła bronić go przeciw królowej, zajęła wszystkie posterunki w zamku, oddając jej cześć przynależną. Lepszy nawet duch ożywiał niż dawniej żołnierza, bo nie jeden dostrzegł nieprzyzwoitości postępku królewicza. Nie uszło ich uwagi niezadowolnienie senatorów i pomieszczenie królewicza, a starzy pod Jaworowem, Wiedniem i tylu innych bitwach zwycięscy woleli raczej patrzeć na zmarłego niż na żyjącego pana, który w ich oczach niezmiernie małym się wydawał.

Trudniej było jeszcze Jakóbowi zachować potrzebną powagę przed oficerami, senatorami i rycerstwem, którzy przez otworzone bramy w niemałej liczbie do zamku się zeszli. Opanowały go wstyd i zgryzota, gdy stojąc w ich środku, obok Dymitra, wymawiał słowa bez związku, gdy winszował szczęśliwie zagodzonego nieporozumienia, ocalenia praw Rzpltej, której się najwierniejszym sługą być mienił, gdy się cieszył, że pamięć zgasłego monarchy zawsze jej miłą będzie.

Nie wzruszyły nikogo te słowa, i każdy był rad, że powstały deszcz zmusił wszystkich do rozejścia się.

Wtedy Jakób oświadczył, iż chce oddać cześć zwłokom ojcowskim; udał się więc do sali posłuchalnej, padł na kolana u stóp paradnego łoża i dopełnił obowiązków religji.

Powstawszy, przystąpił do ciała, które oświecone blaskiem świec jarzących jakby we śnie spoczywało. Lecz nie był już w stanie oglądać twarzy ojca ten, który od niej w godzinę śmierci stronił; maska zasłaniała zmienione lica. Ta okoliczność a może wrodzone uczucie zwróciło uwagę syna na bogactwo odzieży, na djamenty korony, berła i jabłka; pilność, z jaką Jakób Sobieski w te klejnoty się wpatrywał, widoczna jego niespokojność i dane straż trzymającym oficerom tajemne rozkazy zdradzały zbyt wyraźnie przedmiot jego myśli, to też gdy się oddalał, powstało głośnie szemranie i zadziwienie.

Pospieszył potem do swoich komnat, by nabrać sił cokolwiek do przeprowadzenia przyszłych zamiarów, lecz zaledwie sam pozostał, miejsce dumy i chciwości zajęła obawa; posławszy po księcia Wiśniowieckiego, zaklinał go na wszystko święte, aby mu natychmiast widzenie się z królową wyjednał i gniew jej ułagodził.

— Widzicie — rzekł do niego — że rad waszych słucham; od was zależy ich pomyślny skutek. Nie chcieliście w inny służyć mi sposób. słuścież w ten, a to wedle poleceń nieboszczyka ojca.

— Zbyt późno ulegacie — odparł Dymitr — aby na mnie ciążyła jaka za was odpowiedzialność. Jednak będę się starał, ile możliwości, słowa danego dotrzymać.

— A więc i wy wątpicie? — zapytał przestraszony Jakób — wszak prawda, że trudno będzie ubłagać królową?

— Lubo trudno uniknąć skutków własnej winy — odpowiedział Dymitr — sędzę jednak, iż szczerza skrucza i pokora królowę rozbroi. Jeśli zaś ramiona matki nie tak prędko dla syna się otworzą, pomni na przeszłość, miejcie w niej nadzieję.

— O, jakież nieszczęście mnie czeka! — wołał Jakób, przechodząc się po komnacie szerokimi krokami — jak gorzki kielich upokorzenia! — Nierozsądnie postąpiłem; wy temu winni jesteście i inni wam podobni! Już miałem rzu-

cić kości, czemużem nie rzucił, kiedy i tak stawkę utracam? — Po chwili stanął, a wzięwszy za rękę Dymitra, odciągnął go na stronę. — Już karoce zajeżdżają na dziedziniec; spiesz, nim się do niej zbliży Francuz lub który z wczorajszych odszczepieńców naszego domu. Spiesz, mądry sędzio pokoju — dodał z niejakiem szyderstwem — spiesz naprzeciw niej, wierny naszego rodu przyjacielu!

Pospieszył Wiśniowiecki nie za Jakóba rozkazem, lecz za głosem obowiązku; królewicz zaś Jakób udał się do swojej małżonki, by pierwszy raz w życiu łązy jej i wyrzuty bez urazy znosić.

Marja Kazimiera, wbrew radom szczerých przyjaciół, starała się wszelkimi siłami wjazdowi swemu do zamku nadać pozór tryumfu. Zwołano naprędce urzędników własnego jej dworu, zgromadzili się także urzędnicy korouni, a ledwie zaszła ciężka dworska karoca, przybyły za nią i zagranicznych posłów próżne powozy, jak mówią z porady Polignaca.

Ciągnął przeto świetny szereg pojazdów wielką bramą, którą weszło ciało Jana III.; głuchy odgłos krepą pokrytych bębnow przy straży zamkowej, niezliczone mnóstwo pochodni niesionych przez laufrów i jeźdźców, wołania giermków: „miejsce, miejsce dla N. Pani!“ zapowiedziały ludowi mało zaszczytne zwycięstwo matki nad mało chwalebnym postępkim syna. Ona jednak chciała się niem zupełnie nasycić, a otaczająca ją pompa, zgładziła w jej pamięci różnicę, jaka od wczoraj w jej położeniu nastąpiła. Przybywszy do swych komnat w licznym orszaku, zaczęła przyjmować wszystkich, jak panująca monarchini. Dziękowała dygnitarzom korony w sposób, jak gdyby działali na jej, nie zaś na Rzplitej rozkazy; zlecenia, jakie dawała swemu marszałkowi, kancelarzowi i innym urzędnikom dowodziły, że się zawsze za nieograniczoną panią domu uważa, i opuścić go prędko nie myśli.

Acz różnorodne były życzenia i zamiary obecnych panów, acz przez długi czas panowania męża, Marja Kazimiera

nie umiała sobie zjednać przychylności narodu; przecież w tej chwili nikt nie okazał nic takiego, co by jej zarozumienie zmniejszyć mogło. Przemawiano do niej z należnem stopniowi uszanowaniem, słuchano ostrych jej przymówek z powolnością, jaką się zawsze Polacy względem kobiet odznaczają, a jeśli który wspomniał o prawach lub przywilejach senatu i rycerstwa, było to więcej z nałogu, jak z chęci zniweczenia niekoniecznie bezzasadnych nadziei. Królowa była po większej części otoczona dawniejszymi przyjaciółmi zmarłego monarchy; z przeciwników mało kto był obecny; a tajemnie jej nieprzychylni nie chcieli się jeszcze jawnie oświadczać. Zbyt świeża była pamięć Jana III., żeby o kilka kroków od nieostygłych jeszcze jego zwłok śmiał kto sprzeciwiać się zamiarom, które były życia jego celem. Zamożność domu Sobieskich mogła rachować na przeważny wpływ, skoroby jego członkowie zgodnie do celu dążyli; każdy z nich prawie miał w swem ręku środki, które przy rozsądnem użyciu, pomyślny skutek zwykł wieńczyć. Stronnicy Austrii widzieli dotąd nawet w najstarszym królewiczu wychowanka cesarza, który, pomimo danego ucha innym pretendentom, jawnie swoich zamiarów jeszcze nie odkrył. Liczyły się do tej partji: województwo krakowskie i dzisiejsza Galicja, a część wielkopolskiej i pruskiej szlachty skłoną była iść za popędem, jakiby jej z Wiednia nadano; królewicz Aleksander, z powodu własnej niechęci, nie mógł wprawdzie liczyć na żadną partję, ale mówiły za nim powszechnie chwalone przymioty. Wesołość Konstantego, fizyczne i moralne podobieństwo do zmarłego ojca zjednało mu wielu stronników i przyjaciół, szczególnie między Litwinami, tak dalece, iż i przemożni Sapiehowie jego jednego z całej rodziny Sobieskich z pod swej nienawiści wyjęli. Większa część dawnych towarzyszków broni Jana III. z upodobaniem patrzyła na młodszych jego synów, i już Podole i Wołyń jednego z nich wspierało. Przyjaciele dworu wersalskiego pracowali nad zadosyćuczynieniem życzeniom Ludwi-

ka XIV. Królowa trzymała pod zamknięciem klucze od skrzyń dobrze opatrzonych, a lubo je ciągle napełniała, przypominała sobie śmierć króla Korybuta i inne zdarzenia, w których jej duma nad chciwością przemogła i skrzynie otworzyła. Miała wielu sobie przychylnych, acz w sposób mało zaszczytny, a przyjaźń Francji wydawała się mało świadomym silną tarczą dla stronników i postrachem dla przeciwników. Jakoż zapewnienia o tej przyjaźni były zawsze na śmiejących się uśmiech Melchiora Polignaca, choć tajemne myśli swoje zaufanym tylko odkrywał stronnikom.

Tym sposobem zdawało się, że Marja Kazimiera miała w swem ręku los swojej rodziny a poniekąd i los przyszły królestwa polskiego; mniemanie to byłoby się może w rzeczywistość zamieniło, gdyby Marja Kazimiera nie okazała się Marją Kazimierą. Ci, których widzieliśmy czcicielami i przyjaciółmi zgasłego monarchy, ukrywali przed innymi smutną wątpliwość, jaką w nich wzbudzał sposób postępowania królowej, czuli konieczną potrzebę zgody, i pomimo straconej nadziei postanowili dotrzymać słowa Janowi III. danego: wspierać jego potomków dopóty, dopóki sami odstąpić zniewoleni nie będą, dopóki nie zajdzie konieczna potrzeba poświęcenia życzeń wiekopomnej pamięci bohatera dla dobra całego narodu.

Wielki marszałek koronny i Andrzej Załuski, po krótkiej na osobności rozmowie z Dymitrem, przystąpili do królowej.

— Pozwól, N. Pani — rzekł Lubomirski — że jej przedstawię młodego szlachcica, który wspólnie z nami raduje się z uprzątnionych przez W. K. Mość niesnasek, nikomu nie miłych. Nie mogę mu odmówić świadectwa, że przyłożył się wedle możliwości do ich zagodzenia. Racz przeto, N. Pani, wysłuchać, co wam przełoży.

Marja, rzuciwszy wzrok obojętny na Dymitra, rzekła z dumą:

— Możecie być pewni, moi panowie, że chętnie słuchać będę tego, co tak szanowni mężowie i wierni przyjaciele wynurzeniem swoich życzeń zowią; nie mogę atoli utaić mego zadziwienia, żeście podobną sprawę na księcia Wiśniowieckiego zdali, którego zdaniem mojem, ani wiek, ani stopień nie upoważnia do przemawiania w sprawie znamienitej, jak się zdaje, wagi.

— Książę Dymitr — odparł biskup — ani własnemi, ani naszymi wyrazy przemawiać nie będzie: przemówi on słowami takimi, które i dla nas i dla W. K. Mości świętymi być powinny.

— Tak jest — rzekł Dymitr — ścisły, mogę powiedzieć synowski wiedzie mnie do mojej monarchini obowiązek.

— Czy mi co przynosicie od matki — przerwała umyślnie, jak gdyby nie zrozumiawszy, Marja Kazimiera — czyli też od księcia Józefa Lubomirskiego, waszego ojczyma? Czemuż nie widzę ich tu w chwili, kiedy tylu znakomitych obywateli, bądź z przywiązania do mego nieboszczyka małżonka, bądź z innych przyczyn w Warszawie się zgromadza? Zaprawdę, ich nieobecność każe mi sądzić, że nie byli godni dowodów łaski, jaką ich, a szczególnie was, starosto drahimski, Jan III. zaszczycał.

— Matka moja i jej małżonek — odparł książę — nie obrali mnie za tłumacza swych uczuć, które ich zapewne w oczach W. K. Mości usprawiedliwią. Ten, który był mym ojcem od czasu śmierci swego współtowarzysza W. hetmana Wiśniowieckiego, upoważnia mnie do wyrażenia i jemu i wam wdzięczności, która chyba z mem życiem wygaśnie. Jego umierające oko szukało napróżno bliskiej jego osoby; ostatnie na was spojrzenie błagało, byście jej wybaczyli i wrócili macierzyńską miłość. Ostatnie jego słowa do mnie powiedziane wyrażały toż samo życzenie, dozwól więc, N. Pani, by pelen skruchy syn rzucił się do nóg dobrośliwej matki.

Marja, ścisnąwszy usta, głośno odpowiedziała:

— Jeśli mówicie o najstarszym z królewiczów polskich, szczególnie dajecie dowód waszej wdzięczności, prosząc o to, czego ani ukoronowana matka, ani obrażona królowa dozwolić nie może.

— Najpiękniejszym przywilejem matki przebaczać — wtracił Andrzej Załuski. — Jesteś W. K. Mość wdową po Janie III., chcesz pierwsza dać przykład nieuszanowania dla jego życzeń?

— Uprowadził mnie już królewicz Jakób — odparła królowa — jego postępek jest przyczyną mojego, i on odpowie za skutki.

— Nie lękaciez się, N. Pani — rzekł z cicha wielki marszałek — aby one w części i was dotknęły? Nie pojmiesz rozsądek W. K. Mości, że mądrość sama radzi to, co nieboszczyk jej małżonek przez księcia Wiśniowieckiego, a religja przez usta czcigodnego biskupa mówi?

— Od kiedyż to można — odparła jeszcze głośniejszą królowa — jednym słówkiem zagodzić zgwałcenie synowskiej powinności i zbrodnię obrażonego majestatu? Jeszczem tu panią w tym zamku, przyjmuję lub oddałam, kogo mi się podoba. Mówicie, że to życzenie króla, że łatwe przebaczenie do obowiązków matki należy; dobrze; niech wprzód królewicz okaże, że jest godny zwać się synem swojego ojca, a wtedy przyjdzie może chwila, gdzie matka zapomni wyrządzonego królowej uchybienia.

— Jabym radził W. K. Mości — ozwał się wielki marszałek — cenić dzisiejsze chwile, bo co dziś jest w naszej mocy, może być jutro niepodobieństwem.

Głośna mowa królowej zwróciła powszechną uwagę, zbliżyło się wielu obecnych. W. hetman Jabłonowski, stanawszy obok marszałka i biskupa, przypomniał troskliwość nieboszczyka króla o zgodę w własnej rodzinie, i upominał królową, by w tak ważnej chwili nie mięszała, lecz utwierdziła spokojność Rzpltej. Kanclerz kardynał Denhof, stronnik Austrii, zapewniał, że obowiązkiem jest każdego dygni-

tarza korony radzić położenie końca zająci, które miećby mogło wpływ jaki na przyszłe wybory. Gdy królowa i na uwagi Denhofs nie była powolną, oświadczył Andrzej Załuski, że jako opiekun i pełnomocnik Jej Królewskiej Mości uważa za nieodbicie potrzebne widzenie się z królewiczem, przez wzgląd na jej własne i dzieci dobro; królewicz Aleksander, zachęcony od biskupa, zanosił także swe prośby do matki; że jednak jego powody bardziej do serca niż do miłości własnej trafiały, nie odniosły skutku. Z zapałem zaklinał ją Konstancy, by zakończyła spór, który jeśli nie zrodzony przez obcą zawiść, pole do korzyści jej otworzy. Postępek wprawdzie Jakóba Sobieskiego nie jest arcy-chwalnym, zawsze jednak, jest on synem i bratem; i jeśli nie serce, to przynajmniej własny interes skłoni go, prędzej czy później, do wspólnego z rodziną działania; gdy tymczasem inni przeciwnie może postępują. Słowa te Konstantego znalazły przystęp do sere wszystkich przytomnych, lecz nie przekonały matki.

— Tylko taki młodzik jak ty, królewiczu Konstancy — rzekła z szyderstwem — może zakładać korzyść naszej rodziny na związku z bratem, który ci dotąd nie okazał szczególnych dowodów miłości. Niech on pierwszy ulegnie; tylko zupełna pokora może mu zjednać przebaczenie. Ale choćbym ja dla przekonania się o jego uczuciach potrzebowała niejakej zwłoki, Rzplita na tem szkodować nie powinna. Co między mną a synem zaszło, nas tylko obchodzi i nie stoi na przeszkodzie ani senatowi, ani stanowi rycerskiemu w pilnowaniu pospolitego dobra. Chcę, żeby Rzplita wiedziała, kto jest godnym, a kto niegodnym zająć miejsce Jana III.

Mowa królowej nie podobała się słuchaczom z rozmaitych powodów. Starsi wiekiem ganili zbyteczne zarozumienie, z jakim w niewczesnej chwili wynurzała swoje zamiary. Przyjaciele królewicza Konstantego niechętnie słyszeli, że królowa wyrzuca mu młodość i niedoświadczenie, chociaż ich zdaniem, on tylko jeden mógł mieć najpewniejszą do tronu

nadzieję; wszyscy przeto oburzeni zostali hardym umysłem Marji, który najgwałtowniejszym nawet okolicznościom powolnym być nie chciał. Aleksander Sobieski, pomimo doznanej już odmowy, raz jeszcze pokusił się nieubłaganą wzruszyć.

— Bez wątpienia — mówił jej do ucha — co między nami a bratem zaszło, nas tylko dotyczy. Starajmy się przeto ukrywać, co wszystkich obraża; i nie prosimy nikogo o zdanie w okoliczności, której synowska uległość i macierzyńska roztropność najskuteczniej zaradzić potrafią. Potrzebażli jakiej ofiary? chętnie sam ją poniosę, byleby niezgoda dzieci nie krzywdziła dłużej cieniów ojca. Zrzekam się tego, do czego mi urodzenie prawo nadaje; oby ta mała ofiara przyczyniła się do spełnienia życzeń rodzica. Uczyni W. K. Mość zadosyć szlachetnej gorliwości mego przyjaciela Dymitra, niech wróci ze mną do Jakóba i niech go tu przywiedzie!

Przez chwile Marja zdała się być wzruszoną tak wspańiałomyślnym Aleksandra postępkim, lecz wkrótce, uznawszy go za skutek słabej duszy, rzekła, ruszając ramionami:

— Zbyt skorym jesteś, królewiczu Aleksandrze, do czynu, o który was nikt nie prosi. Czekaj na moje rozkazy, bo nie ścierpię nieposłuszeństwa dwóch moich synów. Nie masz nawet czem szafować, skoro nie nie posiadasz, a to, co swoją własnością być rozumiesz, jest w ręku twej opiekunki matki.

— Jako żywo, N. Pani — ozwał się śmieie Marek Małaczyński — ja to jestem opiekunem królewiczów, z ich wyboru i przyzwolenia W. K. Mości; w tym więc charakterze żądam niezwłocznego podziału sukcesji; nie końcem jej rozszafowania wedle przesadzonej szczodroblowości królewicza Aleksandra, ale końcem ubezpieczenia praw moich pupilów.

Małżonka Jana III. była może jedyną w tem zgromadzeniu, która przez zbytnią popędliwość jak gdyby umyślnie niweczyła najkorzystniejsze dla siebie wrażenia i tłumiła wszelki głos dla siebie przychylny. Teraz na przykład nic nie widziała prócz sposobu obrażenia najstarszego syna i tryumfu odsunięcia go od korony wraz z nienawistną żoną jego Ja-

dwigą Elżbietą; jak gdyby więc niedosyć jeszcze mówiono w przedmiocie, któregoby nawet dotykać nie należało. odezwała się do ojca, patrząc z ukosa na obok stojącą margabinę:

— Wasza Eminencja z doświadczenia sądzić możesz o nie-szczesnych skutkach, jakie ciągnie za sobą zbyt duża powolność rodziców, i o zuchwałej krnąbrności dzieci, skoro w zarodzie przytłumioną nie jest. Widzicie, mości kardynale, że nawet pomiędzy nader szanownymi panami nieposłuszeństwo królewicza jeśli nie obrońców, to przynajmniej tłumaczy znajduje: że zaś moje zdanie zupełnie przeciwne, śmiem was zapytać o radę, co czynić wypada, was, którzy dobrze wiecie, czego nie czynić. Mój przypadek podobny waszemu; syn usiłował mnie wypędzić z domu ojca, i was to niegdyś spotkało; jest tylko niejaka różnica między królewskim zamkiem a szlacheckiem gniazdem w Gatinois.

Kardynał wyprężył się i patrzył w około, jak gdyby chciał znaleźć kogo, któryby pomógł słabej jego wymowie. Lecz nie było już w Warszawie margrabiego d'Arquien hrabiego Maligny, bo opat Bonport, nie widząc w nim ślepego przywiązania do Francji i Ludwika XIV., owszem życzliwość ku nowej ojczyźnie i królewskiej rodzinie, bejąc się przytem jego przenikliwych oczu, uznał jego obecność za zbyt dużą zaraz po śmierci Jana III. Jeszcze w Wilanowie wydarzyła się sposobność do żywej między siostrą a bratem rozmowy, i Marja Kazimiera ciągle zajęta zniechęcaniem szczerze do siebie przywiązanych i odpychaniem ich rad, tak go obraziła mową swoją, że Ludwik de la Grange postanowił natychmiast dwór opuścić.

Kardynał zdziwił się nie pomału, usłyszawszy żądanie od siebie rady. Związek krwi, jaki go łączył z królową, był jedyną w niepłodnem w wypadki życia jego uwagi godną okolicznością; zawsze bowiem miał raczej coś do żądania od Marji Kazimiery, a od dawna zupełną nad nim ogarnął

władzę przeważny rozum francuskiego posła. Odpowiedział więc w ten sposób :

— Zaprawdę, zamek tutejszy jest wcale różnym od markizatu d'Arquien, luboć Wam dobrze w niem było, N. Pani, i lubo Wasz upadek głośniejszym jest od jego upadku. Wiem ja z przepisów prawa, których się niegdyś w kolegium Henryka IV. uczyłem, że karygodność obrazy rośnie w miarę dostojenstwa obrażonego, i że tu doszła do najwyższego stopnia. Na Waszem więc miejscu, idąc za własnym przykładem, postępowałbym z tak szlachetną nieugiętością, z jaką W. K. Mość względem swego syna postępuje.

Na tę mowę uśmiechnęli się obecni, wiedzieli bowiem, że ów dygnitarz kościoła nie okazałby się takim na miejscu królowej. Pani de Béthune, chcąc odkryć obecnemu sprzymierzeńcowi Polignakowi swój sposób myślenia, odezwała się nagle :

— Jego eminencja słusznie mówi, że dawniejsze i dzisiejsze zdarzenia nie mają do siebie podobieństwa. Tam przeciwna strona miała za sobą niejaki powody, tu niema żadnych. Jej Królewska Mość nie roztrwonila majątku rodzinnego, jak inni czynili, owszem doprowadziła go do najświetniejszego stanu, nie szczędząc trudów ; przeto zyskała niezaprzeczone prawo do wdzięczności przynajmniej od swych dzieci, i do wyłącznej nad nimi opieki na wszelki przypadek. Słusznie więc, że królewiczowi daje czas do skruchy i powinien uległości.

Królowa była właśnie w poróżnieniu z margrabiną ; lecz choćby i tak nie było, margrabina nie mogła użyć gorszego obrotu w popieraniu zamiarów Polignaca. Marja Kazimiera widziała przymówkę do jej chciwości, a to wyrażenie na wszelki przypadek odkrywało złośliwą wróżbę zawistnej siostry ; odpowiedziała więc z zarumienioną twarzą :

— Cieszy nas i dziwi, że pani margrabina tak dzielnie staje w obronie praw rodzicielskich ; lecz jej mowa podaje mi myśl, że synowska skrucha późno a czasem i wcale nie

nadchodzi. Jednak ponieważ taka jest rada szanownych tych panów na wszelki przypadek, postanowiliśmy pójść za skłonnością naszego macierzyńskiego serca, w przekonaniu, że nie każdemu źle jest pobłażać. Pozwalamy wam, książę Wiśniowiecki, oświadczyć królewiczowi Jakóbowi, że gotowiliśmy dać mu posłuchanie.

Dokazała więc przekora i zawiść kobieca, czego nie mogły mądre rady dobrze myślących; wszyscy atoli, bez względu na przyczynę, pochwalili zamiysł królowej i położony nawet przez nią warunek, aby biskupi płocki i poznański byli obecni.

Gdy odchodziła Marja, ci którzy zostali, poznali z jej twarzy i chodu, że nastąpić mające spotkanie nie przyniesie pomyślnego skutku. Czy to radość z pozyskanego tryumfu i okazanej margrabinie pogardy, czy blask ożywionych obrazów świetnej przeszłości sprawiły, że krok jej był dumny i pewny, a twarz wesoła. Lecz ta wesołość nie pochodziła z serca; o czem dobrze wiedząc, pobożny i zręczny biskup płocki usiłował słodkimi słowami twarzą jej umysł do lietości skłonić. Obrano boczną drogę przez krużganki, żeby ominąć dwupiętrową salę, w której na niskich stopniach złożone były tymczasowo zwłoki zmarłego króla. Zbliżono się jednak do obszernego i przytykającego do tej sali przedpokoju. Przez drzwi zamknięte dawały się słyszeć modły kapłanów, przeciskała się oraz woń kadzidła połączona z zapachem ziół rozmaitych do balsamowania ciała użytych. Chcąc uniknąć wszelakiego wzruszenia, Marja przyspieszyła kroku; zatrzymawszy ją jednak z uszanowaniem Andrzej Załuski i wskazując na podwoje, rzekł:

— Oby to, co się w tej komnacie mieści, nauczyło nas jak znikoma jest wielkość i szczęście na tej ziemi; cnota tylko przechodzi do nieba. Rozsypie się w proch wawrzyn, który głowę naszego pana otacza, i pierś, co niegdyś wojenny rynsztunek dźwigała; lecz dusza, co w tem ciele i w tej piersi niegdyś przebywała, żyje przed tronem Przed-

wiecznego, w waszych i w naszych sercach. Nie powiedzą, że Jan III. był tylko sławnym bohaterem, wielkiego państwa władcą, ale powiedzą, że był przyjacielem ojczyzny, szlachetnie myślącym człowiekiem, kochającym małżonkiem, pobożającym i czułym ojcem.

Te ostatnie biskupa wyrazy w duszy Marji znalazły echo, lecz nie takie, jakiego się biskup spodziewał.

— A obok owego ojca — przerwała mu z ogniem królowa — prawie w obliczu martwej jego twarzy wznosi się szkaradna niewdzięczność!... Nie zgaśnie, nie zgaśnie we mnie pamięć wielkich przymiotów mego króla małżonka!

Weszli już na ganek, otaczający od strony południowej pokoje dla królewicza Jakóba przeznaczone; Marja, wstrzymawszy krok swój, obejrzała się i rzekła:

— Zbyt wyraźnie przypomina tu wszystko czyny nieboszczyka, żebyśmy w nim samym tylko uczciwego człowieka nie zaś monarchę widzieli; i mnie staje w pamięci, że nie tylko wdową po królu, ale razem królową i matką królewskiej diatwy!

— Bez wątpienia — przemówił biskup Witwicki — sala ta szczególnie przypomina żywot naszego pana, i gdyby nawet te mury zapadły, żyć on będzie wiecznie w pamięci wszystkich chrześcijaństwa wyznawców.

— Macie słusność, mości Poznański — zawołała Marja Kazimiera, postąpiwszy szybkim krokiem na środek ganku tu właśnie legat stolicy apostolskiej i minister Leopolda Igo błagali króla na klęczkach o ratowanie Wiednia i chrześcijaństwa; wielka jego dusza wysłuchwała żebrzących, opuścił to mieszkanie, rozwinął swe chorągwie i dobył zwycięskiej szabli za sprawę... niewdzięcznych!

— Ten święty postępek — odparł Witwicki — będzie na zawsze najszlachetniejszym klejnotem dzisiejszej jego korony, a jeśli tu licho był nagrodzonym, otrzyma teraz nagrodę tem świetniejszą, bo Pan mówi: Do mnie należy nagroda.

— Mamy nadzieję — dodała Marja częścią pobożnie, częścią dumnie — że światłość wiekuista świecić będzie nad jego duszą; nam atoli baczyć należy, aby wielkich czynów sromotne skutki nie splamiły i ziemskiej korony, którą nam nasz małżonek zostawia. Lecz wy, biskupie płocki, czemuż milczycie? Czyliż nie przypominacie sobie z radością wielkich czynów męża, który był waszym dobrym panem i szczerym przyjacielem? Czemuż patrzycie w tem zamyśleniu na koniec tej sali?

W rzeczy samej oczy Andrzeja Chryzostoma Załuskiego zwrócone były na szeroki łuk weneckiego okna, w którym stały naczynia z kwiatami, własną ręką Jana IIIgo pielegnowanemi. W niedostatku starań powiędły a liście ich opadły.

— Słusznie świat — odezwał się biskup — wielbi przedsięwzięcie przynoszące królowi wiekopomną sławę; mnie jednak wpadły w oko owe rośliny, owe wychowanki niewinnej namiętności bohatera, a skorom je zoczył, przypomniałem sobie jego szlachetność, jego wesołość, jego dobroć i nie mogłem patrzeć na nie bez...

Tu zamilkł i zakrył rękoma twarz zroszoną łzami.

— Nie inaczej — rzekła po chwili, zbliżając się do okna mocno wzruszona Marja — nie inaczej, i to droga po nim pamiątka; dziękuję wam za czułą waszą pamięć. Jakże się radował — mówiła dalej rozrzuwionym głosem — kiedy mógł sale i komnaty moje swemi zdobić pieścidelkami! Jakże drogi będzie ów przedmiot dla jego następcy! Patrzcie, Mości Załuski, ten krzak róży był ostatnim jego podarunkiem w rocznicę naszych ślubów; miał cztery pączki; to nasze dzieci, mówił on! pączki rozwinęły się w kwiat lecz... westchnienie i spuszczoney wzrok królowej okazały, że w niej żał miejsce gniewu zastąpił.

— Patrz, N. Pani — rzekł Andrzej Załuski — patrz, jak powiędły! Wiszą u gałązek, jakby się odwracały od sie-

bie — posil je rosą miłości macierzyńskiej, otocz je razem wieńcem zgody, ażeby krzak znowu podniósł świetną głowę, a zgasły ogrodnik nie narzekał, iż opuszczone stoi to, co on zasadził.

Marja wpatrywała się długo wilgotnem okiem w kanclerza; nie wyrzekła słowa, ale uściśnienie ręki jego mówiło więcej niż słowa. Na to wszedł Dymitr, a za nim we drzwiach otwartych okazał się leniwo idący królewicz Jakób. Zajęty był żywą rozmową ze swym szatnym la Brie, lecz wkrótce go odprawił, schowawszy jakiś przyniesiony mu przez niego papier. Wiśniowiecki z ręką na sercu oddał pokłon królowej w milczeniu, a potem przyłączył się do stojących na boku kapłanów.

Marja stała odwrócona od drzwi, któremi syn przyszedł i dopiero, gdy się zbliżył zupełnie, obróciła się zwolna, jak gdyby chciała powagę królewską i macierzyńską z obudzonymi dopiero uczuciami pogodzić; nie tyle się atoli powiodło królewiczowi Jakóbowi w nabraniu odwagi. Są ludzie, którym każde delikatniejsze uczucie bywa nieznane, a stąd nie do twarzy. Jednym z takich ludzi był najstarszy syn Jana III. Wiedział dobrze, że mu wypadało pierwszy krok do przeprosin uczynić, mógł nawet z postawy matki tuszyć sobie szczęśliwy tej schadzki koniec, przecież przez wrodzony upór nie innego nie potrafił wyrazić prócz zimnego żalu nad tem, co zaszło, i wymówek, które zamiast łagodzić, obrażały. Na podobny wstęp owdowiała królowa nie odpowiedziała jednak tak, jakby to w innym czasie była uczyniła.

Bezstronny biskup płocki, którego o zbytne sprzyjanie królowej obwiniać nie można, daje świadectwo, że nie słyszał nigdy królowej mówiącej z taką czułością matki, z taką powagą królowej.

— Mój synu — mówiła bez zwykłej ostrości — mój synu, jesteśmy w miejscu, które nam przypomina i sławę i cnoty tego, któregośmy utracili. Zda się, że dusza jego

unoszą się nad nami, dając nam i wam, którzyście przy łożu jego śmiertelnem nie byli, błogosławieństwo. Nie odwróć go od was, jeśli ze skruchą przychodzicie, bo już on wam przebaczył.

— Najjaśn. Pani! — odpowiedział Jakób — umiem cenić dobroć mojego ojca; przebaczył on mi postępek, do którego mnie okoliczności zagnały. Nie ja sam byłem nieobecny w chwili jego zgonu.

— Zbyt chciwie serce jego — ponowiła Marja — szukało wszystkich, którzy mu byli miłymi, każdy miał sposobność spełnienia jego życzeń, wam tylko, królewiczu Jakóbie, nie okoliczności lecz własna podobno źle skierowana wola przybyć nie dała.

Jakób Sobieski rozumiał, że owej nadzwyczajnej łagodności królowej był jakiś utajony powód, osądził więc, że powinien śmielszy ton przybrać, niżli z początku zamierzył; jakoż, podniósłszy głowę do góry, sucho zawołał:

— Wielu tak zwanych przyjaciół króla otaczało jego łożo; nie byłem między nimi, bo miasto czezych słów, kto wie, w jakim wynurzanych celu, chciałem mu okazać moje uszanowanie czynami wynikającymi nie z źle kierowanej woli, ale z troskliwości, aby wszystko stało się podług jego życzeń. Wiedzieliście o tych życzeniach, N. Pani, powinny być nawet i waszemi, bo jesteś matką twoich dzieci i wdową po moim ojcu.

Już oko królowej nabierało ognia, lecz padłszy na krzak róży, znowu złagodniało; spojrzawszy potem na trzech milczących świadków, rzekła z westchnieniem:

— Zgoda była życzeniem nieboszczyka, zgoda w rodzinie. Do mnie należy utrzymać ją, przystąpcie więc do nas, jak na syna i brata przystoi; tym tylko sposobem przyczynicie się do spełnienia owego życzenia, nie zaś samowładnymi postępkami, które was na powszechną naganę i własne wyrzuty wystawiają. Milczycie, królewiczu, nie okażecież ni

słowem ni obejście skruchy i uległości, dla których tu przybyliście? Nie jestemże waszą matką, nie postawiłamże was wraz z ojcem na wysokości, z której zbyt zarozumiale na dół spoglądacie?

— Nikt tego W. K. Mości nie przeczy, odpowiedział co-raz upartszy Jakób, iż zasługujecie na wdzięczność swych dzieci. Nie omieszkałbym nawet z mej strony wszelką wdzięczność wam okazać, gdybym od dawnego już czasu życzliwiej był widziany u dworu. Takie atoli postępowanie nie zdoła mnie praw moich pozbawić; nie można nazywać zarozumieniem, iż chcę utrzymać to, co mi sam nieboszczyk król przyznawał, dopóki inni nie zmienili jego sposobu myślenia; inni, N. Pani, których wymieniać nie mam potrzeby.

— Jesteście w błędzie, Jakóbie Sobieski — z gniewem na niego spojrzawszy, rzekła — nie innym lecz sobie tę zmianę przypisać winniście. Wasz umysł nieprzyjaźny i ponury, wasze niegodne syna postępowanie są powodami, dla których król Jan nadzieje swoje na przyszłość na inną przelał głowę. Tak jest, na inną, nie na wasz!

— Słowa W. K. Mości potwierdzają to, czego mnie nauczyło doświadczenie — odparł królewicz — mianowicie pokazują, jaki mieć mogę udział w szczęściu naszej rodziny, jeżeli jego szafunek w waszym pozostanie ręką. Mamże się spodziewać największego udziału z ręki, która odmawiała mi wszystkiego?

Królowa chciała przemówić z większym jeszcze zapalem, gdy ją spotkał wzrok błagalny biskupa plockiego, który prosząc o udzielenie mu głosu, odezwał się do królewicza:

— Królowa i W. K. Mość znajdujecie się w pośród takich mężów, którzy przez miłość i wdzięczność dla nieboszczyka pana, ciałem i duszą są do was przywiązani. Podobna tej, którą słyszymy rozmowa, nie jest celem dzisiejszego zejścia się. Słusznie mówi królowa, że zgoda rodzinna była najdroższem Jana III. życzeniem, przywróćcie ją za-

tem, królewiczu polski, okażcie się godnym odzyskania praw wam służących.

— Nie widzicież, czcigodny biskupie — odparł Jakób z goryczą — że Jej królewska Mość o nich już zawyroko-
wała, stanowiąc względem następstwa po ojcu?

— Królowa — ponowił Andrzej — wynurza tylko zdanie króla nie o następstwie tronu, bo o tem sąd do Rzplitej należy, ale o waszem postępowaniu i o nadziejach, jakie mieć mogą obywatele. Jeśli wasze postępowanie nie podo-
bało się najdosłojniejszemu w Rzplitej, możeż się podobać innym jej członkom? Pamiętajcie, że oko narodu surowo przegląda czyny i słowa tych, którzy mu przodkują i nie powierzy on najtrudniejszych obowiązków temu, który ła-
twiejszych zaniedbał. Przybyliście zapewne jako dobry syn do przebaczącej matki; porzućcież przeto szpetną powłokę, aby źle nie odbijała obok cnót ojca, które są jedyną, wa-
szych nadziei podstawą. Najgodniejszy niech będzie królem! to jest hasło wolnego narodu. Pokażcie się najgodniejszym, a wówczas dopiero powołujcie się na prawa z urodzenia wam służące.

Jakób milczał przez chwilę, poczem odpowiedział z dwuznacznym uśmiechem:

— Wyznaję, że prawa Rzplitej wspierają wasze zdanie, nie mają jednak wpływu na służące mi prawa innego ro-
dzaju. Oddawna są one ustalone i ani senat ani rycerstwo nie przeszkodzi mi do ich wykonania.

— Troskliwie, arcy-troskliwie — ponowił biskup — po-
wtarzasz W. królewska Mość to słowo: prawa; obyś także wspomniał i o obowiązkach, i wobec królowej matki przy-
znał, że prawa są zobopólne.

— Bez wątpienia — odparł królewicz — są zobopólne
równie jak obowiązki, i dla tego spodziewam się, że N. Pani oboje na przyszłość oznaczy, nim dalej postąpimy.

Biskup chciał znowu przemówić, gdy Marja przerwała:

— Nie sądziłam nigdy, aby syn mój dziś i w tem miejscu z tak zimnym uporem o majątek nastawał.

— Zkądże pochodzi — odpowiedział syn — że W. K. Mość ganisz to we mnie, co we wszystkich monarchach mienisz być zaletą i czego sama dajesz mi przykład?

— Oskarżacie mnie o nadwężenie praw waszych — rzekła królowa z godnością — mówcie bez ogródki, w czem nadużyłam macierzyńskiej i królewskiej powagi? W czem was ukrzywdziłam? i od kiedyż to mniejszy otrzymaliście udział w szczęściu naszej rodziny?

— Od kiedy? — mówił Jakób, głos podnosząc — odtąd, jak W. K. Mość przychylność swoją mi odjąwszy, braciom a może i obcym przeciwnikom moim ją powierzyłaś. W czem jestem ukrzywdzony? w tem, co zostało wydarte synowi dla zbogacenia dworów zagranicznych, dla oddania w ręce Francji losu synów Jana IIIgo.

Na licach królowej okazała się walka rozmaitych uczuć, niechęci, pomieszania, wkrótce jednakże odzyskawszy spokojność, rzekła z dumą:

— Jak śmiecie opierać się temu, co było wolą waszego króla i ojca? Jak możecie mnie winić o to, co on mądrze i sprawiedliwie uczynił? Od kiedyż to niema być wolno rodzicom odmówić części przywiązania temu z synów, który gardzi powinnością synowską? Mówicie, że sprzyjam waszym przeciwnikom? Czyż nie poznałam się wraz z ojcem na waszych mniemanych przyjaciółach; czyż wasze z nimi związki nie zasiały niezgody w domu i rozdwojeń w kraju? Słyszycie, Mości Panowie, królewicz polski oskarża mnie o to, w czem sam zawinił i jego przyjaciele.

— Słyszycie także — dodał Sobieski — co o mnie sądzi królowa, i jakich się od niej spodziewać mam pociech. Jestem już dojrzałym, N. Pani, do mnie należy wybierać przyjaciół pomiędzy najpotężniejszymi monarchami Europy. Przyszłoby podobno czas, kiedy się dowiemy, kto ma dzielniejszych i dla Rzeczypospolitej życzliwszych?

— Zbyt dobrym był dla was Ojciec — rzekła dalej królowa — zbyt często niewdzięcznemu dobroczynną podawał rękę. Dla tego to, niepomni na jego dobroć, chcecie dziś usprawiedliwiać pogwałcenie obowiązków królewicza, obywatela, człowieka i syna.

— Nie czyny mego Ojca, powolnego może obcym podszeptom — odparł królewicz — nie przeszłość, ale obawa przyszłości skłania mnie do takich przedsięwzięć. Nie były obfite dary Ojca, przecież jako król dał swemu następcy tyle, ile przyzwoitość wymagała. Zaślubiny moje obchodzono w sposób dość godny królewicza polskiego i córki elektora; nie odmawiał on całkowicie siostrze rzymskiego cesarza przynależnego hołdu. Lecz i tych skromnych ojcowskiej łaski dowodów dziś mi zazdroszczą. Winia mnie, że nastawam o majątek, a chcą mi rachować koszta owego weselnego obchodu, chcą mi potracić ze schedy pieniądze na szpilki żonie mej dane. Nie dla mnie samego Jan III. nosił koronę i rozdawał bogactwa.

— Któż z was śmiałby królową o podobną podłość oskarżać? — rzekła Marja, spojrzawszy dumnie na świadków — któraż ręka królewska odbiera, co udzieliła? Wy, czcigodny biskupie płocki, jesteście mym kanclerzem, nosicie mą pieczęć; mówcie, czyż wymagałam kiedy od was poświadczenia podobnego rodzaju czynności?

— Nie — odpowiedział śmiało Załuski.

— O Jakóbie, Jakóbie! -- mówiła dalej Marja — takie podejrzenie krzywdzi ciebie samego, usprawiedliwia obawę przyszłości, jakaby mnie i braci twoich spotkała, gdybyśmy los nasz w twoje powierzyli ręce!

— Zbyt jestem pewny — odparł Jakób — że W. K. Mość nigdy podobnego zamiaru nie miałaś. Lecz i ja nawzajem mieć go nie mogłem, bo nie tylko synem, ale Ojcem i małżonkiem jestem.

— Smutną jest rzeczą — zawołał z zapamiętaniem biskup płocki — niemiał ludziom i Bogu, kiedy słowa matki, do syno-

wskiego serca wymówione, potrzebują jeszcze obcego poparcia. Kiedy jednak, niestety! inaczej być nie może, posłuchaj mnie, łaskawy Panie, mnie kapłana, nieprzyjaciela obłudy. Zamiary J. K. Mości nie zasługują na tak ostre z waszej strony wyrzuty.

— Wasza mowa — odpowiedział Jakób — bywała dotąd bez fałszu, chcę wam przeto wierzyć. Niechże pozory przynajmniej staną za usprawiedliwienie mego postępowania, któremu jak widzę wszyscy przyganiają, i którego nadal się rzekam.

— A więc żałujecie? — przemówił uradowany biskup. — Dozwalacie uczuciom i obowiązkom przystępu do waszego serca i odwracacie necho od podszeptów ludzi źle myślących? Jestem pewny, że one tylko skłoniły was do nieprzyzwoitości, was, potomka czcigodnego bohatera, którego już dziś chwała niebios otacza. Przystąpcie więc do matki z otwartem sercem i z uszanowaniem, niech i ona widzi, że żałujecie tego, co zaszło!

— A więc dobrze, Mości biskupie—odparł zwolna Jakób—kiedy wy zaręczacie, żałuję; lecz nie zamiaru tylko obranych środków.

— Mówcie słowa skruchy bez żadnego przydatku — ozwał się biskup płocki—przystoją one każdym ustom, niech królewicz przemówi do matki jak do Boga: „Zgrzeszyłem.“

— Pozwólcie i mnie tej samej udzielić rady — błagał Dymitr niechętnego Jakóba — jest ona rozkazem tego, który na was z góry spogląda!

Wtedy królewicz zbliżył się zwolna do matki. Nie spuszczał z niej oka biskup Andrzej Załuski, a postrzegłszy w jej rysach wyraz pogardy i pewne poruszenie ręki, jak gdyby syna odepchnąć chciała, zawołał:

— Słowa obce zakołatały do jego serca, otworzy się zupełnie na głos matki.

Poczem poprowadził ją do miejsca, w którym stały kwiaty; a za nimi poszedł i Jakób Sobieski.

Nie bez wzruszenia patrzyła Marja na krzak róży i jego pączki, gdy się obróciła do syna, oczy jej, pełne jeszcze wdzięku, zroszone były łzami; poczem wyrzekła z uczuciem:

— On wybaczał wszystkim, co go obrażali, i ja pójdę za jego przykładem; wybaczam wam jako jego i memu synowi. Bądźcie zawsze synem, a wam i nam wszystkim dobrze będzie.

Acz nie wierzył Jakób zmianie sposobu myślenia Marji Kazimiery, czuł się wszelako wzruszony; nigdy jeszcze nie widział matki płaczącą, a tak niespodziewany widok zwalczył jego uporczywość. Z uszanowaniem a nawet z uczuciem uściśkał jej rękę, mówiąc:

— Skoro W. K. Mość przyrzekasz mi być łaskawą matką, znajdziesz zawsze powolnego sobie syna.

— Czcigodny panie i bracie—szepnął biskup Witwicki — chwalebna nasza praca, oby nie była daremną.

— Amen! — dodał Załuski.

Rozdział 12.

W dzień Śgo Jana Chrzciciela, dzień imienin zmarłego króla, zeszło się wiele znakomitych osób do pałacu, którego tymczasowe posiadanie ojcu owdowiałej królowej dozwolone było. Jawnym powodem wyprawionej uczty była chęć obchodu pamięci monarchy, który niegdyś w dniu owym odbierał od dworu i zagranicznych posłów liczne powinszowania. Imię jego, choć w skromny sposób, dało dowód do dość częstych toastów, a nie jeden z dawnych towarzyszy uczcił szczerem westchnieniem pamięć dawnego wodza.

Lecz nie ten był zamiar istotny biesiady, równie jak kardynał d'Arquien nie był jej Amfitryonem; był to raczej dyplomatyczny obiad, a sprawcą jego i duszą Opat de Bonport.

Oprócz znanych już nam krajowych magnatów, znajdowali się także ministrowie i pełnomocnicy dworów, które w owej chwili podwajały swą baczność na sprawy Rzplitej; nakoniec byli inni, którzy jawnych wprawdzie zleceń nie mając, zjednali sobie lub zjednać usiłowali rzeczywistą powagę.

Stosunki Rzplitej weneckiej z Ludwikiem XIV. nie byłyby pozwoliły jej rezydentowi odwiedzić domu francuskiego posła; chętnie atoli ukazał się u stołu kardynała. Toż powiedzieć można było o pełnomocniku bawarskim. Trwały jeszcze spory o pierwszeństwo między Madrytem a Wersalem,

nigdy przeto posłowie, hiszpański i francuski nie bywali u siebie; tu zaś zaproszeni przez kardynała d'Arquien znajdowali się razem. Hrabia, później kardynał Lamberg, biskup z Passau nie przybył jeszcze z Wiednia, zastępujący go przeto tymczasowo i tajemnie ojciec Vota był uczestnikiem uczty, którą wyprawiał książę kościoła i ojciec owdowiałej królowej. Tem chętniej go zaproszono, że nie uszła wiadomości Polignaka wzrastająca czynność austrijackiej partji w miarę rosnącego wpływu Francji. Zdawało się, że gabinet Leopolda I. niema dzielniejszego przeciw widokom Francji kandydata, jak królewicza Jakóba; że chwilowe między nimi rozdwojenie znowu ustało, i że ojciec Vota przestał się okazywać dla królewicza z tą obojętnością, jakiej poprzednio w rozmowie czytelnikowi znajomej, oczywisty dał dowód.

Pomiędzy uczestnikami biesiady uważano także w. marszałka i hetmana koronnych, hetmana litewskiego Kazimierza Sapiechę, dawnego przeciwnika Sobieskich, Hieronima Lubomirskiego, Bogusława Słuszkę kasztelana Wileńskiego i wielu innych, a mianowicie Dymitra Wiśniowieckiego, oraz Jana Przebendowskiego kasztelana chełmskiego. Ten ostatni powitał Dymitra z wiele znaczącym uśmiechem, chcąc mu dać do zrozumienia, że wie, iż nie prosty przypadek, ani chęć rozrywki zatrzymuje go w stolicy i w to miejsce sprowadza.

Gdy sprzątnięto ostatnie półmiski i pospolity węgry z burgundczykiem ustąpiły miejsca kapce i szampanowi, rozmowa stała się głośniejszą. Łatwo pojąć, że w tak ważnej i płodnej w zdarzenia epoce przedmiotem rozpraw musiały być stosunki polityczne, i że względem nich z większą niż zwykle wynurzano się otwartością; uczta rozwiązała języki. Melchior de Polignac nadzwyczaj był wesoły, nie widziano już w nim tej dyplomatycznej ostrożności, którą w wielu przypadkach od wrodzonej gadatliwości i popędliwości się bronił; owszem postępował tak, jak gdyby nie uważał na obecność niebezpiecznych świadków. Jakoż nie brakowało tu

na nich, a pierwszym był ojciec Vota; zdawało się, że chce przeciwników swoich o wielkim swym wpływie i niezawodności zamiarów przekonać; Polakom okazać, że jest szczerym przyjacielem, i że widoki jego z ich widokami muszą być zgodne. Między Hieronimem Lubomirskim a Opatem de Bonport uważano szczególniejszą harmonję, która wprawdzie niedawno powstała, ale rosła widocznie; inni przyjaciele Sobieskich, o ile na to ich powaga dozwalała, zbliżali się do Opata, w sposób okazujący, że w ich ręku są środki do spełnienia zamiarów potrzebne; a nawet wojewoda wileński Kazimierz Sapieha, ów dawny przeciwnik rodziny królewskiej, z arystokratyczną uprzejmością dawał ucho grzecznym słowom zręcznego Francuza.

Wszystkie atoli podobne zabiegi trudniejsze były z innym gościem, istnym niemieckim XVIIgo wieku dyplomata. Był to znany już nam kawaler Simeoni, wysłany przez elektora bawarskiego do królowej i szwagrów z pośladowaniem. Im więcej zdawał się unikać uprzedzających grzeczności Polignaka, im częściej okazywał mu swe zadziwienie, z obawy aby go o zgodę z nim nie posądzono, tem usilniej starał mu się podobać Polignac, aż dopóki go szampanem nie rozbroił.

— Jakże mi miło, panie baronie—mówił do niego z uśmiechem — spotkać was przy tym stole; jakże żałuję, że zatrudnienia i okoliczności nie pozwoliły mi wcześniej powitać mieszkańca Belgji, kraju sąsiedzkiego Francji, posła najszanowniejszego z panów, elektora bawarskiego i jego małżonki, która, jak się spodziewam dotąd mnie swoją łaską zaszczyca.

— Jeślim nie miał szczęścia — odparł kawaler niezręcznie -- okazania waszej Ekscelencji mojej uniżoności, chciejcie to przypisać stosunkom sąsiedzkim, którym częstokroć osobiste chęci ustępować muszą. Wspominając o mej Pani, odnawiacie pamięć smutnego powodu mego poselstwa. I sam tylko pałac kardynała d'Arquien, tudzież uroczystość, jaką obchodzimy, może stanowić wyjątek wśród żałoby i smutku.

— Możecie być pewni, Mości baronie — rzekł z powagą Polignac — że wspólnie z innymi czcicielami ś. p. króla dziele boleść, jaką zrządził ten smutny wypadek. Któżby nawet miał większe do tego prawo jak ja, którego czcigodny monarcha szczególniejszą swą łaską zaszczycał. Lecz przeznaczenie a raczej wyroki boskiej Opatrzności są niecofnięte, i ten, który zrobił udziałem ludzkości smutek, użytych jej także pociechy, to jest nadziei, której serce chętnie zawsze się poddaje. A kiedyż nadzieja była sprawiedliwszą jak tu, gdzie z korzeni uschłego drzewa bujne wykwitają latorośle. gdzie ich los, Mości Simeoni, równie jak los Rzplitej, mojemu panu drogi, w tak szanownych rękach spoczywa.

Część obecnych podziękowała za tę grzeczność ministra, kasztelan zaś chełmski szepnął swemu sąsiadowi księciu Wiśniowieckiemu:

— Czy was nie zadziwia, Mości książę, owa łatwość, z jaką pan poseł, z tonu dyplomaty do tonu sługi ołtarza przechodzi?

— Więcej mnie dziwi — odparł Wiśniowiecki — sposób myślenia, jaki w ostatnich słowach okazał; i cieszę się tem więcej, że w tem zgromadzeniu wynurza najzbawienniejsze dla Rzeczypospolitej życzenia.

— Pozwólcie mi cośkolwiek o otwartości Opata powiedzieć — rzekł znowu Przebendowski. — Jestem prawda niedoświadczony dyplomata, ale słyszałem rozmaicie o podobnej otwartości. Mówią, że prawdziwa polityka każe niekiedy być szczerym i otwartym, lecz — dodał z uśmiechem — trafi się zawsze chwila, w której długo noszoną maskę zrzucić potrzeba, i pan poseł francuski dobrze wiedzieć musi, iż Don Ludwik de Nero za największą wadę Mazaryniego poczytywał, iż on ciągle od początku do końca manowcami chodzić pragnął. Taka chwila może teraz przyszła dla p. Polignaka, i lubo nie wiem, do jakiego stopnia się odkryje, zapewne nas tu zwołano, żebyśmy coś zobaczyli...

Rozśmiał się Dymitr i rzekł:

— Pomimo waszej prostoty, szanowny panie, zdanie wasze bardzo jest subtelne: i nie jedenby powiedział, że ten, kto podobne obroty umie przeniknąć, zapewne nie jest im obcy. Żeby wam przeto okazać, że ja mam więcej prostoty od was, powtarzam, że się cieszę z postępowania Polignaca. Pociuszające jego słówka wynurzane królowej są prostą dworszczyzną; ale inne mają znaczenie wyznania w takim jak to zgromadzeniu, zwłaszcza w obecności dumnego Sapiehy, przeciwnego zawsze zamiarom Sobieskich.

— Znajdzie swój swego — wtrącił Przebendowski — z tego, co mówicie, widzę, że się znaleźli.

— A przecież — dodał Dymitr, patrząc z boku na Sapiehę — sroży się jeszcze i nieco pomrukuje. Zostawcie mnie jednak w przekonaniu, że Francja szczerze pragnie dobra rodziny Sobieskich i że jej poseł otwarcie w tej mierze postępuje. Zbyt widoczną jest powaga, jaką w senacie i u rycerstwa pozyskał, żeby jej na dobro ogółu i tych, co mu się oddali, nie użył.

— I wy jeszcze do tych ostatnich należycie? — zapytał kasztelan z niejakim szyderstwem.

— Jako żywo — odparł Dymitr — było dawniej mojem staraniem zbliżyć się do niego, ale już nie teraz. Jakibądź jest cel tego człowieka, zawsze droga, którą idzie, kręta, i lubo wolę widzieć cokolwiek intrygi w dyplomacie niż w obywatelu lub senatorze, przecież nienawidzę ją w ogólności, i dla tego zupełnie mu zaufać nigdy nie mógł.

Zdanie księcia o wojewodzie wileńskim nie było bezzasadne, bo gdy Polignac wspomniał o owych nadziejach, Kazimierz Sapieha chrapliwym głosem i ze zmarszczonem czołem odpowiedział:

— Osądźcie, panie ambasadorze, czy nie osobliwsze są nadzieje, któremi się baron Simeon karmi? Na moje szablę, w dzisiejszych czasach nie brakuje w Polsce na nadziejach i projektach, dziwnie im nawet sprzyja dzisiejsze powietrze, gdy niestała fortuna zesała nam podobną sobie białogłową.

Polignac długo milczał, chcąc pokazać obecnym oburzenie swoje na podobny przeciw Marji Kazimierze pocisk, lecz potem wesoło zawołał:

— Jakkolwiek jest drogi dar, którego udziela fortuna a raczej Rzplita, trudno by posądzać pana barona, że po ten dar dla swego pana rękę wyciąga. Przeznaczenie chciało, żeby elektor namiestnik był bohaterem zachodu, słusznie więc zostawia komu innemu pole sławy na wschodzie. Miło mi donieść wam o tem, mości panowie, co już nie jest tajemnicą, a co, sądząc po rozsądnem milczeniu mojego pana kolegi, za tajemnicę jeszcze poczytywaćby można.

— Wyznam szczerze — odpowiedział zmieszany i urażony Simeoni — że ani wyrazów pana hetmana, ani waszej, panie ambasadorze, obrony nie pojmuję.

— Rzecz dziwna? — ponowił Polignac. — Jestem prawda Francuzem i zbyt może gadatliwym, zwłaszcza, gdzie nie ma niebezpieczeństwa, jak n. p. w tem szanownem zgromadzeniu, ale nie pojmuję oględności pana barona w sprawie, która całemu światu niedługo będzie wiadomą.

Z ministerjalnem zadziwieniem patrzył Simeoni na Polignaca; zaczął się już lękać, czyli wino nie przemawia przez jego usta; zdaniem jego byłby to niesłychany między dyplomatami owych czasów wypadek; zawołał więc krótko i surowo:

— Co wasza ekscelencja rozumiesz pod tą jawną tajemnicą?

— Nic innego — odparł obojętnie Polignac — jak traktat o tron sukcesyjny hiszpański, między J. A. C. Mością panem moim a elektorem bawarskim za pośrednictwem króla W. Brytanii zawarty. A raczej testament Karola II. mianujący następcą elektora królem Hiszpanji i Indji.

Tu Polignac jak gdyby przypadkowo spojrział na ojca Votę. Wszyscy obecni zwrócili pilną uwagę na to niespodziewane odkrycie, lecz kapłan lombardzki nateżył ją był do najwyższego stopnia; tak dalece, iż łyżkę sorbetu, którą już

niósł do ust, napowrót położył, aby słówka nie pominąć z usłyszanej ważnej nowiny.

— W istocie, rzecz tę w wielkiej chowano tajemnicy — ciągnął dalej Polignac — ale czas największe skrytości na jaw wyświeca, zwłaszcza kiedy się do nich niewiasty wmięszają. I tu był taki przypadek: Marja Anna Neuburska, królowa hiszpańska, powzięła wiadomość, której może wiedzieć jej nie należało. Nie była ona skapą w słowa i czyny; czego najlepszym dowodem francuskie sprzęty, jakimi Marja Ludwika Aurelińska starodawny zamek w Madrycie przyozdobiła, a które gniew jej następczyni, przy powzięciu powyższej nowiny, poniszczył. Najwięcej żałuję pysznej porcelany, którą niegdyś sam wybierałem, a którą jej ręka królewska w kawałki potłukła. Głośne słowa królowej i brzęk tych skorup przebiły się aż do Wiednia, tak dalece, iż nie pojmuję, jakim sposobem wieść ta jest dla was, moi panowie, nowością. Pan baron tak milczący? Nie mogę jednak mieć za złe Jej Katolickiej Mości, że ją rozgniewał wypadek wszystkim przyjaciółom cesarza niemiły, skutkiem którego Jego Apostolska Mość o własnem tylko bezpieczeństwie myśleć będzie musiał.

Wrażenie, jakie ten doniesiony wypadek na obecnych sprawił, musiało być niemałej wagi, kiedy przezeń zrywał się węzeł jednoczący Austrię z Bawarią i niknęła główna Jakóba Sobieskiego podpora, to jest nadzieja pomocy Leopolda przeciw Porcie.

— Widzę — ozwał się z szyderstwem Kazimierz Sapieha — że to siarka z owej królowej hiszpańskiej i jeśli mają być takie wszystkie elektora Filipa Wilhelma córki, wkrótce i u nas tłuc będą szkło i porcelanę.

— Proszę was, moi panowie — rzekł znowu Polignac — nie bierzcie tego, com wam powiedział za wiadomość urzędową, ale za przyjacielskie zwierzenie się. Nie prawdaż, mości kardynale, żeśmy tu pomiędzy samymi przyjaciółmi? Wypijmyż zdrowie przyszłego monarchy Iberji i obudwu

Indyj. Czcigodny ojeze Vota, nie napełnicieź kielicha *in gratiam* przyszłego szczęścia waszej niegdyś uczennicy?

Ojciec Vota dość uprzejmie usłuchał wezwania, i brzęknęły wszystkie kielichy za zdrowie dziecięcia, które miało zstąpić do grobu przed osiągnięciem mnóstwa czekających go koron.

Kasztelan chełmski, widząc pogrążonego w myślach sąsiada, zapewne z powodu wspomnianego nazwiska, rzekł:

— Nie miałem słuszności, mości książe; założę się, że jeszcze coś schowali i że mała dopiero cząstka miny wybuchła.

Lecz jeżeli Jan Przebendowski pilnie śledził poruszenia i słowa Polignaca, toż samo czynił tamten nawzajem, i jeśli wolno prostego użyć porównania: lis wietrzył lisa.

— Miło mi niezmiernie — przemówił teraz Polignac do Przebendowskiego — widzieć tu pana kasztelana chełmskiego, i doświadczyć, że miłość dobra publicznego, tak powszechna w polskim narodzie, skłania nawet filozofów do opuszczenia wiejskiego zacisza, by nieść owoc swych rozmyślań na ołtarz ojczyzny.

— Niesłusznie — odparł uprzejmie Przebendowski — chwalisz wasza ekscelencja tak małą ofiarę, w czasie, w którym ów ołtarz szczycić się może usługą obcych. Wyznaję, że się poświęcam filozoficznym badaniom, lecz jakaż epoka jest do podobnych rozmyślań odpowiedniejszą od tej, która tak znakomite obudza talenta i zabiegi?

— Wiecie, szanowni panowie — zawołał Polignac z pewnym zapalem — że szlachetny naród polski i jego prawa nie mają większego czciciela nademnie; nadewszystko jednak to u was uwielbiam, że każdy obywatel ma pole osobistego pokazania się, i że właściwa każdego nauka jest niejako wszystkich własnością. Zamawiam więc sobie waszą pomoc, mości kasztelanie, tak nieoszacowaną dla każdego bezstronnego widza; cieszę się nią zawczasu, choćbym się powinien gniewać o małe przewinienie.

— Zbyt pochlebną dla mnie jest rzeczą — odpowiedział kasztelan, skłaniając głowę — iż mogę wzbudzić radość lub gniew w autorze Antylukrecjusza, lecz wątpię, czy moje słabe siły usprawiedliwiłyby radość; przewinienia zaś nie pamiętam.

— Mówię o panu Flemmingu — ozwał się Polignac — czyż wam nigdy nie wspominał, żeśmy się spotkali w Rzymie, gdy towarzyszył dzisiejszemu elektorowi? Czyliż tak prędko pokończył tu swe interesa, że zaraz odjechał?

— Interesa mojego szwagra — oświadczył Przebendowski — były tak proste i tak małej wagi, że mógł niezwłocznie do Drezna wracać. Naglejszy jednak zapewne nadspodziewanie wyjazd pozbawił go przyjemności widzenia waszej ekscelencji, którą ma zaszczyt znać.

— Dobrze jeszcze pamiętają w Rzymie obecność elektrowicza saskiego — powiedział Polignac — wieść niesie, że i on i jego towarzysze słodkie u pięknych Rzymianek pozostawiali pamiętki. Lecz płęć męska nie bardzo im była rada. Mieszkańcy stolicy chrześcijaństwa są zazdrośni i pobożni, nie łatwo więc wybaczą panom, którzy nie tylko dla domów prywatnych ale i dla kościołów katolickich małe okazywali uszanowanie; postępek, który może młodemu luterskiemu księciu i jego towarzyszom jako zasługę poczytywać należy.

Kasztelan chełmski słów tych żartobliwych nie przyjął w żartobliwy sposób i odparł z niejakim ogniem:

— Wyznać muszę, że podobne wieści wasza ekscelencja pierwsza nam zwiastujesz; wcale inaczej słyszeliśmy o pobycie elektora w Rzymie, Hiszpanji i innych katolickich krajach. Jednakże — dodał z nieznaczną ironją — być może, iż szanowne powołanie waszej ekscelencji surowszym go od nas ludzi świeckich czyni w sądzeniu o rzeczach. Co się tycze dam rzymskich, nie przeczę, iż mi się cokolwiek pan Flemming wypowiadał, chociaż to wszystko nie wiele mu zaszczytu przynosi, bo wyznał, że przez kogoś innego odsa-

dzonym został; i podobno obawa tak przemożnego przeciwnika skłoniła go, iż przez Warszawę nie przejeżdżał, zwłaszcza, iż ten przeciwnik wyżej dziś patrzy i wzgardziłby łaskami prostej czarnobrewy z Anzonińskiej krainy.

Wielu z obecnych uśmiechnęło się na ten żarcik ze znajomej świata galanterji duchownego polityka i stosunków jego z królową, o których może wówczas zbyt złośliwie sądzono. Ojciec Vota nie omieszkał rzucić na żartownisia wzrok okazujący wewnętrzne uradowanie. Polignac atoli rzekł wesoło i dobitnie:

— Już upłynęło lat kilka od czasu, o którym Waszmość wspominać, i zapewne mniemany ów zwycięzca pana Flemminga ważniejszym dziś oddany jest sprawom. Toż samo dzieje się i z panem Flemmingiem, lecz wątpię, żeby teraz chciał się z tamtym mierzyć.

— Kto wie — odparł Przebendowski ściągawszy ramiona i skłoniwszy się grzecznie. — I w Warszawie są godne współbiegania się cele; szwagier mój gotów się o nie pokusić, zwłaszcza jeśli go kto wyzwie. Wprawdzie zna dobrze swego przeciwnika i poważać go powinien, ale *in magnis voluisse sat est*.

Francuz nie odpowiedział, wlepił tylko oczy w kasztelana, jak gdyby chciał z rysów jego dociec, czy żartuje lub nie; toż samo uczynili i obecni Polacy, nawykli do rozprawiania przy stole o najważniejszych przedmiotach, a stąd umiejący korzystać z każdego lekko rzuconego żarciku. Jan Przebendowski z uśmiechem na ustach oglądał się wokoło.

Powstało wtedy myśłące niejako milczenie, które przerywał w. hetman wniesieniem ostatniego podług zwyczaju toastu.

— Niech żyje Jego Eminencja gospodarz i jego dostojna rodzina!

— Niech żyje! — krzyknęli wszyscy, a niektórzy dodali — oby szlachetna Jana III. rodzina kwitnęła po wszystkie wieki!

Nie był pomiędzy tymi ostatnimi Kazimierz Sapieha, wychylił on do kardynała nalany mu przez Bogusława Słuszkę puhar i przemówił do niego:

— Panie kasztelanie, skąd ta spokojność, czemuż się nie łączyście z rodakami, co ujęci gładkim Francuza językiem, tańczą, jak on im zagra?

— Mądry to człek ów opat — odparł Bogusław — ale dla tego samego nie trzeba mu się łatwo poddawać; trzeba działać obyczajem litewskim. Kto zbyt skory do tańca, niech się nie dziwi, gdy mu mało płacą.

Opat de Bonport powstawszy zwolna i poważnie ze złotym w rękę pubarem, który mu giermek stołowy ciemnym burgundem napełnił, rzekł do zgromadzenia:

— Szanowni i dostojni panowie, lubo cudzoziemcowi, niech mi będzie wolno z całego serca spełnić wzniesiony toast. Tak jest, niech żyje królewska rodzina Sobieskich, oby Opatrzność utrzymała ją na zawsze na stopniu, do którego ją wyniósł sławny poprzednik! Nie bierzcie mi za złe, moi panowie, że poważniejsze względy łączę z uczuciami serca, które od waszego zmarłego pana a mego wiekopomnego dobroczyńcy na jego potomków przeniósłem. Nie mogę taić radości mojej, iż w tym dniu, w którym się tak dzielnie pamięć Jana III. odnawia, powstają nadzieje, równie dla rodziny jego pomyślne, jak dla Rzplitej korzystne. Już szczep boha-tera rozgałęził się pomiędzy najdostojniejszymi Europy rodzinami, a jeśli z tego połączenia więcej dotąd blasku niż pożytku wynikło, Francja, owa stała królewskiej rodziny i narodu polskiego czcicielka, ofiaruje nowy węzeł powinowactwa. Tak jest, czcigodny książę kościoła — rzekł dalej, zwracając patetyczną mowę do kardynała cokolwiek pomieszanego — wasz ród starodawny, biorący źródło w królewskim Kapetów szczepie, znowu się dziś z dostojnym Burbonów domem połączy!

To, co wymówił, nie było tak małej dla słuchaczów wagi i rozmaite sprawiło wrażenie. Starsi panowie i Jana III.

przyjaciele widzieli w tych słowach spełnienie dawniej uplanowanych życzeń, lecz ich zdziwiło tak wczesne odkrycie rzeczy; Hieronim Lubomirski dawał nieobojętne oznaki radości; mniej przychylni, mianowicie wojewoda wileński, marszczyli czoło i kołysali głową; na dowcipnych licach pana Alberti przebiegł lekki dwuznaczny uśmiech, a ojciec Vota schylił głowę, nie mogąc ukryć śladów przykrego wrażenia. Kardynał jednak, uradowany, iż minister Ludwika XIV. wobec tak znakomitych świadków stwierdza wątpliwe dotąd jego rodu pochodzenie, zawołał:

— Nadzieja, którą mi wasza ekscelencja przynosisz, miłą musi być temu, który w rzymskiej nawet purpurze francuskiego pochodzenia i czei dla dostojnych Burbonów nie zapomni.

— Zaprawdę, moi panowie — począł znowu Polignac — nie wykraczam ja bynajmniej przeciw obowiązkom mego urzędu, zapewniając was o dobrych chęciach mego króla, który myśli dać dowód szczególniejszego dla rodziny królewskiej i dla Rzplitej szacunku. Mam nadzieję, że one uprzejmie przyjęte będą, bo któżby mógł być obojętnym na związek potomków zwycięzcy z pod Wiednia, z potomkami zwycięzcy pod Rocroy, wielkiego Kondeusza, i na długi szereg godnych następców, którzy połączoną sławę ojców zachować i pomnożyć potrafią?

Zbyt rycerskim i romantycznym był ówczesny duch polskiego narodu, ażeby podobna mowa pochlebiać mu nie miała. Wielu wydało okrzyk radości; lecz Kazimierz Sapieha, wsparty na rękojeści swej karabeli, pokręciwszy wężą, sucho przemówił:

— Przyzwoitemi są, mości opacie, podobne Jego arcychrześcijańskiej Mości dla nas chęci; pozwólcie jednak powiedzieć sobie, że to wszystko należy *ad forum* całej Rzplitej, i wybaczcie, że nie idąc za przykładem szanownych panów koronnych, odkryte nam zamiary wprzód na uwagę wezmę, nim z nich radość okażę.

— Mam nadzieję — zapewnił Polignac — że potrafię szanownemu hetmanowi litewskiemu dowieść korzyści, jakie z zamiarów Francji dla Rzplitej spłyną. Zbyt drogo szacuje prawa dostojnej polskiej szlachty, ażebym jej własnych nawet moich mniemań nie poddał. Ale i wasza Ekszelencja uznasz, że mam słuszość, jeżeli tylko użyczyć mi zechcesz chwilkę krótkiej na boku rozmowy.

— Proszę o to — ponowił Sapieha — tem więcej, że jestem upoważniony udzielać moim współbraciom co tylko zajdzie ważnego i baczyć, aby złe ani dobre nie stało się bez uczestnictwa Litwy. Zbyt długo, panie ambasadorze, kamarylla królowej zarzucała nas swemi rozkazami; czas, aby każdy wrócił na swe miejsce.

— Widzicie — rzekł do Dymitra kasztelan chełmski — żem się w mojej przepowiedni nie omylił; jest jeszcze coś ukrytego, co się dotąd nie pokazało. Nie chciałbym zmniejszać waszej radości, Mości książę, ale wierze mi, że otwartość pana ambasadora jest zbyt nadzwyczajną, żeby szczerą być mogła.

— Nie mogę was przekonać, jakbym życzył — odpowiedział Dymitr — lecz jakiegobądź są jego zamysły, szczęściem, że skutek nie od niego lecz od Rzplitej zawisł; a ta wkrótce na jedno się zgodzi i uzna to, co jest najzgodniejsze z jej dobrem.

— Może — rzekł Przebendowski — niezawodnie nawet, jeśli się znajdzie kto, co każdego podług jego sposobu myślenia o dobru powszechnem przekona. Dotąd za takiego ma się Opat Bonport, wielu nawet takim go być sądzi; lecz czyż nie uważaliście, jak przyjęte zostały przydane przezeń do obiadu kardynała słowne przysmaki? jedni ich kosztowali ochoczo, inni krzywili usta. Jeden z ostatnich niedawno was — dodał z uśmiechem, spoglądając na ojca Votę, który właśnie koło nich przeszedł, chcąc nieznacznie z sali się wymknąć. — Przebendowski wstrzymał go, mówiąc:

— Mości księżę! droga zła i jeśli biskup passawski nie pospieszy, może przybędzie za późno. Wy, jak widzę, nie zasypiacie sprawy, cieszy mnie to jako wdzięcznego sługę austrijackiego domu.

— Zawsze was za takiego miałem — szepnął prędko kapłan — czas jednak jest, żebyście tego czynem dowiedli.

— Jestem na usługi — odparł kasztelan — skoro tylko powrócicie z miejsca, dokąd, jak mniemam, sprawy was wołają.

— Czyby nie lepiej, żebym was tam zastał? — zapytał Vota.

— Idę natychmiast.

Poczem rozstali się, rzucając na siebie wzrok przyjacielski. Ledwie atoli Vota odszedł, ukazał się na licach kasztelana wyraz pełen szyderstwa.

— Co myślisz, kuzynku? — zapytał Lubomirski Dymitra — czyżby się nie radował stary nasz pan z uroczystości dzisiejszej?

— Kto wie — ozwał się Dymitr — możeby teraz dokładniej poznał, co niegdyś tylko przewidywał, że piękne słówka nie zawsze z pięknych myśli się rodzą, że świat jest targiem, na którym wielu uwija się ludzi chcących kupować lub sprzedawać na własny rachunek w rozmaitych widokach.

— Mowa wasza zbyt tajemnicza. Cóż was tak obraża? — dodał żartowniś — wszystko wam idzie podług życzeń i bardzo śpiesznie.

— Drodze rad jestem, ale nie rad przewodnikowi, zwłaszcza od pewnego czasu.

— Mówicie o francuskim ministrze, odparł podskarbi — zdaniem waszem kierują dawniejsze nieporozumienia, i ja niegdyś nie byłem mu życzliwy, uległem jednakże potrzebie.

— Macie słuszność — ponowił z zapalem Wiśniowiecki — przywiązanie do Jana III. i miłość ojczyzny wołają nas do obrony tronu, który może stać się łupem obcych robót.

Hieronim milczał przez chwilę a jego oko zasnuwało się coraz grubszą powłoką bolesnych wspomnień:

— Tak jest, gdyby żył Jan III! lecz już nie żyje, zmienił się stan rzeczy... Pomnijcie tylko na słowa jego do was, w których przewidywał, że z własnej jego rodziny wynikną przeszkody do spełnienia jego życzeń; pomnijcie na to, co w dniach ostatnich zaszło, a przyznacie, że owi Sobiescy, niezgodni między sobą, obcym wpływom ulegli, puszcza na los własne szczęście i spokojność państwa, jeśli błędnymi ich krokami mocna jaka wola i dostateczne środki pewniejszego nie dadzą kierunku. Według mnie, najzdolniejszym do tego Melchior Polignac: on to jest mężem na dzisiejszą epokę, i kto się sam prowadzić nie umie, dobrze, że sobie mędrszego obiera przewodnika.

— Czemuż obierać takiego — zapytał książę — który same tylko skryte obiera manowce? przypuśćmy, że zamiary jego są odmienne od tych, które na pozór okazuje, czyliż nie opuściłby błędnych w chwili najwięcej stanowczej?

— Wszystko, co mówicie — odrzekł Lubomirski — nie pochodzi z waszej duszy i domyślam się, kto wam napędził obawy. Wiercie mi, nietylko Polignac i austrijska partja pragną dziś nabrać znaczenia; są inni chcący opanować zatrzymane koła politycznego zegara; nie jedną nową twarz postrzegłem. Mało ufam Janowi Przebendowskiemu i zawsze więcej polegam na ambasadorze, który odkrył nam przecież tak ważne ze strony Francji zamiary. Przebendowski niby niczego nie chce, ani życzy, jednak w krótkim czasie nabrał tu znaczenia, które nie potrafiło ująć oka starego dworaka.

— I ja mu nie wierzę — dodał Wiśniowiecki — mam do tego powody. Jednak z uwag jego korzystam. Pomówię z wami otwarciej, Mości książę podskarbi, niż na dzisiejsze czasy przystało; bo widzę w was towarzysza broni mego króla opiekuna i mego dawnego przyjaciela. Na dzisiejszej uczcie zaproszonym gościom rzucono jabłko niezgody; tem

jabłkiem było doniesienie udzielone przez posła, bo wiem, że go królewiczowie dziś jeszcze rano nie otrzymali, i obawiam się, czy nawet samemu Ludwikowi XIV. jest wiadome *).

Za dalekie domysły, kuzynie — zawołał Hieronim — minister, który swój zawód na dworze rzymskim rozpoczął, sługa dumnego i potężnego Ludwika XIV. nigdyby się podobnej rzeczy nie dopuścił; pomimo tego nie mogę chwalić zbytnej jego skwapliwości. Słusznie przewidujecie, że tak niebezpieczny zamysł szczególniejsze na Jakóbie Sobieskim robi wrażenie i podnieci płomień, który zaledwie przytłumiony tleje w zarzewiu. Nie jeden u nas do tej przysłingi skory; wszyscyśmy widzieli, jak się zasmucił ojciec Vota i jak potajemnie z sali się wymknął; i wasz nauczyciel za nim pospieszył, zapewne nie bez powodu, którego przecież zgadnąć nie mogę.

Idźmy — rzekł Dymitr niespokojny — spieszę do królewiczów, wy zaś skłońcie swą powagą Jakóba, żeby odstąpił od niebezpiecznego zamysłu.

Obadwa wyszli z pałacu, lecz w czasie ich rozmowy upłynęły drogie chwile i przybyli za późno.

*) Są ślady w pamiętnikach historycznych Polignaka, że projekt małżeństwa księżniczki de Bourbon z jednym z młodszych Sobieskich, jeśli nie całkowicie przez posła wymyślony, nie zyskał przynajmniej wyraźnego przyzwolenia Ludwika XIV. Byłby śmiały dyplomata wtedy dopiero tego przyzwolenia dostarczył, kiedyby bieg okoliczności uczynił był krok podobny korzystnym dla Francji.

Rozdział 13.

— Łaskawy panie! — mówił Opat de Bonport do Jakóba Sobieskiego chodzącego po pokoju w widocznym gniewie — czyż zasłużyłem na obejście, jakiego jeszcze żaden poseł króla francuskiego od czasów Henryka IV. nie doznał?

Królewicz odparł ze złością:

— Znam ja uszanowanie dla posła Jego arcychrześcijańskiej Mości, ale zapewne nie dla takiego, który się mienił tajnym mych rodziców doradcą, przyjacielem i stronnikiem naszego domu; obawiam ja się, Mości Opacie, waszego zbyt-niego przywiązania i waszych raz temu, drugi raz owemu członkowi rodziny udzielanych obietnic, których może żadnemu dotrzymać nie myślicie.

— Nie pojmuję — rzekł Polignac śmiało — co zrodziło wasze niedowierzanie moim słowom, i nie przypominam sobie, abym kiedy względem was nie dotrzymał jakiego przyrzeczenia.

— Czy tak? — zapytał urażony królewicz — powiedźcie, ile razy zapewnialiście mnie o przychylności Ludwika XIV. ku synom Jana III., i o jego gotowości wspierania ich czynem i radą?

Opat zamilkł na chwilę, rozbierając w swym umyśle, czy mu wypada jeszcze dla najstarszego królewicza dotychczasowe okazywać względy; poczem rzekł oziębło:

— Podobało się W. królewiczowskiej Mości, stawiać się w równi w tym jedynym względzie ze swymi braćmi, ja jednak sądzę, że jest różnica. Dowody szacunku, jakimi s. p. król Pana mego zaszczycał, wzmocniły uwielbienie sławie jego wojennej przynależne i skłoniły króla-bohatera do wspierania jego zamiarów. Wznowiona skłonność królowej do własnej ojczyzny ustaliła te szczere króla mego chęci. Nadzieja, że wasi dostojni bracia pójda za jej przykładem, powodowała go od ofiarowania im pomocy i do spełnienia tym sposobem nie tylko matki ale i czcigodnego waszego ojca życzeń, które, jak wam zapewne wiadomo, odwróciły się od was i przeszły do braci.

— I wy śmiecie przypominać własne wasze dzieło, niezgody familijne, krzywdę moję! i wy występujecie jawnie jako mój przeciwnik?

— Mówię w imieniu mego Pana — ponowił spokojnie Polignac — a więc mogę śmiało mówić. W. Królewiczowska Mość nazwałś mnie sam tajnym zmarłego króla doradcą; on umarł, ja więc do właściwego mego powołania, to jest do urzędu posła powrócić muszę. Jako poseł winienem wam jednak oświadczyć, że wspomniane przyrzeczenia, dawane wam były tylko warunkowo; sami zaś wiecie najlepiej, jak dalece te warunki spełnione.

— Dalipan — krzyknął Jakób z gniewem i szyderskim uśmiechem — aż miło posiadać takich jak W. Pan przyjaciół; zapewne mam was użyć przeciw francuskim wybiegom?

— Czyń W. K. Mość, co wam się podoba — odparł Polignac — ja muszę czynić, co mi urząd mój każe.

Tu chciał odejść, gdy go królewicz Jakób zatrzymał.

— Poczekajcie, Mości Panie — zawołał — niech wam powiem, że nie skarżę ja się na wasz urząd, ale na zabiegi uboczne, nie mające z nim związku, na podburzanie matki przeciw synowi, na ofiarowane nieproszone swaty.

— Co do matki — rzekł poseł — W. K. Mość nie powinienbyś własnej winy zwać na mnie, który zawsze niosłem pokój między Jej Królewską Mością a wami.

— Nie osobiwe były — odpowiedział Jakób — waszych rad owoce. Ostatni nawet bardzo był dla mnie gorzki; powiedźcie sami, czy pokój czy wojnę zrodził?

— Żadnego podobnego nie przypominam sobie — odparł Polignac — nie należy do posta udzielać rad dworowi, do którego jest wysłany; osobiste tylko względy lub zaszczytne zaufanie mogą go do tego upoważnić; lecz W. K. Mość ani w jednym ani w drugim względzie nie włożyła na mnie obowiązku. Jeśli przeto podobało wam się kiedy zasięgnąć w czem nawiasowo mojego zdania, wynurzyłem je w ogólnych tylko wyrazach, nie biorąc na siebie odpowiedzialności, gdybyście myśli moje inaczej jak ja rozumieli.

Widząc, że próżna jest walka z obrotnym dyplomata, rzekł królewicz:

— Macie słusność, mości opacie — moja jest wina, żem zawierzył słowom człowieka, którego oddawna obawiać mi się należało. Ależ zaślubiny, ta nieproszona bratowa, którą nam obiecujecie?

— Wybaczcie, łaskawy panie — ozwał się sucho Polignac — że odpowiedzieć nie mogę w rzeczy, w której jednej tylko osoby słucham rozkazów. Zaślubiny, o których wspominałem i o których donieść wam, jak widzę, nie omieszkano, są życzeniem mego króla pana. — Tu myślał chwilę i dodał: — pod pewnemi wszakże warunkami.

— Życzeniem króla? — zapytał dotknięty Jakób — wyznaję, żem je dotąd za wasz wymysł uważał, za projekt w gabinecie mojej N. matki na zgubę lub umartwienie syna uknowany. Jakiebadź są zamiary Ludwika XIV., nigdy podobny projekt nie mógł dojść do wiadomości waszej, bo posłaniec donoszący o śmierci mojego ojca ledwie dziś stanął w Wersalu.

Na te słowa, ruszył Polignac ramionami i rzekł spokojnie :

— Jesteście niesprawiedliwi względem mnie i Jej Król. Mości. Stan zdrowia zmarłego pana oddawna całej Europie zapowiadał zdarzenie, które się ziściło, i nie w samym tylko Wiedniu, *nie w samym Wiedniu*, łaskawy panie, obmyślano środki na wszelki przypadek.

— Matka moja — odpowiedział Jakób — powinna poczytywać za szczęście, tak troskliwą Jego arcychrześcijańskiej Mości opiekę. Zataić wszakże nie można, że ją wielką okupiła ofiarą, której przecież my tu wszyscy tak wysoko nie ceniemy jak ministrowie wielkiego Ludwika.

— Bez wątpienia — rzekł poważnie Polignac — zasługuje na podobną nagrodę ufność, z jaką Jej Król Mość w łonie dawnej ojczyzny rękojmię swej przychylności złożyła; mówię tu o lokowanych we Francji skarbach, dla których upatrywała tam więcej bezpieczeństwa niż tu, gdzie się o nie kłóć.

Mimowolnie uniesiony gniewem, królewicz zmarszczył brwi i spojrzawszy pełnym ognia okiem, zawołał :

— Czy żarty ze mnie stroicie, mości opacie, czy też rozumiecie, że po śmierci mojego ojca królewiczom polskim mniejsze należy uszanowanie? Przystoiż wspominać przedemną o rabunku, którego za waszą radą dopuściła się królowa!

— Trudno zwać rabunkiem — odpowiedział zimno Polignac — kiedy kto swoją własnością rozrządza; żebym zaś miał udzielać rady, zaprzeczam. Jeśli W. K. Mość wysłać kiedy będziesz posłów za granicę, nie przepomnisz zapewne polecić im pilnowania własnego swego interesu, choćby nawet co do pieniędzy, bo te zawsze są duszą wszystkich rzeczy, jak to zapewne Waszej Król. Mości z doświadczenia wiadomo.

Te szydercze słowa, po wyraźnem oświadczeniu się opata przeciw Jakóbowi, sprowadziła energiczną odpowiedź :

— Nie wiem — rzekł Jakób — cobym uczynił, gdybyście moim posłem byli; ale wiem, coby was spotkało, gdybyście byli posłem przy mnie.

— Szczęście, że nie jestem — odparł Opat de Bonport hardo — lecz nie przystoi francuskiemu posłowi słyszeć z ust W. K. Mości wyrazy zakrawające na groźbę — poczem dodał w grzeczniejszy sposób: — Nie zapomnę przecież łask waszego króla ojca i mych obowiązków dla jego dostojnej rodziny.

— Wybaczcie, Mości Opacie — zawołał śmiejąc się Sobieski — że nie czuję wdzięczności za wypełnienie obowiązków, z których korzyści żadnej nie odnoszę. Ale zbaczacie od przedmiotu, od najnowszego dowodu waszej przychylności od zaślubin z córką Henryka Juliusza de Condé.

— Sądzę, że ten przedmiot — rzekł Polignac — nie powinien być uważany za odrębny od mego urzędu. Częstoż małżeństwa przychodzą w pomoc polityce i w skutku poleceń mego dworu mam rozpocząć układy, które pod pewnemi warunkami mogą być dla Francji pożądane.

Ta poraz trzeci okazana skrytość posła zwróciła Jakóba uwagę.

— I jakież to są owe pewne warunki? — zapytał.

— W. K. Mość — odrzekł Polignac — pojmiesz, że wnuczka wielkiego Kondeusza, córka pierwszego z książąt krwi, może być żoną tylko wybranego i ukorowanego króla polskiego.

Słowa te sprawiły oczekiwany skutek; pomyślawszy chwilę, rzekł Jakób z goryczą wprawdzie lecz razem z umiarkowaniem:

— Podług mego zdania i w oczach całej Europy, wyjąwszy Francję, córka elektora na Falcu, siostra cesarzowej i dwóch królowych, wreszcie Jakóba Sobieskiego małżonka stoi przynajmniej tak wysoko, jak uboczna gałązka królewskiego szczepu we Francji. Lecz jestem waszemi słowy, Mości pośle, zaspokojony i dziękuję wam za nie. Jeśli panna de Bourbon chce czekać tego wyboru i korony, lękam się, by starą panną nie umarła; chyba że się skłoni do oddania swej drogiej ręki któremu z ubocznych potomków waszego Pana.

— Rozumiem was, łaskawy Panie — odrzekł Opat — lecz jeśli przy swym bezskutecznym uporze trwać będziecie, nie pozostanie mi, jak zwalić na was całą winę i dopełnić tego, co mi mój obowiązek i wdzięczność dla królowej za dawniejsze i przyszłe zaufania dowody nakazują.

— I jakież to są te przyszłe zaufania dowody, których się od Jej Król. Mości spodziewacie?

— Świetne widoki, jakie się dla królowej otwierają — rzekł posłuszny poseł — nadzieja tak zaszczytnego w jej domu powinowactwa skłoni ją zapewne do zupełnego poddania się domowi francuskiemu. Ludwik Wielki zasługuje na nieograniczone monarchów zaufanie: nie jeden udawał się do niego w potrzebie, i gdybyś W. K. Mość poszedł za takim przykładem, jego minister nie byłby mu tyle przeciwny, ile niestety, teraz być musi.

Gniew Jakóba wzrastał się coraz więcej.

— Przestańcie — zawołał — pod płaszczykiem pięknie brzmiących słów dumę i chciwość ukrywać; nie z babą rozmawiacie; wasze to podszepty są powodem, iż królowa, uniesiona nienawiścią matki niegodną, ma zamiar pozbawić dziedzictwa najstarszego syna dla okupienia łaski, która jej może całkowicie minie, albo dla zaślubin nie każdemu tak drogich jak córce margrabiego d'Arquien. Dziękuję wam za daną mi skazówkę, będę z niej umiał korzystać.

— Cokolwiek W. K. Mość sobie z słów moich wnosisz — wyrzekł Polignac z dumą — możesz jednak być zapewnionym, że łaska Ludwika XIV. nie jest na sprzedaż, i że włożony w jego ręce zastaw z procentami do właściciela powróci. Jeżeli już chcecie opierać się koniecznie szczęściu waszego domu, zaklinam was jako kapłan, nie zapominajcie przynajmniej, że jesteście synem a królowa matką!

— Zaprawdę — odpowiedział ze wzgardą Jakób Sobieski — ślicznie brzmi podobna w waszych uścich mowa, piękny mi sędzia pokoju, za którego sprawą ziarno niezgody w domu Jana III. zasiane tak pięknie wzrosło. Czcigodny pośredniku,

co mi chytremi słowy same donosisz zgrozy, któreś sam przygotował! przyszłość moję mnie pozostaw, wiem ja, co mam czynić.

— Zapewne — odparł spokojnie Polignac — uczynisz W. K. Mość to, co wam wszyscy przyjaciele radzą, okażesz uległość swej matce i skłonisz ją tym sposobem, iż zezwoli na zamiary Ludwika Wielkiego; pozwólcie mi raz jeszcze doprowadzić do zgody z matką, a obaczycie, że nie jestem bezużytecznym pośrednikiem. Idźcie za mną, łaskawy panie, to jedyna dla was droga ratunku.

To powiedziawszy, zbliżył się śmiało do królewicza; ten atoli odepchnął go i z gniewem zawołał:

— Dość tego, Mości Opacie, skończyła się moja cierpliwość. Zbyt wiele przypisujecie mi słabości, mniemając, iż raz jeszcze karku zegnę, by słuchać słów zwodniczych, gdy tymczasem szarpać będą moję własność i deptać moje prawa. Mamże to, zdaniem waszem, wszystkiego się wyrzec, by otrzymać jałmużnę, chociaż mi i tej w końcu może zaprzeczą. Nie tak źle jeszcze; jeszcze nie są królami Konstanty i Aleksander; jeszcze mnie z domu ojca i ojczyzny nie wygnano; a siostra rzymskiej cesarzowej nie ustąpi tak prędko placu wnuczce kardynała de Richelieu *).

Poczem, skinąwszy dumnie głową, zbliżył się do drzwi i rzekł:

— Wnet wam pokażę, panie ambasadorze, iż mnie zwieść nie łatwo.

— A przecież — dodał Polignac, śmiejąc się i ścigając go wzrokiem — będziesz zwiedziony — i obrócił się ku Dominikowi Révérend, który właśnie wszedł na palcach z innej komnaty przez drzwi na pół uchylone, i rzekł do niego:

— Widzicie, Mości Opacie, żem stracił zupełnie królewicza łaskę, czem jestem nadzwyczaj zasmucony.

*) Karolina de Maillé-Brézé, żona Wielkiego Kondeusza i babka panny de Bourbon, była siostrzenicą kardynała de Richelieu.

— Trudno, byście żałowali tego — odpowiedział tamten — coście posiadając, odebrać sobie dozwolili. Pozwól atoli, wasza Ekscelencja, powiedzieć sobie, że w rozmowie, której tajemnym byłem świadkiem, zbyt żywej użyliście barwy, żywszej niż potrzeba; bo na cóż tyle pracy, aby rozjątrzyć tak niestałą duszę!

— Kto czasem — odparł Polignac — nad potrzebę nie czyni, częstokroć działa tylko w połowie, a takie działanie najszkodliwsze na moim urzędzie.

— Dziwi mnie tak wielka w was zmiana, Mości ambasadorze, i cieszy zarazem, że taka pewność zastąpiła powątpiewania, które częstokroć tamowały wasz zapęd.

— Ze śmiercią starego króla — zawołał Polignac — oswobodzony jestem z wszelkich więzów. Włożyło je na mnie nienaganne wprowadzie uczucie, ale zaczynały już stawać się mi ciężarem. On umarł, ja więc przestałem być tajnym króla polskiego radcą i mogę się okazać w całym znaczeniu ministrem Francji.

— Ale co rzeknie w czasie swoim królowa, gdy się o wszystkim dowie, jakże myślicie z nią się zachować?

— Co rzeknie? — rozśmiał się Opat — jak wszystkie kobiety tysiąc razy powoływać się będzie na przeszłość i czyścić mi gorzkie wyrzuty. Ja jednak słuchać będę cierpliwie, dopóki nie ogłuchnę; a gdyby do tego przyszło, pozbędę się jej w jaki przyjacielski sposób, bo ręczę, iż tu po niej rozpaczając nie będą. Jan był królem prawie urodzonym na tronie, przed jego spojrzeniem i słowem, im były weselsze i dobrotliwsze, zginał się mój umysł i moja odwaga; Marja Kazimiera zaś była mi tylko użytecznem dla Ludwika XIV. narzędziem, którego taką jest poddanką jak i ja. Czuje się przeto wolnym, i wołno skrzydeł użyję!

— I dokądże was zaniosą? — zapytał duchowny.

— Jak gdybyście tego odgadnąć nie mogli, mój przyjacielu! do królowej; niech ogień łączy się z ogniem, niech kosa trafi na kamień, jak mówi polskie przysłowie.

— Bądź więc zdrowa — zawołał patetycznie Dominik — piękna Sobieskich planeto! przyjmą cię na niebie *) ale znikniesz na ziemi!

— Precz z nią — dodał Polignac — niech żyje Conty!

— Niech żyje wraz z wami — zawołał Révérend — *Divide et impera* (kłóć i panuj) jest to przysłowie jednego, który nosił dawnego Rzymu purpurę, dziś je najprzyswoiciej stosować. Życzę dobrego powodzenia.

Dymitr po rozłączeniu się z księciem Lubomirskim poszedł do młodszych królewiczów, i zastał ich smutnych z powodu zamieszania, które powstało w ich rodzinie i codzień widocznie wzrastało.

Nie dzielili oni, jak nam wiadomo, uprzedzenia matki ku Melchiorowi Polignac, i lubo milsza im była Francja jak Jakóbowi, nie mogli przecież chwalić czynionych dla niej przez Marję Kazimierę ofiar. Umacniał ich gorliwie w tem przekonaniu opiekun Marek Małczyński, to też z niechęcią patrzyli na rosnące wszędzie, w zamku, w stolicy i w Rzplitej znaczenie Opata de Bonport.

Gdy Aleksander użalał się na szkodliwy wpływ takiej przewagi, będącej największą przyczyną niepokoju między synem a matką, Konstanty oświadczył, iż człowieka tego wszelkimi sposobami pozbyć się należy; dodając, że gdyby go kiedy los na tronie posadził, nie chciałby grać roli owych azjatyckich królów, którym posłowie rzymscy dyktowali rozkazy.

Sprawdziło się zdanie Dymitra, ani jeden ani drugi nie wiedział o przeznaczonych im zaślubinach.

Istotnie, gdy książe Wiśniowiecki wyszedł od królewiczów, tajemną miotany niespokojnością, udał się ku gabineutowi Marji Kazimiery, mniemając, iż tam podskarbiego znajdzie. Idąc gankiem, usłyszał turkot szybko na dziedziniec

*) Tarcza Sobieskich jest niebieską planetą na północnej półkuli nieba.

zajeżdżającego powozu i tentent wielu koni; spojrzawszy oknem i postrzegł karocę Jakóba Sobieskiego, z której wysiadł jej właściciel, otoczony orszakiem oficerów z gwardji przybocznej. Wkrótce owi goście obok niego przeszli, królewicz zdawał się być rozgniewany, z zapalem rozmawiał z księciem Hieronimem Lubomirskim, który, ujrawszy Dymitra, odwrócił się od niego i zaczął mówić do królewicza.

Na licach podskarbiego malowało się niezadowolnienie i niecierpliwość, ruszał raz poraz ramionami, kołysał głową, zacierał ręce, i ponawiał to wszystko tem żywiej, im dłużej przemawiał do niego Jakób. Nareszcie oba poszli ku dawniej wspominatej dwupiętrowej sali, obok której na ukończonym już teraz i okazałym katafalku leżały królewskie zwłoki, przybrane we wszystkie, piastowanej niegdyś godności oznaki. Brzęk halabard na marmurowej posadzce dowodził, że straż trzymający drabanci oddawali honory wojskowe przybyłym. Lecz tem większa panowała cisza w komnatach królowej, do których udał się Dymitr z pośpiechem.

Z niechęcią postrzegł on na zewnętrznej galerji barwę francuskiego posła, lecz mocniej został dotknięty, gdy mu marszałek Zarzycki z kwaśną miną oświadczył, że N. Pani jest niewidzialna.

— Wiadomo wam, Mości książę — dodał stary — że tak zawsze bywa, skoro Pan tych Ichmościów jest u niej. Sądziłbyś, że ci srokaci pacholtkowie trzymają pod strażą N. Panią.

Dymitrowi przyszła na myśl Ewa Jorkiewiczówna, poszedł więc do jednej z owych pobocznych komnat, które garderobą zowią i w której młoda służebnica królowej zwykle przesiadywała. Już chciał podnieść zielone sukno, drzwi zasłaniające, gdy usłyszał wewnątrz głos mężczyzny. Głos ten był donośny, wyrażał pewien rodzaj grzecznych miłośnych oświadczeń, zepsutą polszczyznę a raczej mieszaniną języka polskiego z francuskim.

— *Mademoiselle* — mówił głos — daję ci *ma parole d'honnête homme*, że jesteś najmiłszą *créature* na tym dworze,

który jest dosyć *ennuyeux*. *Mon Dieu*, gdzie spojrzeć, wszystko czarne, obicia, meble, suknie i czepki; *ma foi*, nie lubię czarnego koloru, bo mi śmierć przypomina. Wam jednak jest on do twarzy, i Symbole śmierci podnoszą kolory życia na waszej czarującej fizjonomji.

Na to Ewa łagodnym odpowiedziała tonem :

— Zbyt jesteście grzeczni, Mości la Brie, chcecie, żeby uwierzyła mowie waszej prosta i nieznająca wielkiego świata wieśniaczka; wiem ja jednak, co sądzić o tych gładkich słówkach mężczyzn a zwłaszcza panów Francuzów.

— *Simple* wieśniaczka! — zawołał pierwszy szatny królewicza — *Palsambleu*, to jest *blasfema*, można ją tylko *pardoner* samej *divinité*. *Justice soit rendue*, choć ten kraj jest *peu cultivé*, i nieco gruby, jednak *le beau sexe* stanowi tu ekscepcję, i zdaje się, że Ceres czy tam Venus, *en général*, legowała Polkom swoją przepaskę. Ale i Minerva spojrzała *favorablement* na polskie damy, dając im gust i takt, przez które okazują preferencję moim ziomkom, i *quant à moi* kilku przykładami pochwalić się mogę. Zapomnę jednak o wszystkich tych *bonnes fortunes*. Cóż na to mówisz, *ma belle Sylvie*? Czyliż nie nagrodzisz raz przynajmniej długiej wierności twojego uniżonego sługi?

— Z jakiejże przyczyny, Mości Panie — mówiła wnuczka starego Jorkiewicza — Sylwją nie Ewą mnie nazywacie?

— Zaraz się z niej wytłómaczę — rzekł uczony Kryspin pana de Brisacier; jest moda między rozkochanymi i wierszopisami nadawać swemu *objet doux* jakie imię z mitologii lub skąd bądź, gdyż zwykle imię chrzestne źle sonuje. I tak brzydko byłoby mówić wiersz do Barbary lub do Gertrudy, lepiej daleko do Sylwji. I ja także wiersz dla WPanny zrobiłem, i gdyby mi wolno było być Adamem dla mojej Ewy, konsyderowałbym się *le premier des hommes*.

— Strzeżcie się — zawołało dziewczę — wszak to Ewa uwiodła Adama? przecież ja wam podobnie uczynić nie myślę. Mości la Brie.

— Nie myślisz, *cruelle idole de mon coeur*? — zapytał la Brie. — Czyż mnie nie wprowadziłaś wdziękami twych oczu do Labiryntu, z którego się już araszować nie mogę? Czyż mi nie podasz swojej *bienfaisante* rączki, żebym *sain et sauf* do celu mych życzeń doszedł? Mogęż słodką nadzieję fundować, że mi pozwolisz *de temps à autre* mówić sobie o mojej *flamme* i najdroższe momenta mojego życia, o ile *importune* służba dozwoli, z sobą przepędzać? Powiedz; tak, *ma déesse*, bo w twoich oczach uczynię termin egzystencji, która mi codzień staje się *plus insupportable*.

— Na Boga! dajcie pokój — krzyknęła Ewa — włożcie szpadę do pochwy, bo ja nie mogę na krew patrzeć, i wyrzucałabym sobie przez całe życie, gdyby tak doskonały kawaler jak Wpan krzywdę jaką sobie wyrządził z mojej przyczyny. Ale słusznie wspomnieliście o służbie. Bawicie tu więcej jak pół godziny, co chwila oczekuję na zawołanie królowej, które nastąpi, skoro się poseł oddali. Za nic w świecie nie chciałabym, żeby nas kto razem tu spotkał.

— Nie bój się niczego, *ma belle Sylvie* — rzekł zuchwały la Brie — królowa i ambasador mają z sobą dosyć do mówienia. Nie zazdroszczę jednak panu ambasadorowi jego *tête a tête*, preferuję moje; *la beauté, la beauté, Mademoiselle, est toujours reine*. Nie obawiam się jednak, żeby nam kto intermował. Gdyby nawet wszedł ów książę z kozackiego kraju, Wisze-Wiszenowiski, który jak niesie *la chronique*, mojej *divinité* kureę pali, okazałbym Wpannie, że często osobiste *mérites* kompensują splendor wysokiego rodu.

— Nie wiecie, co mówicie — odpowiedziała Ewa niepewnym głosem — jakżeby mógł tak wielki pan na mnie biedną dziewczynę uważać, czyżby to nawet zniosła każda uczciwa panienska?

— *Ma belle* — ponowił Francuz — w tych rzeczach jesteście tu wszyscy prości. W Paryżu nazwanoby takie *principes* gotyckimi, wreszcie jestem *charmé*, że je w Wpannie widzę.

Dziewczę okazywało oczywistą niecierpliwość, gdy Francuz znowu zawołał:

— Nie odejdę, dopóki, okrutna, nie osłodziś cierpień, co już od roku i siedmiu niedziel turmentują moje serce? Rok i siedm niedziel upłynęło od owego pierwszego maja, w którym po raz pierwszy was ujrzałem w Villeneuve, w Jardin *du roi, en compagnie* dam pani de Bavière. Wówczas komparowałem ją do czystej Djanny między Nimfami. Dowiedziawszy się jednak o Wpanny imieniu, pomyślałem zaraz sobie, że nie tylko nie otrzymam od niej jabłka ale nawet szyszki, owego pryncypalnego fruktu tego polskiego raju.

— Szkoda — odpowiedziała dziewczica — że ich tu nie mam pod ręką; ofiarowałabym natychmiast. Lecz mnie się zdaje, że was jeszcze w kwietniu poznałam.

— Od tego czasu — mówił dalej, na nic nie zważając la Brie — od tego czasu, nielitościwy Kupidyn nie wyjął strzały, którą w moim *tendre* sercu utkwiał; rana moja znośna jedynie przy pomocy jego konfrera Appolina. Ten inspirował mi wiersz z rodzaju Trioletów; adresowany jest do królowej moich myśli, niech go raczy akceptować jako *hommage* należny jej wdziękom.

Głuche stuknięcie o podłogę zwiastowało, że szatny rzucił się na kolana, poczem zaczął zaraz w te słowa:

„*Le premier jour du mois de mai
Fut le plus beau jour de ma vie;
Je vous vis et je vous aimai
Le premier jour du mois du mai.
Si ce dessein vous plaît, Sylvie,
Le premier jour du mois de mai
Fut le plus beau jour de ma vie.*“

— Ślicznie, doskonałe, zbyt łaski, Mości la Brie — przemówiła Ewa głosem, który pochodził z przytłumionego śmiechu. — Ależ wstańcie, mogłabym z waszej przyczyny zapomnieć o czasie i miejscu, które koniecznie wymagają, abyście stąd odeszli.

Jakikolwiek był wyraz na licach Ewy, kiedy to mówiła, zmienił się nagle w zasmucenie i wstyd, gdy Dymitr stanął przed nią.

Jakieś uczucie, którego sam sobie wytłómaczyć nie umiał, zapaliło go w ciągu tej sceny; gniew, wściekłość i pogarda jaśniały mu z oczu, gdy spojrzał na Ewę Jorkiewiczównę i jej zalotnika. Pierwsza zawstydzona stała w milczeniu, drugi zapomniał o demonstracji osobistych swych przymiotów, które miał okazać w obecności owego pana. Zawstydzony powstał, starając się odzyskać przytomność poprawianiem peruki i ocieraniem śladów, jakie klęczenie na podłodze zostawiło na jego kolanach.

Dymitr rzekł ozięble do Jorkiewiczówny:

— Widzę, Ewo, że ci czas przyjemnie schodzi, daruj, że przeszkadzam. Wasz pan, mości szatny, jest już w zamku. Poszedł do sali posłuchalnej i może was potrzebuje. Idźcie więc i zachowajcie na drugi raz popisywanie się z wierszami Ronsarda przed waszą boginią.

Na te ostatnie słowa krzyknęła dziewczica:

— Jakto, królewicz już w sali posłuchalnej? Rozkazuję wam, mości la Brie, odejść stąd natychmiast. Zostawmy rzecz na inny raz, bo nie wypada nam dłużej ze sobą rozmawiać wobec Jego ks. Mości.

— Idę natychmiast — odparł Francuz — wola wasza, Mademoiselle, jest dla mnie prawem. A zatem na inny raz, teraz chętnie ustępuję tak dostojnemu panu.

Groźne poruszenie ręki księcia sprawiło, że zamilkł i wymknął się z pokoju.

— Zaczynam — rzekł z zimną pogardą Dymitr do dziewczicy, która od wstydu i płaczu słowa wymówić nie mogła — zaczynam istotną twego pobytu w Warszawie przyczynę zgadywać; przypisywałem ją dotąd przywiązaniu do elektorowej a w części do naszego domu. Ze względu na twego dziadka, który wyboru takiego wcale nie pochwali, los mnie twój obchodzi; wyznam ci jednak, iż nie spodziewałem się nigdy,

abym tak bezwstydnego warchoła u rozsądnej i skromnej Ewy zastał.

— Nie mówcie tak do mnie, nie mówcie, miłościwy książę! — zawołała dziewczica mocno wzruszona i głosem pokory.

— Jestem ci wdzięczny, Ewo Jorkiewiczówno — ciągnął dalej Dymitr — za okazaną mi niegdyś troskliwość; poczytuję przeto za obowiązek przestrzegać cię, byś nie zeszała z drogi prawej; to zaś, com postrzegł, rodzi we mnie wielką obawę. Widzę — dodał z szyderstwem — że tak biegła w sztuce leczenia dziewczica, ta mistrzyni lutni, ta istota obdarzona darem proroctwa, jest tak kobietą jak i drugie. Wreszcie ostatnie to jest moje w tej sprawie słowo, nie myślę bynajmniej być powodem do domysłów.

— Nie wiecie, jak wielką zadajecie mi boleść — zawołała zarumieniona i wzruszona Ewa.

Tu zamilkła i po niejakej chwili pewniejszym dodała głosem:

— Jestem wprawdzie kobietą jak inne, alem się nigdy za co więcej poczytywać nie chciała, to tylko dodam, że wszelkie domysły są niesłuszne. Nie zapomniałam o elektorowej, dowiodę tego łatwo, bo zaklinam was, byście się natychmiast do wielkiej sali udali końcem zapobieżenia złemu. Przyrzekliście, Mości książę, słuchać mnie, spodziewam się więc, że dotrzymacie słowa.

— Wpadasz widzę znowu w swoje tajemnice — rzekł nieco ułagodzony książę — cóż się stało, i cóż za wpływ ma do tego la Brie?

Na to z zapalem odpowiedziała dziewczica:

— Pocóż księciu Wiśniowieckiemu zgłębiać tajemnice biednej dziewczyny? Idzie tu o rzecz ważniejszą. Udajcie się w miejsce wskazane, bo duch niezgody zaczyna się tam gnieździć; smutek elektorowej wam zawiedzioną nadzieję gotuje. Oby was wspomógł duch pokoju, obyście mieli władzę nad szaleńcem, który w gniewie siebie i drugih zgubić gotów.

Jeszcze nie skończyła, gdy w pobocznych komnatach dał się słyszeć trzask gwałtownego drzwi rzucania, i dźwięk srebrnego dzwonka Marji Kazimiery. Przestraszona dziewczyna pobiegła i stojąc podedrzwiami to jeszcze powiedziała:

— Spieszcie, spieszcie, łaskawy książę, nie ma chwili do stracenia.

Poczem zniknęła; Dymitr zaś spiesznym krokiem poszedł do wskazanego sobie miejsca.

Rozdział 14.

Ktokolwiek zna dzieje XVIII. wieku i wpływ, jaki ówczesne przygody Polski na resztę Europy miały, przekona się łatwo, że wiele rzeczy odmiennaby dziś miały postać, gdyby nie zaszły były wypadki, o których teraz mówić zaczniemy.

Prędszym jest bieg złego niż dobrego; rozlało się też gwałtownie w czasie, kiedy ksiązę Wiśniowiecki niesprawiedliwemi wyrzuty ubogą zasmucał dziewczynę.

Przybywszy do wskazanej sali, ujrzał ustawione we dwa rzędy strażę Marji i Jakóba, nieprzyjaźnem na siebie okiem patrzące. Komnaty zapełnione były wysokimi urzędnikami dworu i korony, którzy, mając zawsze wolny wstęp do wewnętrznych mieszkań królewskich, dziś równie jak Dymitr odmówienia tego przywileju doznali. Większa ich część uniesiona była gniewem, dawały się słyszeć tu i owdzie szemrania a nawet obelżywe wyrazy, acz przyjaciele zmarłego króla starali się łagodzić rozognione umysły.

— Czas już — mówili niektórzy — niewieścim rządowi koniec położyć i zuchwałego młodzika do porządku przywrócić. Byłoby zgorszeniem w oczach każdego dobrego Polaka pozwalać dłużej, by zamek królewski był widowiskiem kłótni, jakieby nawet w chatach najniższego ludu nie przystały. Czegoż się mamy spodziewać od rodziny, co wzajemnie się rozdziera w obliczu zmarłego króla i ojca? Dochowają praw

ludzkich ci, co bezbożnie prawa boskie łamią? Lepiej ich wszystkich się pozbyć, bo inaczej nie będzie nigdy pokoju.

Napróżno przekładali inni, że nieporozumienia są tylko chwilowe; napróżno uniewinniali królewicza, zapewniając, że ukazanie się królowej przywróci porządek rzeczy. Zasmucony tym widokiem Dymitr zbliżył się do podskarbiego koronnego i zapytał: — coby to wszystko znaczyło?

— Oto — odparł żywo Hieronim — zapóźnośmy przyszli, zawsze napróżno człowiek rozumny goni za głupcem. Jego K. Mość postanowiła bronić wszelkimi siłami swojej sukcesji, a nawet w posiadłość ją objąć.

— To być nie może — oświadczył wojewoda ruski — ani królewicz, ani królowa nie mają prawa do objęcia dziedzictwa, które nie jest jeszcze rozdzielone, a w którym nieletni równy mają udział: Mości księżu Hieronimie, jesteście podskarbim koronnym, do was należy pilnować z urzędu całości inwentarza.

— Bądźcie przekonani — odparł tenże — iż dopełnie służących mi obowiązków. Jednak zdaniem mojem, mości wojewodo, byłoby lepiej, gdybyście bezpotrzebnie nie przynależali zgiełku.

W czasie tej rozmowy weszli do sali wielki marszałek i wielki hetman. Pierwszy, to jest Stanisław Lubomirski, z zadziwieniem dowiedział się o tem, co zaszło w miejscu do jego jurysdykcji należacem; powaga jego urzędu byłaby mu u straży ułatwiła wniknięcie, ale dla tych samych, co Maltańczyk względów, nie chcąc z tego korzystać, nakazał tylko zgromadzoną osobom spokojność i milczenie.

W. hetman i kasztelan krakowski, który ze strony senatu za pierwszego współopiekuna młodszemu królewiczowi przydany został; żądał, by go wpuszczono końcem zapobieżenia nieprzyzwoitościom, jakichby może królewicz Jakób mógł się dopuścić. Żołnierze do jego rozkazów nawykli, otworzyli podwoje i najznacniejsi senatorowie weszli do sali,

która była raczej do teatralnego przysionku niż do świątyni śmierci podobna, tak ją napełniali niecierpliwi widze.

— I cóż tu będzie? — zapytał Dymitr Maltańczyka.

— Zgroza, sromota — odparł zapytany — wszystko, co zrządzić mogą najpodlejsze namiętności, otaczające niegdyś króla z naszą i jego szkodą; wszystko co kazi godność korony i niweczy blask światła, którem ojciec czoła niegodne otoczył.

— Zbyt surowo i ogólnie sędzicie — ponowił Wiśniowiecki — nie wszyscy zasługują na wyrzuty, których dwoje tylko są przyczyną.

— Obawiam się — odpowiedział podskarbi — by niewinni nie cierpieli z winnymi i nie przypłacili błędu brata i matki.

Niektóre z tych słów doszły były do uszów otaczających; ci zaczęli nalegać, aby kardynał arcybiskup zawiadomionym został i jako interrex miał pieczę nad godnością Rzplitej i prawami pierwszych jej dygnitarzy. Wszyscy poszli za tem zdaniem, nie opierał się nawet Hieronim Lubomirski, i postanowiono posłać jednego z obecnych senatorów do kardynała. Znalazł się taki natychmiast, Jan Przebendowski, który bezzwłocznie wyszedł spełnić zlecenie.

— Podług mnie — przemówił Maltańczyk — ni królowicz ni królowa nie będą radzi pośrednictwu Jego Eminencji; sami jednak sobie winni, i wszelki wzgląd ustąpić powinien spokojności i publicznemu dobru.

Nadeszła wreszcie Marja Kazimiera; przyczyną zwłoki było większe staranie w ubiorze, lubo gruba żałoba wyłączyła z jej ozdób wszelkie kosztowności. Spadał jej z czoła prawie na oczy czarny welon, okrywając głowę i świetne dotąd włosy; kibić zasłaniała wdowieńska mantyla z czarnej koronki; krótki ogon sukni tejże samej barwy niosło dwóch paziów, którym go jednak wchodząc odebrała. Czarne rękawiczki z białemi płaczkami okrywały jej ręce aż do palców, na których ślubna tylko świeciła się obrączka. Cały zaś strój sta-

nowił zawieszony na piersiach i w perły oprawny obraz króla małżonka.

Szła spiesźnie, lecz z powagą; otaczało ją wielu dworzan; a marszałek Rafał Leszczyński niósł przed nią laskę, którą jednak, zoczywszy wielkiego marszałka, natychmiast giermkowi oddał.

— Mości Panowie — rzekła Marja, witając z powagą oddających jej głęboki pokłon magnatów — brzemie losu, które wdowę waszego monarchy przyciska, zgotowało nam znowu smutny wypadek, od którego mniemałam, że się na zawsze uwolnię, gdy idąc za skłonnością własnego serca i waszą radą, starszemu synowi przebaczę. Jako królowa powinnam była odmówić przebaczenia. Dziś na nowo obrażona, żądam waszej pomocy; proszę z sobą, jeśli łaska, Mości Panowie.

Obszerna sala była powleczone czarnym aksamitem, zasianym srebrnymi orłami i takiemiż frenzlami obszytym. Przy jednej ścianie wznosił się błękitny baldachim, podobnie jak ściany ozdobiony; na jego tle jaśniał herb Rzplitej, pogonie i orły w tarczy na cztery części podzielonej, mający w środku puklerz, herb rodziny Sobieskich. Pod nim, na czterech stopniach stał wyłaczany sarkofag, na nim aksamitne błękitne wężgłowia, a na tych zwłoki króla nieboszczyka. Zasłonią głowę zdobiła djamentowa korona, klejnot będący własnością jego prywatnego skarbu; w złożonych rękach tkwił mały złoty krucyfiks. W około paliły się na wysokich świecznikach potężne gromnice, których blask odbijając się w drogich kamieniach djademu, tem więcej przypominał znikomość ludzkiej wielkości. Pomiedzy gromnicami wzdymały się powiewem wiatru z otwartych podwojów ciągnącym chorągwie trzydziestu księstw, składających tytuł króla polskiego¹⁾; w głowach zatknięte były koronna i litewska, u stóp zaś wznosiła się chorągiew *curiae Regni*; przy stopniach stały cztery taborety: jeden dźwigał insygnia królewskiej godności, jako to: drugą znacznej wielkości koronę, berło, jabłko państwa i niebieski aksamitny płaszcz białemi

orłami zarzucony, gronostajami podszyty; na trzech innych leżały ordery złotego runa, Śgo Ducha i Podwiązki, którą Karol II., król angielski, w r. 1675 zaraz po bitwie pod Żurawnem przez Karola Hyde hrabiego Roczester Janowi III. przysłał. Przy każdej chorągwi i orderze stali urzędnicy dworu, przeznaczeni do ich niesienia w czasie parady, lecz nie zachowywali się tak, jakby w tem miejscu przypadało; opuszczali niekiedy miejsce swoje, gromadząc się dla wzajemnych szeptów. W każdym kącie sali stały ołtarze poświęcone Boga-Rodzicy, patronce Polski, Śtemu Wojciechowi, Stanisławowi i Janowi Chrzcicielowi; czterech biskupów celebrowało w towarzystwie licznego duchowieństwa; ale modły ich były przerywane i każdy z księży raz z niezadowolenia, drugi raz z ciekawości, poglądał w stronę, gdzie mężczyzna, odosobniony od wszystkich, drobnym i niespokojnym krokiem tam i sam się przechadzał.

Odzież królewicza Jakóba była czarna, lecz francuskiej mody, do której od czasu śmierci ojca znowu powrócił, a która w wielu oczach podwajała odrazę ku niemu. Wzmacniała jeszcze to uczucie obecność dwóch młodszych królewicza braci, którzy trzymając się pod ręce, z wlepionymi w zwłoki ojca oczyma i z boleścią w sercu, obok trumny stali. Aleksander patrzył na ojca z czułością i w zamyśleniu, żal po jego stracie zdawał się w nim mieszać z tą pociechą, którą pokora i nadzieja wiary przynoszą; gdy tymczasem zarumienione lica Konstantego i połysk jego wilgotnego oka dowodziły, że czci nie tylko ojca lecz i bohatera, i zapewniały, że ów widok znikomej wielkości ludzkiej będzie dla niego nauczającym przykładem.

I w rzeczy samej nie mógł się wydać korzystnie obok młodocianych braci królewicz Jakób, w przestronnej, krojem francuskim i niemieckim, żałobnej sukni i w wielkiej czarnej peruce. Rysy jego twarzy zawsze szpetne, a teraz niemile poruszane, czyniły go starszym niż był w istocie; a nieprzyzwyczajone zachowanie się w ruchu i postawie sprawiały na obe-

cnych przykre wrażenie. Podobnym był do człowieka, przywiedzionego do ostateczności, i cała uwaga widzów, zamiast na zwłoki zmarłego, na niego była zwrócona.

Biskupi, Załuski i Witwicki, chcąc zapobiedz nieprzyzwoitości, opuściwszy ołtarze zbliżyli się do królewicza Jakóba, pamiętni, iż ze słowy: „Chwała Bogu na niebie!“ łączą się zaraz życzenie: „pokój ludziom na ziemi.“ Przestrogi ich atoli nie miały wiele skutku; więcej sprawiły przedstawienia dygnitarzy koronnych, mianowicie w. marszałka; jakoż wkrótce złagodzona nieco twarz Jakóba podała nadzieję, iż się wszystko dobrze ukończy. Lecz nagle wyprężyła się znowu jego postawa, zaczął być niespokojnym, czoło okryły marszczki; gdyż właśnie, strażę wbrew jego woli, słuchając rozkazu hetmana, wpuściły królową.

Wyszedł przeciw niej o parę kroków, nie jako syn przyjmujący matkę przy zwłokach Ojca, lecz jako przeciwnik chcący z nią walczyć o każdą stopę ziemi; i jeśli matkę powitał, to bynajmniej nie w ten sposób, jaki się królowej należał.

Jakoż Marja Kazimiera, nie odpowiadając mu wcale, rzuciwszy gniewnem okiem w około sali, zawołała pańskim tonem:

— Jakież to zamieszanie postrzegam? Porządek obchodu nadwyreżony, modły przerwane? Wielebni i Wielmożni Panowie, możecież na to pozwalać, w miejscu, gdzie śmiertelne szczątki waszego króla po raz ostatni wymagają od poddanych wdzięczności i uszanowania?

Kancelarz państwa, kardynał Denhoff zaczął słów kilka, gdy mu przerwała Marja:

— Nie wkładam ja winy ani na waszą Eminencję ani na owych szanownych Panów; wiem, że dopuścić się jej nie są zdolni. Już u tych podwoi dowiedziałam się o całej przyczynie. Któż to was, królewiczu polski, upoważnił tę żałobie i modłom poświęconą komnatę krzykliwem zapełniać żołnierstwem, i przeszkadzać uroczystości, dla was szczególnie świę-

tej i szanownej. Dla czegoż przybyliście w to miejsce nie jako syn chcący opłakiwać stratę ojca i żałować wyrządzonej mu za życia obrazy, lecz jako burzyciel pragnący dopełnić czynu, który wszystkich żyjących zgrozą przejmując?

— Jestem zmuszony, Pani! — odpowiedział — każdy zatem nie mnie, lecz tym, co mnie do tego zniewolili, winę przypisze.

Nie odpowiedziawszy na to Marja, obróciła się do W. marszałka i rzekła po francusku:

— Mości książę, jesteście najwyższym w tym zamku sędzią i rządcą, do was się tedy uciekam, byście nie dopuścili tym zwłokom i mnie samej uczynić krzywdy. Już dawno powinniście byli do użycia waszej władzy przystąpić; teraz wzywam was o to.

Książę Stanisław z powagą i smutkiem odpowiedział:

— Nie opuści was, N. Pani, Rzplita, dopełnię, jeśli zajdzie konieczność, obowiązków mojego urzędu; lecz sądzę, iż dla syna i matki nie będą potrzebne.

— Zgadzam się z wolą Jej Król. Mości — wtrącił tu królewicz — wyższy sąd wyrzec między nami powinien, bo jej sąd zbyt stronny. Przedmiot jest arcyważny, w obliczu prawa wszyscy są równi, wzywam więc jego stróżów, by między mną a N. Panią wyrzekli.

— Słyszycie tedy, Panowie — zawołała Marja — królewicz polski chce się popisywać z jakimiś prawami; i ja też mam moje, i spodziewam się, że senat polski weźmie w opiekę wdowę po wielkim królu przeciw zbuntowanemu synowi.

— W. K. Mość jesteś już pod tą opieką — odparł w. marszałek — i zdaje się, że niema potrzeby przystąpić do czynnej przeciw królewiczowi obrony. W. Wyokość — mówił dalej do królewicza — uznajesz najwyższą dla siebie jurysdykcję w Rzplitej, a zatem ta, przed wydaniem wyroku, wstrzyma się od wszelkich gwałtownych kroków.

— Jako żywo, Mości książę marszałku — odparł złośliwy Jakób — idzie tu o prawa prywatne, mogę ich zatem bronić

w sposób, jaki tylko jest w siłach moich. Wyrok Rzplitej mógłby uleść zwłoce, a tymczasem przedmioty, o które spór się toczy, wymagają zabezpieczenia.

— Z tegoż to jedynie powodu—zapytał zasmucony biskup płocki — przybyliście do trumny Ojca?

— Znam obowiązki synowskie, wielbny księże — odparł Jakób — choć mi tak długo w ich wykonaniu stawiano przeszkody; sądzę, że im nie ubliżę, gdy pozostałość ojcowską od nieprawych zabezpieczę przywłaszczeń.

— Słyszycie, słyszycie, Mości Panowie — zawołała z gniewem Marja — wszak ci to królewicz przychodzi gwałt spełnić, pozbawić praw matkę i braci.

Na te słowa, obecni ze smutkiem spoglądać na siebie i szemrać poczęli. Stanisław Lubomirski przemówił poważnie:

— Wielbni, Jaśnie Wielmożni i Wielmożni Panowie, wzywam was na chwilkę do przybocznej komnaty. Nieprzewidziane okoliczności przerwały na chwilę ten obchód, lecz porządek wkrótce przywróconym zostanie. Niedługo sala niniejsza znowu i dla panów i dla ludu będzie otwartą. Trzeba każdemu użyć sposobności okazania czci dobremu monarsze, bo ta nie we wszystkich jeszcze sercach wygasła.

W skutek takiego wezwania, niemal wszyscy obecni przeszli do przyległej komnaty, przez której drzwi otwarte mogli być jeszcze świadkami zajść mających wypadków. Pozostali tylko dygnitarze koronni, urzędnicy dworsey królowej i biskupi.

Wtedy Jakób Sobieski w ten sposób zaczął:

— Nikogo nie myślę praw pozbawiać, tem mniej braci moich. W ich to imieniu i w imieniu własnem pragnę zabezpieczyć pozostałość, by i ta resztką nie była uroniona. Dopóki podział nie nastąpi, ja jestem puścizny stróżem; i dla tego gwardje moje stać tu będą na straży przy drzwiach wraz z żołnierzami królowej pod dowództwem wojewody ruskiego.

— Jestem kapitanem tej straży — wtracił śmiało wojewoda ruski — i żaden z niej bez mojego rozkazu pełnić tej służby nie będzie.

Młodzi królewiczowie nie mieli dotąd w tem, co zaszło, wiele udziału. W tej jednak chwili Konstanty zawołał:

— Nie mówicie w naszym imieniu, królewiczu Jakóbie, nie macie od nas żadnego w tej mierze upoważnienia. Po tem, co zaszło, zwłaszcza w tem miejscu — dodał, spoglądając na trumnę ojca — nie chcemy, aby nas o znowę z wami kto miał posądzać.

— Ta zuchwała mowa nieroztropnego młodzika — odpowiedział cierpko Jakób — dowodzi nie tylko zaślepienia mojej rodziny, nad którą ktoś obcy panuje, ale nawet jej wspólnej nienawiści przeciw najstarszemu bratu. Czas położyć koniec temu spiskowi wszystkich przeciw jednemu; zbyt długo on mnie z praw moich wyzuwał, skłonił nawet zmarłego króla, iż odmawiając mi ojcowskich uczuć, przeniósł je na mniej godnych.

— Jakże możecie — przerwał mu Andrzej Załuski dobitnie — tak niebacznie i tak niesprawiedliwie posądzać najlepszego z Ojców, o kilka kroków od ciała jego, w obecności nas wszystkich, którzyśmy tak częstymi byli świadkami, jak wam największe winy przebaczał? Nie dopuść, nie dopuść słów tych do uszu twoich, Królu mój i Panie, aby ich głos nie ujął ci w raju swobody.

— Gdyby je mógł słyszeć, zapewnieby je pochwalił — ozwał się Jakób. — Już król Jan nie żyje, ja jestem na jego miejscu, do mnie więc należy kierować sprawami, które on przez niewczesną może powolność nadwyreżył, za co i świat i wy sami, Mości Panowie, czyniliście mu wyrzuty.

— Jakkolwiek sprawiedliwe byłoby zdanie świata i narodu — odparł biskup — źle brzmi w waszych uścicach.

— Pocóż tu się dziwić? — dodała ze wzgardą królowa — Wszak ci to słaby młodzik chce być większy od bohatera

wieku, wszak ci to zuchwały syn wynosi się nad wspaniałego Ojca, poddany nad Pana?

— Uspokój się, Miłościwa Pani — rzekł w. marszałek — wasz gniew, acz może sprawiedliwy, unosi was zbyt znacznie, dalej może, niżbyście sami przy zimnej rozwadze zająć chcieli.

— Droga matko — zawołał Aleksander — z miłości ku drugim synom nie bądźcie tak dla Jakóba srogą. Dozwólcie, przez wzgląd na jego urodzenie, by zniewolony waszą łaską zasłużył na nią posłuszeństwem i powolnością. Nie chcę być ani wielkim ani szczęśliwym kosztem najstarszego brata, i nie tknę się tego, coby mu wydartem zostało.

— Dajcie pokój, przewielebny biskupie płocki — rzekł Jakób — nadaremnie jest błagać nienawiści, aby się w miłość zmieniła; przestań, królewiczu, uwodzić mnie czułemi słowy w tem, co już pewnością się stało. Sztuka krasomowska dobrze wam znajoma, umiecie słowami cnoty jednać sobie wziętość u ludu, ale pomimo tego ręczę wam, że wasze nadzieje są czcze, a z tego miejsca nie ja, lecz ta, która wami rządzi, ustąpić musi.

— Na Boga! — krzyknęła rozżalona królowa — wy ustąpicie, a nie kto inny! Nie mam już żadnych względów, nie chcę być matką dla takiego syna! Jestem królową, i jako królowa do was, rodacy, przemawiam; obierzecie go za króla, powierzycie mu prawa, kiedy dziś boskie i ludzkie przykazania depce? Niech aby jeden głos za nim przemówi, a zmuszę go do milczenia, choćby mi tchu braknąć miało. Gdybyście ostatniego z pomiędzy siebie na tron mego małżonka wezwali, byłby godniejszym, aniżeli ten, którego ponura dusza i wasze i Ojcowską sławę przyćmić gotowa. Jawna dziś przed światem przyczyna, która mnie i nieboszczyka ciągle nabawiała kłopotu; niechże przynajmniej będzie przestrogą, bo ten, co zatrul spokojność rodziców, zatruje i spokojność ojczyzny. Takie jest moje zdanie, popierać go będę całą moją siłą i wszelkimi środkami.

Po tych słowach, ogarnęło obecnych dość długie milczenie; przerwał je Jakób gwałtownie:

— A więc i ja wszelkie rzucam względy i cierpliwość na bok kładę. Nikt nie przeczy, Pani, żeś nazgromadzała zaszczytów i bogactw; wiemy jakim sposobem, postaramy się jednak, by ich użycie lepszem było od nabycia. Nie będę tak nierozsądny, żebym miał jak drugi Ezaw utratę praw pierworodnych własnym majątkiem przypłacić; nawet bogactwa, co zdobią te mury żałobne, nie posłużą do wygnania mnie z domu!

To wymówiwszy, przystąpił do katafalku i podniosłszy rękę, uchwycił za djamentową koronę zdobiącą głowę zmarłego Ojca; Marja pospieszyła z drugiej strony i uczyniła toż samo, a tak matka z synem nad ciałem najtkliwszego z bohaterów mierzyli się pełnem nienawiści okiem.

Zdarzenie to, acz chwilę tylko trwające, przejęło wszystkich obecnych zgrozą, głuchy szmer rozszedł się po sali i pobocznych komnatach, i niejedne od słońca bitew ogorzałe lica zbladły. Aleksander, boleśnie westchnąwszy, zasłonił oczy rękoma, Konstanty wzrok pałający gniewem i wstydem spuścił ku ziemi, a Andrzej Załuski, podniosłszy ręce, zawołał:

— Ojcie niebieski, odwróć oczy od tej sromoty, by w nas nie ugodziła twa kara.

Poczem Stanisław Lubomirski grzmiącym krzyknął głosem:

— Co tego, to już nadto. Mamże ja, mamyż my wszyscy ścierpieć, by święta naszego króla i Pana głowa znieważana była po śmierci? Mości Panowie od pogrzebowej służby, na miejsce! rozkazuje wam w. marszałek. Mości marszałku nadworny i Mości podskarbi, do swoich obowiązków!

W tej chwili książę Hieronim, przystąpiwszy do królowej i wzięwszy rękę, którą ona ochłonawszy zwolna od klejnotu oddalała, zaprowadził ją z uszanowaniem lecz zarazem z zimną powagą do siedzenia przy jednym z ołtarzy. Na tem

siedzeniu królowa spoczawszy, załżała się łzami umartwienia i żalu. W. hetman z drugiej strony oddalił również od katafalku upornego królewicza Jakóba, lecz w mniej grzeczny sposób. Poczem Maltańczyk, skinawszy na stojącego blisko pazia z aksamitną poduszką, przystąpił do katafalku i zdjawszy drżącą ręką koronę z głowy zmarłego, oddał ją paziowi.

Ten czyn wznowił we wszystkich uczucie politowania i przerażenia, gdy na obnażonej czaszce i wysokiem czole Jana III. ukazały się widoczne ślady zepsucia. Z tego powodu książę Hieronim okrył głowę zmarłego welnianą czapką, którą mu ktoś z otaczających podał. Dotąd na twarzy księcia był jeszcze wyraz zwykłej wesołości, lecz ujrzawszy ten strój nikczemny w porównaniu z otaczającą go świetnością, nie mógł przytłumić w sobie żalu i drżącym zawołał głosem:

— Królu mój i Panie, kiedyś narzekał, że ci dolega korona, nie spodziewałeś się nigdy, że ja ci ją zdejmę w obrobie przeciw tym, dla których jej ciężar dźwigałeś, i że poraz pierwszy włożę prostą czapkę na głowę, która w obozach hełmem się okrywała.

Bolesnete starego żołnierza wyrazy odbiły się jak echo wśród panującego w około milczenia, przerywanego jedynie krokiem straży zajmującej swe miejsca.

Wkrótce szmer w pobocznej sali oznajmił przybycie osoby wielkiego znaczenia. Był to kardynał Prymas, otoczony całą okazałością duchownej i świeckiej władzy. Ustąpili swych miejsc senatorowie owemu naczelnikowi Rzeczypospolitej, otworzyły przed nim swe szeregi stráže, a za nadejściem duchownego, który niósł znak zbawienia, spuścili swe krzyże ci, którzy je przed kardynałami Denhoffem i d'Arquien trzymali.

Nie widziano już w arcybiskupie gnieźnieńskim Michale Radziejowskim owej skromnej powagi, z jaką krom swego wysokiego dostojęństwa przed dwoma tygodniami do zamku wchodził, ani owych oznak uszanowania, jakim dla Jana III.

bywał przejęty, ani nakoniec owej uprzejmości przyjaciela domu, za jakiego od lat tylu uchodzić pragnął; wszedł z wolna, okazując, że czuje ważność dzisiejszego swego powołania i że w każdej potrzebie wykonać je potrafi. Zimna pośepność delikatnej jego twarzy zwiastowała, że przychodzi nie jako pośrednik, lecz jako sędzia. Sprawdził więc domysły podskarbiego koronnego i w stronnikach Sobieskich wzniecił obawę; nie jednemu bowiem przyszło na myśl, że to imię Radziejowskich po drugi raz Rzplitej szkodliwem stać się może*).

Staął wśród senatu, przy nim dał się widzieć Jan Przebendowski, zawsze wesoły i naturalny. Wzrok kardynała utkwiał surowo w twarzy królewicza Jakóba, który był podobny człowiekowi chcącemu gwałtem zatrzymać uciekającą odwagę. Poczem zwróciwszy oczy w stronę, gdzie była królowa, prymas oddał jej głęboki i uroczysty pokłon. Marja zdziwiona niezwyczajnem cokolwiek obejściem się kapłana, osądziła, iż należy mu okazać swoje powagę, jakoż otarłszy łzy, powstała i w postaci panującej monarchini wstąpiła ku niemu jeden lub dwa kroki.

— Dziwi mnie to, co widzę — rzekł kapłan raczej do obecnych, niż do królowej — przy tych drzwiach ujrzałem strażę wzbraniającą wnijścia, których nieprzystwoite zachowywanie się narusza spokojność tego świętego przybytku. Noszą barwę królewicza polskiego, jego samego tu postrzegam nie w postaci syna oddającego cześć winną utraconemu ojcu, lecz w postaci osoby gniewem uniesionej; oko moje zwraca się od niego do Najjaśniejszej królowej a ta łzy roni. Szanowni senatorowie tu zgromadzeni żądali mego przybycia, proszę ich więc o objaśnienie tego, co zaszło i w czem mam

*) Hieronim Radziejowski, podkanclerzy kor., w roku 1652 usunięty, połączył się dla zemsty przeciw własnej ojczyźnie z Karolem Gustawem szwedzkim i był pochodnią najokrutniejszego z monarchów. Synowiec jego kardynał uczynił toż samo z Karolem XII. w r. 1700.

okazać władzę, którą na mnie zgon wiekopomnego króla i prawa krajowe włożyły.

Nikt z pomiędzy obecnych nie sądził się mocnym odpowiedzieć na tę długą i gładko wyrzeczoną mowę, której oziębłość dziwnie odbijała obok wznieconych w każdym sercu uczuć. Panowała zatem przez czas niejaki cisza, gdy wtem prymas, spojrzawszy na zwłoki króla, wykrzyknął:

— Święci niebiescy! cóż to znaczy? Jakże nieprzyzwoicie okryta ta szanowna głowa; bo lubo blask ziemski niknie po śmierci, należy jednak zachować ciała ozdoby, dopóki ich grób nie zawrze. Panowie marszałkowie, skąd ta ohyda? Nie sądzę, żeby ktoś dopuścił się zgrozy względem korony, którą ja sam na skronie czcigodnego nieboszczyka włożyłem, względem oznaki najwyższej w kraju godności? I tożby zająć miało w waszych oczach, N. Pani, i dla tegoż łzy wylewacie?

— Słuszne Waszej Eminencji domysły — odpowiedziała królowa. — Syn to, syn trumnę ojca siepaczami otoczył; jego to zbrodnia zamieszła ten żałoby obchód; przed jego to świętokradzką ręką musiano ukryć koronę, która na skroniach zmarłego ojca bezpieczną nie była. Użycie przeto władzy waszej, ostońcie od zniewagi i te szanowne zwłoki i stroskaną matkę!

— W. K. Mość — odparł w dawniejszy sposób Radziejowski — możesz być pewną, że nie nadaremnie powoływałem się na obowiązki mego urzędu, jakkolwiek smutną do ich wykonania widzę sposobność. Królewiczu — zawołał do Jakóba — słyszyście, o co was królowa oskarża i co potwierdzają wszyscy zasmuceni tu panowie. Nie sądziłem, ażebym miał kiedy w ten sposób do W. K. Mości w imieniu Rzplitej przemawiać. Lecz ponieważ już się stało, chciejcie mi powiedzieć, co was do tak niesłychanego skłoniło postępuku?

— Mości kardynale — odparł Jakób częścią z dumą, częścią z uległością — zewsząd są gotowi zanosić na mnie skargi. spodziewam się jednak, że to zdarzenie nie wzbudzi

tak surowego W. Eminencji sądu. Nie ja sam targuałem się na koronę, nad której zniknięciem tyle się dziwicie, nie odemnie pochodzą tego postępu przyczyny, nie chciałem wydierać, baczyłem tylko na to, by mnie nie obdarto. Skoro przemawiacie w imieniu Rzplitej, powierzam wam moje prawa i mam nadzieję, że synowi króla i pierwszemu w kraju obywatelowi, nie odmówicie swojej pomocy.

— Wątpić nie powinniście — rzekł łagodniejszym już głosem kardynał — Rzplita rozstrzygnie wasze prawa, acz jest przeciwną w dobijaniu się o nie w nieprzyzwoity sposób. Nim to jednak nastąpi, W. K. Mość wstrzymać się powinna od wszelkiego gwałtu, toż powinno — dodał, obracając się do królowej — i z drugiej strony nastąpić.

Marja Kazimiera nie była prymasowi rada, nie przemawiał on językiem sługi małżonka, ale raczej czasowego naczelnika narodu, rzekła więc do niego z powagą:

— Gdyby nawet oplakany wypadek zniewalał wdowę po królu uciekać się pod opiekę Rzplitej, powinna ona zachować swe prawa, które jej długie panowanie i wola zmarłego pana nadały. Dotąd własność wspólna była między nami, co ja wniosłam i co mi król powierzył, powinnam ochronić przed żądzą tego królewicza, który jest wspólnym naszym synem.

— Raczie zwrócić uwagę, szanowny kardynale — wtrącił Jakób Sobieski — że mocne powody wzbraniają mi pokładać zaufanie w N. Pani, z tego powodu o najrychlejszy wyrok upraszam.

— I ja o niego Waszę Eminencję oraz panów braci moich proszę — ozwał się wojewoda ruski — w imieniu królewiczów Aleksandra i Konstantego, moich pupilów. W podobnej okoliczności trzeba skończyć jak najprędzej.

— I ja jestem opiekunką mych dzieci — zawołała szybko królowa — opiekunką najpierwszą; a zatem w ich sprawie mój głos stanowi.

— Bez wątpienia — ponowił Marek Małaczyński — jednak z przeproszeniem W. K. Mości nie w rzeczach, w któ-

rych jej interes może być spreczny. Popieram zdanie mego współopiekuna W. Hetmana.

Jeszcze był Jabłonowski nie odpowiedział, kiedy kardynał, zgadzając się z wojewodą, zawołał:

— Wszelaki wzgląd mieć należy na wasze żądania, Mości wojewodo ruski, zgadzam się z wami, i czas już rzecz skończyć, by drugi raz nie zaszły tak niemiłe zdarzenia. Widzicie, N. Pani, że rozstrzygnięciem tej rzeczy zajmą się mężowie przejęci dla was szacunkiem i szanujący pamięć Jana III.

Grzeczne te słowa nie zrobiły już teraz wrażenia na Marji, odpowiedziała więc z dumą:

— Przyjmuje pośrednictwo senatu pod wyżej wskazanymi warunkami. Lecz W. Eminencja przedewszystkiem raczysz i mnie i to miejsce od tego, który nam odmawia uszanowania, uwolnić.

— Żądanie królowej jest słuszne — rzekł kardynał — W. K. Mość wyznasz — ciągnął dalej, obracając się ku Jakóbowi Sobieskiemu — że postępek, któregośmy byli świadkami, równie jest niemiłym Bogu jako i Rzplitej. Jest więc naszym obowiązkiem zapobiedz mu na przyszłość. Wybaczcie przeto, że was wezwę do opuszczenia tego miejsca; sprawę, która was tu sprowadziła, weźmie na siebie senat. Nie chcę ja oddalać od trumny syna mego pana i dobroczyńcy, pierwszy go przyjmę wtedy, gdy przyjdzie modlić się wraz z nami za duszę jego i błagać miłosierdzia Boga.

Królewicz Jakób zwykł był ulegać silnie objawionej woli, lecz zawsze z jakimś uporem, jakby w dowód, że działał nieprzymuszony, i teraz więc przemówił:

— Niech i tak będzie, skoro Rzplita bierze na siebie o moje własność staranie; lecz niech postępuje bezstronnie. Każdy jest równy w obliczu prawa, niech więc zakaz mnie objawiony rozciąga się i do tych wszystkich, którzy roszczą prawa do puścizny mojego ojca.

— Żądanie W. K. Mości zasługuje na pewną uwagę — oświadczył kardynał. — Jakoż każdy z nas ma nadzieję, że Jej K. Mość opuści miejsce wzniecające w niej tak sprawiedliwy smutek. Wasza sprawa, N. Pani, spoczywa w ręku wiernych sług jej małżonka, nie tylko więc wywiążą się wiernie z swoich obowiązków, ale nie dopuszczą powtórzenia tego, co serce W. K. Mości tak silnie dotknęło.

Rumieniła się twarz Marji Kazimiery w czasie tej mowy, której celem było oddalić ją z tego miejsca; oburzyła się jej duma przeciw owemu czasowemu rządcy; nie mogła atoli zaprzeczyć, że działał na mocy prawa; czytała w oczach osób obecnych przyzwolenie na zamysł mogący zapewnić spokojność zamkowi i stolicy, a zmierzwszy okiem arcybiskupa, odwróciła się od niego nagle, okazując najwyższą niecierpliwość i niezadowolnienie.

Atoli nie zważał na to Radziejowski:

— Senat i Rzplita — mówił on — w których imieniu staję, mają na sercu los potomków króla Jana; chcąc atoli tę troskliwość pogodzić z przynależnem dla siebie uszanowaniem, chcą dziękować za przywrócony porządek samym potomkom, a nie powadze prawa. Zaręczysz-że W. K. Mość słowem honoru, że się więcej do tego żałobnego obrzędu nie zbliżysz?

Zarumienił się Jakób na te słowa, dotknęło go upokarzające uczucie nadaremneho oporu, i rzekł przytłumionym głosem:

— Daję moje słowo.

Gdy jednak kardynał spojrział na królową, oczekując odpowiedzi, ta wyniośle zawołała:

— Nie spodziewajcie się po mnie podobnego jak od królewicza poniżenia. Wdowa Jana III. nie potrzebuje dawać słowa, że nie spełni zbrodni, o którą jej nikt posądzić nie zdoła.

— Jeszcze nam jedno zostaje — ponowił prymas, nie zważając na słowa królowej. — Trzeba usunąć nieprzyzwoitość nasze oczy i serca rażącą.

Za danym znakiem zbliżył się podskarbi z koroną i arcybiskup gnieźnieński, kładąc ją na skronie zmarłego, dopełnił obowiązku, który mu i względem żyjących królów służył.

Wielu pragnęło końca tej sromotnej sceny, ale Michał Radziejowski jakby umyślnie ją przedłużał:

— Zaprawdę, winniśmy ufać pięknemu sposobowi myślenia Jej K. Mości, jako też słowu królewicza, jeszcze atoli jedna pozostaje prosta formalność. Rzplita jest zawsze dozorczynią pozostałości królewskiej; do niej więc należy straż nad nią. Mości w. hetmanie koronny, wzywam was, aby gwardja koronna zajęła miejsce straży zamkowych.

Stanisław Jabłonowski oświadczył swoje gotowość, skoro tylko obrzęd znowu się rozpocznie; wówczas kardynał odezwał się do królowej:

— Ciesz mnie, iż mogłem dopełnić z satysfakcją W. K. Mości urzędu, który na mnie łaska boża i apostołskiej stolicy wkłada. Nie już wzruszać nie będzie tak pożądaney wam, po bolesnej stracie i tylu zdarzeniach, spokojności; wznosić będziemy do nieba za tym, któregośmy stracili, i baczyć, aby jego rodzina nie doznała krzywdy.

— Zapominacie, widzę, Mości kardynale — rzekła Marja — że i nieboszczykowi winniście waszą dostojność. Lecz uznaję odpowiedzialność, jaką na siebie bierzecie, i powołam się na nią w razie potrzeby. Pójdźcie, królewicze — ozwała się głośniejsz do Aleksandra i Konstantego. — Taka jest wola Rzplitej, jak mówi kardynał, bądźcie jej posłuszni; bo ten tylko, co słuchać umie, panować potrafi. Przyjdzie może czas, gdy dumnego sługę zniewolicie do uszanowania.

Gdy wychodziła z synami, skłonił jej się kardynał, potrząsając głową w sposób szyderyczy.

To, co zaszło, nie mogło rozweselić umysłu Marji Kazimiery. W tych komnatach, w których niedawno rządziła samowładnie, występować musiała jako strona przeciw własnemu synowi, przed człowiekiem, którego dotąd sługą swym

zwała, a którego wyrok nie był dla niej bardzo pomyślny: pominawszy bowiem kilka formuł grzeczności, stawiano ją w równi z synem, choć była matką i królową; żałowała więc, że tyle hałasu posłużyło tylko do jawniejszego wykrzycia niezgody domowej, do przekonania się o zmianie sposobu myślenia niektórych osób niegdyś przychylnych, i do okazania tak licznemu zgromadzeniu, że już straciła swoją powagę. Kilkudniowe atoli doświadczenie nie było zdolne do łagodniejszych skłonić ją kroków; aby więc zatrzeć uczucia żalu, zaczęła w najwyższym gniewie zwałać całą winę na królewicza Jakóba.

Skoro przybyli na galerję, w miejsce, gdzie odbyło się dawniejsze z synem spotkanie, królowa stanęła; otoczyli ją zaraz idący za nią panowie, częścią dla udzielenia jej rady, częścią dla innych widoków. Był pomiędzy nimi wojewoda ruski, który postanowił pilnować, aby przewaga matki nie skłoniła jego pupilów do jakiego nierozważnego kroku.

— Los to monarchów — zaczęła Marja — wszędzie niewdzięczności doznawać; nie dziwię się temu, bo i Janowi IIImu podobnie się trafiało. Ów kardynał, jakże się pawi blaskiem kilkugodzinnego panowania, jak go łechce, że wyższy odemnie! lubo, gdyby nie ja, nie doszedłby nigdy do takiej godności w kraju, przez jego stryja zdradzonym. Przyczucie się do tego widoku, królewicze, aby wam łatwiej przyszło znieść kiedyś boleść, co tylekroć wspaniałe waszego ojca serce raniła.

— Jużem się dawno nauczył — odparł skromnie Aleksander — nie będę więc już zdziwiony. Obyście wy tylko, droga matko, nie doznali przykrości.

— Nie bój się tego — odrzekła Marja — potrafię nad sobą i nad wami czuwać.

— Innych jeszcze mamy obrońców — ozwał się Konstanty — owi panowie, których tu widzicie, staną nam za kapłana, choć byłby prymasem i członkiem świętego Collegium. W potrzebie poznaje się przyjaciół, a podobno w wielkiej jesteśmy.

Są, którzy hojni w słodkie słówka, wtedy tylko się pokazują, kiedy gwiazda świeci. Na miejscu W. K. Mości nie ufałbym podobnym, przynajmniej dopóki by nie wytrzymali próby; natomiast ufałbym tem więcej tym tu cnotliwym panom, w których widzę naszych obrońców, o tyle, o ile się z prawami Rzplitej zgadza; bo prawo zawsze miłe jest Bogu.

Królowa, rzuciwszy częścią niepewny, częścią uprzejmy wzrok na senatorów, rzekła:

— Czy tak rozumiesz, synu? Wprawdzie nie wątpię o przywiązaniu starych przyjaciół mego małżonka, atoli przygoda z bratem waszym usprawiedliwia zmniejszoną ufność moje. Kto zniewolony z krnąbrnym synem otwartą wieść wojnę, możeż obcym ufać?

— N. Pani — ozwał się w. marszałek — jeśli mówicie o obcych w całym słowa tego znaczeniu, chwale waszę ostrożność. Ale my nie jesteśmy obcy, jesteśmy towarzyszami broni Jana III., domownikami jego. Takim tylko odmawiać należy zaufania, którzy tu od niedawnego czasu jakby w gospodzie goszczą, i wkrótce w dalszą puszcza się podróż.

— Oby was usłuchała królowa, szanowny panie — zawołał królewicz Konstanty.

Nie podobały się te słowa Marji, rzekła więc gwałtownie do syna:

— Precz z uwagami! nadewszystko strzeż się, byś przez dziecinną płochość wielkiego nie popełnił występku. to jest, byś za dobre złem nie odplacił. Pojęłam myśl wasze. Mości marszałku, nie potrzebuje objaśnień tego młodzika. Mówicie, że jestem wśród przyjaciół, będę więc mówić otwarcie: nadeszła chwila odkrycia tajemnicy. która, jak każda otoczonego wielu stróżami tronu. na wpół tylko zasłonią była. Zaprawdę, znam jednego, co acz nam mniej obowiązany od innych, czuje się wszelako do wdzięczności i to nie tylko słowy, ale i czynem. Nie mam potrzeby wymieniać go, ani odkrywać pobudki wspierającej wolę jego; lecz najlepszym będzie przychyłności dowodem, jeśli wszyscy, co się naszymi

przyjaciółmi być mienią, idąc za mojem życzeniem, dążyć będą z nim wspólnie do jednego celu.

— Obawiam się, by już tak nie uczynili — rzekł w. marszałek, szukając nadaremnie swego krewnego Hieronima Lubomirskiego — i właśnie takich w tak stanowczej chwili nie widzę w orszaku W. K. Mości.

— Kiedy już tak ma być w Polsce — ozwał się w. hetman — że bez cudzoziemców obejść się niepodobna, wołałbym już przyłączyć się do niego niż do innych, byleby tylko zamysły swoje jaśniej jak dotąd wyłożył; wszystko bowiem, N. Pani, co dotąd mówił, było względem Rzplitej dwuznaczne i niepewne.

— Słusznie mówicie, panie kasztelanie krakowski — rzekł Andrzej Załuski — dwuznacznem jest postępowanie Opata de Bonport, jakkolwiek przychylnym przemawia językiem.

Na te słowa królowa zapytała z szyderczym uśmiechem:

— Przystoiż duchownemu tak źle sądzić o koledze? Wasza troskliwość jest zbyt uczynna; nadto jestem pewną pana Polignaca, jego życzenia zgodne z mojemi. Francja głośno się oświadcza za jednym z tych królewiczów, którzy niestety, nie dosyć czują swe szczęście; król arcy - chrześcijański udzielił mi rękojmi swej przychylności, i byłoby nierozsądkiem odrzucać pomoc najpotężniejszego chrześcijaństwa monarchy. Nie będzie ona nawet bez użytku przeciw roszczeniom waszego brata, który dufa swemu spokrewnieniu. Wprawdzie ta pomoc służyłoby mogła i komu innemu, lecz ani ów inny, ani syn zapamiętały na tronie mego małżonka nie siądzie.

— Ja nigdy obcej pomocy nie będę szukał przeciw bratu — ozwał się w sposób łagodny Aleksander.

— A ja — dodał Konstanty — poradzę sobie z Jakóbem, lecz bez pana Polignaka.

— Pocóż W. K. Mości szukać cudzoziemców pomocy, gdy ją prędszą i skuteczniejszą w własnym znajdziesz domu? — wtrącił biskup płocki — nie chwale ja wprawdzie postępku

królewicza, ale sędzę, że przyzwoite umiarkowanie wróci go na prostą drogę. Oby miła Bogu i ludziom zgoda ukończyła zbyt długie niesnaski; dołóżcie do niej swej ręki, N. Pani, niech tak ważna dla Rzplitej okoliczność tu się rozstrzyga a nie w Wersalu lub w Wiedniu. Wówczas Francja lub Austria będzie przyjaciółką tego, kogo współobywatele obiorą.

— Zgoda z królewiczem Jakóbem? nagle zapytała Marja, ani słowa o niej, proszę was, Mości kiskupie. Jeszcze nie umieram, i mam wiele do spełnienia, nim pomyślę o przebaczeniu, którego kapłani tylko na śmiertelnem łożu żądać mają prawo.

W milczeniu i z niechęcią przyjęli te słowa obecni; niejeden z nich przekonany o daremności wszelkich usiłowań, chciał się już był oddalić, gdy wtem zwolna uchylają się drzwi, i wchodzi młoda dama w dworskiej, lecz cokolwiek zaniedbanej żałobie, z rozpuszczonemi włosami, wybladłą twarzą i zapłakanemi oczyma.

— Mogęż mieć nadzieję — rzekła Jadwiga zadyszana i zaledwie słysząc się dającym głosem — mogęż mieć nadzieję, że W. K. Mość nie weźmiesz mi za złe mego tu przybycia? Wprawdzie nie jesteś tu sama, lecz obecność tych panów bynajmniej nie szkodzi; w obec nich zrzucić mogę ciężar pierś moję cisnący, bo wiem, że uznają słuszność powodu, który mnie tu sprowadza.

W chwili ukazania się synowej, uniesienie Marji przeszło w oziębłość, nie postąpiła i kroku, lecz w dumnej postawie, rzucając na nią wzrok żelazny, rzekła :

— Zaprawdę, Mościa pani, tak was rzadko w komnatach moich widuję, iż przyczyna odwiedzin waszych musi być niemałej wagi. Jeśli łaska, proszę wynurzyć wobec tych panów, co macie na sercu.

Przyjęcie podobne, acz nie było zupełnie zdolne do przywrócenia odwagi królewiczowej, zachęciło ją przecież do dalszego przemówienia; zniewalała ją do niego potrzeba przez

niestałego nawet Jakóba przyznana, odpowiedziała więc z pokorą :

— Choćbym nawet w czemkolwiek, czy to przez błąd, czy przez niewiadomość uchybiła, przebaczcie mi teraz, zwłaszcza teraz, N. Pani. Błagam łaski W. K. Mości dla siebie i jeszcze dla kogoś innego, przychodzę bowiem dopełnić powinności, która jest tej łaski warunkiem.

— Zbyt późno, Mościa pani, poznaliście powinność waszą — rzekła sucho królowa — a jeśli ów ktoś inny ma być waszym małżonkiem, proszę bardzo przestać mówić.

— Syn to wasz, za którym błagam — zawołała z zapalem królewiczowa — a choć nie jest bez winy — przebacz mu, N. Pani; wszak zawsze byliście dobrą dla niego matką. Bądźcież nią dziś jeszcze; dziś, kiedy wina jego jest tak wielka, iż ją tylko jedna matka przebaczyć może; okażcie mu macierzyńskie serce. Mam prawo prosić was o to, niedawno pojęłam sama, co to jest macierzyńskie serce. Mówią, że go chcecie pozbawić dziedzictwa; nie wierzę temu, bo to do matki niepodobne! podejrzliwa chciwość wcisnęła się między was, chcecie zniweczyć jej usiłowania. Królewicz jest już przejęty skrucą, jedno wasze słowo, jedno spojrzenie przywiedzie go do nóg waszych.

— Miło mi słyszeć — odparła królowa — że przecież uznajecie winę królewicza. Jednak niepomął mię dziwi wzruszenie wasze z powodu niesnasek, których sami po większej części przyczyną jesteście.

— Ja? — zawołała przestraszona Jadwiga — Bogu wiadomo, i świadkami są ci panowie, jakem ciągle usiłowała rozjaśniać smutne królewicza myśli, i synowską jego ku rodzicom ufność przywrócić, mamże pokutować za dobre chęci moje? Spójrzycie łaskawiej na mnie, a starań moich pomysłniejszy będzie koniec!

Lubo królowa dostrzegła wrażenia, jakie ta mowa na obecnych sprawiła, nie zmieniła jednak wyniosłej postawy.

Napróżno wyciągała do niej błagające ramiona Jadwiga; z gorzkim uśmiechem odpowiedziała:

— Starania wasze za życia króla nie są mi tajne. O innych nie wspominajmy, brakłoby czasu do wyliczenia wszystkiego, co tak długo nasze zakrwawiało serce. Bądź co bądź, dzień waszego przybycia był początkiem nieszczęść, na które tak czule się użalacie.

Przez chwilę zdawało się, że w królewiczowej polskiej walczy obrażona miłość własna z czułością; pierwsza jednak uległa królewiczowa i rzekła uprzejmie:

— A więc przebacz mi, N. Pani, Bóg widzi poniewolną winę; dozwól, bym się cieszyła przywróceniem pokoju w rodzinie, do której teraz więcej niż kiedy należę.

— Wasza rodzina — ponowiła nieporuszona Marja — jest w Heidelbergu, Wiedniu, Madrycie, Lizbonie i Parmie. Do niej to, nie do nas zawsze należeliście, i nasz syn z waszej przyczyny stał nam się obcy. Tam skierujcie wasze prośby, możeć przecie dotrzymają obietnic, któremi łudził się wasz małżonek, dla których wyrzekł się rodzicielskiego domu; tam jego miejsce.

— A tu jest moje — krzyknęła zalana łzami Jadwiga, rzucając się do nóg Marji — tu moje miejsce, małżonki waszego syna, matki przyszłych waszych wnuków.

Wszystkich oczy zwróciły się na królewiczową, a jej spoważniała kibić wyjawiała dla domu Sobieskich nadzieję, która wszystkich mimowolną radością przejęła. Ośmielona tem wrażeniem królewiczowa mówiła dalej:

— Nie, N. Pani, nie wypędzicie syna, córki i tej istoty, którą w łonie mojem noszę.

Okoliczność ta złagodziła cokolwiek lica Marji, lecz zbyt nienawidziła osoby będące tego wrażenia przyczyną, ażeby ono długo trwać miało. Jakoż cofnąwszy się krokiem w tył, rzekła obojętnie:

— Zaniechaj W. K. Mość nalegań, które nigdy nie zdołają odrobić tego, co się stało, a mogą obrazić przyzwyczajoność.

— Kochani bracia moi — zawołała Jadwiga, opierając się znużona na podnoszących ją królewiczach — kochani bracia, i wy Wielmożni i Wielebni panowie, dodajcie mocy słabym słowom moim, aby trafiły do serca królowej. Wy, ojcowie ojczyzny, nie dozwólcie, by pierwszy z pomiędzy obywateli wypędzany był z ojcowskiego domu. Bracia moi, wy dobrzy jesteście, wy nie pragniecie tej niesprawiedliwości.

Tu obsypano królową błaganiami; wspierali je Panowie świeccy powodami rozsądku, duchowni zasadami religji, królewicze całym zapalem młodocianej tkliwości. Lecz żaden z tych głosów nie trafił do Marji Kazimierzy, i przerwała je temi wyniosłemi wyrazami:

— Was, moi panowie, którzy się mymi przyjaciółmi zowiecie, proszę; wam zaś, królewicze, rozkazuje, abyście przestali mówić mi o przebaczeniu, któreby mi szkodę i hańbę przyniosło. Rzeczpospolita sąd tu wyda, jej wyroku czekamy. Gdyby miał być niesprawiedliwy, postaramy się o inny. Nie jestem bez przyjaciół i bez sposobów do ich utrzymania, i nie obawiam się bynajmniej ani królewicza Jakóba, ani jego austryjackiej partji. O szczerości jego przekonać się możecie z słów żony, które oświadczają posłuszeństwo, powołują się na jakieś zaprzeczone mu prawa. Nie macie tu żadnego prawa — dodała obracając się do Jadwigi — przynajmniej do tej pory; a jeśli rościecie sobie jakie nadzieje, pozwólcie mi powątpiewać o nich. Jedna tylko z nas może w tym zamku mieszkać; jeśli będę kiedy zniewolona ustąpić wam, to dobrze, ale dziś wy mnie ustąpić musicie.

Jadwiga podniosłszy się z wolna z upokarzającej postawy swojej ze łzami w oczach, lecz z gniewem na twarzy, przemówiła poważnie:

— Najjaśniejsza Pani! ostatnie słowa wasze zwiastują mi rozkaz oddalenia się; jestem posłuszną — niebo niech bę-

dzie świadkiem czystych moich chęci; odepchnęło je serce wasze, niech więc na was ciążą skutki! będę prosiła Boga, żeby was od własnych kiedyś wyrzutów uwolnił.

— Mościa pani — odpowiedziała zapominając swej godności Marja — skutki biore na siebie. a jedynym wyrzutem moim ten będzie, że zezwoliła na ożenienie syna mego.

Królewiczowa doszedłszy do drzwi, skłoniła się obyczajem dworskim, a pożegnawszy uprzejmie odprowadzających ją braci, opuściła galerję.

Już znikła a jeszcze gniew pałał w piersi królowej, obecni panowie obrażeni jej groźbami, gwałt zapowiadającymi, postanowili niemal wszyscy własnemu losowi zostawić kobietę, której upór i duma coraz wzrastały. Bardziej jeszcze dotknęła ta scena królewiczów; łzy młodej kobiety sprawiły na młodych umysłach zwykle wrażenie swoje; mimo wolnie stanęli po jej stronie przeciw matce; a przypominawszy sobie częstą niegdyś niesprawiedliwość Marji, umyślili w duszy nie poddawać się bezwarunkowo władzy, którą tak nieprzezornie rozpościerała. Konstanty mający zawsze myśl na ustach, oświadczył:

— Nie mogę mówić, ażeby mi się dotychczasowe postęпки brata Jakóba podobały, ale po tem, co zaszło, już go winić nie będę. Wyznam W. K. Mości, że gdybym miał żonę, nie ścierpiałbym, aby nawet matka tak się z nią obeszła.

Królowa odpowiedziała na pół z gniewem, na pół z uśmiechem:

— Zaprawdę, w twoim wieku, dokładnie znać można obowiązki małżeńskie. Pilnuj tymczasem obowiązków syna. Jeżeli jednak o małżeństwie myślisz, postaramy ci się o żonę, która lepiej znać będzie, co się należy matce. Spodziewam się, moi panowie, mówiła dalej, zapominając się jak zwykle — że teraz będziemy mogli swobodniej rozmawiać, i już nie przeszkodzi Nam Niemka, co pod maską czułości chciwość i zuchwalstwo ukrywa. Muszę wam powierzyć pewną okoliczność, którą mi przypomniła mowa Konstantego. Oświad-

czyłam już Waszmościom, że brat nasz król francuski przyrzekł nam dać zakład swojej przyjaźni. Przeznacza on przez swego posła jednemu z tych królewiczów księżniczkę de Bourbon, wnuczkę Wielkiego Kondensza; osądźcie sami, ile ten związek pożytecznym będzie do osiągnięcia celów, któreście ś. p. królowi i nam samym wspierać przyrzekli.

— Winszuję W. K. Mości takiego szczęścia — ozwał się Stanisław Jabłonowski — lecz radbym widział ważniejszą od słów Opata de Bonport podstawę. Żeby w tej mierze stanować, trzeba nam urzędowych czekać oświadczeń, które dojść powinny Rzplitej i wyznaczonych przez nią opiekunów królewskiego potomstwa.

— Cóż przez to rozumiecie? — zapytała z dumą Marja — sądzicież, Mości kasztelanie krakowski, że król arcychrześcijański błagać będzie z osobna każdego senatora, każdego członka stanu rycerskiego, aby dał głos za księżniczką? Umiemy szanować wasze przywileje, lecz pozwólcie powiedzieć sobie, że je rozciągacie zbyt daleko. Czyny Jana III. postawiły nasz dom w rzędzie pierwszych domów Europy; niech więc wewnętrzne jego stosunki odbywają się podług obyczaju tamtych. My tu wyrokujemy jako matka i pierwsza opiekunka, nie zaś Rzeczpospolita lub współopiekunowie.

— Co się tycze Rzplitej — rzekł hetman — masz W. K. Mość słuszość, niema ona głosu, skoro królewicz zawiera związek w charakterze osoby prywatnej.

— Cóż mam sądzić z waszej mowy? — zapytała urażona Marja. — Chcecież obowiązkami senatora zastąpić się przed obowiązkami opiekuna? Lecz nie sądzę, żebyście byli zdolni oddzielać jedno od drugich.

— Bynajmniej — odparł Jabłonowski — chcę obojgu zadosyć uczynić. Skoro się tylko przekonam, że związek z księżniczką de Bourbon zgodnym będzie z dobrem jej małżonka i Rzeczypospolitej, pierwszy dam głos za nim.

— Już ułożony ten związek — wtrąciła niecierpliwie Marja.

— Lecz wszakże na taki tylko przypadek — dodał Andrzej Załuski — gdy przekonamy się o tem, co pan krakowski powiedział? Już nie raz zbyt skwapliwe w takowej mierze postępowanie nie przyniosło ani krajowi, ani małżonkowi szczęścia. Mamże W. K. Mości przypominać Bonę, Konstancję Austryjczkę, i... jeszcze jedną, której imię tłumi w ustach moich uszanowanie, jakie się W. K. Mości należy.

Lubo mowa biskupa ściągała się do Marji Ludwiki z Gonzagów, niegdyś opiekunki Marji Kazimiery, wyrzuty sumienia okryły rumieńcem lica zagadnionej i sucho wyrzekła:

— Jestem matką i wiem najlepiej, na czem dobro mych synów spoczywa. Atoli — dodała żartobliwym tonem — chcielibyśmy słyszeć zdanie i tych, których to najbliższej dotyczy. Czy wiecie, królewiczu Aleksandrze, jakie was szczęście spotkać może? czas jest, aby wasz umysł obudził się z głębokich zatopień, ażebyście spojrzeli na pospolity wprawdzie lecz ważny w życiu ludzkim wypadek. Jakże, podobał się wam wspomniony związek?

— Jestem w tej mierze — odparł pomieszany nieco królewicz — zdania W. Marszałka, i sądzę, że ustne oświadczenie pana Polignaka niezdolne ściągnąć na ten przedmiot całej mojej uwagi. Tem więcej — dodał prędko, postrzegając chmurzące się matki czoło — że w czasie mego pobytu w Paryżu i dwór i kraj cały księżniczkę de Bourbon mienił być narzeczoną księcia du Maine.

— Widzę, że nie wiele masz ambicji — odpowiedziała Marja — kiedy sądzić możesz, iż syn Jana III. ustąpi pierwszeństwa dziecku nieprawego łoża, choćby nawet Ludwika XIV. Nie wierzę ja owej wieści, ale gdyby nawet była prawdziwą, możecie być pewni oba, że ów współzalatnik natychmiast wam ustąpi.

— Nie chcę się z nim mierzyć — odparł Aleksander śmiało — tem więcej, że w oczach moich zbyt jest ważnym związek małżeński, abym się do niego tak porywczo skłaniał.

— Lepiej podobno dla was będzie, jeśli go nigdy nie zawrzecie — zawołała Marja z oczywistą niechęcią. — Widzę, że wam najprzyswoitszy czerwony kapelusz.

Tu obróciła się do Konstantego, zapytując go także:

— Lecz wy, młody rycerzu, wszak się nie boicie jak brat wasz małżeństwa. Czy i wam nie do smaku ofiarowany związek?

— Związek, kochana matko, zawsze do smaku — odpowiedział żartobliwie zapytany — lecz osoba nie bardzo. Gdybym się miał żenić, szukałbym żony w kraju, ale nigdy księżniczki de Bourbon. Co brat mówił o księciu du Maine, istna prawda; jest jeszcze coś więcej, o czym przez skromność zamilczał. Znaie moję otwartość, nieraz podobała się W. K. Mości; dzisiejsza jednak może nawet być pożyteczną. Cały świat ma księżniczkę za próżną, i gorzej jak próżną, a do tego kłótniawą. Sądzę przeto, że pierwsza wada nie uszczęśliwi małżonka, a druga zamiesza spokojność kraju. Nieraz ją spotykałem, bo wyznam, że mi się podobała; lecz przekonałem się, że wieści o niej były sprawiedliwe, a stąd choć jest piękną, rozumną i uczoną, odstepuję jej całem sercem synowi margrabiny de Montespan.

— Dalipan — zawołała królowa, niby żartując — trudno by nawet w czarodziejskich powieściach pani d'Aulnoy znaleźć drugich dwóch podobnych królewiczów, którzyby o zakład najpiękniejszymi i najgodniejszymi hołdu pogardzali księżniczkami. Szczęściem, że macie jeszcze matkę rozsądną, której winniście posłuszeństwo. Jużem tak postanowiła, i sama między wami wybór uczynię; do was należy słuchać.

— We wszystkim, N. Pani — odezwał się niepodległy Konstanty, byleby nie w tem, co doradza opat de Bonport. Wyznam bowiem, że jego zbyt skore mieszanie się do spraw naszych wcale mi nie do smaku.

— Nie do smaku? — powtórzyła Marja Kazimiera — jak gdyby tu wasza wola a nie moja najwięcej ważyła. Roz-

kazowi to memu podległa jest wasza osoba, wasze zamiary i całe wasze mienie.

— Przeczę temu — przemówił milczący dotąd wojewoda ruski — za pozwoleniem W. K. Mości. Nie mam nic przeciw rozrządzaniu ręką synów, ale co do majątku rzecz inna. Na to jestem opiekunem, abym go pilnował. Nie tajne mi było oświadczenie francuskiego posła, mówił jednak sam o dawniejszych zastawach, które jego dworowi powierzone zostały, i przechwalał się, że inne jeszcze nadejdą. W takich okolicznościach, sędzę, że najlepiej zachować królewiczów przy swoim. Takie jest moje zdanie, czemuż nie objawiacie swego, mości hetmanie, wszakże przodkujecie w opiece?

Stanisław Jabłonowski, który przez dawną dla Jana III. przyjaźń z boleścią serca patrzył na niezgodę pomiędzy jego potomstwem, i chronił się podniecać płomieni zbyt skorem słowem, rzekł uprzejmie:

— W. K. Mość darujesz, gdy powiem, iż podług mnie nie wypada pewnej własności na niepewne zamieniać obietnice. Później dowiemy się, co czynić należy; lecz czekajmy wyroku komisji, która się zajmie sporządzeniem działów.

— A ja — dodał Małczyński — interes ten będę przyspieszał, żeby wszystkiemu koniec położyć.

— Wybór naszych synów i nasze zaufanie powierzyły wam obowiązki opiekuńcze — rzekła dumnie Marja Kazimiera — cofnięcie pierwszych, może was od tych obowiązków uwolnić. Mówcie, królewicze, z kim trzymacie, czy z tymi, co, nadużywając zaufania ojca, pobudzają was do nieposłuszeństwa, czy z waszą matką?

— Znacie moje powolność, N. Pani — przemówił Aleksander skromnie lecz stanowczo — wiecie, jak jestem gotów dowieść jej wam w każdej chwili. Jednak po tem, com niestety widział, jestem zdania, iż zaprzeczanie praw Jakóbowi bratu zasieje tylko w domu naszym wieczny niepokój i goryczą napoi nasze i przyjaciół naszych serca. I my i W. K. Mość oddaliśmy sprawę naszą w ręce najwyższej w kraju

władzy, mniemam więc, że należy uznać, co ona przedsięweźmie. Gdy to się stanie, znajdziecie mnie, matko, zawsze posłusznym synem.

Konstanty zaś dodał:

— Jestem młody i nie umiem cenić wartości pieniędzy, o które tu tak bardzo chodzi, jednak nie chciałbym oddawać w ręce pana Polignaca części majątku, którą mój ojciec w krwawych zapracował bojach, choćby nawet na kupno innej jak księżniczka de Bourbon oblubienicy. Prócz tego, mam opiekunów, niech więc oni w mem imieniu to zdziałają, co moje doświadczenie przechodzi.

Zdziwiona królowa zaledwie ukryć mogła gniew swój, widząc opór podobny, który jednak później dozwolił jej resztą swych bogactw dowolnie rozrządzać. Twarz jej pobladła, i rzekła przytłumionym głosem:

— A więc i wy powtarzacie naukę, której wam pozorni przyjaciele a istni udzielili wrogowie? A więc i ci buntują się przeciw matce, która z takim staraniem i pracą budowała ich szczęście, która ich wyniosła ze stanu poddaństwa?

Nadaremnie zapewniali królewicze, iż we wszystkim, co jako matce się przynależy, będą posłuszni; nadaremnie zaklinali biskupa i magnatów, by ją miarkowali; odwróciła się od nich z pogardą, a nawet odepchnęła ich, gdy się zbliżali. Poczem poszła spiesznym krokiem do okna, w którym stały doniczki z kwiatami, i tak zawołała:

— Przebrała się już miarka, czas jest wszystko wywrócić! Idźcie niewdzięczni, połączcie się z buntownikiem bratem, wystąpcie bezbożni do boju przeciwko mnie, wszystkim wam się oprę! O mój królu małżonku, jakżeś się mylił, dając mi te kwiaty jako obraz zgody i szczęścia w domu Sobieskich, jakżem się ja myliła, dając temu wiarę! Lecz — dodała obrywając róże i rzucając je na posadzkę — tak i ja was wyrwę i wyrzucę z serca mojego, z ojcowskiego domu, z tronu! Dopóki żyje Marja Kazimiera, żaden z niegodnych Jana III. potomków korony po nim nie osiągnie; wolę ją obce-

mu ponieść i powierzyć, i łaska królowej polskiej będzie zemstą przeciw jej synom! Precz z moich oczu, rozkazuję wam odejść stąd natychmiast wraz z tymi, którzy was do nieposłuszeństwa skłaniają.

Biskup płocki, patrząc na postawę Marji Kazimierzy, wydał poniewolny okrzyk przestrachu i rękoma twarz zasłonił; oburzeni zaś magnaci postępowaniem, dotykającym ich dumy i szczerości zamiarów, wyszli spieszonym krokiem z sali, uprowadzając z sobą królewiczów, którzy po raz pierwszy w życiu pożegnali matkę zimnym ukłonem.

Wyrzeczone już było nieszczęsne słowo; rozeszło się po całej stolicy i Marja żalowała go potem, ale za późno. Doszło nawet do Polignaka i przywiodło go do królowej.

Z uczuciem słuchał on skarg jej, niósł słowa pokoju i pociechy, i po raz pierwszy wyszło z ust jego nazwisko księcia de Conti. Zapamiętałość Marji była tak wielką, że go nawet z upodobaniem słuchała.

Przystąpiono do spisania królewskiego majątku: prócz znacznej wartości amsterdamskich, londyńskich i weneckich papierów, znaleziono 130.000 dukatów w złocie; srebra zaś tyle, iż do przeliczenia go kilku dni użyć musiano. Wszystko zaraz na cztery podzielono części i część każdą odosobniono. Skarb w kosztownościach był jeszcze bogatszy. Andrzej Załuski zapewnia, że przy tej okoliczności Jego Eminencja kardynał gnieźnieński przyznał się do kilku pierścieni, poczytując je za swoją własność, albo może za wynagrodzenie dawniejszej przychylności dla familji Sobieskich. O równie niepiękny postępek obwinia on także wojewodę ruskiego, jednego z opiekunów królewiczów.

Urząd delegowanych ograniczał się tylko na tem, co w zamku znaleziono, zostawały jeszcze do podziału ogromne dobra Sobieskich i znajdujące się w nich bogactwa. Król-wicz Jakób pospieszył do Żółkwi, a za nim chciwa królowa. Chętnie przestajemy kreślić obrazu dalszych nieprzyzwoitości; zdarzenia w Żółkwi powiększyły wzajemne rozjątrzenie.

Pewnego dnia po powrocie, zapytała Marja Marcina Kątskiego wobec wielu świadków: czyliby nie chciał królem zostać?

— N. Pani — odparł wojewoda kijowski — gdyby nawet W. K. Mości służyło rozdawnictwo korony, dziwiłoby mnie, iż ją ofiarujesz temu, którego niedawno sądziłaś niegodnym mniejszej buławy.

Dnia 26go Sierpnia powtórzyła na zgromadzeniu stanów oświadczenie, że Polska zginie, jeśli którego z synów jej na króla obierze; pamięć na ojca nie pomódz nie może tym, którzy mu są mniej podobni niż wielu obcych.

Oburzone jej uporem i natręctwem rycerstwo nagliło, aby się oddaliła. Jakoż dnia 8go Września udała się do Gdańska. Na drodze, niedaleko Bielan, prosił ją królewicz Jakób o posłuchanie. Towarzyszyło mu wielu panów, mianowicie Dąbski, biskup kujawski. Nie chciała z nim mówić i słowa, nie zdjęła nawet maski podróźnej, i obeszła się z biskupem tak niegrzecznie i pogardliwie, że ten poprzysiągł, iż żaden z jej synów i żaden z tych, komu ona sprzyja, korony nie osiągnie.

Ciągle nią rządzący Polignac sprawił, iż na szkodę synów połączyła się z pozyskanym przez niego Sapiehą i jej to pieniądze sprawiły, że poseł Chorodzyński przez swoje *nie pozwalam* zerwał sejm Sobieskim przychylny. Codzień staowało się głośniejsze imię księcia de Conti, codzień liczniejsi jego stronnicy, bo skarby Marji synom wydarte służyły za żołd partji, która tych synów z tronu straciła.

Austryja zalecała Polakom królewicza Jakóba, ale tylko słowami, bo biskup passawski nie był w stanie tak ważnemi wspierać go argumentami jak poseł francuski.

Rozdział 15.

Zerwanie owego pierwszego po śmierci Jana III. sejmku zrządziło potrzebę zwołania drugiego, na którymby senat i stan rycerski oznaczyli szlachcie czas i miejsce do elekcji króla. Według zwyczaju zwołać musiano poprzednie sejmiki. Sejmiki te nie zawsze bywały spokojne. Obrady na nich z początku poważne, w których głośnemi były słowa: wolność, przywileje, dobro ojczyzny, zamieniały się częstokroć w zważwe kłótnie, a następnie, w miarę mocy trunków, w walkę i przelew krwi. I teraz tak się działo, więcej nawet niż kiedy. Wielka liczba pretendentów do korony, ich starania i roboty, zwlekały obrady; minęła zima, a jeszcze nie wszystkie ziemie objawiły swe zdanie.

Przecież coraz głośniej mówiono o pretendencie francuskim; zwłaszcza w okolicach stolicy, gdzie wpływ opata de Bonport był największy; w Wielkopolsce, gdzie ulegano życzeniom prymasa, i w Litwie, gdzie Sapieha niweczył opór wielkiego kanclerza Radziwiłła, chcącego wynieść swego siostrzeńca. Część tylko Małej Polski była Sobieskim przychylną, mianowicie województwo krakowskie najstarszemu: ale i tam zaczynała głowę podnosić partja, która, w Prusach królewskich początek swój wzięła i która ukrywając swe istotne zamiary, ganiła wszystkich pretendentów. Królewicz Jakób doświadczył skutków błędnego postępowania: jedyny cel, jaki

osiągnął, był ten, iż uzyskał udział w sukcesji po ojcu w Polsce, i że matka wyjechała. Ważniejszego celu postanowił przeciwnym dochodzić sposobem, mianowicie popularnością. Że jednak ta nie zgadzała się z jego sposobem myślenia i nie była mu do twarzy, mało przyniosła skutku.

Znajdowali się wszakże dawni ojca jego czciciele, którzy oburzeni postępowaniem królowej, patrzyli na syna łagodniejszym okiem politywania; czego więc dawniej nie czynił, zaczął teraz czynić, łączył się z tymi, którzy dawniej losowi jego inny nadać mogli kierunek.

Miedzy tymi znajdował się i książę Wiśniowiecki; pamiętny na dane przyrzeczenie ojcu, nie odpychał zbliżenia się Jakóba i w jego sprawie używał całego wpływu swego. Aleksander bowiem postanowił raz na zawsze nie ubiegać się z najstarszym bratem, a o Konstantym zupełnie ucichło, gdyż odjechać musiał z królową do Gdańska, a tam ściśle dozierano wszelkiego znoszenia się jego z przyjaciółmi. Końcem uniknienia zupełnie styczności z posłem francuskim, oraz zaspokojenia przeciwników, którzy mu wyrzucali, iż tak długo w Ujazdowie, w własności korony, przemieszkując, król Lewicz Jakób przeniósł się do Wilanowa, który mu się dostał w udziale.

Tam bawił u niego kiedy niekiedy po dni kilka Dymitr, szczęśliwy, że dawno pożądanego zamiaru pogodzenia dwóch braci Jakóba i Aleksandra, które teraz wielkich nie doznało trudności, dostąpi. Lecz wkrótce dostrzegł, że Jakób, prócz niego i dawnych domu przyjaciół, innych ma jeszcze doradców; że w Wilanowie zaczęli się pokazywać ludzie nieznani, mianowicie kasztelan chełmski. Wprawdzie starosta drahimski rzadko się z nim spotykał, jednak zawsze dowiadywał się za swoim przybyciem, że Jan Przebendowski dopiero co odszedł.

W chwilach spotkania uważał w nim ową zwykłą otwartość i lekkość, z jaką o najważniejszych sądził sprawach, a stąd rozumiał, że te sprawy bardzo go mało obcho-

dzą. Zwiedziwszy wiele obcych krajów, znał się na włoskiem budownictwie i ogrodnictwie, był więc królewiczowi pomocą do wielu upiększeń, którym każdy nowy dziedzic rad się oddaje. Z mowy i postępowania królewicza wnosić należało, że tylko chce używać rozkoszy pobytu w pięknej włości swojej. Wszakże o kasztelanie chełmskim rzadko przed swymi przyjaciółmi wspominał; choć postrzegano nieraz, że w czasie polowania zawsze tamten mu towarzyszył i częstokroć porzucali obadwa rozrywkę, oddalając się na osobne w lesie miejsce, ażeby z sobą rozmawiać bez świadków.

Teraz właśnie był czas, kiedy postępowanie Jakóba coraz się stawało jawniejsze i kiedy zaczął nieco stygnąć dla braci. Dnia pewnego przy stole, gdzie nie szczędzono starego wina, po królu ojcu pozostałego, dziedzic Wilanowa był nadzwyczaj wymowny. Z zapalem rozprawiał o konstytucji państwa, o przywilejach szlachty, o potrzebie, jaką ma każdy członek Rzplitej, zasługiwania na miłość współobywateli.

— Niegdyś i ja ją posiadałem — mówił dalej — gdy z tymi wojownikami pod chorągwią ojca walczył; nie tak nie zbliża ludzi jak trudy, niebezpieczeństwo i zwycięstwa. Z słabością króla odmieniła się rzeczy postać, powróciłem do dworu, oni do swoich siedlisk, i zniknęliśmy sobie z oczu. Wiele na tem cierpię; i będę się starał zbliżyć się do nich. Życie na wielkim świecie, przebywanie w Niemczech i nawiązanie do zwyczajów obcych rozdzieliło mnie z rodakami; lecz teraz, gdy na własnej ziemi osiadł, gdy jestem prawdziwym polskim szlachcicem, serce moje otwiera się ku nim, i pragnę, by moi panowie bracia nawzajem byli mi życzliwi, nie zważając na to, co inni mówią.

Z upodobaniem polscy panowie słuchali tej patryjotycznej mowy, a na cześć jej, podług zwyczaju, wniesiono toast; Dymitr atoli dziwił się niepomału tak odmiennym i nagłym zamysłem Jakóba.

— Zaprawdę — przemówił tu z uśmiechem ojciec Vota — chwalebne są intencje W. K. Mości; zasadzają się one na

miłości bliźniego. W złych jednak żyjemy czasach, bo do pozyskania tej miłości innych, prócz uczuć ludzkości, potrzeba środków: najdostojniejszym osobom z trudnością przychodzi jednać sobie serca gminu. Jego Ekscelencja Opat de Bonport zna dobrze te środki, i z tego powodu powiadają, że tu księciu Conti na przyjaciółach nie zbywa.

Uwaga ta obraziła skąpego Jakóba: nie lubił on ruszać pieniędzy, chociaż się tak troskliwie o koronę dobijał. Był to błąd, którego mu jego przyjaciele, jedni z doświadczenia, drudzy z chęciwości wybaczyć nie mogli. Po raz pierwszy zmarszczył dziś czoło i rzekł cudzoziemcowi:

— Ojczy Vota, wybaczmy osławianie naszego narodu. Wiem, że pan Polignac trwoni skarby, które się podobało N. Pani własnym synom odebrać, na pozyskanie stronników księcia de Conti: a ten przekłada zapewne salony paryskie nad zamek tutejszy i więcej tam aniżeli tu sprzyja. Jako złupiony nie mogę być wspaniałym; sądzę jednak, że widok dawnego towarzysza broni i syna Jana III. więcej pociągnie dobrze myślących, niżeli francuskie luidory z polskich przebite dukatów: że nadto miłszą dla Polaków jest pamięć dni sławnych od nadziei Opata de Bonport. Wszak prawda, Mości Panowie, że takie wasze zdanie? Wypijmy za zdrowie polskiej szlachty.

Odezwa ta nie znalazła oporu, a spełniony toast podochocił umysły wielu dostojnych biesiadników.

Nie tak działo się z księciem Wiśniowieckim; acz młody, znał on szkodliwe skutki przebranej miary trunku. Doświadczył tego nadewszystko na Jakóbie Sobieskim. Wstał przeto od stołu wcześniej niż inni i wyszedł do ogrodu.

Był to piękny wieczór majowy, księżyc świecił, drzewa, krzewy i darnina jaśniały świeżą zielonością, a połyskujące liście topol i okryte kwiatem pomarańczowe i cytrynowe drzewa, właśnie z zimowych więzień oswobodzone, przypominały Dymitrowi czcigodnego ogrodnika, który je tak starannie pielegnował, a sam padł ofiarą śmierci. Przypomnienie

lat młodych przywiodło mu na myśl owe świetne czasy, w których i zamek ów był budowany i ogród założony. Z tym obrazem połączył się i inny, i Dymitr w słodkich zatopiony myślach szedł dalej.

Wkrótce z prostej drzew ulicy, w francuskim stylu sadzonej, zabłąkał się w wąskie i kręte ścieżki krzewami ocienione, a po niejakiem czasie ujrzał się na owej okragłej darninie przed kioskiem, gdzieśmy dawniej Marję Kazimierę z Opatem de Bonport widzieli. Minawszy wskrósź przeźroczystą budowę, stanął od tej strony, w której odnoga wody oblewała mały pagórek. Tam oparłszy się na jednym ze słupów wspierających altanę, wlepił wzrok swój w płynącą łachę, marząc o owym dniu w Bielanach i o słowach Aleksandra.

Już stał czas niejaki, gdy w krzakach dał się słyszeć szelest, krzaki te i tą razą rozgarniała przychylna ręka, ale nie było na niej fioletowego jedwabiu tylko brunatna wełna. W miejscu zaś wykwintnego Opata de Bonport, ukazała się postać kobiety, zasłonionej welonem i w podróżnym stroju.

Gdy się ku niej obrócił, szła do niego, to szybkim to znowu wolnym krokiem a przystąpiwszy, powitała go z uszanowaniem.

— Ewa Jorkiewiczówna? — zapytał książę.

— Tak jest — odpowiedziała dziewczica — szukam was i służący tu mnie odesłali.

— Skądże was znowu w Wilanowie widzę — zapytał książę — rozumiałem, żeście w Gdańsku przy królowej?

— Kazano mi towarzyszyć innej wysokiej damie — rzekła wesóło i skromnie — margrabinie de Béthune. Wiadomo zapewne W. Ks. Mości, że ta niespodzianie odwiedziła N. Panią w Gdańsku, ale może wam tajno, że te odwiedziny równie były niemiłe jak niespodziewane, i na złe wyszły. Margrabina nie doznawszy uprzejmego przyjęcia, sądziła, iż owdowiałej królowej może wet za wet odplacić, stąd przez dni kilka było na naszym dworze wiele wrzawy i niespokojności. Wkrótce jednak pani moja dała rozkaz swej siostrze,

by we 24 godzin wyjechała z Gdańska a we dwa tygodnie z kraju. Opierała się z początku margrabina, ale N. Pani z taką powagą dała jej uczuć swą wolę, że margrabina wymawiała się już tylko odesłaniem służby i pojazdów. bez których puścić się w drogę nie mogła. Lecz i temu zaradzono, przeznaczono jej natychmiast kilka dworskich karoc, tudzież służbę, pomiędzy którą i ja się znajduję. Niektórym dano zlecenie, aby pani de Béthune zbyt długo w stolicy nie bawiła. Jakoż po krótkiej z posłem francuskim rozmowie puściła się w dalszą podróż, w lepszym już humorze, niż gdy wyjeżdżała z Gdańska.

— Winszuję szczęścia, żeś mogła przy tej sposobności tutaj powrócić—rzekł Dymitr żartobliwie lecz razem z przekąsem — zapewne cie tu niecierpliwie oczekują, i sędzę, żeś swego Celadona wprzód niż mnie powitała.

Ewa milcząca spuściła oczy, a potem rzekła :

— Tak jest, la Brie mnie tu przysłał.

— Uważam od niejakiemu czasu — ponowił książę — że ów chłystek ma dobre oczy i uszy, obawiam się, by ich na złe nie używał.

— Toż samo powiedzieć mogę o jego języku — wtrąciła dziewica — lecz miasto badać o tak drobne rzeczy, łaskawy Panie, nie wolicieź pytać o nowiny z miejsca, z którego przybywam?

— Najciekawsze już mi opowiedziałaś. Nie dlatego, bym się miał dziwić swarom między temi obiema damami, ale że dzis, kiedy N. Pani została na powrót Francuzką, sprzymierzona Opata de Bonport w takiej jest u niej niełasce.

— Podług mnie — odpowiedziała Ewa — gdyby nawet wszystko było jak dawniej, i gdyby owego Pana, o którym wspomnieć raczyliście, nie zasłaniał urząd, nie minęłoby i jego to, co panią margrabinę spotkało.

— Nie rozumiem cię — zawołał Wiśniowiecki — miałożby sprawiedliwe przekonanie zastąpić teraz miejsce długiego zaślepienia?

— Wiele się u nas rzeczy odmieniło — ponowiła Ewa — burza gniewu minęła.

— Zniweczywszy może słodkie nadzieje — dodał Dymitr.

— A w jej miejsce nastąpiła jednostajna powłoka żalu, która się we lzy obraca, płynąc z oczu oddawna suchych. Ostatnie wypadki zrodziły to przekonanie, że owocem tak wielkich ofiar było tylko własne poniżenie i zuchwalstwo tych, których niegdyś za wiernych sług i przyjaciół miano. Królowa uczuła skutki swojego postępowania i tego, który do niego dał powód; a długo lekceważone zdanie królewicza Konstantego usunęło wszelkie wątpliwości. Królowa wkrótce tu zapewne przybędzie, wyjdą na jaw nieprzychylne jej serca, wszyscy zaś, którzy dotąd nie mieli posłuchania, doznają uprzejmego przyjęcia.

— Zbyt późno donosisz mi o tem, Ewo—odparł Dymitr— oby nie było za późno. I tu nie jedno się odmieniło, i kto wie, czy wszystko znowu dobrze nie pójdzie. Lecz — dodał, pilnie uważając dziewczynę—wydziwić się nie mogę, że w rzeczach, które wprawmemu nawet oku ciemnemi się wydają, Ewa Jorkiewiczówna potrafi tak wyrokować?

— Czy W. ks. Mość zapomniałeś—odpowiedziała z uśmiechem — czem mnie obdarzył mój pradziad? Czyż powinno dziwić, iż rzeczy obecne nie uchodzą przed oczyma tej, która umie czytać w przyszłości? Tak jest, Mości książę, i jeśli pozwolicie, dam tego dowód. Słońce — mówiła dalej wolno i dobitnie — słońce wkrótce zajdzie, a po pięknym dniu miły nastąpi wieczór. Nie jednego znuży świeżość powietrza do wyjechania w pole lub w las, a jeśli pójdziecie za ich przykładem, radzę wam trzymać się brzegu Wisły ku Czersku, gdzie wiele zgromadza się ludu.

— Ku Czersku? — zapytał Dymitr bez zadziwienia — przypominam sobie, że tam dziś sejmik szlachecki.

— Tak jest — odparła Ewa — wielu tam będzie nieproszonych i natrętnych, do liczby pierwszych i wy należec będziecie, ale za natrętnego nikt z obywateli księcia Wiśnio-

wieckiego nie poczyta. Nie jedźcież jednak sami. Orszak czeka już was na końcu wsi, bo na mój rozkaz brat ściągnął tu z Warszawy kilku towarzyszków.

Uniesiony tą tajemniczą mową Wiśniowiecki zadawał dalsze pytania młodej Sybili i ta zaczynała już na nie naturalnym odpowiadać tonem, gdy z pomiędzy krzaków ukazał się la Brie w bogatą przystrojony barwę.

Biegł on na skrzydłach miłości za swoją Sylwją, i chciał właśnie do niej poskoczyć, gdy ujrzenie księcia wstrzymało jego kroki. I Dymitr niekoniecznie był rad jego przybyciu; jakoż spojrzawszy na niego ponuro, już chciał otworzyć usta dla wydania groźnego rozkazu, gdy Ewa, mrugnawszy okiem, zawołała:

— Po co tak śpieszno, Mości la Brie, musicie mnie przeprowadzić przez ten labirynt, przed chwilą dopiero ledwie wyszła z niego.

— Czy królewicz u stołu? — zapytał Wiśniowiecki przełknionego Francuza.

— Przed pół godziną wsiadł już Jego Król. Mość na konia i pojechał ku górze brzegiem Wisły z kilku ludźmi.

Nie daleko niegdyś miasta, dziś miasteczka Czerska, była jeszcze przy końcu 17. wieku po nad brzegiem Wisły stara kaplica, zbudowana przez jednego z książąt mazowieckich z pokolenia Piastów, którzy rządili tą prowincją. Po wygaśnięciu linii tych książąt, w czasie gdy dzisiejsza stolica zaledwie do polskich miast liczoną być mogła, i królowie polscy przemieszkiwali w Krakowie, dom ów boży spustoszał. Nie ratowała go bynajmniej królowa Bona. w niezgodzie z swym synem Zygmuntem Augustem żyjąca, bo coraz więcej zaczęła przywykać do Warszawy, a Czersk był tylko dla niej letniem mieszkaniem. Córka tej królowej, pobożna Anna Jagiellonka, która zaślubiona Stefanowi Batoremu na tron ojców wstąpiła, zamieniła dopiero Warszawę na istotną stolicę i lubo wiele pobudowała kościołów, jednak kaplicy Czerskiej upadać dozwoliła.

Mieszkająca w około szlachta zebrała się tu na sejmik. Potrzeba posiłku na podobnych zgromadzeniach zniewoliła do wybudowania karczmy, która miała równie częstych gości jak sąsiednia kaplica. W około dawały się widzieć ślady upłynionej przeszłości, mianowicie stare gdzieniegdzie drzewa, przerywane miejscami ulice drzew ogrodowych, a pod pagórkiem latorośle wina, które Medjolanka Bona ze swego kraju sprowadziła do Polski. Prócz tego ukazywały się jeszcze szczątki domków rozkosznych i kolumn, jako ślady nieśczęsnej wojny z roku 1656, w której Szwedzi całe miasto Czersk w popiół obrócili.

Wewnątrz pustego kościółka jedyną dawnego jego przeznaczenia pamiątką były okrągłe łuki drzwi i okien, i grube słupy greckiej architektury, która w Polsce daleko później ustąpiła gotyckiej aniżeli w zachodniej Europie; tudzież ozdobny cienką rzeźbą tabernakuł, który teraz podczas sejmiku za stół do pisania służył. Stare i ciężkie dębowe ławy, na których niegdyś zasiadali pobożni, zajęte były przez głosującą szlachtę; dwa w zakrystji znalezione krzesła przeznaczono dla marszałka i wybranego posła; tam zaś, gdzie niegdyś słuchano kazań lub pieśni nabożnych, dawały się teraz słyszeć górne i patryjotyczne mowy, czasem głośne kłótnie a nawet i krzesanie szabel.

Obrady zaczęły się były od poranku i trwały do późnego wieczora; łatwo sądzić, czy mogły być spokojne, kiedy obradujący nie omieszkiwali zwiedzać często sąsiedzkiego domku, i kiedy w kościele, zamiast świętych naczyń pozostawiano na stole dzbany i flasze. W pośród głośniejszych sporów dawały się niekiedy słyszeć sławniejsze imiona. Wspominano n. p. o Maksymiljanie bawarskim, Leopoldzie lotaryngskim, Karolu Filipie na Falcu. Każdy z nich mniejszego lub większego doznawał oporu; lecz najgwałtowniej sprzeciwili się wszyscy gdy wymieniono Jakóba Sobieskiego; aczkolwiek należał do szlachty tego powiatu.

Nie było i jednego, któryby mu nie czynił wyrzutów, nie przytaczał dowodów jego chciwości i przekory, a przynajmniej jego dумы i nieprzystępności.

Gdy jeden z członków tego zgromadzenia, obciążony wiekiem i już nam znajomy starzec, zaczął mówić z zapamiętem o Aleksandrze i Konstantym, nietylko zmniejszyła się wrzawa, ale nawet pozyskał stronników, których jednak usiłowania zimno były przez ogół zgromadzenia przyjęte.

Inaczej rzecz się działa, gdy wspomniano o księciu de Conti, zewsząd przychyłne ozwały się głosy. Zarzucano wprawdzie tu i owdzie, że Francja dała już Polsce Henryka Walezego, dwie królowe, z których niewielka była pociecha, że kandydat był ubogi i skąpy; odpowiadano jednak, iż to wszystko nadgradzają osobiste jego przymioty.

Nie mówił dotąd marszałek sejmiku. Był to pan szlachetny i bogaty, gardzący przekupstwem, wysokiego rodu, spokrewniony z wielu członkami senatu, do którego wnet miał wstąpić, mianowicie z kasztelanem chełmskim. Ostatni częstemi odwiedzinami dał poznać, jak wysoko sobie ceni pokrewieństwo z marszałkiem. Zabrawszy głos, przechodził kandydatów korony, popierając zarzuty, jeśli jakie przeciw któremu z nich były czynione. Najdłużej rozprawiał o księciu francuskim, jednak w nieprzychylny sposób. Mało dotknął o królu Henryku i innych przykładach z przeszłości; lecz tak żywo malował niekorzystne położenie, w jakim się znajdował książę de Conti, jego skąpstwo, że wielu jego stronników odstęczył. Dodał, spozierając na innych, że nawet dowody szczodrośliwości jego nie wiele wróżą, bo częstokroć najskąpszy małe do wielkiego przyrzuca i obawiać się należy, by książę zostawszy królem, dwojako nie był oszczędnym, dla odzyskania ofiar, które, jak wiadomo, nie z własnej wykładal kieszeni. Przeszedłszy wszystkie imiona, wymienił nowe, które jeszcze nigdy nie było słyszane, mianowicie imię Fryderyka Augusta saskiego.

Na to wspomnienie powstał szmer zadziwienia, lecz gdy cokolwiek zwolniał, rzekł Zarzycki:

— Wybaczcie, Mości marszałku, ale każdy z nas prędzejby się zapadnięcia nieba spodziewał, niż wspomnienia o elektorze, o którym ani myśleć podobna. Wszak wiadomo, że jest lutrem.

— Luter? luter? — zawołano w około — cóż to myślicie, panie marszałku, chcecie nam dać Niemca, lutra?

— Nietylko luter ale i farmazon! — zawołał ktoś z kąta.

Wrzawa wzrosła do najwyższego stopnia: jedni wywracali ławy, drudzy się żegnali, jak gdyby im o antychryście wspomniano, inni dobyli szabel, jak gdyby już na obronę wiary. Marszałek patrzył z zimną krwią i uśmiechem na to wzburzenie, kilka razy uderzył laską o posadzkę, a przywróciwszy z wielką trudnością porządek, rzekł:

— Jako żywo, Mości panowie i bracia, Jego elektorska Mość nie jest ni lutrem, ni farmazonem, okaże tego dowody.

— Prosimy o nie — rzekł Zarzycki i inni — wiadomo całemu światu, że nowa nauka w Niemczech za najgłówniejszą podpórę poczytuje elektora saskiego.

Jeden atoli z drobnej szlachty wyniosłe zawołał:

— Czyżem ja nie widział pod Wiedniem w namiocie zmarłego elektora obrazu przeklętej Katarzyny Bora, którą lutrzy za świętą poczytują? czyż nie widział cały obóz, że tenże jadł na wieczerzę kiełbasy, które robiła własnymi rękami ta kacarka? Nie daleko jabłko pada od jabłoni, jaki ojciec taki syn. *Dixi*, moi panowie i bracia!

Słowa te przyjęte były z zapalem przez równie myślących, z politowaniem przez oświeceńskich i bogatszych, co przez tamtych źle bardzo było widziane. Marszałek jednak, przytłumiwszy w sobie uśmiech, rzekł:

— Przrzekłem wam dowody, które usuną wszelką wątpliwość jednych, i przekonają wszystkich, że elektor Fryderyk August czci tylko świętych naszego kościoła. Co się

tyczę jadła, sędzę, że ma zbyt delikatne podniebienie, żeby mu miały smakować mięsiwa, które się od stukilkudziesiąt lat wędzą.

Żart ten obudził wesołość w zgromadzeniu, byli już skłonni słuchać z uwagą swego przewodnika, gdy tenże wyjął z zanadru papier, poprzednio tajemnie już rozesłany, obejmujący w sobie treść następującą:

— My Krystjan z bożej i apostolskiej łaski, biskup w Raab, zaświadczaemy jako w dniu dzisiejszym Jego elektorska Mość, nasz wysoko urodzony pan i kuzyn Fryderyk August książę saski, świętego państwa rzymskiego arcy-marszałek, po odbytej instrukcji w nauce chrześcijańsko-katolickiej wiary i wyrzeczeniu się błędów Lutra, oraz wykonanej w nasze ręce przysiędze, powrócił na łono rzymskiego i jedynie przez Boga ustanowionego kościoła. Wszem wobec i każdemu, komu o tem wiedzieć należy, ogłaszamy. Dan w Baden pod Wiedniem, dnia 2. Czerwca 1696.

Krystjan, książę saski, biskup.

Z upodobaniem powtórzyła część szlachty te słowa: „powrócił na łono kościoła — po odbytej instrukcji“ — i przystąpiła do swego prezesa, chcąc obejrzyć podpis i pieczęć biskupa, chociaż im one bynajmniej nie były znane.

— Widzicie przeto, panowie i bracia — mówił dalej marszałek — że elektor saski nie ukrzywdzi wiary, której tak dzielnie już bronił przeciw niewiernym muzułmanom, mianowicie pod Temeszwarem. Nie mam potrzeby innych jego szacownych przytaczać przymiotów przed tak światłymi i znającymi stan polityczny Europy panami.

Ta pochwała tem była milszą drobniejszej szlachcie, iż była niezasłużoną, i zaczęli wołać ze wszech stron. Dalej, panie marszałku! dalej, jeżeli łaska!

— Jednym z najmniejszych powodów które mówią za elektorem — ciągnął dalej marszałek — są jego bogactwa i jego znana wspaniałość. Dał on już tej wspaniałości

dowody wielu kochającym ojczyznę i jemu przychylnym rodakom; a posiadając niezliczone po swych przodkach skarby, nie potrzebuje do osiągnięcia swych wielkich przeznaczeń obcego worka. Wszakże mówię do ojców rodzin, troskliwych o dobro swojego domu, do szanownych posiadaczy ziemskich; dwór elektora będzie najznakomitszym w Europie, i rozsądek wasz łatwo pojmie korzyści, jakie z pobytu jego w Warszawie teraz i na przyszłość dla okolicznej wypłyną szlachty.

Podobne powody z natury rzeczy zrobić musiały wrażenie; połączenie się wielu ze szlachty z głosem marszałka okazało, że Jan Przebendowski nie nad nim samym tylko pracował. Pomiedzy stronnikami Fryderyka Augusta, którzy tu po raz pierwszy wystąpili ze swem zdaniem, a zwolennikami francuskiego księcia zanosilo się na kłótnie a nawet i bitwę, gdy wtem zabrał głos Zarzycki:

— Nie mogę nieufać świadectwu marszałka, ani co do zmienionej wiary elektora, ani co do jego dzielności równającej się dzielności ojca; słyszałem także od panów zwiedzających obce kraje o bogactwach i przepychu tego księcia; ale poco szukać wszystkich tych przymiotów za granicą, kiedy je mamy w kraju? Czyliż synowie Jana III. nie są także synami bohatera? I oni posiadają bogactwa, a lepiej, że tron obrońcy chrześcijaństwa osiadzie jego pokolenie, niż jaki nowo nawrócony.

Wiele głosów powstało przeciw niemu; wszyscy prawie źle mówili o Jakobie. Jeden ze szlachty narzekał, że ilekroć razy zdarzyło mu się przybyć za interesami do Czerska lub Wilanowa, nigdy nie był przez królewicza na obiad proszony, choć nie taki był obyczaj między sąsiady i szlachtą, i choć królewicz niezem więcej nie jest jak prostym szlachcicem.

Inny wspomniał o procesie granicznym, który z nim Jakób od czasu śmierci ojca prowadzi; trzeci wreszcie z okragłą i rumianą twarzą przytoczył, że jest dzierżawcą króle-

wicza, lecz gdy dla ciężkich czasów wypłacić mu się z czynszu nie mógł, był przezeń nielitościwie więziony.

Wielu użalało się na to, że królewicz, spotkawszy kogo ze szlachty, ledwie dotyka się czapki.

— Co mówicie, czapki? — wołali niektórzy — mówcie lepiej zajączkowego kapelusza — wszyscy nakoniec ganili francuski ubiór Jakóba.

Gdy następnie Zarzycki, zaczął wychwalać młodszych braci przymioty, nie chciano go słuchać; powstały przeciw niemu obadwa stronnictwa i jedynie nieskażona sława, tudzież szanowna siwizna uchroniły go od obelg.

Po ustąpieniu Zarzyckiego, wybrany poseł, będący stronnikiem Contego, naglił swoich, by przyspieszyli decyzję sejmiku, której on miał zaszczyt być tłumaczem na sejmie. Zbyt licznymi byli żołdownicy Melchiora Polignaka, zagłuszyli innych swym wrzaskiem; otoczono Tabernakul, napełniono dzbany, podnoszono je do góry, i wnet zatrzęsły się mury świątyni okrzykiem: Niech żyje Conti! W czasie tej wrzawy nie dosłyszano tententu koni, na których kłusem przybyli jeźdźcy, i znagła ujrzano w podwojach pięciu lub sześciu mężów w płaszcze owiniętych, których się przy tej uroczystości nikt nie spodziewał.

Choć wielkie było zdziwienie obecnych na widok Jakóba Sobieskiego, nie oznaczało atoli miłego wrażenia; wystąpił wprawdzie przeciw niemu z uszanowaniem marszałek, ale oziębło i w sposób wymuszony.

Po pierwszym powitaniu, w czasie którego Jakób niżej niż zwykle czapkę uchylił, uznał bowiem za rzecz stosowną ubrać się w kontusz i żupan, postrzegł marszałka dworu i zawołał:

— Czy i wy tu, stary Zarzycki? Miło nam widzieć was w tak szanownem gronie.

— Chciałem — rzekł z cicha starzec — chciałem i mógłbym toż samo o was, królewiczu, powiedzieć. Wołałbym

atoli, iżbyście inną ku temu obrali chwilę, nie usłyszycie tu nic więcej, jak pochwały elektora saskiego lub księcia de Conti.

— Zaiste po to nie przyszedłem — odparł Jakób — przyszedłem poprzeć własną sprawę, która jak widzę, mało ma przyjaciół.

— Niestety! nikogo więcej prócz mnie chudego pachotka; słowa moje mało miały skutku.

— Wierzę temu, pocziwy starcze — rzekł z szyderskim uśmiechem Jakób — sądzę jednak, że obecność i głos syna Jana III. więcej skutkować będą, niż głos jego sługi.

Tu odwrócił się z pogardą od starca i przemówił do zgromadzenia :

— Posłyszawszy o waszym sejmiku, moi panowie i bracia, przychodzę tu z prawa jako szlachcic tego powiatu.

Milczenie towarzyszyło tym jego słowom i marszałek zaprosił go do zajęcia miejsca.

Gdy nowo obrany poseł ustąpić mu chciał swojego krzesła, powstało w około głośnie szemranie, i każdy oświadczał, że nie przystoi nadwyreżać zwyczaju w miejscu gdzie wszyscy są sobie równi, gdzie nie masz różnicy stanów tak jak na dworze królewskim.

Zbladł Jakób z gniewu, ścisnął usta i udając ile możności wesołego, zajął miejsce w ławce, którą natychmiast wszyscy opuścili, częścią z uszanowania, częścią w chęci uniknięcia jego sąsiedztwa.

Po chwili milczenia zapytał królewicz, co było ich obrad przedmiotem, i prosił, aby nie przerywano. Ze strony zgromadzonych żadna nie nastąpiła odpowiedź, marszałek zaś oświadczył, że obradujący trudnili się wyborem marszałka, lecz nie więcej jeszcze nie postanowili.

Królewicz uczuł przykre swe położenie; zimne przyjęcie i odmówienie przyzwóitego uszanowania uraziło jego dumę i zagrzało krew, która i tak po sutym obiedzie i spiesznej podróży podburzoną była; rzekł więc z goryczą :

— Innego spodziewałem się skutku po spełnianych toastach, miałem, że podobna radość jakiś pomyślny wypadek dla ojczyzny zwiastuje, chciałem więc dzielić ją z moimi braćmi.

Na to odpowiedział ów szlachcic, co się uskarżał na niegościnnosć Jakóba:

— Może też W. K. Mość nie jesteś w błędzie. W istocie uradziliśmy rzecz dla braci arcypomyślną, i bylibyśmy was prosili do dzielenia z nami radości, gdybyśmy sądzić mogli, że tak wielki pan zechce wypróżnić kielich z prostą szlachtą. Jeśli jednak chcecie uczcić nasz wyrok, to proszę, pozwólcie.

— I w istocie stanął przed królewiczem z kuflem, chcąc wypić za zdrowie Ludwika de Conti. Dostojniejsi atoli panowie, przejęci uczuciem przyzwoitości, wstrzymali go w jego zamyśle.

— Jestem niezmiernie panu sąsiadowi wdzięczny, przemówił Jakób w tej chwili, przyjąć atoli nie mogę, nie wiedząc, w jakim był celu. Nie wątpię jednak, że zgromadzenie, w którym znajdować się mam zaszczyt, czuje całą wagę tego, co dziś powszechną ściągą na siebie narodu uważę. Jestem jego pierwszym obywatelem.

To słowo „pierwszy“ wznieciło znowu szemranie, królewicz atoli nie uważając na nie, dalej ciągnął nie bez powagi i dobitności. Śmierć mego nieboszczyka ojca, którego teraz otaczają promienie wieczności, pograżyła Europę w smutek, Rzplite w żałobę, a nadewszystko dotknęła jego dzieciów, w imieniu których ja najstarszy pomocy waszej wzywam. Jesteście podporą narodu, walczyliście pod chorągwiami Jana III. w bitwach, w których ja po raz pierwszy za wiarę i ojczyznę dobyłem oręża.

Tu spoczął, dla odgadnięcia skutku swej mowy, lecz jeden tylko głos się odezwał:

— Powiada, że mówi w imieniu braci? Czyliż nie wiemy o niezgodzie, jaka między nimi, ze zgorszeniem wszystkich, panuje?

— Roboty cudzoziemców — odparł Jakób — znalazły przystęp nie tylko do spraw krajowych, ale i do wewnętrznych domu naszego stosunków; a zrządziwszy smutne rozdwojenie w domu, chcą również i w narodzie zasiać ziarno niezgody, by korzystać z obłędów, jakie zwykle przy elekcjach opanowują umysły.

— Nie Niemiec to, ani Francuz obiera króla — odpowiedziało wielu — ale my, stosownie do niezaprzeczonych praw naszych. Nie może tu być obłędu, bo naszym wyrokiem duch święty kieruje, *vox populi, vox dei*.

— A więc — rzekł żywo Sobieski — nie pozwalajcie tych obcym praw ścieśniać. Nie patrzcie na obcych, lecz na swoich, w około siebie. Obejdziemy się bez nich, ojczyzna nasza z łaski pana Boga dość jest potężną, nie potrzebuje obcej pomocy, nie potrzebuje pożyczać godnych korony mężów, zwłaszcza takiej, którą mój ojciec a wasz rodak nosił.

Tu zaczęto mu czynić wyrzuty, że właśnie rodzina Jana III. sprowadziła cudzoziemców, że on Austryjacom a Marja Francuzom wpływ do spraw krajowych ułatwili; że jeśli to się godziło tak dostojnej rodzinie, tem więcej godzi się szlachcie dla własnego i powszechnego dobra.

— Panowie i bracia! — odparł Jakób donośniejszym głosem — spodziewam się po waszym charakterze, iż mi nie będziecie przypisywać tego, co się podobało królowej czynić, i nie będziecie rozłączać moich zamiarów od swoich. Na nieszczęście, nie mogą wam być tajne niezgody, które tak długo zatruwały spokojność naszego domu; lecz nie jeden wie razem o krzywdach, jakich ja doznawałem. Wspólnie z wami myślę się oprzeć zgubnym skutkom, jakimi obojętność i upór królowej powszechnemu dobru grożą.

Jakób Sobieski znajdował się między ludźmi, skorymi do widzenia w złem świetle wszystkiego, co czynił i mówił. Wołano więc wszędzie :

— Bóg widzi, bezbożny to syn ! Możeż być dobrym królem ten, co nie szanuje czwartego przykazania : Czcij ojca i matkę swoją, żebyś długo żył na świecie.

— Równie z wami — przerwał królewicz — umiem czeić pamięć ukochanego ojca, a choć musiałem niekiedy ulegać potrzebie i cudzoziemskim robotom, byłem zawsze jego posłusznym synem.

— Za pozwoleniem W. K. Mości, odpowiadano mu, był czas, kiedy o tem mówiono inaczej. I stary król nieraz się skarżył na najstarszego syna. Jestże to czeić ojca, opuszczać go na łożu śmiertelnem ?

— Prawda — ponowił królewicz — że byli tacy, którzy się między nim a mną stawiali; udawało im się niekiedy — dawniej atoli bywało inaczej, byłem zawsze przy boku ojca. Przy boku jego zwyciężałem, znają Turcy szablę Jakóba Sobieskiego.

— Tak, tak, przypominamy sobie — szemrano zewsząd — chcieliście zdobyć Kamieniec, lecz się nie udało.

— Na waszem czele — rzekł Jakób — na czele mężnej polskiej szlachty odzyskam ja owo przedmurze chrześcijaństwa, i półksiężyc spadnie znowu przed zwycięskim krzyżem.

Nie zrobiły te słowa wielkiego wrażenia, kiedy się zewsząd odezwano :

— Nigdy syn nie dokaże, czego ojciec nie zdołał. *De mortuis nisi bene*, nikt nie jest doskonałym, i nieboszczyk miał swoje błędy, ale pomimo tego dzielny był wojownikiem. Dobrzeby było, żeby synowie odziedziczyli po nim przymioty nie wady.

Oddawna już Zarzycki mruganiem i ustami błagał królewicza, aby się oddalił z tego miejsca, gdzie jego obecność tak nieprzyjemne sprawia wrażenie ; nie widząc atoli ich

skutku, sądził być swoim obowiązkiem wszelkimi siłami synowi Jana III. przyjść w pomoc.

— Kochani panowie i bracia — rzekł uprzejmie — cie-
szy mnie, że oddajecie sprawiedliwość nieboszczykowi kró-
lowi Janowi, że pochwalacie w nim to, co całe chrześcijań-
stwo uwielbia. Ale w królach narody tę tylko wielkość wi-
dzą, która błyszczy i w oko wpada; skromnych przymiotów
nie dostrzegają, a nawet częstokroć przeczą. Jeśli jednak
ubogiemu człowiekowi godzi się dawać o królach świadectwo,
mogę wam zaręczyć jako jego bliski od lat tylu towarzyszy,
że równie był bogobojnym i nieskazitelnym mężem jak wiel-
kim wojownikiem.

— Macie słuszność, Mości Zarzycki — odezwał się ktoś
mniej uprzejmie. — Nikt z nas zapewne nie powie, żeby
nieboszczyk król nie był czcigodnym mężem. Wasze świa-
dectwo dostateczne; szlachcic może za każdego a zatem i
za króla ręczyć, boć król niczem więcej nie jest jak *primus
inter paris*.

— Panie świeć mu nad jego duszą! — zawołano zewsząd,
niektórzy zaś dodali:

— Dałby Bóg, żeby inni byli mu podobni! Co bądź to
bądź, zawsze mu Rzplita nieskończenie wdzięczna.

— Poszedł on tam — zawołał pełen szlachetnego zapału
starzec — gdzie go spotka nagroda z niewyczerpanego łaski
boskiej źródła. Nam jednak zostawił potomków, abyśmy im
wdzięczność naszą okazali. Synowie króla są synami owdo-
wiałej Rzplitej, a ta wspólna nasza matka powinna im wy-
nadgrodzić, czego odmówiła rodzona. Patrzenie, oto jeden
z nich stoi przed wami, w swem i braci swych imieniu;
maszli kto powiedzieć, że synowie Jana III. nie znaleźli
pomiedzy rodakami przyjaciół i braci?

Czuła ta i trafna przemowa możeby była wzruszyła
umysły słuchaczy, gdyby jakiś zły duch Jakóba Sobieskiego
nie natchnął i całego wrażenia nie zniweczył. Nie podobąca

mu się zbyt poufała zażyłość ze szlachtą, i wspomnienie o braciach, zawołał więc ostro do wiernego swego sługi:

— Milcz, staruszk, sam potrafię bronić mej sprawy.

Tu się ozwał znowu głos niezadowolnienia:

— Co za duma! kiedy taką jest zielona gałąź, cóż będzie gdy uschnie? Jakaż to wdzięczność dla pocziwego starca, który mu tak dobrze życzy? Cóż pocznie z tymi, którzy mu się sprzeciwiać będą? — Zamykać usta szlachcicowi na sejmiku! Czyż nie wie, że każdy tu równy, choćby się nawet Sobieskim nazywał? To rzecz niesłychana i wręcz gwałci przywileje i prawa. Prosimy was, panie marszałku, przywołać królewicza do porządku!

— Do porządku? — zapytał rozniewany — czyż tam jest porządek, gdzie chciwość i interes osobisty łączy się z ciemnotą? Widzę, że mój ojciec nadaremnie odnosił zwycięstwa, nadaremnie czuwał nad dobrem niewdzięcznych, niepomnych na dobrodziejstwa. Zaprawdę i jabym innego losu nie doznał!

— Czy słyszycie Roboama! — zapytał ktoś zdala — jak grozi, jak nas chce karcić batami, żeby tylko mógł! Szczęście, że Polska nie jest krajem dziedzicznym jak Palestyna!

— Umiarkujcie się, łaskawy panie, na miłość boską! — zawołał niepomny urazy Zarzycki — taka mowa nie przystoi w tem miejscu.

— Upraszam W. K. Mości — rzekł marszałek przytłumionym głosem lecz z powagą, upamiętać się, gdzie jesteście, i nie zniewalać mnie, abym dopełnił przykrego obowiązku.

— Obowiązku? — zapytał z szyderstwem Jakób. — Czyż i tu mówią o obowiązkach, gdzie nie znają nic świętego? a więc do obowiązku, panie marszałku, jeśli się odważycie częściej formy przeciw królewiczowi polskiemu dopełnić. Znam ja was i ich wszystkich.

— Jakto? on nazywa czczą formą święte polskiej szlachty prawo? — zawołano zewsząd w około. — On śmie obrażać

marszałka w pośród sejmiku! Czyż istnieje jeszcze Polska! Jesteśmyż wolną szlachtą? pozwolimyż, aby nas reprezentantów narodu obrażano? Czyż on myśli, że jest w Wilanowie i że my jego słudzy? precz z nim, precz! jeśli tylko jest wolność w Rzeczypospolitej!

— Pójde — krzyknął rozgniewany Jakób — pójde z własnej woli, oddałę się z miejsca, gdzie szukając prawych Polaków, znalazłem tylko zdrajców ojczyzny!

Ledwie to wyrzekł, porwał się marszałek ze swego krzesła, rzucił na posadzkę znak swego dostojenstwa i zawołał:

— Nie będę piastował tej laski tam, gdzie znieważają jej znaczenie, gdzie gwałcą przywileje i prawa!

Odgłos wściekłości odbił się o mury kaplicy, mnóstwo szlachty rzuciło się na królewicza. Żaden jednak nie użył trzymanego w prawicy oręża, otoczyli tylko Jakóba i jego orszak ściśnionemi szeregami, i opierających się za drzwi wyrugowali. Zgoda, z jaką się to stało, i postępek marszałka, każą się dorozumiewać, że podobny wypadek był już wcześniej przygotowany, choć go nierozwaga Jakóba przyspieszyła. Nie brakowało mu na osobistej odwadze; zaledwie dostał się na wolne powietrze, dobył szabli, rozkazał toż samo orszakowi swemu uczynić i gotował się już do zaciętej walki. I z drugiej strony wzięto się do oręża. Zarzycki rzucił się przed królewicza, i zaślaniając go swem ciałem, to zaklinał Jakóba, by się oddalił, to błagał swych towarzyszków, aby mieli wzgląd na krew, jaka w nim płynie. Gdy zaś to nie pomogło, krzyknął mocnym głosem:

— Bywaj! ratuj! tu Sobieski!

I w mgnieniu oka odezwano się z poza krzaków:

— Tutaj, tutaj, Wołyń za Sobieskim!

Wnet przyskoczyło trzydziestu jeźdźców, którzy odbili królewicza i odparli szlachtę. W czasie, gdy Dymitr Wiśniowiecki, poważany od wszystkich, przekładał rozjątrzonemu słowa pokoju, stary domownik skłonił królewicza, by wsiadł na podanego mu przez Jorkiewicza konia, a gdy uspokojona

przez Dymitra szlachta czerskiego powiatu wkładała szable do pochew i wracała na zgromadzenie. Sobieski dawno już był w Wilanowie.

Z całej tej niewczesnej przejażdżki pozostało w Jakóbie to gorzkie przekonanie, że sobie przez nią więcej jeszcze zaszkodził.

Ziściło się przepowiedzenie Elwy: królowa wkrótce przybyła do Warszawy i już nikt nie wątpił, że zmieniła swój sposób myślenia. Z równym zapalem, jak niegdyś odpychała, dziś polecała młodszych swych synów, nie szczędziła swych bogactw dla oparcia się tym, których niegdyś, w grubym zaślepieniu, pochwałała nadużycia. Wspierali ją przyjaciele meża, nadewszystko hetman Jabłonowski. Lecz sprawdziło się także, co opat de Bonport przewidział. Gdy dla samej przyzwoitości odwiedził Marję Kazimierę, obsypał go mnóstwem wyrzutów. Znosił je cierpliwie, jak już poprzednio postanowił, nie widząc atoli ich końca ni w piśmie, ni w mowie, stracił cierpliwość i obawiając się jej obecności oraz skutków rozdawanych pieniędzy, postanowił szukać sposobów jej oddalenia. Z jego to namowy kardynał prymas oznajmił królowej, iż jeżeli się od sejmu na mil przynajmniej 30 nie oddali, opuści ją, i tym sposobem wszelkie jej zamiary zniweczy. Marja odjechała powtórnie do Gdańska z żalem w sercu i dotkliwym przekonaniem, że sama była przyczyną upadku swego znaczenia.

Dnia 5go Czerwca 1697 otworzono sejm, i dzień elekcji króla na 26go tegoż miesiąca naznaczono. Prymas ogłosił za kandydatów: królewiczów Sobieskich, księcia de Conti, księcia Lotaryngji, a na ostatek elektora saskiego z tą uwagą, iż nie można wiedzieć, czy jego powrót na łono katolickiego kościoła zasługuje na wiarę.

Województwo krakowskie było jeszcze za Jakóbem, najwięcej wszakże stronników liczyła partja Ludwika de Conti; wkrótce atoli okazało się, iż bogate dary Fryderyka Augusta i świetne przyrzeczenia nie były bez skutku. Wiele

szlachty przyrzekło dać za nim kreskę natychmiast, jak zostanie katolikiem; odpowiadał jednak na to prymas dworowi francuskiemu oddany: że wprowadzie zapewnia o tem poseł Flemming, ale świadectwo lutra nie jest dostateczne. Z tego powodu kasztelan chełmski złożył sejmującym stanom wspomniany wyżej biskupi autentyk i natychmiast liczne hufce przeszły na stronę Fryderyka Augusta. Zachwiała się atoli szala losu, gdy na elekcyjnem polu usłyszano odgłosy trwające do późnej nocy: niech żyje książę de Conti! niech żyje elektor! niech żyje królewicz Jakób!

Gdy to się działo, Jakób Sobieski miał długą rozmowę z Janem Przebendowskim i panem Flemmingiem, który tu w jawnym wystąpił charakterze, a gdy nazajutrz wielki poseł rakuski, hrabia Lamberg, biskup passawski, pochwalił imieniem swego dworu wybór elektora, przyłączył się do niego ze swymi i Jakób Sobieski. Zrzekł się tym sposobem wszelkich nadziei swej dynastji, ułudzony zapewne obietnicami wynadgrożenia, które spotkać go nigdy nie miały. Nie zaspali także sprawy i poseł saski i jego szwagier, gdyż następnego poranku 40 chorągwi wykrzyknęło imię jego pana.

Trwało zamieszanie i niezgoda na elekcyjnem polu aż do 6tej godziny wieczór; gdy wtem wystąpił śmiałym lecz dziś już niewczesnym krokiem kardynał Radziejowski i wykrzyknął księcia de Conti królem; poczem udał się z swą partją przez zakrystję do kościoła Śgo Jana, opanował gwałtem klucze domu bożego, i wobec niewielu senatorów zain-tonować kazał *Te Deum*. Wraz atoli Dąbski, biskup kujawski, pamiętny danych Marji Kazimierze przyrzeczeń, uroczystą zaniósł protestację na korzyść elektora, i za jego rozkazem, tegoż samego wieczora i w tymże samym kościele, wobec większej liczby senatorów odśpiewaną została Ambrozjańska modlitwa. Około północy na rozkaz Kątskiego wystrzały z dział uczciły wybór księcia de Conti, lecz toż samo spotkało i elektora.

Znane są dalsze wypadki ; dawno był już królem Fryderyk August, gdy Ludwik Franciszek de Bourbon ukazał się na wybrzeżach Bałtyckiego morza. Ubóstwo i skapstwo, słusznie mu zarzucane, zniweczyły ostatek jego nadziei. Opat de Bonport, uciekając wraz z nim z bezowocownej widowni intryg, ledwie co schwytanym nie został, a przybywszy na granicę Francji, zamiast purpury, zastał tam rozkaz Ludwika XIV., nakazujący mu przebywać w opactwie. W czasie, gdy Zarzycki musiał być świadkiem tryumfu niemilej sobie dynastji, la Brie goniąc na morzu za francuską flotą, przewrócił się z czołnem, i tym sposobem w nurtach Bałtyku zakończył swe życie. Marja Kazimiera opuściła kraj polski, w którym wszystko jej przypominało smutne niesnaski i lepsze niegdyś czasy. Udała się do Rzymu a za nią i Aleksander Sobieski.

Upłynęło po tych wypadkach lat dziesięć, gdy pewnego dnia nad wieczorem, zajeżdża niepozorny powóz podróżny przed gotycką bramę starożytnego zamku w Straubingu w Bawarji. Buda z płótna na obręczach opiętego, wasag pleciony, koła bosc, zaprzag z konopi zamiast ze skóry, dziwnem były zjawiskiem w tym kraju ; każdy przechodzień ciekawie go oglądał, zaczęły się już zbierać tłumy, gdy wysiadła osoba, której odzież równie była krajowcom nieznana. Była to młoda kobieta ; zapytana przez strażę przy zamku o nazwisko, zrzuciła zasłonę, a wówczas okazała twarz nie bez wdzięku, pomimo bladoci i głębszych pod oczami rysów, okazujących ślady dotkliwych cierpień. Odpowiadała halabardzistom w języku niemieckim, lecz z obca brzmiącym, a gdy wymówiła swe nazwisko, jedna z blisko stojących kobiet oświadczyła zaraz, iż nigdy w życiu tak szczególnego nazwiska nie słyszała i że trudno, aby chrześcijanka tak się nazywać mogła.

Przystęp do zamku nie zdawał się być łatwym ; po licznych pytaniach kazano podróżnej zatrzymać się w sieni, gdy tymczasem gefrejter od straży zwolna i posepnie przez pusty przechodził dziedziniec ; miasto usłużnych ludzi dwor-

skich ukazywali się tylko żołnierze w austrijackich mundurach; po niejakej chwili powrócił wysłaniec a z nim mąż podeszłego wieku w ciemnej francuskiej sukni, wyglądający na marszałka lub szatnego. Skinął na nią, by za nim poszła, i prowadził ją przez ciemne i puste korytarze do skromnie urządzonego przedpokoju, gdzie zapytawszy ją raz jeszcze o nazwisko i zostawiwszy samą, udał się do przyległej komnaty. I tam równa panowała cisza jak w całym niegościnnym gmachu, ale wnet usłyszała podróżna znajomy sobie głos i niebawem zaprosił ją przewodnik, ażeby weszła.

W oknie komnaty obitej ciemną materją siedziała przy krosnach z książką nabożną w rękę Teresa Kunegunda Sobieska, elektorowa bawarska. I jej rysy nosiły na sobie piętno gorzkich dolegliwości, a głębokie jej zajecie książką dowodziło, że w religji tylko przeciw swym troskom ulgę znajduje. U nóg jej bawiło się dziewięcioletnie dziecko, a na boku przy ołtarzu klęczał wychudły staruszek w kapłańskim stroju, którego postać, acz przy odwróconej twarzy, nie była naszej podróżnej obcą. Stała ona przez kilka minut w milczeniu, serce biło jej w piersiach, łzy rosily oczy; porównywała ową wybladłą i wdowieńskimi prawie szatami okrytą kobietę z hożą i wesołą niegdyś królową; gdy wtem elektorowa, opuszczając zwolna książkę i wlepiając w nią oczy, zapytała jakby niepewna:

— Czy nie Ewa Jorkiewiczówna?

— Tak jest — odpowiedziała zapytana, rzucając się do nóg księżnej — tak jest, przychodzę ofiarować W. Królewiczowskiej Mości moje usługi, jeśli je przyjąć raczysz.

Iskra radości zabłysła w oku Teresy, ale jej odgłos nie mógł się wydobyć z przyciśnionych troskami piersi, i mało co odważniej rzekła:

— Witam cię, miły mi zawsze kochanej ojczyzny obraz, coś dopiero w tych tu pustych murach. Lecz czemuż nie przybyła wcześniej, albo raczej czemu przybywasz teraz, kiedy, jak widzisz, dwór mój opuściły uciechy?

— Nie szukam ja uciech — odparła Ewa — i nie przynoszę ich.

— Wszakże przybywasz z ojczyzny — rzekła księżna — musiało się tam wiele odmienić... i tu toż samo. Jednakże, czy masz dla mnie jaką wiadomość od mego przyjaciela młodości?

— Mam; mam... — odpowiedziała dziewczica tłumiąc swoje uczucia — już on...

— Już on?... — przerwała Teresa tonem okazującym tkliwość.

— On już tam, wysoko! — ponowiła Ewa.

Jeszcze większa bladłość powlokła usta małżonki Maksymiljana Emanuela, przycisnęła rękę do piersi, jak gdyby chciała nową boleść do dawnych dołączyć, i rzekła:

— Oby Wszechmocny otoczył jego duszę promieniami, z których jeden zesłany już był dla niego na ten tu świat. Pójdź — dodała dobrotliwie, podając rękę klęczącej — pójdź, pomówimy z sobą o nieboszczyku, który, wyznam teraz, był mi od młodości do dziś dnia drogim. I ty, Ewo, i ty go kochałaś, nieprawdaż?

Pytanie to było wprowadzić uczynione w sensie ogólnym, mocny atoli rumieniec pokrył lica Ewy i rześistsze łzy spadały z jej oczu; zdziwiło to nieco elaktorową, i wraz przemówiła:

— A więc będziem go razem opłakiwały; powiedz, jak umarł?

— Umarł, dopełniając tego, co zwał swym obowiązkiem, łaskawa pani, i co wam przyrzekł! Skoro Karol, król szwedzki zwyciężył króla, i, jak wam wiadomo, powziął zamiar przywrócenia na tron dynastji Sobieskich, wyszedł Dymitr z swego ustronia. Wspaniałomyślne zrzeczenie się waszego brata Aleksandra i wybór Stanisława zniweczyły jego nadzieje. Jednak nie miał sposobności przekonania się o tem; nieprzyjacielska kula nie dopuściła boleści do serca, które zawsze waszą było własnością.

Elektorowa głęboko wzruszona zbliżyła się do ołtarza i tu ulżyła strapiionemu sercu odmówieniem modlitwy; potem z większą już powróciwszy odwagą, rzekła, schylając się do swego dziecięcia, dzielającego jej smutek i trzymającego się jej kolan:

— Nie płacz, biedne dziecię, byłaś wypędzoną z rodzicielskiego domu, kiedyś jeszcze pod sercem swej matki spoczywała; wszyscyśmy tego samego doznali, lecz czeka nas inny dom, dom Przedwiecznego! Nie myśl, żeby to moje było dziecię — mówiła dalej do Ewy — wszystkie mi wydarto: jest to córka mego brata Jakóba uwięzionego w Lipsku.

Tu dziewczica schyliła się do małej dzieciny, obsypując ją pieszczotami; była to później owa nieszczęśliwa żona Jakóba Stuarta, co los dwóch upadłych dynastji na syna swego Karola Edwarda przeniosła. Wtem powstał od ołtarza duchowny.

Z trudnością poznała Ewa, że to był ojciec Vota; czas i zawiedzione nadzieje wyrwały ciężkie ślady na jego niegdyś wesołym czole. Bystry wzrok powlókł się posępnością, złagodniała żywość wyrazu jego twarzy, a wiek przycisnął postawę. Nie nagrodziła go Austrija, jak się spodziewał; po długim namyśle, w celu pozbycia się tego nieużytecznego już narzędzia, posłała go na spowiednika a może i na szpiega do uwięzionej elektorowej bawarskiej. Pomimo długiego w Polsce pobytu, nigdy się jej języka nie nauczył. W tym atoli języku toczyła się teraz rozmowa, której nie rozumiejąc, zapytał elektorowej:

— Cóż tak rozczuła W. K. Mość, co miesza pokój pobożnej chrześcijanki, która się już wszystkiego wyrzekła?

— Gość przyjechał z ojczyzny — rzekła uprzejmie elektorowa — donosi mi o śmierci mego przyjaciela młodości, którego znaliście dobrze, ojcie Vota. Odnowiły się dawne rany, a któż ich więcej odemnie otrzymał? Ród mój, niegdyś na świecie tak wyniosły, straconym jest z swojej wielkości; więzienie zamyka mych braci z woli króla, którego korona

do jednego z nich niegdyś należała; mąż mój na tułactwie; dzieci ogołocone z dziedzictwa, w niewoli u cesarza, którego ich dziad od zguby zasłonił. Powiedz, szanowny mężu, czyliż z tak przyciśniętych piersi nie powinno się wydobywać uczucie żalu?

Tu obie kobiety załżały się łzami; po chwili duchowny z poważną twarzą te przemówił słowa:

— Gdzież jest człowiek, któryby w przeszłości albo strat albo zawiedzionych nadziei nie doświadczył? Szczęśliwy ten, którego sumienie jest czyste. Wszystko na tym świecie mija, jedna tylko cześć Boga od wieków do wieków przechodzi.

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.

Objaśnienia historyczne.

¹⁾ Klasztor Kamedułów w Bielanych był założony przez Władysława IV., skutkiem uczynionego w czasie wojny moskiewskiej ślubu. Tu po śmierci króla Michała schroniła się owdowiała po nim żona, Eleonora austryjaska, i mieszkała aż do odjazdu swego do Wiednia na ślub z księciem lotaryńskim.

²⁾ Opis tej uroczystości zaślubin jest wyjęty z relacji Bernarda O'Connor, doktora Jana III., jest zaś umieszczony w tomie IV. Pamiętników o dawnej Polsce, przez Juliana Ursyna Niemcewicza wydanych

³⁾ Cysterskie opactwo Raj było fundowane roku 1234 przez Bronisza, wojewodę poznańskiego.

⁴⁾ Ludwika Benedykta de Bourbon, córka Henryka Juljusza, księcia de Condé, zaślubiona Ludwikowi Augustowi księciu du Maine, synowi Ludwika XIV. i margrabiny de Montespan. Największe miała uczestnictwo w spisku legitymowanych książąt, zaś kardynał Polignac, wówczas arcybiskup z Auch, był jej poufnikiem. Że z tą księżną i w innych jeszcze zostawał stosunkach, okazuje się wyraźnie z listu, który między papierami jego znaleziono. Kardynał miał wówczas (1718—20) blisko lat pięćdziesiąt. A ponieważ dla kościelnej jego godności nie można go było więzić jak drugich spiskowych, wygnanym został do jednego ze swoich opactw.

⁵⁾ Kardynał de Polignac powiada: że w tej rozmowie o oblężeniu Brukselli królowa uniosła się do wyrazów więcej jej płci niż dostojństwu właściwych; król jednak, chociaż z wielu już przyczyn obrażony i zmartwiony, okazał się z umiarkowaniem, przypisując wszystko nieuchronnym skutkom wojny.

^{c)} Był to pułkownik, a później ów saski feldmarszałek hrabia Flemming, który przy pomocy szwagra swego Jana Przebendowskiego, kasztelana chełmskiego, północne prowincje polskie ku wyborowi pana swego skłonił. Zabiegi te, do których elektor żadnego nie udzielił pełnomocnictwa, nadzwyczaj tajemnie się działy i najwięcej wodzowi zależało na tem, aby przez stosunki rodzinne zyskać wziętość u szlachty. Co mu się tak udało, że gdy już mocną zjednał sobie partję, największa część pozyskanych przyjaciół nie znała swoich współbraci; a wielu nawet kasztelanowi chełmskiemu głos swój dawali pierwej, nim im osoba, której się to tyczyło, nazwaną została. Ze szlachtą protestancką daleko otwarciej postępowano, ta bowiem spodziewała się (jak niegdyś od Emila Brandeburskiego) otrzymać króla swojego wyznania; drudzy zaś, którzy w tem upatrywali niepodobieństwo, mieli przynajmniej nadzieję, że Fryderyk August, przeszedłszy na wyznanie rzymsko-katolickie, równie jak Henryk IV., król francuski, swoich dawnych współwyznawców bronić i sprzyjać im będzie. Bieg tych działań, o których tutaj lekkośmy tylko napomknęli, nie należy do niniejszego obrazu.

^{d)} Polskie książęce domy, do których i Wiśniowieccy, z wielkich książąt litewskich pochodzący, należeli, uważane były za granicę w równi z książętami Rzeszy niemieckiej; i rzymski cesarz, stosownie do ówczesnego stylu, dawał im tytuł: *Wysoko urodzony książę, kochany kuzynie, Wasza miłość, Vestra dilectio*; tem bardziej to ze strony elektora saskiego dziwić nie powinno, że zawsze dostojni pretendenci do polskiej korony szczerdymi byli w szafowaniu wszelkimi tytułami i honorami dla panów polskich; czego autor sam między papierami familijnymi niektóre dowody posiada.

^{e)} Fryderyk August, elektor saski, dowodził w 1695—96 roku wojskiem cesarskiem w Węgrzech i pobił Turków pod Temeszwarem. Opinią współczesnych wtenczas już jednomyślnie waleczności i talentom wojennym sprawiedliwość oddawała.

^{f)} Leszek Biały został w roku 1228 w Gązawie napadnięty w kąpieli, z której gdy prawie nagi uszedł, we wsi Marcinowie schwyty i zabity został. Sprawcą tego zabójstwa był Światopełek, książę pomorski. Zamordowanie króla Przemysława w Rogoźnie 1296 r. popełnione było przez margrabiów brandeburskich Ottona, Konrada i Ottona długiego. Piekarski, który roku 1620 Zygmunta III. Wazę w kościele Śgo Jana w Warszawie morderczo napadł, był wprawdzie Polakiem, ale uznano go za cierpiącego oddawna pomieszanie zmysłów. Celem napadu na króla Stanisława Augusta w dniu 3go Listopada 1770 roku było uprowadzenie go, nie zaś zabicie; rozmaicie nawet wówczas i później o tym wypadku sądzono.

¹⁰⁾ Na sejmie 1689 r. skazano na śmierć podsędką brzeskiego Łysińskiego ateusza, i dnia 31go Maja spalono go w Warszawie. Życie tego człowieka było nienagane, a jego oskarżyciel Brzoska był mu znaczną sumę dłużnym. Powód do skargi był następujący: Nieszczęśliwy ów człowiek, czytając kalwińską książkę, w której autor dowodził bytności Najwyższej Istoty, napisał na marginesie w miejscu, gdzie niezręczne rozumowanie prowadziło do przeciwnego wniosku, *ergo non est deus*. Prowadzono proces jak najniedokładniej, a obrońca obwinionego okazał się albo niezręcznym, albo przekupionym. Słusznie wyrzucają Janowi III., że taki wyrok podpisał, jednak nie obwiniają go o skłonność do zabobonów, jakich Łysiński padł ofiarą. Rzeczą jest historycznie wiadomą, że przez całe życie błędu tego żałował.

¹¹⁾ Następujące były chorągwie królewskie:

- | | |
|-----------------|-------------------------|
| 1. Zatorska. | 16. Kujawska. |
| 2. Oświęcimska. | 17. Łęczycka. |
| 3. Chełmska. | 18. Sieradzka. |
| 4. Sanocka. | 19. Kaliska. |
| 5. Halicka. | 20. Sandomierska. |
| 6. Przemyska. | 21. Poznańska. |
| 7. Dobrzyńska. | 22. Krakowska. |
| 8. Wieluńska. | 23. Terr. Prussiae mod. |
| 9. Rawska. | 24. Homag. Pomeran. |
| 10. Mazowiecka. | 25. Homag Valachiae. |
| 11. Płocka. | 26. Duc. Lit. Curland. |
| 12. Bełzka. | 27. Homag. Prussiae. |
| 13. Lubelska. | 28. Regni curiae. |
| 14. Podolska. | 29. M. Duc. Mag. Litae. |
| 15. Lwowska. | 30. Regni Poloniae. |

